

Jerzy Baczyński

PRZY

PiSiY

czyli krótka historia
8 długich lat

POLITYKA

Jerzy Baczyński

PRZY PiSY

czyli krótka historia
8 długich lat

POLITYKA

Spis treści

Karta redakcyjna

WSTĘP DO EPILOGU

ROZDZIAŁ I 2015: KLĘSKA

ROZDZIAŁ II 2016: PIERWSZE STARCIA

PRZYPISY 2016

Zamach marcowy

Niewygodni święci

Przeżyj to sam

Doskonały świat

Złe słowa, złe czyny

Sprzedawcy dymu

Kabaretyzacja

Szczepionka jesienna

Nowy trumpowski świat

ROZDZIAŁ III 2017: SĄDNY ROK

PRZYPISY 2017

Faktury z Madery

Strasznie śmiesznie

Człowiek i jego ludzie

Ponieśliśmy zwycięstwo

Pan prezydent powiedział

Katastrofa bez końca

Ameryka kocha Polskę. I odwrotnie

Pułapka posybilizmu

Niewygodne przesłanie

Jeszcze lepsza zmiana

ROZDZIAŁ IV 2018: ULICA I ZAGRANICA

PRZYPISY 2018

Czyn pomówienia

O wyższości kwietnia nad marcem

Wrze pod przykrywką

Coming out

Niežnośna lekkość słów

Mecz o wszystko

Czy to klepto?

Rozchamowanie

Krok defiladowy

Rozliczanie z sukcesu

Marsz na rozstajach

ROZDZIAŁ V 2019: DWA RAZY WYBORY

PRZYPISY 2019

Słowa przed ciszą

Zbrodnia i polityka

Afirmacja seksualizacji

Kadzidło i ligawka

Ostatni dzwonek

Lekcja majowa

Moment zero

Teraz dogrywka

Bardziej MY

ROZDZIAŁ VI 2020: COVID RZĄDZI

PRZYPISY 2020

Plan 30-letni

W cieniu palca

Narodowa kwarantanna

Za zastoną

Wielki przywódca
Pół plus pół
Próba kładki
Iga, Pan Czarnek i czarne dziury
Dość tego
Dziewiętnaście gwiazdek

ROZDZIAŁ VII 2021: NA GRANICY

PRZYPISY 2021

Gęsi kapitoliańskie
Milowy kamień węgielny
ład władzy
Panowie i państwo
Tusk Plus
Wolne i powolne
Bitwa pod Usnarzem
Gdzie jest granica?
Cena większości

ROZDZIAŁ VIII 2022: WOJNA. I WOJENKI

PRZYPISY 2022

Sztuki i sztuczki
Chwała Ukrainie!
Gorąca i zimna
Niepowaga
Dwie ciężkie stopy
POtwór I SPÓŁKA
Niemcy ponad wszystko
Patrioty i patrioci
Zmiana wiatru?

ROZDZIAŁ IX 2023: TO TEN ROK

PRZYPISY 2023

Taktyka głupot
Co je Judym?

Śmiech hien

Trochę optymizmu

Wiatr i żagle

PRZYPISY KOŃCOWE

BIBLIOTEKA POLITYKI

Tytuł: *PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat*

Autor: Jerzy Baczyński

© copyright by Jerzy Baczyński, 2023

© copyright by POLITYKA Spółka z o.o. SKA, 2023

Rysunki: Janek Koza

Redaktorzy: Jacek Kowalczyk, Anna Reichel, Piotr Zmelonek

Projekt okładki: Frycz i Wicha

Opracowanie graficzne, skład: Janusz Fajto

Korekta: Krystyna Jaworska, Agnieszka Fila

Dokumentacja: Iwona Kochanowska, Justyna Sadowska

Wydanie I, Warszawa 2023

ISBN 978-83-968721-1-1

Wydawca:

POLITYKA Sp. z o.o. S.K.A.

ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

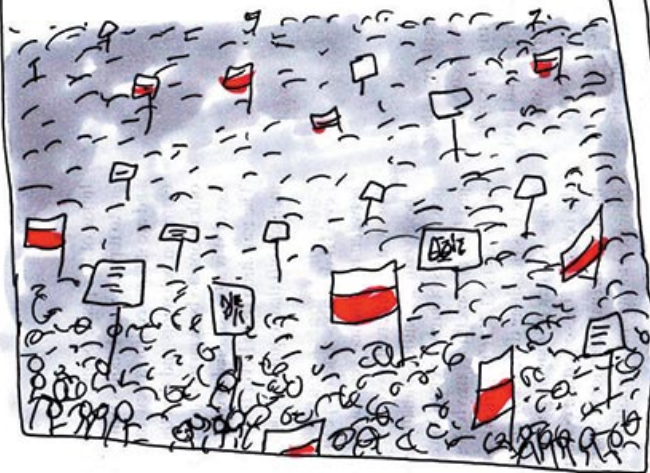
e-mail: polityka@polityka.pl

www.polityka.pl

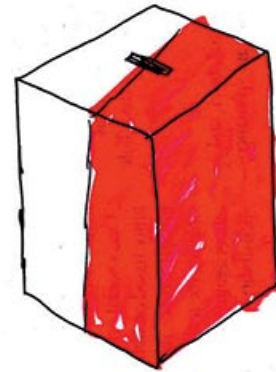
sklep.polityka.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

START



META



WSTĘP DO EPILOGU

Tak też mogłaby się nazywać ta książka: Wstęp albo Prolog do epilogu.

Ukazuje się na kilka tygodni przed wyborami parlamentarnymi, czyli finałem 8-letnich rządów Prawa i Sprawiedliwości. Bo, bez względu na wynik wyborów, obie kadencje władzy Zjednoczonej Prawicy dobiegają końca. I mało prawdopodobne, aby w tej postaci miały swój dalszy ciąg. W gruncie rzeczy, całe to ośmioletnie (które chcę tu, w dość nietypowy sposób, przypomnieć) można potraktować jako bardzo długi wstęp do epilogu, zaplanowanego na jesień 2023 roku. Oczywiście, dzień wyborów niczego nie kończy, co najwyżej symbolicznie zamyka kolejny rozdział w historii, ale też da nam tego rozdziału pointę, jego polityczną interpretację.

Pod każdym względem to był czas niezwykły, wyjątkowych doświadczeń zbiorowych i osobistych: nie tylko setek konfliktów i afer generowanych przez politykę, ale też pierwszej we współczesnej historii pandemii, kryzysu humanitarnego i migracyjnego na granicy z Białorusią, wojny w Ukrainie i wyzwania, jakim było przyjęcie w Polsce milionów uciekinierów, także ogromnej, bezprecedensowej w tym stuleciu inflacji. Wszyscy byliśmy częścią tej historii, ona też nachalnie wdzierała się w nasze życie. Pomyślałem, że byłaby szkoda zbyt szybko puścić ją w niepamięć. I po to jest ta książka, bardziej historyczny pamiętnik niż podręcznik.

Kiedy partia Jarosława Kaczyńskiego obejmowała władzę w 2015 r., mało kto przypuszczał, że będzie ją sprawować tak długo. Poprzedni rząd PiS upadł w 2007 r. ledwie po dwóch latach, rozbity skandalami i konfliktami wewnętrznymi. Podwójna wygrana PiS w 2015 r. uważana było za wyjątkowo szczęśliwy dla tej partii zbieg okoliczności, skutek „awarii” systemu politycznego. Najpierw, jak pamiętamy, urzędujący prezydent Bronisław Komorowski doznał sensacyjnej porażki z politycznym debiutantem Andrzejem Dudą; potem, już w wyborach do Sejmu, przepadło, czyli nie zamieniło się na mandaty, aż 11 proc. głosów oddanych na partie lewicowe. To „nie miało prawa się zdarzyć”. Przypominałem sobie nastrój i rozmowy podczas wielkich

antypisowskich demonstracji w latach 2015–2016; staliśmy z flagami, zabawnymi transparentami, przekonani, że ta ekipa wkrótce przewróci się „o własne sznurowadła”, a w ostateczności i tak przegra w 2019 r. Ale do władzy wrócił już inny PiS.

W kilka tygodni po powołaniu przez nową większość sejmową rządu Beaty Szydło można było się przekonać, co to znaczy. Prezydent odmówił wręczenia nominacji legalnie powołanym sędziom Trybunału Konstytucyjnego; w ciągu kilkudziesięciu godzin Sejm uchwalił, a Andrzej Duda podpisał specjalną ustawę „naprawiającą” Trybunał, potem 3 grudnia 2015 r. nocą nastąpiło zaprzysiężenie sędziów-dublerów. Wszystko dokonało się mimo wyroku samego TK, protestów polskich i europejskich konstytucjonalistów. Był to wyraźny sygnał, że rząd PiS, mający w Sejmie ledwie 5-mandatową przewagę, nie zamierza respektować krepujących „wolę polityczną” procedur, nawet zawartych w konstytucji. Marszałek-senior, poseł PiS Kornel Morawiecki, na inauguracji nowego Sejmu powiedział przy entuzjastycznym aplauzie nowej większości: „Prawo to nie świętość. Nad prawem jest dobro narodu”. Potem już niemal każdy tydzień przynosił wydarzenia nadzwyczajne, często „niemieszczące się w głowie”, które publicyści i politycy opozycji piętnowali jako jawne łamanie prawa, norm międzynarodowych, cywilizowanych obyczajów. Ale mimo oburzenia, protestów, a nawet przejściowych sojuszków całej opozycji, PiS wygrywał kolejne wybory, w tym te najważniejsze, parlamentarne w 2019 r.

Teraz mamy więc drugie podejście do epilogu. W komentarzu, który otwierał pierwszy numer „Polityki” w 2023 r., napisałem, że to będą wybory powszechne, także w tym sensie, że chodzi w nich o wszystko. „Głosując (lub nie idąc na wybory), zdecydujemy „o ustroju Polski, jej społecznym, ale i moralnym porządku, o przyszłości gospodarki, o naszej obecności w Unii Europejskiej, o prawie do niezależnego sądu, o wolności mediów, edukacji, wolnościach osobistych – cokolwiek tu dopiszemy, będzie prawdą. Trzecia kadencja PiS oznaczałaby koniec polskiego eksperymentu z demokracją”. Nadal tak jest, tyle że ten klarowny zero-jedynkowy obraz, gdzie po jednej stronie jest PiS, a po drugiej partii demokratycznej opozycji, mocno się skomplikował. Według sondaży trudno wykluczyć, że październikowa konfrontacja pozostanie nierozstrzygnięta, nie przyniesie wyraźnej, stabilnej większości, i w następnym roku będą nas czekać ponowne wybory. Jednak to nie zmienia stawki nadchodzącego głosowania, a nawet ją podnosi.

Dla mnie najistotniejsze jest pytanie, czy po wyborach zostanie przerwana ciągłość rządów PiS? Czy nominaci tej partii opuszczą, a właściwie zostaną wypchnięci – choćby

na czas do nowych wyborów – z ministerstw, urzędów, instytucji publicznych? Czy jednak utrzymają się przy władzy, obojętnie, w jakim trybie i w jakiej formie: jako rząd większościowy, mniejszościowy, prezydencki, gabinet tymczasowy czy zarząd stanu wyjątkowego? Innymi słowy: czy uda się rozerwać, naruszyć wznoszoną przez 8 lat konstrukcję pisowskiego partio-państwa? Wyjęcie z systemu PiS choćby kilku kluczowych elementów – prokuratury, telewizji, służb specjalnych, spółek Skarbu Państwa – sprawi, że układ nieodwołalnie zacznie się sypać. Jeśli to się nie stanie – będziemy mieli desperacką, bezwzględną konsolidację aparatu władzy. Więc czegoś będzie koniec: albo „kaczyzmu”, jak lud opozycyjny nazywa osobiste rządy Jarosława Kaczyńskiego, albo demokracji, albo pokoju społecznego.

Nawet zakładając, że w wyniku wyborów, „presji ulicy i zagranicy”, rozpadu Zjednoczonej Prawicy i innych sprzyjających okoliczności Kaczyński straci władzę, PiS zostanie z nami na długo. I jako mocno osadzona społecznie i świetnie zabezpieczona materialnie partia, i jako ustrojowe dziedzictwo, z którym następcy będą borykać się przez lata. Dwie kadencje samodzielnych rządów Prawa i Sprawiedliwości przeorały polską politykę, zmieniły charakter państwa, relacji i reakcji społecznych, namieszały w głowach, emocjach, instytucjach.

Nie jest tak, że od początku było jasne, jaki scenariusz polityczny ma w głowie Jarosław Kaczyński, ani jak będzie wyglądał ten polski populizm w wersji 2.0. W 2015 r. i w teorii populizmu, i w praktyce byliśmy początkujący – w każdym razie ja się do tego przyznaję. Wtedy to pojęcie rozumiane było potocznie, po prostu jako pęd do autorytarnych rządów, uzasadnianych, jak za komuny, frazesami o woli i interesie zwykłych ludzi. Tak zostały zapamiętane poprzednie rządy PiS z lat 2005–2007: pasmo awantur, nadużywania i bezprawnego rozszerzania władzy, nadętej retoryki, niekompetencji. Ale wtedy to był co najwyżej amatorski prapopulizm. Więc zanim wrócimy do dziś, jeszcze mała wycieczka w przeszłość, prequel opowiadanej tu historii.

Chciałbym przypomnieć, że „pierwszy PiS” był jeszcze partią głównego, posolidarnościowego nurtu, co więcej, był faktycznie partią liberalną. Ministrem finansów i wicepremierem w rządzie PiS, czyli wtedy osobą kierującą polityką gospodarczą, została Zyta Gilowska, nazywana nawet „polską Margaret Thatcher”, wcześniej działaczka Kongresu Liberalno-Demokratycznego i PO. To ona doprowadziła m.in. do obniżania podatków dla najzamożniejszych. Kaczyńskiego gospodarka nie interesowała, skupiał się na grach politycznych. Dla utrzymania chwiejnej większości nie zawahał się, ku oburzeniu środowiska byłych działaczy Solidarności, na koalicję

z neoendekami Ligi Polskich Rodzin Romana Giertycha i z radykalną, „ludową” Samoobroną Andrzeja Leppera. A potem zaczął swoich koalicjantów niszczyć; nazywano to pozżeraniem przystawek.

Wyborcza klęska PiS w 2007 r. interpretowana była na ogół jako koniec ambicji Kaczyńskiego i początek ostatecznej marginalizacji jego partii. „Polityka” – co zapisane jest w rocznikach gazety (także w książkach jej publicystów, zwłaszcza duetu Mariusz Janicki – Wiesław Władyka) – przestrzegająca, aby przedwcześnie nie składać tej partii do grobu. Opisywaliśmy proces przeobrażania się PiS z formacji liberalno-konserwatywnej w populistyczną, przejmowania wyborców i politycznego języka po LPR i Samoobronie. Imponował organiczny proces budowy wokół partii całego ekosystemu prawicowych organizacji i środowisk. Tę ewolucję przyspieszyła i przypieczętowała katastrofa smoleńska, a właściwie jej polityczny finał, czyli przegrana Jarosława Kaczyńskiego z Bronisławem Komorowskim w wyborach prezydenckich 2010 r. Startując jako następca, kontynuator misji tragicznie zmarłego, „poległego w służbie ojczyzny” i pochowanego na Wawelu brata bliźniaka, nie zdołał pokonać „nominata Tuska”. Zapewne to wtedy Kaczyński uznał, że aby kiedykolwiek wygrać z PO, musi zmienić reguły gry. Odsunął od siebie ekipę z czasu „łagodnej” kampanii prezydenckiej (z pamiętnym orędziem „Do przyjaciół Rosjan”), pozbył się współpracowników Lecha, zradykalizował i uprościł retorykę, dawny podział na „Polskę liberalną i solidarną” zastępując podziałem na zdrajców (już oskarżanych o zbrodnię smoleńską) i patriotów.

Mówi się, że wybór narodowo-katolickiej opcji podsuwał mu były premier Jan Olszewski, ale ja sadzę, że prawdziwą inspiracją dla Kaczyńskiego był nowy premier Węgier Viktor Orbán. Orbán sam przeszedł ewolucję od liberała do narodowego konserwatysty, a potem bezwzględnego, pozbawionego skrupułów populisty – i to dało mu przygniatające zwycięstwo wyborcze najpierw w 2010 r. (roku klęski Kaczyńskiego), a następnie we wszystkich węgierskich wyborach do dziś. Mieszanka hojnych transferów socjalnych i patriotycznych uniesień, godnościowej narracji „wiecznej ofiary” i roszczeń wobec sąsiadów, a przy tym bezwzględne łamanie niezależności sądów, mediów, brutalne zwalczanie opozycji, przywłaszczanie państwowych i unijnych funduszy – to istota orbanizmu. To Orbán był w Unii Europejskiej prekursorem „autorytaryzmu wyborczego”, sprowadzenia demokracji wyłącznie do (nierównego dla opozycji), aktu wyborczego. „Kaczyzm” jest ustrojem na licencji węgierskiej. Także po zdobyciu władzy w 2015 r. Kaczyński dokładnie realizował agendę Orbána, zaczynając od ataku na Trybunał Konstytucyjny, następnie na Sąd Najwyższy i Krajową Radę

Sądownictwa. Ale to odkrywaliśmy stopniowo. I o tym rozpoznawaniu, „uczeniu się PiS” też jest ta książka.

Właściwie dopiero teraz po 8 latach mamy już w miarę spójne i wiarygodne teorie „pisologiczne”. Jedną z najciekawszych jest przedstawiona w nowej książce prof. Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego „Społeczeństwo populistów”. Autorzy, na podstawie rozbudowanych i powtarzanych badań socjologicznych, proponują odpowiedź na najbardziej dojmujące pytanie czasów PiS: jak to możliwe, że mimo tylu skandali, afer, jawnego złodziejstwa, nieudolności władzy, buty i agresji – nie traci ona poparcia? Wytlumaczeniem jest oczywiście polaryzacja, która nie tyle rozdziwiła, co unieściła opinię publiczną, ale także zjawisko dwóch elektoratów PiS: fanatycznego, ultrakonserwatywnego, uwiedzionego retoryką obrony narodu i wiary oraz cynicznego, który popiera partię Kaczyńskiego przede wszystkim ze względu na świadczenia pieniężne. W tle mamy głęboką nieufność wobec instytucji państwa, wysoki poziom lęku przed zmianami cywilizacyjnymi, niechęć wobec obcych, antyelitaryzm, poczucie krzywdy.

Jeśli przypomnieć sobie całą historię Polski po 1989 r., te postawy, na których PiS zbudował swą siłę, były słabo widoczne w przestrzeni politycznej, traktowane jako mentalne relikty, zawstydzane, przykrywane wezwaniami do „brania spraw we własne ręce”, fascynacją Zachodem. PiS tę „westernizację” zatrzymał i zaczął odwracać, wydobył na wierzch zawartość politycznej podświadomości Polaków. W latach rządów Zjednoczonej Prawicy mogliśmy obserwować fascynujący proces formowania, wielu mówi – świadomej hodowli – elektoratu. O tym też będzie w tej książce, która powstawała równoległe z rządami PiS.

Przez 8 ostatnich lat pisałem do „Polityki” cotygodniowe (z nielicznymi przerwami) komentarze otwierające kolejne wydania gazety. Takie teksty redaktora naczelnego noszą w branży dziennikarskiej nazwę wstępniaków, co nie brzmi specjalnie pociągająco i na ogół zapowiada jakiś okolicznościowy komentarz albo omówienie wybranego tematu numeru. To był jeden z powodów, dla których przez długie lata dystansowałem się od tego, powszechnego w czasopiśmie, przywileju-obowiązku. Jednak jako gazeta musieliśmy za ową „dobrą zmianą” nadażać, opisywać ją, pokazywać jej mechanizmy, domyślać się konsekwencji. Zadania nie ułatwiała szczególnie polityka informacyjna nowej władzy, czyli praktyczne odcięcie niezależnych mediów od oficjalnych kontaktów, od dostępu do informacji publicznej, brak możliwości zadawania

pytań na konferencjach prasowych. To był jeszcze jeden powód, żeby tej władzy nie spuszczać z oka.

Zdecydowaliśmy – tyle może zrobić redakcja – rozszerzyć dział polityczny o dodatkowe strony i autorów, zlecać własne sondaże, pytać ekspertów krajowych i ze świata. Moje teksty miały być rodzajem przewodnika po polityce i „Polityce”, fotografią tygodnia, ale przede wszystkim próbą systematycznego opisu i interpretacji tego szczególnego eksperymentu, jakiemu zostaliśmy poddani. Dla mnie te zapiski stały się osobistym dziennikiem podróży przez nową rzeczywistość – Polskę-PiS w budowie. Po latach w tym „dzienniku cotygodniowym” zebrało się niemal 400 tekstów, z których można by ułożyć w sumie z pięć tomów takich jak ten: zapis faktów, zdarzeń, zdzowień, refleksji własnych i zapożyczonych, kolejnych nadziei i rozczarowań. Także ocen, wynikających ze zderzenia ideologii i praktyki nowej władzy z zasadami liberalnej demokracji, które od przełomu 1989 r. uważaliśmy za naturalne i oczywiste. Tej oczywistości trzeba było teraz bronić.

W otwierającym nowy cykl tekście „Kod PiSu” w lutym 2016 r. pisałem: „przez lata przekonywaliśmy, jak widać z umiarkowanym sukcesem, że partia nazywająca się Prawo i Sprawiedliwość to nie jest normalne ugrupowanie polityczne, nawet na tle najbardziej radykalnych i marginalnych partii europejskich. W dzisiejszych czasach trudno znaleźć formację polityczną, której lider pełniłby zarazem rolę jej właściciela, jedyne go stratega, duchowego guru, kogoś w rodzaju naczelnego kapłana, czy też hipnotyzera, zarządzającego zbiorowymi emocjami. Trudno wskazać też inną partię, której fundamentem byłyby mity, obsesje, bardzo szczególna – głęboko pesymistyczna i mroczna – wizja świata, historii, ludzkiej natury”.

Nową, stałą rubrykę poświęconą analizie pisowskiej rewolucji nazwałem najprościej, jak się dało: „Przy-PiSy”. Po roku zrezygnowałem z myślnika, eksponującego „obiekt obserwacji”; zostały „Przypisy”. Jak w słownikowej definicji: komentarze, dygresje, objaśnienia, odsyłacze do kolejnego numeru „Polityki”, ale przede wszystkim do wydarzeń tygodnia. Przez lata nie wracałem do tych tekstów, kronika stawała się częścią archiwum. Ale przed „epilogiem”, czyli rozstrzygającym o przyszłości Polski wyborem, pomyślałem, że nie będzie już lepszego momentu, aby wrócić do tych sporządzanych co weekend zapisów.

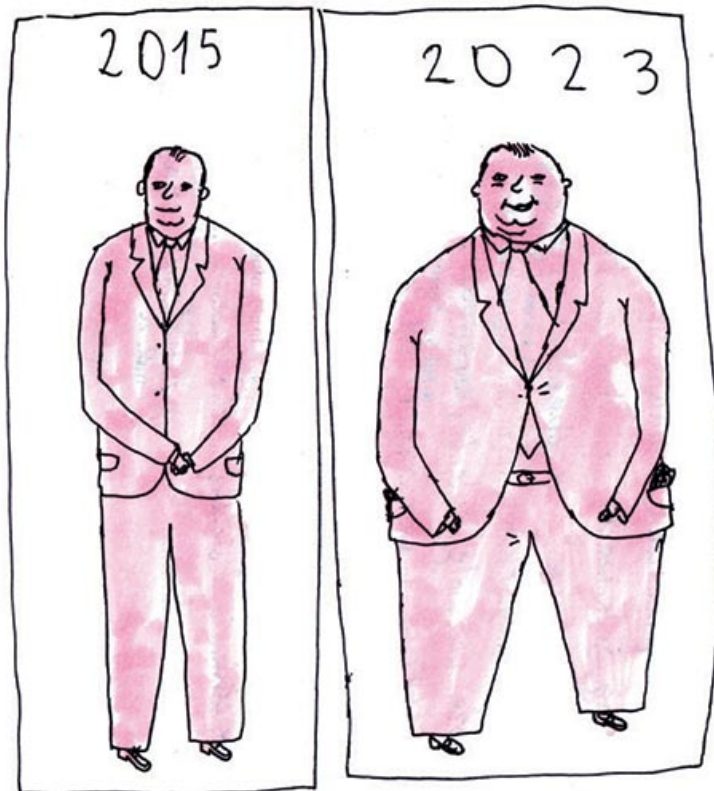
Ta książka nie jest linearną historią „8 lat życia z PiS”. Jest to, co prawda, opowieść chronologiczna, która rozpoczyna się od „politycznej katastrofy roku 2015” i wędruje aż do ostatnich tygodni przed wyborami 2023, ale została zbudowana inaczej, niż tworzy

się klasyczne podręczniki. To jest historia w zbliżeniach, obraz składany z puzzli. Każdy rok (z wyjątkiem specjalnie potraktowanego roku 2015) otwiera się krótkim przypomnieniem najważniejszych politycznych i społecznych wydarzeń, które nas wtedy rozgrzewały i pochłaniały, ale potem już proponuję skierować uwagę na kilka wybranych punktów – to są właśnie „przypisy do historii”. Sądzę, że nie ma powodu, aby już teraz detalicznie powtarzać i porządkować fakty, rekonstruować dokładne kalendarium; chciałbym odtworzyć łapanie wtedy na gorąco emocje i refleksje, smak – na ogół gorzki – tego czasu.

Teksty konkretnych „Przypisów” – po kilka na każdy rok – wybierałem nie tylko pod kątem politycznej wagi opisywanych wydarzeń, ale także spośród historii często błażych, nawet zabawnych czy kuriozalnych, jednak charakterystycznych dla opowieści o fenomenie PiS, moich z nim zmaganiach i naszego – redakcji i czytelników – z PiS sporu. Artykuły zostały przeniesione w zasadzie tak, jak je napisałem, z zachowaniem oryginalnych tytułów, ale z niezbędnymi niekiedy redaktorskimi skrótami, dotyczącymi nie zawsze dziś zrozumiałych odwołań czy kontekstów. Często „Przypisom” towarzyszyły w druku świetne, dowcipne rysunki Janka Kozy. Wiele z nich udało się pomieścić w tej książce.

Mam nadzieję, że to spotkanie z historią, a właściwie historiami, serią opowiadań z lat 2015–2023, będzie wciąż jeszcze ciekawe i może nawet poruszające. To nie były dobre lata dla Polski, ale, pocieszam się, że przynajmniej więcej dziś o sobie wiemy, lepiej rozumiemy, co i dlaczego nam się przytrafiło. Pozbyliśmy się wielu złudzeń, naiwności, mogliśmy sprawdzić solidność swoich postaw i przekonań. Po tej szkodzie, jaką polskiemu państwu wyrządziły rządy populistów, powinniśmy być – wkrótce okaże się, czy będziemy – mądrzejsi i ostrożniejsi. Zatem przeżyjmy to jeszcze raz, choćby po to, żeby już więcej tego samego nie przeżywać.

SUKCESY RZĄDÓW PIS
W LATACH:



Rozdział

I

2015: KŁĘSKA

W 2015 r. miały się odbyć podwójne wybory: prezydenckie w maju i parlamentarne jesienią. U progu sezonu wyborczego sondaże dawały przytłaczające zwycięstwo urzędującemu prezydentowi Bronisławowi Komorowskiemu; niepewny był wynik wyborów parlamentarnych – między Prawem i Sprawiedliwością a koalicją Platformy Obywatelskiej i PSL utrzymywała się chwiejna równowaga. Trzecia kadencja PO-PSL wciąż jednak zdawała się prawdopodobna. Nic nie zapowiadało nadchodzącego trzęsienia ziemi.

Patrząc na tamten czas z dzisiejszej perspektywy, trzeba jednak wprowadzić do kalendarza korektę: otóż polityczny rok 2015 zaczął się 22 września 2014 r. Tego dnia ze stanowiska ustąpił Donald Tusk, sprawujący funkcję premiera nieprzerwanie od 7 lat, najdłużej w krótkiej historii polskiej demokracji. Od 1 grudnia miał objąć prestiżowe stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej, instytucji skupiającej szefów państw członkowskich, a więc decydującej o kierunkach działania Unii Europejskiej. Tusk jako pierwszy przedstawiciel nowych krajów UE został wskazany na „prezydenta Europy”, najpierw na 2,5 roku, ale z możliwością ponownego wyboru. Niewątpliwie silnym promotorem kandydatury Tuska była kanclerz Niemiec Angela Merkel, która wcześniej wsparła także nominację innego Polaka, Jerzego Buzka, na stanowisko przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. To miały być symboliczne kadrowe pieczęcie, domykające proces rozszerzenia Unii na wschód, czego Niemcy były orędownikiem i patronem. Także gest uznania dla Polski, uważanej w Brukseli za „prymusa integracji” i nieformalnego lidera środkowej Europy. Nie wchodząc w rozważania na temat całego kontekstu wyjazdu Tuska do Brukseli – on sam zawsze bronił tej decyzji – stało się tak, że nagle i definitywnie najważniejszy polski polityk zszedł z krajowej sceny.

Donalda Tuska na stanowisku premiera zastąpiła wskazana przez niego Ewa Kopacz, była minister zdrowia i marszałek Sejmu, osoba dzielna – czego dowiodła dobrowolnie podejmując się urzędowo-medycznej misji na miejscu katastrofy smoleńskiej – politycznie już doświadczona, a przede wszystkim bardzo lojalna wobec Tuska. Ta sukcesja okazała się jednak kompletnie nietrafiona i nie chodzi tu o niedostatek energii czy cechy osobowości nowej premier, ale o niedopasowanie do momentu historycznego.

Ewa Kopacz po Tusku objęła także stanowisko przewodniczącej partii (formalnie – „pełniącej obowiązki”, co też jej nie pomagało), nie mając ku temu ani predyspozycji, ani autorytetu wśród działaczy. W kampanie wyborczej, do których PiS przygotowywał się od 5 lat, PO wchodziła z nowym, zdeorganizowanym kierownictwem, bez pomysłów programowych i sprawnego sztabu – a przede wszystkim po zniknięciu Tuska – niezdolna do obrony dorobku własnych 8-letnich rządów. Kampania PiS, przedstawiająca „Polskę Tuska” jako kraj w ruinie, praktycznie nie napotykała oporu. Platforma i jej szefostwo zapowiadali mobilizację i promocyjną kontrofensywę dopiero latem i jesienią, czyli przed wyborami do Sejmu, bo sięgające 70 proc. poparcie dla Bronisława Komorowskiego, niejako zapewniało bezkosztową i bezwysiłkową reelekcję.

Katastrofa w wyborach prezydenckich 2015 r. była szokiem dla obozu władzy i jedną z największych politycznych sensacji 25-lecia. Także dla nas w „Polityce” i dla mnie była zaskoczeniem i rozczarowaniem, tym większym, że tuż przed pierwszą turą jawnie poparliśmy urzędującego prezydenta. Przypominam fragment tamtego tekstu i ówczesną argumentację.

„Czytelników, którzy zamierzają w niedzielę głosować na Panów Andrzeja Dudę, Pawła Kukiza, Janusza Korwin-Mikkego, panią Magdalenę Ogórek czy innych kandydatów na urząd prezydenta, chciałbym ostrzec, że tekst ten będzie zawierał sugestie, na kogo głosować i dlaczego na Bronisława Komorowskiego. Zwykle przed wyborami nasza gazeta unikała konkretnych wskazań, ale te wybory są kompletnie nienormalne. Fakt, że żadna z dużych partii nie wystawiła do rywalizacji swojego lidera, ba, nawet nie osobę z drugiego rzędu, jest politycznym kuriozum. Ale jeśli dojdzie do drugiej tury, to doprowadzą do tego zbiorowo właśnie owi kandydaci killkuprocentowi. Sympatyczny Paweł Kukiz, który sam mówi, że nie startuje naprawdę do prezydentury, ale w sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych, bo – jak wierzy wbrew wszelkim politologicznym danym – JOW mogą odmienić los kraju. Janusz Korwin-Mikke, jak zawsze w swoich politycznych felietonach śmieszny i straszny. Magdalena Ogórek, która zawstydzą nawet najwierniejszy elektorat SLD i która nie ujawnia swego poparcia dla tej partii, ale za to popiera pewną firmę modową. Adam Jarubas... Przepraszam kandydatów, ale czy naprawdę można i warto sobie wyobrazić, że któraś z tych osób bierze udział w szczytach NATO, jest kompetentnym (i zrównoważonym) zwierzchnikiem sił zbrojnych, spotyka się z Obamą czy Merkel, o Putinie już nawet nie wspomnę, bo tu kabaretowy monopol ma pani Ogórek (gotowa, jak zadeklarowała, pierwsza zadzwonić do prezydenta Rosji). Czym nasz umęczony kraj zasłużył sobie na

takie wybory? Ta uwaga dotyczy także Andrzeja Dudy, który w ewentualnej drugiej turze mógłby zagrozić Komorowskiemu”.

Złośliwości wobec Andrzeja Dudy, „człowieka znikąd”, którego na początku powszechnie mylono z bardziej znanym szefem Solidarności Piotrem Dudą, było wtedy co niemiara. Sądziliśmy, że Duda, rzucony w wyborach prezydenckich na pożarcie, ma w przyszłości (gdyby PiS wygrał wybory sejmowe) kandydować na szefa rządu, jako „nowe wcielenie Kazimierza Marcinkiewicza”.

„Nic nie ujmując miłemu, jak na PiS, działaczowi średnio-młodsze pokolenia partii, jest on stuprocentowym produktem kampanijnym, dowodem na to, że – jak mawiał pewien guru marketingu politycznego – z każdego można zrobić kandydata do wszystkiego. Jeśli z pana Dudy otrzepać konfetti, pozostaje mało doświadczony, z króciutkim politycznym życiorysem, kampanijny zastępca prezesa Kaczyńskiego. Zresztą w kampanii, obiecując młodym mieszkania, emerytom wyższe emerytury, górnikom węgiel, rodzinom zasiłki itd., Andrzej Duda wyraźnie ubiega się o urząd premiera. Jedyne istotniejsze deklaracje w obszarze rzeczywistych kompetencji prezydenta to jakieś dziwaczne stwierdzenie, że nie powinniśmy płynąć w głównym nurcie europejskim oraz że w kwestiach światopoglądowych «ma takie samo zdanie jak biskupi» (co spowodowało uzasadnione pytania, czy pan Andrzej kandyduje również na urząd prymasa). Poważniej mówiąc, Andrzej Duda jest kandydatem wewnątrzpartyjnym, który w ewentualnej drugiej turze może dodatkowo zebrać głosy pozapisowskich środowisk rozczarowanych rządami PO lub w ogóle polską rzeczywistością”. („Na kogo i dlaczego” nr 19/15).

I tak się stało. W pierwszej turze Andrzej Duda wygrał z Bronisławem Komorowskim minimalnie, jednym punktem 34,7 do 33,7, a ponad 20 proc. sensacyjnie zdobył Paweł Kukiz (Korwin-Mikke 3,2 proc., Magdalena Ogórek 2,3 proc.). Nie pomogły nerwowe akcje sztabu Komorowskiego przed drugą turą, w tym kokietująca wyborców Kukiza zapowiedź rozpisania referendum w sprawie JOW (nieszczęsne, już nikomu niepotrzebne referendum odbyło się 6 września, już po zaprzysiężeniu Dudy, z frekwencją 7,8 proc.). Ostatecznie wybory prezydenckie 24 maja 2015 r. przewagą 51,5 do 48,5 wygrał Andrzej Sebastian Duda.

W „Polityce” odbyliśmy długą naradę, próbując zrozumieć, dlaczego „przegrał prezydent cieszący się przed kampanią olbrzymim społecznym zaufaniem, sprawujący swój urząd w aprobowany przez społeczeństwo sposób?”. Pierwszy wniosek był taki, że chęć ukarania Platformy okazała się silniejsza niż obawy przed radykalizmem PiS. Ale

też kampania Komorowskiego była fatalna, nie potrafiła zatrzymać pędzącego spadku notowań prezydenta. Mariusz Janicki i Wiesław Władyka zauważyli („Co zmienia Duda” nr 22/15), że to sztabowcom Dudy udało się narzucić dychotomię między stagnacją a zmianą, między sytą starością a energiczną, buntowniczą młodością. Dokonała się też rzecz niebywała: zatarcie związków kandydata z partią Jarosława Kaczyńskiego. „Fachowo, choć prosto przygotowana kampania Dudy wykorzystwała nadzwyczaj aktywnie media społecznościowe, inspirowała hejty, memy, eventy na skalę nigdy wcześniej w Polsce niespotykaną. Partia, która zawsze uchodziła w porównaniu z PO za anachroniczną, potrafiła być bardzo sprawna, nowoczesna, czujna, reagująca. Trzeba przyznać, że Kaczyński, wystawiając Dudę do wyborów, nie po raz pierwszy popisał się intuicją polityczną (według Beaty Szydło: geniuszem) wbrew wszystkim prognozom, wbrew powszechnym szyderstwom”.

Gorzkie mieliśmy refleksje na temat rządzących. Zszywam fragmenty naszych tekstów z maja 2015 r.: „Prezydent musiał zapłacić cenę za rządy PO, która zaczęła być odbierana przez młodych wyborców (a także wielu starszych, którzy wcześniej nie głosowali) jako partia konformistyczna, ospała, biurokratyczna, pozbawiona empatii, która cieszy się przede wszystkim z sukcesów III RP, a nie widzi ich ceny. I to odczucie – nawet jeśli niesprawiedliwe, gdy zbilansuje się sukcesy i niepowodzenia – było w tej kampanii obezwładniające i powszechne. Pretendent wykorzystywał bardzo świadomie pisowską opowieść o szkodliwych rządach, których symbolami stała się «praca do śmierci», taśmy podstuchowe, fatalna służba zdrowia, obciążenia VAT («na dziecinne ubranka»), cygara, «ośmiorniczki», państwo jako «kamieni kupa». Wszystko się skumulowało”.

I jeszcze jedno ważne odkrycie: „Duda zdobył polską prowincję, przede wszystkim wieś i małe miasta. Okazuje się, że pozamiejska Polska jest w stanie wygrać z metropoliami, że PiS ma do niej mentalne i emocjonalne dojście, a Platforma nie ma, i nawet się nie bardzo stara. Przegrana Komorowskiego jest smutnym zapisem marnej kondycji i mobilności PO. Mówiąc wprost – zabrakło Donalda Tuska, który zawsze potrafił wstrząsnąć swoją partią, a też dotrzeć do wyborców. Tymczasem przez wiele lat trwania w opozycji udało się Kaczyńskiemu zbudować państwo w państwie, którego jądrem jest PiS, ale ono ma już swoje struktury, kluby, stowarzyszenia, komitety, gazety, banki, ma swoją ideologię, książki, autorytety. Siły antypisowskie, liberalne, są na tym tle coraz słabsze, co może potwierdzić się w wyborach parlamentarnych”.

Tak, nieoczekiwanie przegrane wybory prezydenckie zapowiadały ciąg dalszy w październiku. Ale zostały jeszcze ponad cztery miesiące.

Tymczasem Andrzej Duda rozpoczął urzędowanie. Wciąż nie wiedzieliśmy, kim jest nowy Prezydent Rzeczypospolitej, jaki ma charakter, poglądy, jakimi ludźmi się otoczy? W tekście powyborczym („Po drugiej, przed trzecią” nr 22/15) zauważyłem, że Andrzej Duda „spektakularnie nie złożył prezesowi meldunku z wykonania zadania. Czy to coś znaczy, czy to tylko kolejna gra w chowanego przed wyborami parlamentarnymi? Prezydent wygląda na miłego i kulturalnego człowieka; będzie tym lepszym prezydentem, im bardziej oddali się od partyjnego matecznika”. Pytałem: „Oszlifuje trochę partyjny beton, czy sam zostanie oszlifowany?”. Ogólnie taki był wtedy klimat po przegranej stronie, że „demokracja przemówiła”, trzeba się pogodzić z werdyktem i wyciągnąć wnioski.

Napisałem w redakcyjnym komentarzu: „Aby poprzeć kandydata PiS w wyborach, musielibyśmy najpierw zjeść tony papieru, na których od lat drukowaliśmy polityczne analizy i ostrzeżenia przed powrotem do władzy PiS – naszym zdaniem formacji niebezpiecznej dla polskiej demokracji, gospodarki, stosunków z sąsiadami i między nami samymi. Nie życzyliśmy panu Andrzejowi Dudzie zwycięstwa, ale nawet nie przychodzi nam do głowy, aby kontestować wynik wyborów, tak jak to kiedyś robili dzisiejsi wygrani. Gratulujemy prezydentowi elektowi i bierzemy za dobrą monetę deklarację z wieczoru wyborczego, że nie zamierza być prezydentem tylko swojej partii”.

Wmawiałem rządzącej ekipie (przypominam: wciąż rządziła koalicja PO-PSL) – pewnie w trybie „gadał dziad do obrazu” – że przegrane wybory da się obrócić na plus, potraktować jako lekcję, sygnał do mobilizacji, bo przecież jeśli Duda mógł wygrać z urzędującym prezydentem dzięki sprawnej kampanii, to przed wyborami parlamentarnymi po prostu trzeba zrobić to samo – sprawną kampanię. Komorowskiemu zabrakło do zwycięstwa ze 200–300 tys. głosów. Do odwrócenia, pod warunkiem wszakże, że antypisowski elektorat nie podda się smucie i zwątpieniu, nie ulegnie fatalizmowi, że pójdzie i zagłosuje. Ale na co? No, na przykład, na „kohabitację”. Taki miałem wtedy pomysł na leczenie powyborczego kaca: Duda wygrał, więc tym bardziej trzeba mu zbudować przeciwwagę. W wydaniu na zaprzysiężenie Andrzeja Dudy (nr 33/15) sięgnąłem po słynny tytuł z „Gazety Wyborczej” z 1989 r. „Wasz prezydent, nasz premier”, dodając rok 2015. Oto skrót, ilustracja ówczesnych nastrojów i złudzeń.

„Za główną wadę polskiej konstytucji na ogół uznaje się dwupodział władzy wykonawczej – między szefa rządu i głowę państwa. To, jak pamiętamy (Lech Wałęsa, Lech Kaczyński), może prowadzić do gorszących sporów kompetencyjnych. Ale jeśli mamy dążyć do wygaszania naszej domowej wojny plemion, nagle konstytucja ujawnia nieoczekiwaną zaletę: pozwala na swoisty pakt o nieagresji. Głosy wyborców rozłożyły się niemal pół na pół między nie-Platformą i nie-PiS. Wiemy już, że żadna Polska drugiej nie zdominuje ani nie wyrzuci z kraju. Duda jest wiarygodny, wręcz ubóstwiany obecnie w swoim obozie, a jednocześnie budzi ciekawość, nawet rodzaj sympatii i nieśmiałej nadziei po drugiej stronie frontu. Nie powinien więc palić mostów. I jeszcze jedna przestroga: nawet gdyby PiS z koalicjantem lub samodzielnie, dzięki rozczarowaniu rządami PO, zdobył większość konstytucyjną w parlamencie, to nie oznacza, że w dzisiejszej Polsce, z silną i liberalnie nastawioną klasą średnią, można bez ciężkiego i nieprzewidywalnego w skutkach konfliktu wprowadzić jakąś ustrojową socjalistyczno-narodowo-katolicką fantasmagorię. Ale co do korekt można się dogadać”.

Zwracam uwagę, że dopuszczaliśmy wtedy nawet wariant większości konstytucyjnej dla PiS i stąd ten apel do prezydenta, aby równoważył, hamował żądzę władzy i odwetu w swoim obozie. „PiS ma w Polsce i poza nią ogromny problem reputacyjny, marny wizerunek i wiarygodność, uchodzi za ugrupowanie radykalne, populistyczne, antyeuropejskie, nacjonalistyczne. Rynki finansowe, inwestycyjne, medialne, polityczne bardzo takich partnerów nie lubią i degradują do pozycji troublemakera, co jest w różnym sensie kosztowne”. I na koniec wywodu jeszcze sporządziłem coś w rodzaju apelu adresowanego w stronę wyborców nie-PiS, że „kohabitacja” jest stawką, o którą warto powalczyć w nadchodzących, już parlamentarnych, wyborach.

„PiS w urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej dostaje, już dostało, ten kawałek władzy, na którym powinno mu najbardziej zależeć. To władza symboliczna, godnościowa – nad dystrybucją honorów, orderów, szacunku, nad polityką historyczną, pomnikami walki i męczeństwa, z kompetencjami w dziedzinie armii, obrony, polityki zagranicznej i geopolityki, kontynuacja misji Lecha Kaczyńskiego. Ale lepiej, żeby sprawami przyziemnymi zajmowała się ekipa może mniej ambitna, bardziej trzymająca się ziemi, mniej skrępowana przedwyborczymi obietnicami. Czyż nie byłoby to dobre i pasujące jakoś obu stronom rozwiązanie: baza dla nie-PiS, nadbudowa dla nie-PO? Będzie jak będzie. Ale ponieważ piszę to wszystko w charakterze okolicznościowych życzeń dla nowego prezydenta, więc życzę mu szczerze, aby PiS nie wygrało wyborów

parlamentarnych. Po dekadzie wyniszczającego Polskę konfliktu politycznego po raz pierwszy jest szansa na rozsądny podział władzy. Amen”. Taki się wtedy na serio, choć tylko przez chwilę, rysował wariant historii alternatywnej.

Z iluzją współzrządzenia, jako najlepszego rozwiązania dla Polski, publicznie pożegnałem się po wyborach parlamentarnych („Nadzieja bez wiary” nr 44/15): „Po zdecydowanej wygranej PiS rozpadają się także wszelkie nadzieje związane z autonomią Dudy i młodszego pokolenia PiS. Prezydent przestaje mieć polityczne znaczenie”.

Nie sprawdzimy już, czy Duda byłby inny, gdyby wynik wyborów parlamentarnych był inny; jak funkcjonowałby prezydent, mając naprzeciwko niepisowski rząd. Być może taki eksperyment odbędziemy po wyborach 2023 r., ale chyba nikt już nie ma złudzeń co do Andrzeja Dudy jako potencjalnego „prezydenta wszystkich Polaków”, samodzielnego bytu politycznego.

Jednak w maju 2015 r. nic jeszcze nie było przesądzone: 8 mln wyborców Komorowskiego nie zniknęło, a kampania wyborcza dopiero ruszyła. Tyle że już po paru tygodniach było widać, że ma ona zupełnie inną temperaturę i inne środki wyrazu niż wszystkie poprzednie. Tak to opisywaliśmy w tekście „Polska dla wkurzonych” (współautorem był Mariusz Janicki, nr 25/15):

„Zwycięzcy wyborów prezydenckich Andrzej Duda i Paweł Kukiz wyznaczyli nowy typ tzw. politycznej narracji: ma być wzruszająco, współczująco, ale też twardo, z uniesieniem, oburzeniem, żarem. Przed wszystkim zaś nie wolno nudzić szczegółami, faktami, wątpliwościami, trzeba pokazać, że się jest «blisko ludzi», podziela ich wkurzenie. Po zaskakującej przegranej Bronisława Komorowskiego, w mediach, w internecie, w rozmowach prywatnych do dobrego tonu należy przywalanie władzy. Dominuje atmosfera powszechnego gniewu, gorączki, radykalnych, bezlitosnych, szyderczych ocen. Każdy jednostkowy, lokalny, indywidualny przypadek głupoty, zaniedbania, pomyłki, nieudolności jest podnoszony jako dowód na zanik państwa, demokracji, wymiaru sprawiedliwości, przykład degeneracji klasy politycznej, partii i elit. Media, naturalnie krytyczne wobec władzy, czują interes w przyczernianiu, skandalizowaniu, a jeśli chodzi o tzw. media prawicowe – w niepohamowanym szczuciu, pogardzie, słownej agresji. Zapanowała swoista, w jakiejś mierze sterowana moda na wkurzenie, przy której jest coraz mniej miejsca dla niewkurzonych”.

I dalej: „To, co wcześniej wydawało się symptomem cywilizacyjnego awansu kraju – infrastruktura, drogi, cyfryzacja, nowe opery i domy kultury, stadiony i orliki,

odświeżenie wizerunku miast, inwestycje gmin – nagle zyskało przeciwny znak. Wszystko jest nie takie – spartaczone, rozkradzione, a przy okazji ośmieszona. Autostrady niedokończone, stadiony puste, opery kosztowne, wzrost PKB za mały, szkoły wyższe nędzne, media «polskie, ale niemieckie». Bez końca. Okazało się, że wieloletnia organiczna pisowska praca u podstaw przynosi wreszcie obfite plony. PiS udało się masowo zaszczepić w obywatelach swoją firmową cechę: poczucie krzywdy, oszukania, niesprawiedliwości. W tym sezonie każdy może i powinien się czuć skrzywdzony, źle potraktowany – przez banki, urzędy, sądy, szkoły, ZUS itd. Nawet jeśli sobie dotąd tego nie uświadamiał, nagle dostrzega beznadziejność państwa, które raptem cztery miesiące temu – jeśli wierzyć sondażom – wyglądało całkiem nieźle. Z przestrzeni publicznej i medialnej zniknęli ludzie zadowoleni, odnoszący sukcesy, dumni z «fajnego kraju», kpiący z pisowskiej frustracji, mściwości, martyrologii. Platforma nie ma dużego pola manewru. Sama Ewa Kopacz też próbuje nie ukrywać oburzenia, choćby na własną partię”.

To ostatnie zdanie było aluzją m.in. do przeprowadzonej przez Ewę Kopacz szerokiej i raczej panicznej rekonstrukcji rządu. Kiedy ujawniona została część akt afery podsłuchowej u Sowy i Przyjaciół z 2014 r., premier, pod naciskiem opozycji, zdymisjonowała aż ośmiu członków rządu, a marszałek Sejmu Radosław Sikorski, także występujący w aktach, wkrótce sam podał się do dymisji.

Twardych, społecznych, przyczyn coraz bardziej prawdopodobnej porażki PO szukaliśmy w serii eksperckich raportów „Polska przed wyborem”. Ten swoisty audyt państwa podsumowałem – dosłownie na kilka dni przed głosowaniem – w artykule „Prognoza ostrzegawcza” (nr 43/15). Warto jeszcze do tych raportów, choćby na moment, wrócić, bo rozrachunek z „rządami Tuska” nigdy później nie został uczciwie przeprowadzony.

Jaki jest stan Rzeczypospolitej AD 2015? Najpierw oczywiste plusy. „Jeśli przyłożyć miary powszechnie stosowane dla międzynarodowych porównań, lokujemy się w końcu trzeciej dziesiątki najlepiej rozwiniętych krajów świata. Jeśli jednak porównywać postęp na tle innych państw, awansujemy do wąskiej grupy światowych liderów. W latach rządów PO-PSL byliśmy najszybciej rosnącą gospodarką w gronie 34 krajów OECD, organizacji skupiającej najbogatsze kraje. W ciągu 7 lat nasz PKB wzrósł o 45 proc. Co więcej, zagraniczni analitycy są zgodni, że mamy dziś najlepiej zrównoważoną gospodarkę Europy. Wszystko, co ma rosnąć, rośnie, co ma spadać, spada. Nadwyżka w handlu zagranicznym jest dziś najwyższa w historii Polski, a bezrobocie po raz

pierwszy od dawna spadło do tzw. poziomu jednocyfrowego. Rośnie długość życia, zmniejsza się poziom nierówności: średnie dochody w gospodarstwach rolniczych są wyższe niż w pracowniczych. Na inwestycje modernizacyjne dostaliśmy z Unii rekordowe 270 mld zł”.

Więc drugie pytanie: co poszło nie tak? Tu nasi autorzy zgodnie przywoływali (dziś już kompletnie zapomniany) wielki kryzys 2008 r., kiedy to wstrząs systemu bankowego w USA spowodował najgłębszą od czasu drugiej wojny globalną recesję. „Polska dzięki odporności sektora bankowego oraz ostrożnej polityce zadłużania kraju pozostała w Europie «zieloną wyspą», czyli uniknęła zapaści. Ale cenę zapłaciliśmy. Polskie firmy wobec załamania koniunktury musiały szukać oszczędności, więc obniżały płace i zatrudnienie. Wzrosło bezrobocie, liczba tzw. śmieciowych umów, zamrożone zostały płace w budżetówce (w krajach nadbałtyckich wynagrodzenia ścięto nawet o jedną trzecią). Po wygranych w 2011 r. wyborach rząd popełnił polityczny, a może bardziej emocjonalny błąd. Chcąc pozostać europejskim prymusem, przyciągającym inwestorów i kapitał z całego świata, jeszcze bardziej odciąć się od skompromitowanego nieodpowiedzialną polityką europejskiego południa (Grecja, Włochy, Hiszpania), Polska wprowadziła politykę finansowej surowości, austerity. Uchwalono dyscyplinującą budżet regułę wydatkową; żeby ograniczyć dopłaty do ZUS, państwo przejęło część środków z OFE; utrzymano zamrożenie płac; zapowiedziano stopniowe podwyższenie wieku emerytalnego. Na początku 2015 r. przyszedł wreszcie sukces: nasz deficyt budżetowy spadł z 8 do wzorcowych 3 proc. PKB, a Unia zdjęła z Polski procedurę nadmiernego deficytu. Rząd mógł wreszcie poluzować wydatki, ale to już nie był ten rząd.

Platformę dobiła programowa wolta pisowskiej opozycji. Zamiast tradycyjnie trzymać się swoich obsesji (ubecki układ, zdrada, zbrodnia smoleńska), PiS zapowiedział całkowity odwrót od polityki poprzedników, czyli rezygnację z wyrzeczeń oraz powszechne rozdawanie pieniędzy. Zapewne rząd PO-PSL mógł sam wcześniej poluzować politykę fiskalną i przed wyborami przejąć inicjatywę, ale chaos personalny związany z tzw. aferą taśmową i odejściem Tuska do Unii naruszyły polityczną ciągłość tej ekipy. Paradoksalnie, największy sukces rządu Tuska i ministra finansów Jacka Rostowskiego, czyli inteligentne przeprowadzenie Polski przez wielki światowy kryzys, stał się zarzewiem porażki”.

I jeszcze jedna uwaga, pośrednio na temat owej Platformianej ideologii „ciepłej wody”. „Tusk nie był reformatorem, na takiej reputacji w ogóle mu nie zależało, raczej

pozwalał swoim ministrom, jeśli już koniecznie chcieli, wprowadzać jakieś niezbyt ryzykowne politycznie nowinki i udoskonalenia. Brak racjonalnej, merytorycznej opozycji był zabójczy dla formacji Tuska. Po pierwsze, dawał jej nadmierny komfort („bo lepsza marna PO niż szaleńcy z PiS”), ale też paraliżował strachem. Totalna krytyka wszelkich bez wyjątku decyzji rządzących, odbieranie przedstawicielom władzy (prezydentowi, premierowi, marszałkowi) politycznego i moralnego prawa do sprawowania funkcji nie zostawiała ani centymetra pola na jakikolwiek kompromis, czyli uprawianie polityki”. To samo pisałem o PiS: „Zasada Beaty Szydło «każdemu damy, nikomu nie odbierzemy» była i jest politycznie obojętnia, bo nie nadaje się do rzeczowej polemiki ani do rywalizacji. Właściwie żaden z wielkich problemów, przed jakimi stoimy i o których mówili nasze raporty, nie został poważnie potraktowany. Co najwyżej – od górnictwa po emerytury – otrzymywaliśmy jakieś «bajki z mchu i paproci». Nasz organizm państwowy jest zarażony populizmem”.

Choroba, którą wtedy diagnozowaliśmy, okazała się, jak wiemy, przewlekła i postępująca.

Wszystkie sondaże pokazywały, że decydującym ciosem, który zdruzgotał kampanię Platformy, była zapowiedź wprowadzenia przez PiS 500-złotowego zasiłku na każde drugie i następne dziecko (pomysł zgłaszany był przez lewicę już wiele lat wcześniej) oraz obietnica natychmiastowego po wyborach cofnięcia reformy emerytalnej, która w ciągu dekady miała stopniowo przedłużać wiek zakończenia pracy. W odpowiedzi rząd Ewy Kopacz zaproponował własny schemat podnoszenia płac i świadczeń, ale zbyt skomplikowany i spóźniony wobec prostoty komunikacyjnej 500 plus. Komentarz ministra Rostowskiego, że na 500 plus „pieniędzy nie ma i nie będzie”, stał się potem jednym z najczęściej używanych przez piarowców PiS cytatem memem, dowodem na „antyspołeczną” postawę rządu PO-PSL. Już w kampanii prezydenckiej Andrzej Duda podważał i ośmieszał oszczędnościową politykę rządu Tuska („Nie wierzcie, że pieniędzy nie ma”), co przed wyborami do Sejmu Beata Szydło podbijała jeszcze hasłem „Wystarczy nie kraść!”.

W końcowej fazie kampanii 2015 r. PiS sięgnął po jeszcze jedną broń, wtedy o niewiadomej skuteczności. Chodziło o uchodźców. Krótko przypomnę: wiosną tamtego roku, wskutek gwałtownego zaostrzenia się wojen domowych w Syrii i Libii, ruszyły do Europy – zarówno szlakiem lądowym przez Turcję, Grecję, Bałkany, jak i przez Morze Śródziemne do Włoch – tłumy uchodźców. Początkowo, zgodnie z prawem unijnym, pierwsze kraje, w których postawili stopę, rozpoczęły przyjmowanie wniosków

azyłowych. Informacje o rzekomym otwarciu się Europy na wojennych uchodźców spowodowały lawinowy wzrost migracji z kolejnych krajów Bliskiego Wschodu i z Afryki, w tym coraz częściej organizowanej przez lokalne mafie. Na morzu tonęły zatłoczone kutry i pontony, wypełniały się obozy dla uchodźców, a następne dziesiątki i setki tysięcy ludzi podejmowały próby przedostania się do Europy. Aby pomóc krajom unijnego południa, kanclerz Niemiec Angela Merkel oświadczyła, że Niemcy, będą przyjmować wnioski azylowe, z pominięciem „prawa pierwszego kraju”. Ta deklaracja natychmiast pchnęła migrantów na szlak bałkański. Dopiero uzgodnienia unijno-tureckie pozwoliły (za pieniądze) przyhamować tę wędrówkę ludów, ale i tak w roku 2015 złożono w krajach Unii 1,2 mln wniosków azylowych.

Bruksela pod naciskiem krajów przyjmujących azylantów zaproponowała relokację ok. 100 tys. osób do nieobciążonych jeszcze migracją krajów Unii. Mówiło się o kilku tysiącach, które ewentualnie miałyby trafić do Polski. Zapewne nie stanowiłoby to problemu ani w sensie organizacyjnym, ani politycznym, bo Polacy byli poruszeni tragedią tonących w morzu, zdesperowanych ludzi, a wcześniej bez protestów przyjęli choćby kilkadziesiąt tysięcy uchodźców wojennych z Czeczenii. Ale Jarosław Kaczyński znów wykazał się intuicją: PiS rozpoczął w swoich mediach kampanię strachu. Mówiono o muzułmańskich hordach, 100 tys. „nachodźców”, których rząd Kopacz chce ściągnąć do Polski, propaganda antyrządowa stawiała znak równości między migrantami i terrorystami. Kulminacją tego przekazu było pamiętne wystąpienie samego Kaczyńskiego, który na wiecu (tuż przed wyborami) ostrzegał – używając jawnie faszystowskiego języka – o przenoszonych przez uchodźców „pasożytach i pierwotniakach”. Zadziałało.

Wyniki wyborów 25 października 2015 r. były katastrofalne dla dotychczasowego obozu władzy. PiS zdobył 37,5 proc. głosów, PO tylko 24 proc., Kukiz'15 prawie 9 proc., Nowoczesna Ryszarda Petru 7,5, PSL – 5,1. Ale najważniejszym zdarzeniem była klęska Koalicyjnego Komitetu Wyborczego Zjednoczona Lewica, zrzeszającego SLD, Twój Ruch Janusza Palikota i kilka pomniejszych organizacji. Otrzymane 7,5 proc. głosów nie wystarczyło do przekroczenia 8-procentowego progu ustanowionego w ordynacji wyborczej dla koalicji. A jeśli doliczyć także 3 proc. zdobyte przez nową partię Razem, „zmarnowało się”, to jest nie dało żadnego mandatu, niemal 11 proc. głosów. Dzięki czemu PiS otrzymał premię od systemu D'Hondta: 37,5 proc. zamieniło się na 235 miejsc poselskich, czyli samodzielłą większość. Wkrótce mieliśmy się przekonać, że partia

Kaczyńskiego potraktuje ten prezent od lewicy jako „wyrok demokracji”, dający PiS 100 proc. władzy.

Komentarz, podsumowujący na gorąco pierwsze od dekady zwycięstwo wyborcze PiS (nikt nie przypuszczał, że to początek wieloletniej serii), był gorzki, ale jeszcze nie odbierający nadziei na pokampanijne uspokojenie polityki. Oto nieco dłuższy cytat.

„Na okładce wyborczego numeru «Polityki» zadaliśmy, jedyne istotne w tych wyborach pytanie: czy chcesz, żeby Jarosław Kaczyński przejął pełnię władzy w Polsce? Tak–nie. Polacy odpowiedzieli: tak. Skala zwycięstwa PiS nie ma precedensu w naszej 25-letniej demokracji: samodzielna większość parlamentarna, większość w Senacie, do tego własny prezydent. Jarosław Kaczyński, główny autor tego sukcesu, staje się faktycznym Naczelnikiem Państwa, ma wszystkie instrumenty polityczne, aby narzucić państwu swoją wolę. Gratulujemy, ale się nie cieszymy.

W obozie zwycięzców, po 7 latach chudych i smętnych, zapanował zrozumiały entuzjazm, choć triumf ma swoje limity: większość sejmowa jest nieznaczna, ugrupowania nie-PiS zebrały ponad 60 proc. oddanych głosów, co oznacza, że na PiS oddało głos ledwie 20 proc. ogółu wyborców (czyli 80 proc. nie oddało). Nie chodzi o arytmetyczne triki, którymi można osłabiać wymowę każdego demokratycznego wyboru, lecz o pewne powściągnięcie euforycznego poczucia, że oto Naród powierzył swój los w ręce najgodniejszych. PiS ma skłonność mistycznego traktowania swojej misji, a zdarzyło się tyle, że wolą nieco ponad 1/3 głosujących partia otrzymała na 4 lata mandat zarządzania państwem. I będzie ponosić pełną odpowiedzialność, nie tyle wobec Boga i Historii, ile wobec wszystkich mieszkańców «tego kraju», także tej większości, która PiS nie poparła.

Nowym władzom należy się pewien kredyt nadziei i my go nie odmawiamy, ale jest to nadzieja bez wiary. Powtarzam: niewiele potrafimy powiedzieć o tym, jak naprawdę będą wyglądały rządy PiS, bo jeśli taki plan jest, to tylko w głowie prezesa. Wiemy jedynie, jak wyglądało poprzednie (w latach 2005–2007) wcielenie IV RP, słyszeliśmy, co liderzy tej partii zapowiadali w ostatnich latach i co obiecywali w kampanii. Był nawet jakiś projekt konstytucji PiS, demontujący wszelkie bezpieczniki chroniące obywateli przed samowolą władzy – niezależne sądownictwo i prokuraturę, niezależność Banku Centralnego, mediów publicznych i prywatnych, neutralność religijną państwa, ochronę praw mniejszości itd., ale przecież Beata Szydło mówiła, że teraz «trzeba się zająć sprawami Polaków», a nie partyjnymi dokumentami. Panikarze mają uroczyste słowo samego prezesa, że odwetu ma nie być, tylko sprawiedliwe rozliczenia, a opozycja

dostanie «pakiet demokratyczny». Teraz, po wyborczym zwycięstwie, dominuje narracja, że PiS zapewne się zmieniło, że nie powtórzy ekscesów pierwszej IV RP, że będzie respektować podstawowe reguły obecnej konstytucji, że nie będzie tragicomicznej powtórki z PRL. Oby. Jako ludzie małej wiary, nad czym pewnie trzeba ubolewać, będziemy się jednak przyglądać, czepiać, krytykować, jak będzie za co – pochwalimy. Dziś mamy mnóstwo obaw, że to mogą być mroczne, złe, stracone lata”.

Polityczny rok 2015 żegnaliśmy w podłych nastrojach: niepewności, frustracji, zaskoczenia i zażenowania. Na koniec powyborczego tekstu dodałem deklarację, która w jakimś sensie jest też początkiem tej opowieści, rozciągającej się w cotygodniowych „Przypisach” między 2016 a 2023 r.:

„Tym, którzy razem z nami mają poczucie, że ich wizja Polski jako kraju europejskiego, otwartego, liberalnego, nowoczesnego, solidarnego ucierpiała, że pod adresem państwa, z którym się utożsamiamy i z którego przy wszystkich niedostatkach jesteśmy dumni, padło wiele słów niesprawiedliwych, pogardliwych, głupich, oszukańczych – chcemy powiedzieć, że zostały przegrane tylko wybory. Polacy dostaną, co większość wybrała, choć nie wiadomo, czy tego na pewno chcieli. Polityczną grę raz się przegrywa, raz wygrywa. Będziemy próbowali opisać i zrozumieć tę nową rzeczywistość polityczną. Będziemy pilnować przede wszystkim reguł gry, żeby Polska wciąż była demokratycznym państwem prawa. Nie tylko Prawa i Sprawiedliwości”.



NIE WIEM, CZY TO BYŁ
DOBRY WYBÓR

MOŻNA WYMIENIĆ.
WZIĘŁAM PARAGON

Rozdział

II

2016: PIERWSZE STARCIA

Pierwszy pełny rok rządów nowej większości sejmowej rozwiął iluzje, ale i nadzieje, jakie zwykle towarzyszą zmianie władzy. Tych nadziei było sporo, mimo złej pamięci o poprzednich, sprzed dekady, rządach Prawa i Sprawiedliwości. Jednak zmęczenie rządami PO-PSL było ogromne, a ekipę Ewy Kopacz nawet przeciwnicy PiS żegnali bez żalu. Zapowiedzi okazałych transferów socjalnych, podwyżki płac minimalnych, odwrócenia – źle wytłumaczonej i źle przyjętej – reformy emerytalnej PO, równie źle wprowadzanej „reformy sześciolatków”, także wyrugowania tzw. umów śmieciowych miały naprawdę szerokie społeczne poparcie, od lewicy do prawicy.

Po październikowej przegranej politycy PO i PSL z trudem dostosowywali się do nowego statusu, pozbawieni dostępu do urzędów, doradców, technicznej obsługi, rugowani z posad. Nawet dyskusje o przyczynach porażki były anemiczne. Ewa Kopacz spektakularnie przegrała wybory na szefa Klubu Parlamentarnego PO. Wkrótce, w styczniu 2016 r., na stanowisku przewodniczącego partii zastąpił ją Grzegorz Schetyna, wcześniej, po tzw. aferze hazardowej, usunięty przez Donalda Tuska z kierownictwa PO i zepchnięty do sejmowej „pieczary”, jak nazywano ulokowany w podziemiu marny gabinet byłego ministra, wicepremiera, marszałka Sejmu, p.o. prezydenta Rzeczypospolitej – bo wszystkie te funkcje Schetyna już sprawował.

Partię i jej sfrustrowanych zwolenników obudził dopiero kryzys wokół Trybunału Konstytucyjnego, pierwszy front starcia nowej władzy z nową opozycją. Ten kryzys zdominował politycznie cały 2016 r., stopniowo też odłaniał cele, metody i styl sprawowania rządów przez Zjednoczoną Prawicę, jak nazwał się klub poselski skupiony wokół PiS i Jarosława Kaczyńskiego.

Na początku niewiele zapowiadało, że ten kryzys będzie się ciągnął przez następnych 8 lat i stanie się bodaj głównym symbolem nadużywania władzy i naruszania zasad demokracji przez PiS.

Do połowy listopada 2015 r. można było odnieść wrażenie, że PiS jedynie reaguje na prowokację, jakiej dopuściła się poprzednia większość parlamentarna. Już po przegranych wyborach prezydenckich, a przed objęciem urzędu przez Andrzeja Dudę, w czerwcu 2015 r. koalicja PO-PSL przyjęła ustawę dającą jej prawo powołania pięciu

nowych sędziów TK na miejsce tych, którzy kończyli kadencję do końca roku – w tym dwojga sędziów, których mógłby już wybrać nowy Sejm, niejako „na zapas”.

Sam Trybunał Konstytucyjny, od 2010 r. kierowany przez sędziego Andrzeja Rzeplińskiego, odpowiadając na złożoną przez posłów PiS skargę, uznał tę część ustawy za niezgodną z konstytucją, co znaczyło, że trzech nowych sędziów wybrano prawidłowo, a dwóch nie, więc teraz powinna ich wyznaczyć nowa większość. To mógł być i powinien być koniec sprawy. Ale PiS – dla wielu obserwatorów niespodziewanie – postanowił przelicytować. Duda odmówił odebrania przyrzeczenia od trójki legalnie powołanych sędziów. Następnie w ciągu kilkudziesięciu godzin 19 listopada 2015 r. Sejm, Senat i prezydent przyjęli „naprawczą” nowelizację ustawy o TK, która pozwalała na ponowny wybór pięciu sędziów i wygaszała kadencję prezesa Rzeplińskiego. 2 grudnia większością głosów PiS powołano tych pięciu nowych sędziów (m.in. Julię Przyłębską), w tym, oczywiście, trojkę „dublerów” na już prawidłowo obsadzone stanowiska.

To był początek. Dalej mieliśmy całą kaskadę zdarzeń prawnych i pozaprawnych, z apogeum w marcu 2016 r. (patrz „Zamach marcowy” s. 40). Najpierw Trybunał Konstytucyjny – przy poparciu tzw. Komisji Weneckiej (organu Rady Europy ds. prawa konstytucyjnego) oraz najważniejszych gremiów prawniczych w Polsce – uchylił pisowską „ustawę naprawczą”. Potem zdarzyła się rzecz bez precedensu: rząd Beaty Szydło odmówił opublikowania wyroku Trybunału (co zawsze było jedynie czynnością techniczną). Następnie uchwalono nowe ustawy naprawcze, w sumie sześć, narzucające TK rozmaite zakazy, regulacje, procedury. Te ustawy były zaskarżane przez opozycję do TK, Trybunał na ogół orzekał ich niekonstytucyjność, a rząd odmawiał publikacji kilkunastu kolejnych wyroków. Działania przeciw prezesowi TK i niepisowskim sędziom podejmowała prokuratura, kierowana już przez Zbigniewa Ziobrę, obsadzonego w dwóch rolach: ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Nowi sędziowie bojkotowali posiedzenia Trybunału, w końcu w nielegalnej procedurze wybrano nową prezes – Julię Przyłębską.

TK, jeden z najważniejszych organów państwa, instytucja powołana po to, by ograniczać pokusy każdej władzy do rozszerzania swoich uprawnień, stopniowo stawał się niesprawny, bezzębny, skłócony wewnątrz, wreszcie przekształcił się w kuriozalny pseudosąd, podporządkowany wprost dyrektywom politycznym – w „Trybunał Julii Przyłębskiej”.

Przez cały rok 2016 relacjonowaliśmy i tłumaczyliśmy kolejne odsłony tego konfliktu, który prowadził do czegoś, co będzie już trwałą cechą systemu PiS, czyli dualizmu prawnego. Pojawili się „neosedziowie”, powoływani przez „upolitycznioną”, składającą się z nominatów partyjnych Krajową Radę Sądownictwa; „niewyroki”, czyli orzeczenia nieuznawane przez władze i jej ludzi; sprzeczne interpretacje istniejącego prawa, nowe ustawy pisane z naruszeniem reguł praworządności i rzetelnej legislacji. Niekończąca się, dramatyczna historia. Ale kryzys wokół TK był też początkiem oporu społecznego przeciw jawnym ustrojowym uzurpacjom nowej władzy. Wiosną 2016 r. narodził się Komitet Obrony Demokracji, który już w maju 2016 r. wyprowadził na ulice Warszawy największą do tego czasu, 200-tysieczną manifestację.

To był w ogóle rok spektakularnych demonstracji. 3 października mieliśmy Czarny Protest – ogólnopolski strajk kobiet, sprzeciwiających się próbie zaostżenia prawa aborcyjnego. W 14 miejscowościach zebrało się na marszach i pikietach jednorazowo ponad 100 tys. osób. Kilka dni później w centrum Warszawy odbył się protest kilku tysięcy artystów, uczestników niezależnego Kongresu Kultury Polskiej, oburzonych postępującą ideologizacją państwowej polityki kulturalnej. Przeciwno reformie – „deformie” edukacji, przewidującej m.in. likwidację gimnazjów, protestowali nauczyciele, samorządowcy, rodzice – 19 listopada w pochodzie przed Ministerstwem Edukacji wzięło udział ponad 50 tys. osób.

Ale najbardziej dramatyczny przebieg miały „wypadki grudniowe”. 16 grudnia marszałek Sejmu Marek Kuchciński wykluczył z obrad posła Michała Szczerbę, przemawiającego w obronie wolnych mediów, którym władza postanowiła utrudnić dostęp do posłów. Opozycja parlamentarna, domagając się zniesienia kary dla Szczerby, najpierw zablokowała mównicę, a później salę plenarną. PiS w odpowiedzi zebrał się w Sali Kolumnowej Sejmu i tam, uniemożliwiając wejście posłom opozycji, uchwalił budżet na rok 2017.

Pod Sejmem natychmiast zbrali się demonstranci. Tłum nie pozwalał opuścić gmachu posłom PiS, w tym samemu Jarosławowi Kaczyńskiemu, którego samochód został zatrzymany w bramie. Doszło do starć z policją. PiS i telewizja państwowa (kierowana już przez Jacka Kurskiego) oskarżyły opozycję o próbę zamachu stanu. Protesty opozycji w Sejmie trwały jeszcze przez święta, Nowy Rok, do połowy stycznia.

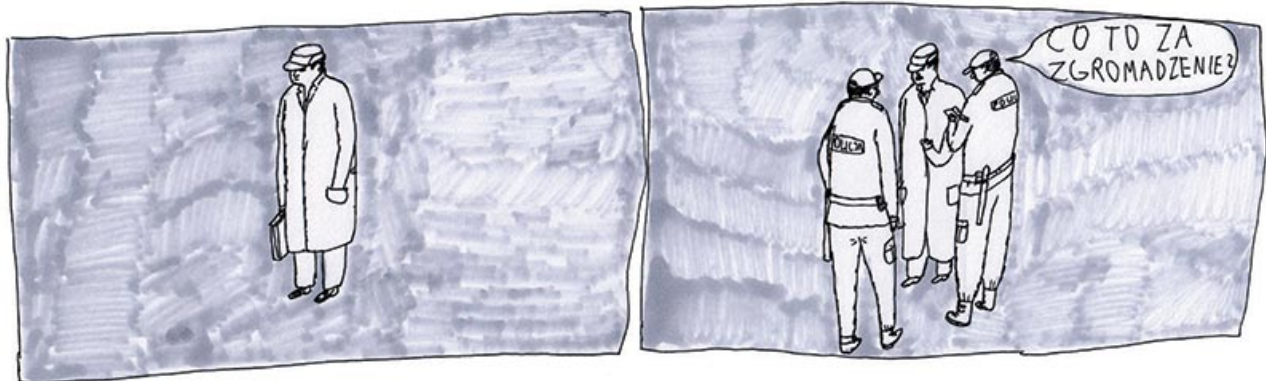
Tak kończył się rok 2016, w którym mieliśmy także w Polsce wizytę papieża, prezydenta USA Baracka Obamy (za kilka miesięcy odda już władzę w ręce niebezpiecznego ekscentryka i narcyza Donalda Trumpa) – ale tak naprawdę ten rok

politycznie rozgrywał się od kryzysu marcowego do grudniowego. Pomału, szok po szok, uczyliśmy się nowej władzy.

Przypisy do tego wypełnionego emocjami roku proponuję zacząć – tak też to się układa chronologicznie – od zamachu na Trybunał Konstytucyjny. Wtedy i przez następne lata poświęciliśmy tej – można powiedzieć: założycielskiej – aferze rządów PiS wiele publikacji, tu więc tylko skrócona wersja komentarza, napisanego po kolejnej odmowie publikacji wyroku TK. Dziś dziwi mnie moje ówczesne pytanie, czy PiS wie, w co brnie? Ostrzegaliśmy, że zamach na Trybunał grozi destabilizacją państwa, chaosem, podważającym autorytet wymiaru sprawiedliwości, naruszeniem ramy prawnej, która spaja samą demokrację i daje ochronę obywatelom. Jeszcze z niedowierzaniem, że co dla nas jest „groźbą”, dla rządzących jest planem.

Odnajduję też w tamtorocznych zapiskach („Przeżyj to sam” s. 44) nieco idealistyczne, a wówczas dość powszechne przekonanie, że masowe protesty zmuszą władzę do cofnięcia niekonstytucyjnych zmian. Cóż, dopiero zaczęliśmy odkrywać, jak i do czego PiS używa – brzmiącej jak za „komuny” – retoryki rewolucyjnej („Doskonały świat”, „Szczepionka jesienna”). Stwierdzam (z pewnym zaskoczeniem), że nowi rządzący, po raz pierwszy w historii III RP, świadomie atakują wielkie grupy wyborców, ewidentnie nie chcą ich przyciągać ani przekonywać, ale skłócać, antagonizować, drażnić. Zrywają z polityczną poprawnością („Złe słowa, złe czyny”), cynicznie manipulują językiem i nawet własnymi autorytetami („Niewygodni święci”, „Sprzedawcy dymu”). Mają inne, albo też zgoła żadne, pojęcie wstydu („Kabaretyzacja”). Zwycięstwo pisopodobnego Donalda Trumpa („Nowy trumpowski świat”) było smutną puentą tego roku, triumfem postpolityki, postprawdy, nowoczesnego populizmu.

Zatem – zapinamy pasy (tak mówiliśmy w redakcji przed włączeniem „Wiadomości” TVP) i udajemy się w podróż przez 2016 r.



PRZYPISY 2016

Zamach marcowy

Polityka 12 (3051), 15.03.2016 r.

Sytuacja jest nienormalna, a jednocześnie przewidywana: Trybunał Konstytucyjny uchylił w całości pisowską ustawę paraliżującą jego pracę; Komisja Wenecka przy Radzie Europy w całości potwierdziła argumentację polskiego sądu konstytucyjnego; rząd oświadczył, że wyroku Trybunału nie opublikuje i nie wykona. Ta odmowa przeniosła nas ze strefy „kryzysu” w obszar „zamachu stanu”. Do tej pory też nie było śmiesznie, ale teraz zrobiło się naprawdę poważnie.

Według konstytucji orzeczenia TK są ostateczne, żaden urzędnik nie ma prawa ich odrzucać, zawieszać czy kwestionować. Dla określenia legalności uchwalanego prawa sąd konstytucyjny jest sądem ostatecznym, zamykającym w twardym „tak” lub „nie” proces legislacyjny. To on wyznacza większości parlamentarnej granice wolności ustawodawczej. Można je zmienić tylko poprzez zmianę samej ustawy zasadniczej, do czego wymagana jest specjalna większość dwóch trzecich głosów. PiS nie dostał w wyborach takiego mandatu, więc legalnie konstytucji zmienić nie może. Odebranie Trybunałowi zdolności orzekania, a więc przyznanie zwykłej sejmowej większości prawa dowolnego kształtowania konstytucyjnego ustroju państwa, trudno traktować inaczej niż jako swoisty zamach stanu. To tak, jakby w Sejmie aresztowano kilkudziesięciu posłów opozycji.

Jeśli rząd nie będzie respektował obecnego i przyszłych wyroków Trybunału, stawia się praktycznie poza (ponad) prawem i traci demokratyczną legitymację do rządzenia. Znów, aż nie chce się wyobrażać, co to może znaczyć. Mówiąc możliwie ostrożnie: domniemanie bezprawia decyzji administracyjnych; konieczność stosowania przez tysiące sędziów bezpośredniej interpretacji konstytucji. Pytanie: czy rządząca partia nie widzi, w co brnie? A wyborcy PiS? Czy oni autoryzują tę rewolucję, której symbolem staje się atak na Trybunał? Ciekawe, ilu z nich spodziewało się tego, co dostało? Same sondaże odpowiedzi nie dadzą, bo lojalność wobec własnego wyboru utrzymuje się zwykle dość długo, choć można

przyjąć, że wielu wyborców ma dziś wobec „swojej partii” mieszane uczucia. Bo, z jednej strony, 500 zł, plan Morawieckiego, ochrona przed imigrantami, religijność, pamięć o stagnacji rządów PO – z drugiej: wstyd wobec Zachodu, nieustająca codzienna awantura, uliczne protesty, stresujące napięcie, podsycany konflikt z większością Polaków, która na PiS nie głosowała.

Czy spod Trybunału polityka przeniesie się na ulice? Być może taka jest intencja Jarosława Kaczyńskiego, aby w Polsce, w związku z nim i o niego, Polacy nie tylko się wyzywali, ale i pobili? Tego też nie było w naszym doświadczeniu ćwierćwiecza wolnej Polski. Ale kiedy się słucha łomżyńskiej przemowy prezesa albo otwockiej prezydenta, nasuwają się nieprzyjemne historyczne skojarzenia. Ki diabeł? Naprawdę, ni z tego, ni z owego, bez wyraźnych przepowiedni socjologów, bez objawów społecznej depresji, nawet bez imigrantów i obcych, lęgnie się jakiś polski narodowy socjalizm, gdzie rolę „obcych etnicznie” pełnią polityczni przeciwnicy?

Ten przemocowy scenariusz jest możliwy, ale wydaje mi się wciąż mało prawdopodobny. Choćby dlatego, że w Polsce i Europie jesteśmy mądrzejsi o całe doświadczenie autorytaryzmów XX w., że znamy niebezpieczne ścieżki prowadzące od politycznej paranoi i mrocznej charyzmy do szaleństwa tłumów, że mamy instytucje wczesnego ostrzegania i reagowania, także narzędzia korekty systemów politycznego, społecznego i ekonomicznego. Wreszcie, głębia obecnego kryzysu kapitalizmu i demokracji ma się nijak do tej z lat 30. Głównym napędem rewolucji pisowskiej jest propaganda, mielenie jęzorami. Przynajmniej na razie. Nie wolno jednak nie doceniać tego, jakie mogą być skutki takiej długotrwałej medialnej pedagogiki pisowskiej. Zarządzanie strachem, sianie paniki moralnej, niszczenie zaufania do prawa oraz między grupami społecznymi i jednostkami to niezły sposób utrzymywania władzy. Z tego może być polska wersja autorytaryzmu, scalanego nie jakąś nagą siłą, lecz nieczystościami.

Niewygodni święci

Polityka 15 (3054), 05.04.2016 r.

W ledwie tygodniowym odstępie przypadają rocznice śmierci dwóch znaczących postaci naszej historii, a dla środowisk prawicowych osób najważniejszych: Jana

Pawła II i Lecha Kaczyńskiego. Obie postaci są dziś otoczone kultem. Nie porównując kultu religijnego ze świeckim, a jedynie stopień zaangażowania władz państwowych, można by dojść do wniosku, że to osoba Lecha jest dziś mocniej promowana. Proszę porównać nadzwyczaj skromne, rutynowe, niemal zdawkowe obchody rocznicy śmierci św. Jana Pawła z nadciągającą rocznicą smoleńską – już tym razem, i w następnych latach, w formie państwowego święta.

Fakt, że z Janem Pawłem jest pewien kłopot. Spora część przesłania „papieża Polaka” zdaje się krępująca dla dzisiejszej władzy kościelnej i świeckiej. Chodzi tu zwłaszcza o bardzo silne poparcie Jana Pawła II dla integracji Polski z Unią Europejską, o pozytywną ocenę Okrągłego Stołu, bardzo ciepły stosunek do polskiej demokracji i demokratów (łącznie z Wałęsą i Kwaśniewskim) czy faktyczną akceptację dla wypracowanego modelu stosunków państwo–Kościół, obejmującego również tzw. kompromis aborcyjny.

Z trudem można sobie wyobrazić, aby bez papieskiej reprimendy pozostały słowa wypowiedziane podczas świątecznej homilii przez abp. Józefa Michalika, wieloletniego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Nazywanie antypisowskiej opozycji „targowicą”, „mobilizującą na forach międzynarodowych do nienawiści wobec Polaków” (!), to urągająca milionom, także katolików, nachalna partyjna retoryka. Nie sądzę też, aby papieżowi spodobały się dzisiejsze drwiny prawicowych publicystów z „pogubionego, chaotycznego, ulegającego lewactwu” papieża Franciszka. Raczej niemożliwe, by „pierwszy ekumeniczny biskup Rzymu”, wzywający do ponadreligijnej solidarności, był zbudowany deklaracjami bardzo katolickiej pani premier, że nie przyjmujemy żadnych uchodźców.

Zmarły w ubiegłym tygodniu ks. Jan Kaczkowski, jedna z najpiękniejszych postaci polskiego Kościoła, mówił gorzko, że dziś świętej rodziny pewnie by nie wpuszczono do Europy. Ale to nie ks. Kaczkowski (z jego prowokacyjnym: nie trzeba być katolikiem, aby być dobrym), ale raczej Tadeusz Rydzyk czy abp Michalik są głosem naszej „narodowej, autokefalicznej cerkwi”, zamkniętej, nieufnej, dziś szukającej ścisłego sojuszu z autorytarną władzą. Może to tylko przypadkowa, ale znamienna zbieżność, że rocznicę śmierci Jana Pawła Kościół uczcił listem pasterskim wzywającym polityków do odrzucenia „aborcyjnego kompromisu”, jak zwykle się u nas nazywa jedną z najostrzejszych w świecie ustaw ograniczających prawo do aborcji. Propozycje radykalnych środowisk

katolickich, brutalne i aroganckie wobec kobiet, dostały już oficjalne wsparcie episkopatu i partii rządzącej. Pewnie za Jana Pawła II Kościół w Polsce był gorszego sortu, skoro, nie wyrzekając się swego nauczania, unikał domowej wojny światopoglądowej?

Paradoksalnie, dzisiejsza władza nie lepiej obchodzi się ze spuścizną Lecha Kaczyńskiego, który przez PiS został wyniesiony do rangi świeckiego świętego, równego królom (stąd Wawel), męczennika „poległego” w Smoleńsku. Ci, którzy dobrze znali Lecha Kaczyńskiego i blisko z nim współpracowali za czasów prezydentury, zostali niemal wszyscy odsunięci od dzisiejszego PiS, być może jako potencjalni kacerze. Jednak ich świadectwa zdają się potwierdzać, że Lech Kaczyński (obojętnie, jak oceniamy jego prezydenturę) był człowiekiem raczej skromnym, niepewnym siebie, kameralnym, a w poglądach pryncypialnym państwowcem. Nie przypadkiem jego wypowiedzi na temat bezwzględnej konieczności respektowania orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego są dziś obnoszone na marszach KOD. To Lech Kaczyński negocjował i podpisał traktat lizboński, ograniczający, w imię wspólnego bezpieczeństwa, suwerenność unijnych państw narodowych. To Maria Kaczyńska przyblokowała zakusy zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej, narażając się na chamskie ataki dyr. Rydzyka.

Oczywiście Lech Kaczyński był bratem swego brata, autoryzował jego awanturnicze wizje IV RP i Polski jako regionalnego mocarstwa, był lojalny do bólu, ale – tak mówią dawni przyjaciele – dziś raczej nie pozwoliliby na destrukcję Trybunału, jawne łamane konstytucji, lekceważenie Komisji Weneckiej, bezproduktywne psucie stosunków z sojusznikami. Może tak, może nie – trudno powiedzieć. Ale chyba na pewno byłby zażenowany państwowym kultem i mitologią, jakie wokół niego, z całą pogardą dla faktów, buduje brat.

Cóż, nie sprawdzimy historii alternatywnej. Ale widać, że rewolucja nie tylko zjada własne dzieci, lecz także patronów. Pozostaje smętna rocznicowa refleksja, że – nie popadając w depresyjne uogólnienia – bardzo dużo wokół nas zmian na gorsze. Część z nich jest zresztą nazywana dobrą zmianą.

Przeżyj to sam

Polityka 20 (3059), 10.05.2016 r.

Chyba każdy, kto mógł wziąć udział w sobotnim marszu KOD i opozycji, miał poczucie uczestnictwa w wydarzeniu historycznym, największej, jak by nie było, manifestacji politycznej w historii III Rzeczypospolitej.

Dramatyczne próby TVP, aby najpierw nie pokazać marszu, przykryć wydarzenie czatem z Jarosławem Kaczyńskim, potem dyskredytować komentarzami, a na koniec dowodzić, że wszyscy uczestnicy parogodzinnego gęstego przemarszu zmieściliby się na stadionie piłkarskim, były manipulacją w stylu telewizji stanu wojennego. Przypomniał mi się tekst przeboju grupy Lombard z początku lat 80. „Przeżyj to sam”: „Widziałem wczoraj znów w Dzienniku (...)/ogromne morze ludzkich głów/A spiker cedził ostre słowa/od których nagła wzbierała złość...”.

Wciąż zastanawiam się, czy oni naprawdę wierzą w swoją własną propagandę, czy to jest cynicznie adresowane „do ludu”? Bo jakich zabiegów trzeba dokonać na własnym mózgu, żeby wzbudzić w sobie pogardę i lekceważenie wobec tysięcy (a w domyśle milionów) normalnych, pokojowo nastawionych ludzi, z różnych pokoleń, miast i środowisk, którzy nie popierają PiS i nie podzielają kultu prezesa, ale jednak przejmują się losem Polski? Jak na nich patrzy – bo chyba widział – sam prezes; jak na podludzi w okupowanym, podbitym kraju, niegodnych uwagi i wysłuchania? I dlaczego tak? Bo wygrał wybory, zdobywając 18 proc. ogółu wyborców i cztery miejsca przewagi w Sejmie? Ta demonstracja była dowodem, że ci inni Polacy istnieją, nigdzie się stąd nie wyniosą, nie chcą się zamknąć, ukorzyć, chodzą, drwią i drażnią.

Pan minister Witold Waszczykowski, nonszalancki wyraziciel różnych pisowskich myśli, wzywał swoich, żeby tę i następne ewentualne demonstracje KOD ignorować; niech sobie chodzą i tak nic z tego nie wynika. Otóż, przestrzegałbym przed taką pochopnością. Nastrój pochodu, złośliwy, owszem, ale nie agresywny, raczej zabawowy niż wściekły, nie powinien mylić. W Polsce polityka wyszła na ulice. Regułą jest, że rządy skonfrontowane z demonstrantami (zwłaszcza jeśli protest ma dużą skalę) jakoś tam próbują nastroje uspokoić, wciągnąć w negocjacje przedstawicieli protestujących, wycofać się ze szczególnie kontestowanej decyzji, odwołać niepopularnego ministra; taktyki i techniki polityczne są różne. Jednak praktyka krajów demokratycznych raczej nie zna metody pisowskiej: obrażania demonstrujących, wyzywania ich od złodziei, komunistów, zdrajców, przypisywania animalnych, szczególnie świńskich cech,

odmawiania prawa do szacunku, do patriotyzmu. Wydaje się, jakby zamysłem, a może tylko emocją, lidera było podgrzewanie nastrojów, dokładanie do pieca.

W PRL też tak bywało, ale tam władza była zdeterminowana, aby sięgnąć po umundurowaną przemoc. Czy u nas tak nie jest? Ale niepokojące sygnały się gromadzą. Przykładem ostatnia deklaracja prezesa, że nie pozwoli („w imię wolności”) na jakiegokolwiek ograniczenie mowy nienawiści (kibice Legii już podchwycili ton i grożą „wrogim” dziennikarzom szubienicą). Przywykło się komentować, już z pewną taką wyrozumiałością, że prezes lubi zarządzać przez konflikt, kryzys, agresję, przesadę. Ale coraz większa grupa psychologów społecznych i politologów ostrzega, że taka technologia nie jest bezkarna.

Nie wiem, dlaczego PiS zakłada, że tak zwana strona liberalna, spacerująca sobie po ulicach Warszawy, jest pozbawiona honoru, wyprana z emocji, niezdolna do mobilizacji i samoobrony w sytuacji zagrożenia? Czy PiS odpowiada sytuacji, że sami pozamykają się w gabinetach i gmachach władzy, a ulicami rządzić będzie opozycja? A może zechcą zorganizować własne, silniejsze kontrdemonstracje lub bojówki? Polityka uliczna to bardzo niebezpieczna gra, łatwo może przerodzić się w fizyczną konfrontację, blokady, majdany, okupacje placów i budynków, w niebezpieczny dla wszystkich chaos.

W sobotę odbyła się pogodna, piknikowa, ale potężna demonstracja sprzeciwu wobec „podłej zmiany”. Wmawianie sobie i kolegom, że maszerowało tylko 40 tys. oligarchów, jest najgłupszą z możliwych reakcji. Nie zmarnujcie, panie i panowie z PiS, tego dnia.



Doskonały świat

Polityka 23 (3062), 31.05.2016 r.

Polska polityka żyje w rytmie wynurzeń prezesa. Ciekawe, czy Jarosław Kaczyński ma satysfakcję, że duży europejski naród wiruje wokół jego głowy? Że także obcy dyplomaci, rządy i urzędy, biznes, media, politologia i psychologia analizują, co ma czy też nie ma na myśli? Dotychczas w tej specyficznej dyscyplinie wiedzy dużo było zgadywanek i intuicji. Na szczęście ostatnio na łamach kolejnych partyjnych organów („wSieci”, „GP”, teraz „Do Rzeczy”) wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego pojawiają się na tyle regularnie, że daje się coraz lepiej rekonstruować Świat Według Prezesa.

Rzeczywistość oglądana oczami szefa PiS jest rozległym (chciałoby się powiedzieć, platońskim) teatrem cieni. Nic tu nie jest takie, jakie nam, ludziom prostym, się wydaje. Zatem Polska jest półoligarchią, w której bezkarne elity dopuszczają się przestępstw. Dowodów nie potrzeba, bo są przykłady: Beata Sawicka, przypominam młodszym – to sprawa z 2007 r., Weronika Marczuk oraz rodzina Wajdów. Tyle. Aha, są jeszcze ośmiorniczki. Tenże kraj jest wciąż „podporządkowany Niemcom”, a Unia Europejska pilnuje tej półkolonialnej eksploatacji, próbując zdeptać suwerenność Polaków. Ci, którym się wydawało, że Unia to jakiś gwarant polskiego bezpieczeństwa i rozwoju, że wspiera nas setkami miliardów euro, że pojedналиśmy się z Niemcami, że większość naszych miejsc pracy bierze się z handlu z Unią itd. – mają mroczyki przed oczami.

W świecie prezesa nie ma żadnej stałej prawdy, są tylko opinie, które – wiedząc lepiej i patrząc przenikliwiej – można podważyć. Wyroki sądów, zwłaszcza Trybunału Konstytucyjnego, który w sposób oczywisty łamie konstytucję, wyrażają interesy korporacji prawniczych oraz tych grup społecznych, które mają najwięcej pieniędzy. Ludzie KOD, deklarujący, że bronią demokracji, myślą się, to przed nimi trzeba jej bronić („Bronimy demokracji” to okładkowy tytuł wywiadu prezesa w „Do Rzeczy”), mogą też być reprezentantami własnych materialnych lub oligarchicznych interesów bądź ofiarami obłędu „wywołanego przez pewną grupę i przenoszonego na innych”.

W tej rzeczywistości nie ma niezależnych instytucji, bo każda składa się z konkretnych ludzi mających swoje, na ogół nikczemne, interesy. Dlatego uniezależnienie instytucji państwa polega na obsadzeniu ich delegatami partii.

Nie ma żadnych autorytetów prawniczych, biznesowych, artystycznych, naukowych, bo prawdziwe elity dopiero powstaną. Nie ma tego samego znaczenia słów, bo demokracja, suwerenność, kompromis, prawo, sprawiedliwość, konstytucja, jeśli wypowiedane są przez przeciwników, są tylko cieniami prawdziwych idei. Cytując jednego z wielkich poprzedników prezesa, w zasadzie „nie ma niczego”.

Realia jakiejś konkretnej Polski, zaludnionej przez bardzo różnych ludzi, być może niepodzielających diagnoz prezesa, nie mają znaczenia. Szef PiS jest posiadaczem wizji skończonego doskonałego ustroju, który przyniesie wyzwolenie mas z rąk oligarchii (tytuł wywiadu: „Nie zgadzamy się na oligarchię”). To nowe społeczeństwo, złączone w nowym silnym państwie, będzie spełnieniem logiki historii (Hegel?), ale warunkiem jest złamanie oporu elit („będą nas atakować”) i grup właścicieli Polski. Cel ten może, musi usprawiedliwiać twardość wobec wrogów, którzy „bez przerwy nas obrażają” i „są gotowi działać w kierunku, by Polska doznała jakiegoś wstrząsu”. Ale „my się niczego nie boimy”, choć „opozycja będzie krzyczeć, że jest prześladowana”. Itd. Zastanawiam się, czy prezes, kiedy wypowiada w kolejnych wywiadach te prawdy, sam siebie słyszy? Dla człowieka z jego pokolenia powinno być oczywistą oczywistością, że to najczystszy marksizm-leninizm i to w wersji zwulgaryzowanej, z lat 50. Świadomie – nieświadomie?

Całe to przymierzanie marnej rzeczywistości do pięknego doskonałego świata zaludnionego przez nowych ludzi, uzasadnianie rewolucji społecznej i politycznej wymaganiami utopii, byłoby nawet wzruszające, gdyby nie drobiazg: my wiemy, jak to się skończyło. Ile prawdziwej wiary, rewolucyjnego ognia, ile wysiłku poszło w budowę ustroju, który zdegenerował się w brutalny autorytaryzm, władzę partyjnej nomenklatury i Pierwszego Sekretarza, w żalosny etatyzm i bezczelną propagandę (dziś zwaną „osłoną medialną”).

Sam Jarosław Kaczyński, ostatni prawdziwy postkomunista, nie jest, nie byłby problemem, gdyby nie miliony zwolenników mniej lub bardziej przekonanych do jego opisu rzeczywistości, jego szczególnej więzi z historią, zauroczenia widmem rewolucji, które krąży nad nami. Pół wieku praktykowania poprzedniego ustroju nie mogło minąć bez śladu. Zapewne żywiłiśmy iluzję, że transformacja już się dokonała i w nas, i w państwie, że jesteśmy zaszczepieni na pustą rewolucyjną retorykę. Widać jednak, że PiS ma nie tylko jedną trzecią naszego elektoratu, ale

pewnie tyle samo udziałów w wielu (w każdym?) z nas. Inaczej nie byłoby mu tak łatwo. Pozostaje nadzieja, że historia, jeśli się powtarza, to jako groteska. Na razie widać, że się powtarza i że jest groteskowo.

Złe słowa, złe czyny

Polityka 30 (3069), 19.07.2016 r.

Tuż po zamachu terrorystycznym w Nicei minister spraw wewnętrznych polskiego rządu Mariusz Błaszczak zabrał głos, oświadczając: „To jest konsekwencja polityki multi-kulti i poprawności politycznej”. Dociskany przez media dorzucił jeszcze LGBT. W wieczornym wywiadzie telewizyjnym dopytywany, jak on sam zapobiegłby takiemu atakowi, odmówił praktycznych wskazówek, ale powtarzał, że odpowiedzią jest „powrót do chrześcijaństwa” i – ponownie – „odrzuć poprawności politycznej”.

Zostawię w spokoju myśli ministra o związkach między LGBT a zamachem w Nicei, bo jedyne, co mogę z tego dziwnego skojarzenia wycisnąć, to jakiś mętny zarzut, że władze Francji, zamiast wziąć się za terrorystów, promowały homoseksualizm. Non, excusez-moi, czy panu wszystko się z Tym kojarzy? Jak minister spraw wewnętrznych mógł nie zauważyć, że we Francji od wielu miesięcy obowiązuje stan wyjątkowy, że dzięki niebywałej mobilizacji służb (także uciążliwym kontrolom) nie doszło do żadnego (!) zamachu podczas trwającego miesiąc turnieju Euro, z udziałem setek tysięcy kibiców z całej Europy? Jak można tak nonszalancko prowokować los – na parę dni przed Światowymi Dniami Młodzieży – drwiąc (jak rozumiem) z policji francuskiej, że nie zapobiegła atakowi samotnego szaleńca na rozbawiony, niczego niespodziewający się tłum? Jak można wycierać sobie buzię wartościami chrześcijańskimi i jednocześnie kpić z pani minister Mogherini, że popłakała się, składając hołd niewinnym, bezsensownym ofiarom i współczując ich rodzinom, rozdartym bólem i rozpaczą. Taki pan jest katolicki macho, panie Błaszczak?

Jasne, wszyscy się domyślamy, jaki przekaz miał nieść ten potok słów i skojarzeń. Że jakby Francuzi nie wpuścili do siebie Arabów, nie byli tacy multi-kulti wobec różnych odmieńców (od islamu po LGBT) i przestali się z nimi cackać, toby ich terroryści nie zabijali. Akurat Republika Francuska nigdy nie hołdowała

doktrynie multikulturalizmu, ale pominiemy już te detale – sugestia ministra Błaszczaka, że Francuzi powinni jakoś pozbyć się paru milionów podejrzanych obywateli, jest, mówiąc najdelikatniej, i spóźniona, i mało praktyczna. „Powrót do chrześcijaństwa”, w rozumieniu polskiego ministra, musiałby, logicznie, oznaczać domową wojnę krzyżową. Prawdziwy intelektualny atak husarii.

Wiemy, że ten wywód służy głównie wzmocnieniu ważnej części politycznego przekazu PiS: tylko my obronimy Polskę przed najazdem muzułmańskich hord. Nic to, że nawet posiadanie dużej mniejszości muzułmańskiej nie oznacza „automatycznie” aktów terroru (weźmy przykłady Niemiec czy Szwecji); w naszym wciąż jednolitym etnicznie kraju po to się nadmuchuje Urojonego Araba, aby minister i jego partyjni koledzy mieli nad kim odnieść imponujące zwycięstwo. Nicea albo życie. Na razie pisowska jazda, z braku islamistów, musi się ograniczyć do traktowania słów i pojęć. Jedną z ofiar, chyba najbardziej z maltretowaną przez wielokrotne szarże, jest, niestety, właśnie dobijana przez ministra Błaszczaka, „polityczna poprawność”.

O tym, że trzeba skończyć w Polsce z polityczną poprawnością, mówił i pan prezydent Duda, i dosadnie sam pan prezes Kaczyński. Publicyści prawicowi uczynili z „PP” synonim lewackiego zidiocenia, cenzury, która nie pozwala nazywać rzeczy (i osób) po imieniu, „zabrania” otwarcie mówić o islamskim zagrożeniu dla naszej kultury i bezpieczeństwa, każe w „ciapatych cwaniakach” widzieć biednych uchodźców, a zboczenia traktować jako orientację seksualną. „Poprawność” stała się jakąś karykaturą, obciachem, którego nie wypada bronić nawet środowiskom lewicowym.

Godzi się więc przypomnieć, choćby w charakterze epitafium, że owa wyśmiewana PP to w istocie tylko norma językowa, wyhodowana w Europie Zachodniej i Stanach, która zaleca w tzw. dyskursie publicznym unikania określeń i zwrotów, które mogą urazić, obrazić, naruszyć godność osób, o których się wypowiadamy czy z którymi polemizujemy. Emblemat PP widzieliśmy ostatnio na koszulkach piłkarzy na Euro: to słowo „respect” – szanuj. Mówiąc jeszcze inaczej, to pewien konwenans, zasada savoir vivre’u, sugerująca, że lepiej jest w stosunkach między ludźmi unikać pochopnych uogólnień (Arab terrorysta, Polak antysemita itp.), nie stosować poniżającego, dyskryminującego języka w odniesieniu do cech, na które człowiek nie ma wpływu (płeć, orientacja seksualna, kolor skóry, kalectwo, wiek, także religia) i ogólnie gryźć się w język.

Oczywiście, wraz z ekspansją PP, toczyła się dyskusja o jej ekscesach, jak np. przemykanie oczu na nieprawości czy nadużycia ze strony dyskryminowanych grup czy mniejszości, tuszowanie naruszeń prawa (małżeństwa dzieci, obrzezanie dziewczynek, zemsta rytualna) w imię tolerancji kulturowej, wstrzymywanie badań nad różnicami rasowymi czy płciowymi, ograniczanie ekspresji satyrycznej, artystycznej i w ogóle wolności słowa. Zgoda. Ale nigdy straty wynikające ze stosowania PP nie przeważały nad korzyściami.

Dziś trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie bardzo zróżnicowanych współczesnych społeczeństw bez poprawnościowej konwencji. Walenie „prawdy” między oczy, otwarte „mówienie tego, co ludzie myślą”, przeniesienie do debaty publicznej szczerzej internetowej mowy nienawiści to prosta droga do społecznego piekła, wzajemnej stygmatyzacji, agresji. Aż do aktów terroru. Złe czyny zwykle zaczynają się od złych słów. Żyjemy w społeczeństwach, w których rzadko jakaś grupa polityczna czy społeczna ma absolutną przytłaczającą i trwałą większość; każdy z nas należy jednocześnie do jakiejś większości i mniejszości. Więc jeśli w tych nerwowych czasach mamy ze sobą wytrzymać, trzeba chuchać i dmuchać na poprawność polityczną, pamiętając, że chodzi tu nie o przemykanie oczu, ale ust, panie ministrze Błaszczak.



Sprzedawcy dymu

Papież Franciszek wyjechał, trwa zacieranie śladów jego obecności.

Dla organizatorów Światowych Dni Młodzieży, czyli władz kościelnych i państwowych, był gościem kłopotliwym, przybyszem z dalekiego kraju, „papieżem południowoamerykańskim”, jak nazywano go w prawicowej prasie. Zabrakło nawet urzędowego entuzjazmu. Mam przed oczami taki telewizyjny obrazek: papież prosi zgromadzone tłumy, aby się chwycić za ręce, „budować mosty, a nie mury”, i widać bolesne zakłopotanie na twarzach ministra Macierewicza i prezydenta Dudy, bo most trzeba zrobić, a przecież papieżowi znowu chodziło o uchodźców. Franciszek, jakby złośliwie, sprawę pomocy i empatii wobec uchodźców uczynił bodaj głównym przesłaniem swoich kolejnych wystąpień. Dręczył władze, duszpasterzy i lud boży wezwaniami do miłosierdzia, solidarności, „słuchania tych, których nie rozumiemy, których się boimy”. Dla rządzącej partii słuchanie tych papieskich napomnień musiało być irytujące i nieznośne. Już w trakcie ŚDM politycy i publicyści pisowscy gorączkowo szukali retorycznych dezodorantów.

Najprostszy był logiczny chwyt zastosowany niedawno przez prezesa przy okazji połajanek ze strony prezydenta Obamy. „To, co zapamiętałem z wystąpienia Ojca Świętego, to...” (i tu np. poparcie dla rodziny czy ochrony życia, a nie zapamiętaliśmy imigrantów). Premier Szydło chętnie sięgnęła do schematu wypracowanego przy okazji zaciemniania „sprawy Trybunału Konstytucyjnego”: oczywiście, trzeba pomagać uchodźcom, nasza ofiarność (podobnie jak demokracja) jest niezagrożona, ale należy oddzielić uchodźców od imigrantów, pomagać im na ich własnej ziemi, i najpierw niech pomagają ci, którzy zawinili.

Już po wyjeździe Franciszka pojawiły się nowe przekazy dnia. Że tak bogatego w treści spotkania nie da się od razu zinterpretować, że każdy musi sam w swoim sumieniu rozważyć nauki Franciszka, a w ogóle odnieśliśmy wielki sukces organizacyjny, zaś papież wyjechał z Polski zachwycony. Jeden z najbardziej miarodajnych publicystów katolickich, przyciskany o komentarz w sprawie tych nękających papieskich wezwań do „otwierania serc i domów dla ofiar wojen i biedy”, odpowiedział w telewizji, że papież propaguje jakąś utopię. Wow! Wychodzi na to, że dla prawdziwego polskiego katolika chrześcijaństwo to jakaś niebezpieczna utopia.

W ogóle w ciągu tych kilku dni można było odnieść wrażenie, że „papiaska pielgrzymka” była raczej wyprawą misjonarską i to chyba nieudaną. Polski autokefaliczny Kościół katolicki bardzo oddalił się od rzymskiego Kościoła Franciszka. Gdyby to były inne czasy, powiedzielibyśmy, że znalazł się na progu herezji i schizmy.

Właściwie wszystko, co mówił papież na temat „swojego Kościoła”, zdało się stać w sprzeczności z praktyką i przekazem narodowego katolicyzmu. Franciszek wzywał, aby „cieszyć się wielokulturowością”, a tu dopiero co minister Błaszczak w multi-kulti i poprawności politycznej znajdował przyczyny terroru i zbrodni. Papież o dialogu, nasi biskupi o walce z wrogami Kościoła. Papież o ubóstwie jako cnocie Kościoła; o. Rydzyk i podlegli mu hierarchowie o milionach należnych ze Skarbu Państwa; Franciszek o służbie, Kościół o posłuszeństwie. (Jak mówi o. Ludwik Wiśniewski: „w polskim Kościele dogmat nieomyślności papieża rozciągnięto na biskupów i proboszczów”). Papież o potrzebie i nakazie społecznej aktywności „powstania z kanapy”; Kościół i partia rządząca przeciwko Owsiakom i innym ngosom. Papież mówi, że trzeba przebaczać i pielęgnować dobrą pamięć; dokładnie w tym samym czasie katolicki minister Macierewicz i katolicki prezydent Duda organizują nagonkę na 100-letniego gen. Ścibora-Rylskiego. A podczas smoleńskich obchodów sam prezes daje wykładnię obowiązującej teologii politycznej: przebaczenie tak, ale najpierw kara, którą sami wymierzimy. Franciszek napomina, iż Kościół powinien trzymać się z dala od władzy państwowej; w Polsce stał się de facto narzędziem politycznym w rękach jednej partii.

Południowoamerykański papież wrócił sobie do Rzymu. Władza państwowa może odetchnąć z ulgą: skończyły się obawy organizacyjne i wizerunkowe. Zamachu żadnego nie było, a co Franciszek nagadał, to się w tym tygodniu zinterpretuje, a w następnym zapomni. A wierni? Jak którzy. Franciszek jest w Polsce, podobnie jak na całym świecie, popularny i lubiany, ale oczywiście nie jest Janem Pawłem II, którego nauki też zawsze były u nas traktowane z dystansem. W dodatku Franciszek sprawia wrażenie łatwowiernego, naiwnego, zupełnie nie na te czasy. A hierarchowie? Może niektórzy przypomną sobie, że Kościół może być otwarty, pogodny, życzliwy, wybaczący, miłosierny? Ale czy odważą się sprzeciwić głowie polskiego Kościoła – Tadeuszowi Rydzykowi? Diabli wiedzą.

W jednej z homilii papież użył uroczej frazy, dosłownego tłumaczenia argentyńskiego powiedzenia o „sprzedawcach dymu”, czyli oszustach dostarczających iluzji, fałszywych obietnic, zatruwających ludzkie umysły. Wraz z przyjazdem do Polski papieża Franciszka i miliona młodych multi-kulti otworzyły się drzwi, zrobił przeciąg i wywiało sporo dymu. No to teraz zacznie się kopcić w dwójnasób.

Kabaretyzacja

Polityka 39 (3078), 20.09.2016 r.

Pewną okolicznością łagodzącą dla niemrawej opozycji jest to, że za władzą nie sposób dziś nadażyć. Każdy dzień, ba, czasem każda godzina dnia przynoszą jakieś zdarzenia, zachowania, wypowiedzi, na które należałoby reagować. Jest tak, jakby w rządzącej partii przez długie lata oczekiwania wezbrały i spieniły się tysiące słów, emocji, myśli, pretensji, ambicji i nagle, po przerwaniu tamy, to wszystko runęło na kraj. Kilka dowolnych przykładów z paru dni: minister Zalewska z pełną arogancją wobec pytań i wątpliwości rodziców, nauczycieli, ekspertów, samorządowców ogłasza rewolucję w systemie oświaty. Minister Ziobro, a właściwie jego prokuratorzy, przeszukują domy lekarzy, którzy wydali opinie o przyczynach śmierci ojca pana ministra. Rusza procedura odwołania prezesa NIK, choć wymaga to precedensowego skrócenia kadencji. Parlament Europejski podejmuje bardzo krytyczną wobec rządu PiS rezolucję, na co minister Waszczykowski: „Będziemy ignorować uchwałę PE”. Do mediów docierają dziesiątki informacji o zajadłej walce różnych frakcji PiS o posady w spółkach Skarbu Państwa, dostęp do publicznych pieniędzy i kontraktów. Itd. Wybierać, przebierać. A tu już trwa kolejny tydzień.

Mój wybór, po pewnych wahaniach, to informacja, że podkomisja smoleńska ministra Macierewicza (no tak, mieliśmy przecież jeszcze konferencję tego zespołu) rozważała wykonanie oryginalnego eksperymentu: zderzenia ciągniętego po pustej płycie lotniska samolotu Tu-154 z brzozą przymocowaną do pędzącego samochodu. Eksperci oniemieli. W takich warunkach nie sposób odtworzyć rzeczywistej katastrofy lotniczej. Podzespół „po burzy mózgów” niechętnie wycofał się z pomysłu, ale nie na skutek jego absurdalności, ale „z powodów

bezpieczeństwa, bo ktoś by przecież musiał te pojazdy prowadzić”. Internet zawył śmiechem – tym razem było dużo dowcipniej niż zazwyczaj. Pominę już żarty na temat burzy mózgów; ton był taki, że jeśli członkowie komisji nie wierzą w „pancerną brzozę”, to powinni to zaświadczyć, wsiadając w tym eksperymencie do Tu-154. Ktoś dodał, żeby PiS w ramach planu Morawieckiego zbudował na stałe Wielki Zderzacz Andronów.

Jeśli już się pośmialiśmy, przypominam, że chodzi o najprawdziwszą, tragiczną katastrofę lotniczą. To niebywałe, co robi PiS i osobiście Antoni Macierewicz, żeby obrócić ludzką tragedię w jakiś żałosny, niemoralny kabaret. Już pal sześc tę zenującą podkomisję (choć nie rozumiem, jak i jacy ludzie mogli dać swoje twarze takiemu przedsięwzięciu), ale przecież podobny charakter mają „apele smoleńskie” czytane na siłę przy wszystkich rocznicowych obchodach, ostatnio – uwaga! – odsieczy wiedeńskiej króla Sobieskiego. W tym tygodniu protestowała grupa kombatantów kampanii wrześniowej zebranych na miejscu walk na Grochowie, prosząc, jak wcześniej władze dzielnicy czy powstańcy warszawscy, aby okazać szacunek im oraz osobom zabitym w katastrofie smoleńskiej i nie wtlaczać do uroczystości kuriozalnego pisowskiego apelu „poległych”. Są gotowi zrezygnować ze zwyczajowej asysty Wojska Polskiego, skoro minister nie pozwala, aby żołnierze oddawali hołd żołnierzom z pominięciem partyjnej propagandy.

Paweł Deresz, mąż jednej z „niepisowskich” ofiar katastrofy pani Jolanty Szymanek-Deresz, w wywiadach przy okazji premiery filmu „Smoleńsk”, na którą zresztą nie został zaproszony, mówił, że jedyne, co psychologicznie może tłumaczyć zajadłość PiS w manipulowaniu tą tragedią, to poczucie winy Jarosława Kaczyńskiego, który brata w ten lot posłał, i Antoniego Macierewicza, który wtedy umknął ze Smoleńska, a dziś brutalnie oskarża wszystkich, którzy z rozpaczą, ale i pełną ofiarnością (jak poniewierana Ewa Kopacz) próbowali być w tamtych dniach z rodzinami zabitych i jakoś ogarnąć skutki tej katastrofy. Tak jak obraża dziesiątki polskich ekspertów komisji Millera o to, że działali na zlecenie zamachowców. Na tym tle oficjalne oskarżanie przez ministra obrony narodowej RP rosyjskich władz o zabicie prezydenta i elit RP jest już tylko barwnym dodatkiem. Choć zasadne jest pytanie, co minister zamierza z tym zrobić: wypowie wojnę? Wyśle hybrydowe oddziały nowej obrony terytorialnej, żeby odbiły wrak tupolewa?

Mam taki obrazek przed oczami: oto czołowi działacze PiS i podkomisji smoleńskiej mkną po płycie w wynajętym Tu-154, a z naprzeciwka pędzi na nich minister obrony narodowej z brzożą na dachu. Polska, wrzesień 2016.



Szczepionka jesienna

Polityka 44 (3083), 25.10.2016 r.

Na pytanie, dlaczego Antoni Macierewicz może bezkarnie robić i opowiadać, co zechce, jedyna poprawna odpowiedź brzmi: bo może. Wiadomo, że obecny minister obrony narodowej jest faktycznie numerem 2 w partii i chyba jedynym, któremu prezes zapewnia pełny immunitet. Natura tego szczególnego związku nie jest jasna, a powierzenie Macierewiczowi „smoleńskiego odwetu” było raczej dowodem jego wyjątkowej pozycji niż jej przyczyną. Jedna z hipotez, przywołanych ostatnio z okazji 40-lecia KOR, mówi, że w czasach opozycji PRL Jarosław Kaczyński należał do kręgu, i to nie pierwszego, współpracowników Macierewicza; trochę publikował w „Głosie”, organie tego środowiska, ale to Macierewicz był wtedy guru. Zapewne coś z tej relacji mistrz–uczeń przetrwało, zwłaszcza że kiedy w kolejnych dekadach Kaczyński wchodził coraz głębiej w polityczne rozgrywki, układy i sojusze, Macierewicz pozostawał bezkompromisowy, świecił swoją niezłomnością i radykalizmem. W końcu zyskał przy Kaczyńskim rolę egzekutora.

Do ważnych politycznych wynalazków Jarosława Kaczyńskiego należało nadanie partii charakteru rewolucyjnego; to już było trochę widoczne przy

pierwszych rządach PiS, ale dojrzało dopiero w czasie 8-letniej opozycji. Partia rewolucyjna ma sporo zalet jako instrument zdobywania władzy. Z definicji nie musi liczyć się z ustrojem państwa, bo przecież chce go zburzyć; nie musi, a nawet nie powinna wchodzić w żadne relacje z „uzurpatorską” władzą; „wielka idea”, której służy, daje jej wyższość moralną nad demokratycznymi politykami. Rewolucyjność dostarcza też przewagi retorycznej: każdy radykalny sąd brzmi atrakcyjniej od mętnego realizmu; gruntowna zmiana to program propagandowo bez porównania lepszy niż żmudne doskonalenie (np. oświaty, służby zdrowia, armii, sądownictwa). Rewolucja komfortowo zwalnia z obowiązku debaty i przyjmowania jakichkolwiek racji od wrogów, którymi są wszyscy spoza naszego obozu. Ją się robi, a nie o niej dyskutuje. Ten koncept zawsze przyznaje rację rewolucjonistom: bo jeśli nasze cele są atrakcyjne i słuszne (np. plan Morawieckiego, repolonizacja Polski, Międzymorze, suwerenność), to słuszne są też nasze działania, a jeśli nie są (Misiewiczze, aborcja), to mamy rewolucyjną odwagę, aby się przyznać, i tym silniejszy mandat, aby iść dalej. W rewolucji nie ma też żadnych częściowych kryteriów oceny; jest dążenie i jego wrogowie.

Otóż w pisowskiej rewolucji, która jest zresztą jakąś historyczną parodią czy cytatem, Antoni Macierewicz odgrywa rolę „pierwszego niezłomnego”; jest przy Kaczyńskim kimś takim jak Che Guevara przy Fidelu Castro lub młody Lew Trocki przy Leninie. Skojarzenia z Guewarą i Trockim, dziś zapewne obraźliwe, są o tyle zasadne, że sam Macierewicz uchodził w młodości za trockistę i miłośnika Che. Radykalizm, ideowość, także rewolucyjna czujność, brutalność wobec wrogów, radość ze sprawowanej władzy są chyba po prostu osobowymi cechami Ministra, raczej niezwiązanymi z wyznawaną akurat ideą. Każda rewolucja przyciąga charakterologicznych rewolucjonistów, a najostrzejszy z nich jest zwykle kierowany na najważniejszy odcinek (tu już oszczędzę historycznych analogii). W ten sposób zapewne Antoni Macierewicz stał się – to już popularne określenie – głównym kapłanem religii smoleńskiej. Trudno znaleźć w historii, także w historii rewolucji, równie absurdalny zwornik dla społecznego ruchu sprzeciwu, jednak aby zostać członkiem PiS, pełnoprawnym uczestnikiem i beneficjentem rewolucji, trzeba przejść kryterium smoleńskie. I wbrew pozorom nie jest to takie głupie.

Uznanie, że w Smoleńsku, wbrew wszystkim zebranym przez specjalistów dowodom, nie doszło do katastrofy lotniczej, lecz do zamachu, jest testem partyjnej lojalności o najwyższej wadze. Jeśli jesteś zdolny zawierzyć swoim

przywódcom do tego stopnia, aby kilkudziesięciu fachowców od wypadków lotniczych uznać za ludzi Putina, premiera rządu za zdrajcę i spiskowca, zanegować widzianą na własne oczy (choć w TV) mgłę, zaprzeczyć odsłuchanym rozmowom pilotów itd., to znaczy, że jesteś człowiekiem wiary. Uwierzysz w Polskę w ruinie, ubeka Wałęsę, Michnika kolaboranta, Mistrale sprzedane za dolara, islamistów gwałcących Polki, kobiety czyhające, aby zabić swoje dziecko. Nie sprzeciwisz się nawet ekshumacjom smoleńskim, bo dowody prawdy mogą być przecież ukryte w grobach.

Przy okazji fenomenu Trumpa politolodzy zwracają uwagę, że jego zwolennicy nie wierzą w żadne podawane przez przeciwników czy tzw. ekspertów liczby, fakty, analizy, świadectwa. Są rewolucyjnymi oddziałami Zmiany. Można by to skwitować smętną uwagą, że oto, nie tylko w Polsce, dożyliśmy takich czasów, że dużą grupę obywateli frustracja, lęk, potrzeba odwetu i sprawiedliwości prowadzą w stronę zawierzenia rewolucjonistom, w tym maniakom i hochsztaplerom. Nie po raz pierwszy w dziejach. Wydawało się, że po ustrojowych eksperymentach XX w. jakoś tam jesteśmy na to odporni. Ale każda szczepionka działa tylko jakiś czas. Przyjmijmy zatem, że właśnie dostajemy serię bolesnych zastrzyków od dr. Macierewicza.

Nowy trumpowski świat

Polityka 47 (3086), 15.11.2016 r.

W większości krajów, Ameryki nie wyłączając, reakcje na wynik wyborów prezydenckich w USA były podobne: zaskoczenie, szok, niewiara. Wszędzie odbywa się dziś mentalna obróbka fenomenu Trumpa. Trwa wrócenie z kampanijnych sloganów.

Sukces amerykańskiego populisty niesłuchanie uradował polską prawicę, choć radość jest nieco zniuansowana i wyrażana powściągliwie. Racjonalnie, i przyznawali to także politycy PiS, trzeba było w kampanii stać przy Hillary Clinton, bo ona, a nie Trump, dawała gwarancje realistycznej, ale surowej polityki wobec Rosji, wzmocnienia NATO i wspólnoty euroatlantyckiej, była gotowa podtrzymać, dla nas krytycznie ważną, rolę przywódcy zachodniego świata. Kandydat republikanów przerażał swoją ignorancją polityczną, dezynwolturą,

mętnymi zapowiedziami nowego resetu z Rosją, zachętami do nuklearnych zbrojeń. Racje oddawano Clinton, ale emocje prawicy były po stronie Trumpa. W prawicowych mediach i portalach uaktywniały się rodzime polityczne klisze: Trump i jego zwolennicy to alter ego prezesa i jego partii; Obama to odchodzący Tusk, Clinton to jego Kopacz, demokraci to zepsuta, skorumpowana po 8 latach rządzenia Platforma, reprezentująca wrogie, egoistyczne i kosmopolityczne elity. A Trump pogoni waszyngtoński salon, lewactwo, gender, LGBT i miłośników różnych latynoskich czy muzułmańskich imigrantów. Ta radość z podobieństw, a więc i jakiegoś symbolicznego udziału w sukcesie Trumpa, wciąż jeszcze przesłania ryzyko, jakim jest pojawienie się w Ameryce prezydenta populisty.

Populizmy narodowe są do siebie bardzo podobne i wobec siebie fundamentalnie wrogie. Jeśli głosi się wielkość własnego narodu, bezwzględne pierwszeństwo własnych interesów, egoizm, nieskrępowaną suwerenność, to jesteśmy wobec siebie na kursie kolizyjnym. A już amerykański geopolityczny izolacjonizm i protekcjonizm gospodarczy są dla całego Zachodu śmiertelnie niebezpieczne. Hasło „powrotu Ameryki do domu” jest dziś dość powszechnie odczytywane jako złożona Chinom i Rosji oferta dogadania się w sprawie nowego podziału stref wpływów i interesów.

Pogardliwy stosunek Trumpa do Unii Europejskiej, wsparcie dla brexitu, sceptycyzm i komercyjne podejście do NATO – to nie są dla Polski dobre sygnały, nawet jeśli próbuje się je przykryć rojeniami o jakimś sojuszu Nowej Ameryki z Orbánem, Kaczyńskim i kolejnymi „suwerenistami”. Jeśli w nowym „trumpowskim” świecie sojusze miałyby zastąpić gra narodowych interesów i potencjałów, to Polska ma dużo więcej do stracenia niż zyskania. Wyobraźmy sobie trumpowskie hasło, choćby w wersji: „Uczyńmy Niemcy znowu wielkimi”?

Odebraliśmy także bardzo gorzką lekcję nowej polityki. Hillary okazała się dowódcą armii w niegdysiejszej wojnie, toczonej według starej taktyki i konwencjonalną bronią. Trump prowadził wojnę hybrydową, brudną, z jawnym lekceważeniem reguł i kampanijnych konwencji. Czy to znaczy, że w przyszłości już tak będą wyglądać polityczne i wyborcze starcia, że podstawowym uzbrojeniem rywali staną się pomówienia, oszustwa, wulgaryzmy, groźby, że przeciw chamowi będzie musiał stanąć jeszcze większy cham, a na koniec, jak w reality show, publiczność wybierze tego, kto ją bardziej podekscytował?

W tej nowej politycznej rzeczywistości programy nie byłyby już elementem społecznej wizji, ale instrumentem gromadzenia emocji, scalania zwolenników, poniżania wrogów. Politolodzy szukają formuł opisujących tę rodzącą się „postpolitykę w epoce postprawdy”. Jedną ze zgrabniejszych brzmi: kiedyś wyborcy wybierali „left or right” (między lewicą i prawicą), teraz „right or wrong” (między dobrym i złym), bo polityka przenosi się w sferę sporów moralnych. Współczesny populizm, nakręcany przez nowe media, narzuca też starej demokracji swoje metody: obiecuj wszystko każdemu, prawdę kłamstwem zwyciężaj, dawaj fałszywe świadectwo, nie szukaj rozwiązań, ale winnych; wygraj, a potem się zobaczy.

Wybór Donalda Trumpa, przy całej radości prawicy z „upokorzenia salonu i ogłupiających postępówców”, to dla świata i dla Polski zła wiadomość. W sytuacji niepewności naturalnym odruchem jest podtrzymywanie nadziei, że przecież jakoś to się ułoży, że nie będzie tak źle. Na razie tylko tego można się trzymać.



Rozdział

III

2017: SĄDNY ROK

Drugi rok władzy PiS to był zdecydowanie „rok trzeciej władzy”. Okazało się, że ostateczne przejęcie kontroli nad Trybunałem Konstytucyjnym, które dopełniło się w grudniu poprzedniego roku nominacją Julii Przyłębskiej na prezesa TK, to był dopiero pierwszy etap planu likwidacji niezależnego sądownictwa. W kampanii 2015 r. PiS akurat tego wątku nie eksponował, teraz wymiar sprawiedliwości znalazł się w centrum operacji politycznych Zjednoczonej Prawicy. Rolę wykonawcy, do jakiegoś stopnia też projektanta, planu Jarosław Kaczyński powierzył Zbigniewowi Ziobrze, który jako minister sprawiedliwości za pierwszego PiS wykazał się, i pewnie też zaimponował prezesowi, radykalizmem, bezwzględnością w rozprawianiu się z przeciwnikami, także przy użyciu służb specjalnych (afery gruntowa), mediów (sprawa dr. Garlickiego), organizowanych nagonek (sprawa Barbary Blidy). Ziobro w nowym rozdaniu oprócz funkcji ministra otrzymał też stanowisko prokuratora generalnego, z prawem bezpośredniego ingerowania w śledztwa, także ujawniania dowolnych materiałów dochodzeniowych czy procesowych.

W pierwszych miesiącach 2017 r. Zbigniew Ziobro wyraźnie skupił się na budowaniu własnego wizerunku jako surowego dla przestępców szeryfa, co w Polsce zawsze dawało popularność. Już w styczniu na wniosek ministra sprawiedliwości znowelizowano Kodeks karny, wprowadzając m.in. karę 25 lat więzienia za wyłudzenie zwrotów w podatku VAT. W marcu Sejm powołał komisję weryfikacyjną ds. reprivatyzacji nieruchomości warszawskich. Na jej czele stanął zastępca Ziobry i jego partyjny kolega z Solidarnej Polski Patryk Jaki. Piętnowanie rzeczywistych patologii związanych z reprivatyzacją miało jasny, dodatkowy cel polityczny: atak na wywodzące się z PO władze stolicy. Komisja w sensie prawnym była tworem kuriozalnym, łączyła funkcje organu administracji państwowej, komisji śledczej, prokuratury, sądu – w praktyce jej decyzje okazały się nieskuteczne, łatwo podważalne, a dorobek, jeśli chodzi o naprawianie krzywd – znikomy. Zaraz potem ministerstwo wprowadziło w życie groźny dla przedsiębiorców przepis o konfiskacie przez państwo majątków firm „zamieszanych w bezprawne działania”. Zaostrzenie kar jako reakcja na publiczne wzburzenie stało się zresztą znakiem firmowym całej kadencji Zbigniewa Ziobry.

Najważniejsze ustawy dotyczące „reformy sądownictwa” przygotowano na lipiec, początek wakacji. Najpierw Sejm uchwalił ustawę o Krajowej Radzie Sądownictwa i ustroju sądów powszechnych, dającą ministrowi sprawiedliwości pełnię władzy w nominacjach sędziowskich na wszystkich szczeblach. Skrócono kadencje urzędującej KRS, co otworzyło drogę do powołania przez większość sejmową jej nowego „upolitycznionego” składu. Było to, zdaniem autorytetów prawniczych, jawne złamanie Konstytucji. Kilka dni później Sejm, w ekspresowym trybie, przyjął ustawę zmieniającą ustrój Sądu Najwyższego. Zakładała ona m.in. przeniesienie w stan spoczynku wszystkich sędziów SN, z wyjątkiem wskazanych przez ministra sprawiedliwości i prezydenta. Ten zamach na – świętą dla demokracji – zasadę trójpodziału władzy wywołał ogromne protesty w kraju i za granicą. Przed gmachem SN zebrały się tłumy protestujących, organizowano nocne czuwania przy świecach i zniczach. Masowe demonstracje, z żądaniem weta, odbywały się pod Pałacem Prezydenckim.

Nieoczekiwanie ostatniego dnia lipca Andrzej Duda ogłosił, że odmawia podpisania ustawy o Sądzie Najwyższym. Decyzja wyraźnie nie była uzgodniona z Jarosławem Kaczyńskim – i był to pierwszy akt niesubordynacji prezydenta wobec prezesa.

Weto wzbudziło entuzjazm i wielkie nadzieje po stronie opozycji. Powszechnie oczekiwano, że oznacza to koniec ataków na niezależność sądownictwa. Protesty ustały. Ale w wyniku niejawnych dla opinii publicznej uzgodnień między Jarosławem Kaczyńskim i Andrzejem Dudą prezydent złożył własny projekt nowelizacji ustawy o SN, jak się okazało, niewiele odbiegający od pierwotnego. Ustawa, ostatecznie uchwalona w grudniu, umożliwiła wprowadzenie do składu SN neosędziów, powołanych przez neo-KRS, tworzyła także dwie nowe izby: Kontroli Nadzwyczajnej, z prawem niemal dowolnego uchylania wyroków sądów powszechnych, oraz Izbę Dyscyplinarną, której priorytetowym zadaniem stało się karanie sędziów odmawiających orzekania z neosędziami. W odpowiedzi Komisja Europejska po raz pierwszy w historii użyła „przeciw Polsce” art. 7 Traktatu UE o zagrożeniu praworządności. Proces przejmowania kontroli nad sądownictwem, mimo wymiany prezesów sądów i szykan wobec „buntowników”, nie przebiegł zgodnie z planem rządzących, głównie dzięki oporowi tysięcy sędziów broniących etosu zawodu i swoich konstytucyjnych uprawnień. Ta batalia o niezależność Trzeciej Władzy rozciągnęła się na kolejne 7 lat.

Rok 2017 był pełen napięć i żywiołowych demonstracji m.in. lekarzy rezydentów, nauczycieli, ekologów – protestujących przeciw masowej wycince Puszczy Białowieskiej

– czy „rodzin smoleńskich” oburzonych wymuszonymi przez prokuraturę ekshumacjami („Katastrofa bez końca”). Ale agresywna, arogancka władza okazywała się jednocześnie niezborna, niepoważna, coraz częściej śmieszna. Polska bawiła się aferą Bartłomieja Misiewicza (młodego faworyta ministra obrony Antoniego Macierewicza) powoływanego na kolejne państwowe stanowiska, mimo – jak później stwierdziła specjalna komisja partyjna – „braku kwalifikacji”. Sam Antoni Macierewicz snuł kolejne tragicomiczne opowieści smoleńskie, tym razem m.in. o wybuchu w powietrzu bomby termobarycznej.

Wypadek samochodowy rządowej kolumny z Beatą Szydło ujawnił nie tylko naruszanie procedur przez BOR, ale i fabrykowanie dowodów przeciwko prywatnemu kierowcy, uczestnikowi wypadku. (Dopiero po 6 latach sąd orzekł winę obu stron i umorzył postępowanie). Ale liczne wypadki służbowych limuzyn nowych prominentów były stałym źródłem kpín i memów. Podobnie jak wyprawa ministra spraw zagranicznych Witolda Waszczykowskiego na nieistniejący San Escobar („Strasznie śmiesznie”). Nawet przyjazd Donalda Trumpa do Polski („Ameryka kocha Polskę i odwrotnie”), ogłoszony jako wielki sukces rządu, był mocno zaprawiony upokarzającym gospodarzy paternalizmem. Furorę robił kabaretowy program „Ucho prezesa”, który wykreował m.in. komediowe postaci Mariusza (Błaszczaka), niezbyt rozgarniętego asystenta prezesa, czy Adriana – prezydenta, wiecznie oczekującego pod drzwiami na audiencję u szefa.

Ale największą kompromitacją ekipy rządzącej była operacja, która przeszła do historii jako „27:1”. Polska jako jedyny z 28 krajów Unii zagłosowała przeciwko kandydaturze Donalda Tuska na drugą kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej. Najzabawniejsze było ogłoszenie tego głosowania jako triumfu suwerenności Polski i osobistego sukcesu Beaty Szydło („Ponieśliśmy zwycięstwo” nr 11/17), witanej na lotnisku przez prezesa wielkim bukietem kwiatów. I później zdymisjonowanej bez podania przyczyn („Jeszcze lepsza zmiana” nr 50/17).

Po brukselskim „sukcesie” 27:1 notowania PiS po raz pierwszy od wyborów 2015 r. spadły poniżej poziomu poparcia dla PO. To przejściowo bardzo poprawiło nastroje wyborców opozycji, dla których ten rok był w sumie ciężkim doświadczeniem. W kryzysie, po kompromitacji pierwszego przewodniczącego Mateusza Kijowskiego, znalazł się Komitet Obrony Demokracji, typowany już na nową Solidarność. Wizerunkowe kłopoty Ryszarda Petru osłabiły i podzieliły ważną dla opozycji partię Nowoczesna („Faktury z Madery” nr 2/17). Nowy szef PO Grzegorz Schetyna dopiero pod

koniec roku zorganizował pierwszą w miarę udaną konwencję programową, ale już bez dalszego politycznego ciągu. Wiadomo też było, że wciąż najbardziej wpływowym i doświadczonym politykiem opozycji Donald Tusk nie wróci do polskiej polityki przed końcem dekady. To zwiększało szanse PiS na sukcesy w kolejnych wyborach. I poczucie beznadziei po stronie opozycji, czego tragiczną kulminacją było samospalenie Piotra Szczęsnego, „Szarego Człowieka”, na pl. Defilad w Warszawie („Niewygodne przestanie”).

Rok 2017 przypomina się jako dramatyczny, ale i dziwnie komediowo niepoważny.

Zapraszam: najpierw na Maderę, potem na San Escobar i do Filharmonii Narodowej na balkon.



PRZYPISY 2017

Faktury z Madery

Polityka 2 (3093), 10.01.2017 r.

Im bardziej PiS ma jednego szefa, tym bardziej opozycja żadnego. Teraz wyraźniej widać, na czym polegała kpina prezesa, gdy proponował, aby opozycja wybrała swojego lidera; prosty sygnał, że skończyła się epoka Tuska i „niestety, panowie, po waszej stronie nie ma już dla mnie przeciwnika”. Odkąd PiS doszło do władzy, szydzenie z opozycji stało się jedną z ulubionych rozrywek jego posłów i działaczy. A już miniony tydzień, za sprawą panów Petru i Kijowskiego, przyniósł wręcz himalaje uciechy. Pajace, błazny, geszefciarze, ciamajdan – to tylko nieliczne z określeń, jakimi publicyści i politycy PiS obdarzyli „panów od Madery i od faktury”.

Sylwestrowa eskapada posła Petru nie miałaby pewnie trwalszych politycznych konsekwencji, gdyby nie próby odzyskania przez pana przewodniczącego powagi, przykrycia aferki przez samodzielne „szukanie kompromisu z PiS” w sprawie kryzysu sejmowego. Ale i tak dla antypisowskiej opozycji sprawa Petru wydaje się mniej groźna niż problem z Mateuszem Kijowskim.

KOD to wciąż największy spontaniczny ruch społeczny, jaki pojawił się w Polsce od czasów Solidarności. W ubiegłym roku w marszach i akcjach KOD brały udział setki tysięcy ludzi oburzonych poczynaniami władzy, traktowaniem państwa i jego zasobów jako partyjnego łupu, demolowaniem demokratycznych instytucji, pogardą okazywaną „Polakom gorszego sortu” – to sformułowanie stało się wręcz hasłem założycielskim KOD. Masowe marsze KOD zrobiły wielkie wrażenie za granicą, a dla PiS – mimo ostentacyjnego lekceważenia i obrażania manifestantów – stały się pierwszym poważnym ostrzeżeniem.

Kijowski został liderem, a właściwie publiczną twarzą ruchu trochę z przypadku, bo – przypominamy tu własne reportaże – jako człowiek znający się na komputerach, mający sporo wolnego czasu i ogólnie skłonność do społecznego aktywizmu znalazł się po prostu we właściwym czasie i miejscu. Nikt nie robił

castingu na przewodniczącego, nie było też żadnego kontrkandydata, a ponieważ Kijowski wykazał się naturalnym talentem retorycznym i jaką taką sprawnością organizacyjną, nawet ujawnienie jego alimentowych długów nie zahamowało procesu medialnego utożsamiania KOD z Kijowskim.

Właściwie już po pierwszych akcjach KOD w 2015 r. uczestnicy marszów chcieli szybkiego stworzenia jakiejś struktury organizacyjnej potrzebnej do obsługi demonstracji, gromadzenia środków, chcieli powołania lokalnych komórek, być może jako załączka przyszłego komitetu wyborczego. Niestety ani Mateusz Kijowski, ani grupa amatorów działaczy nie poradziła sobie z tym zadaniem. Przekształcenie luźnej formacji marszowej w organizację nie udało się do dziś. Nie odbyły się spotkania programowe, są tylko tymczasowe władze, nadal nie wiadomo, jaki miałyby być polityczny charakter i kierunek ruchu.

Sam lider, jego (podobno) autorytarny sposób sprawowania władzy, też zaczął być kontestowany, a w sprawie faktur (jakimi obciążał KOD) Kijowski sam się kompromitująco podłożył. To wszystko jest bardzo niebezpieczne dla przyszłości głównego dziś ruchu oporu wobec rządów PiS i przykre dla aktywistów i sympatyków KOD. Błędem okazało się zawieszenie organizacji na jednym człowieku. Zniechęcenie do KOD byłoby wielkim sukcesem PiS. Na razie najlepszym wyjściem wydaje się rzeczywiście pomysł tymczasowego zbiorowego zarządu i możliwie szybkiego przeprowadzenia wyborów. Pytanie, czy na dłuższą metę KOD może funkcjonować bez jednoosobowego przywództwa?

To jest w ogóle największy dziś problem opozycji antypisowskiej: brak liderów. Grzegorz Schetyna ma największe doświadczenie i wyczucie polityczne, ale emocji nie skupia, Tuskiem nie jest. Ryszard Petru zbyt często ujawnia brak doświadczenia, naiwność, narcyzm, podatność na manipulację, aby być realnym przeciwnikiem dla Kaczyńskiego. Kosiniak-Kamysz na ludowego lidera w czasach populizmu średnio pasuje. Władysław Frasyniuk, jedyny dziś autentyczny potencjalny lider całej opozycji, do tej roli się nie rwie.

Paweł Kasprzak, szef niedużej liczebnie, ale zdeterminowanej grupy opozycyjnej Obywatele RP, jest świetny jako organizator dokuczliwych dla władzy akcji nieposłuszeństwa, ale, jak sam mówi, Obywatele RP powinni być tylko jednym z nurtów opozycji. Zresztą gdyby zebrać oczekiwania, jakie powinien spełniać wymarzony lider opozycji, otrzymalibyśmy niemożliwe połączenie Trumpa z Merkel, bo na Kaczyńskiego potrzebny byłby cham, demagog, kłamca

i brutal, a centrowy, umiarkowany elektorat liberalny pragnąłby kogoś w stylu niemieckiej kanclerz.

Tymczasem, niestety, nie mamy innej opozycji, niż jest; trzeba też sobie zdawać sprawę, że trwa konsekwentna akcja wszystkich rządowych mediów dezawuuująca partie opozycyjne. A naprzeciwko tej rozsypanej, pluralistycznej, niepewnej siebie i swoich przywódców opozycyjnej masy stoi armia: dziesiątki tysięcy posad, miliardy złotych do dyspozycji, jeden lider oraz scalające poczucie zwycięstwa.

Żeby zaprowadzić swoje wizje, Kaczyński będzie swoich przeciwników dzielił i na siebie napuszczał. Rozsądek nakazywałby, aby opozycja w tej grze nie uczestniczyła. Dziś najważniejsze jest utrzymanie podstawowej solidarności i wzajemnej lojalności, w myśl prostej zasady: nie gryźcie się, bo was zjedzą.



Strasznie śmiesznie

Polityka 3 (3094), 17.01.2017 r.

Już dawno nic tak nie rozbawiło Polaków jak drobne i w gruncie rzeczy niewinne przejęzyczenie ministra Waszczykowskiego o karaibskim państwie „San Escobar”.

Internetową zabawę w nieistniejące państwa szybko podjęły także duże światowe media. Nigdy wcześniej minister Waszczykowski nie odniósł porównywalnego globalnego sukcesu. O ile w zagranicznych telewizjach i portalach polski minister znalazł się w dziale „michalków” domykających serwisy informacyjne (obok tradycyjnych wiadomości z życia pand), o tyle w Polsce memy z San Escobar, krążące i komentowane wśród milionów odbiorców, przerodziły się w wielki zbiorowy spektakl satyryczny, bezbłędnie wyłapujący istotne cechy obecnej władzy. Jakby odkrywca („Waszczo da Gama”) nagle odsłonił przed naszymi oczami bajkowy, „jamajski” wymiar polityki PiS.

Oto bowiem polskie służby zagraniczne skupiły się ostatnio na zabiegach o przyznanie Polsce miejsca „niestałego członka” Rady Bezpieczeństwa ONZ. To w tej sprawie dyplomaci i sam minister szukają poparcia wśród różnych państw i państweczek, nie wykluczając wysp St. Kitts and Nevis, czyli prototypu San Escobar. Jest to wielki wysiłek włożony w sprawę bez jakiegokolwiek realnego znaczenia (no, może poza propagandową ekstazą TVP). Akurat wtedy, gdy Unia Europejska, nasze najbliższe, naturalne środowisko życia, przechodzi kolejne kryzysy i transformacje, z najważniejszymi państwami Unii mamy stosunki napięte lub żadne, a w Brukseli i Strasburgu rząd Kaczyńskiego jest napiętnowany i ignorowany. Budżet państwa demonstracyjnie przyjęto bez udziału opozycji; Trybunał Konstytucyjny został dobity i ośmieszony. Jedyny świeży sukces polityczny – przyjazd wojsk amerykańskich – to ostatnia, uparta decyzja odchodzącego prezydenta Obamy, traktowanego przez obóz prawicy jako lewak, już na szczęście wyrugowany przez Super Trumpa. Polska polityka zagraniczna jest dziś – używając pisomowy – w ruinie, jest wrakiem, unoszonym bez kierunku i bez napędu, z załogą ogarniętą jakimiś geopolitycznymi, radosnymi i kolorowymi majakami o polskim Międzymorzu. Do którego dołączyliśmy właśnie Morze Karaibskie.

Ale w memach sanescobarskich jest jeszcze sporo innych charakterystycznych skojarzeń. Oto owe wyspy jawią się jako reklama pisowskiego rajku, gdzie nie trzeba będzie pracować, bo dobry rząd pod kierunkiem Don Jarcosa wypłaci „Los Polacos prima sort” po 500 pablos, za które będziemy mogli żyć beztrudnie na plażach Esperalu. Przy okazji celebrowania przyjaźni polsko-sanescobarskiej rządy obu krajów są przedstawiane jako typowe „bananowe junty”: jest miejscowy prawdziwy szef szefów (odpowiednik kolumbijskiego króla narkotyków Pablo

Escobara), jest marionetkowy prezydent, szef rządowych bojówek Don Antonio i inni funkcjonariusze, zanurzeni w polsko-latynoskiej tandetnej religijnej symbolice, gdzie niemal wszystko jest „san lub santo”, a w stolicy o nazwie Santo Subito właśnie wyświetlają film o lotniczej katastrofie pt. „Santa muerte”. Oczywiście to tylko żarty, ale ujawniające mimochodem dwoistą, śmieszno-groźną naturę tej władzy.

Ktokolwiek mógł obejrzeć najbardziej eksponowany, ze względu na porę emisji (niedziela godz. 20.15), film TVP pt. „Pucz” (współreżyserki „Smoleńska”) o zakończonym/zawieszonym kryzysie parlamentarnym, miał znakomitą ilustrację owej straszno-śmiesznej formuły. Otóż wszystkie wydarzenia 16 grudnia i potem „były doskonale przygotowane, co do minuty”, przez nieudolną skądinąd i skłóconą opozycję, po to, aby odebrać zwykłym Polakom 500 plus i obronić ubeckie emerytury uczestników KOD. Wspólnikami puczystów, obok „lewackiej antify blokującej wyjścia z Sejmu” (taki umieszczono napis na ekranie), stała się też amerykańska spółka emisyjna, która „zablokowała sygnał TVP”, po to głównie – jak wynikało z komentarza – by na życzenie Moskwy dokonać siłowej zmiany władzy i nie dopuścić do rozmieszczenia wojsk USA w Polsce (komentarz facebookowy: czy TVP może podać adres zielarza na San Escobar, u którego się zaopatrują?).

Fakt, każdego dnia mamy przejawy tej „karaibskiej” ekspresji: jakże zabawne było obserwowanie wysiłków wszystkich kanałów TVP, aby nie informować o Wielkiej Orkiestrze Owsiaaka (główną relacją dnia była gospodarska wizyta pierwszego sekretarza partii w Gorzowie i Poznaniu – pełny odlot). Albo rozkojarzona deklaracja ministra Szyszki, że nie obniżymy (do poziomu europejskiego) norm alarmowych zanieczyszczenia powietrza, bo wtedy mielibyśmy alarm bez przerwy. Jak z kabaretu „Ucho prezesa” brzmią napuszone deklaracje ministra obrony o natychmiastowym zakupie bojowych śmigłowców (nie będzie) lub ich wspólnej produkcji z Ukrainą (że co?). A spektakularne wahania prezydenta przed zdyscyplinowanym podpisaniem ustawy gimnazjalnej lub budżetowej?

Ta władza może być groźna, choć wciąż bywa także śmieszna. Jak junta z San Escobar.



Człowiek i jego ludzie

Polityka 5 (3096), 31.01.2017 r.

Czasami fotografowi trafia się zdjęcie, które w jednym mgnieniu opowiada jakąś historię czy emocję trudną do przekazania słowami. Niektóre z nich na długo nabierają rangi symbolu, stają się znakiem czasu. Jedno z takich zdjęć, przedstawiające zbliżenie twarzy Jarosława Kaczyńskiego, przedzierającego się w limuzynie przez tłum blokujący Sejm, zamieściliśmy niedawno na okładce „Polityki”. Teraz mamy kolejne niezwykle ujęcie, które obiegło internet: to fotografia zrobiona w Filharmonii Narodowej podczas uroczystej gali wręczenia prezesowi PiS tytułu Człowieka Wolności tygodnika „wSieci”. (Wydawnictwo Fratria odmówiło nam sprzedaży tego zdjęcia. Nieco podobny kadr drukujemy na okładce).

Oto ta scenka: teatralny balkon, w środku, na pierwszym planie, kamienna, skierowana do widza twarz prezesa, a wokół tłumek klaszczących ludzi władzy: On siedzi, wszyscy stoją. Niektórzy, zwłaszcza nieco odsunięci od centrum, demonstrują entuzjazm. Najbliżej prezesa, ale z zachowaniem należytej wolnej przestrzeni, formacja trójpostaciowa: tworzą ją premier, marszałek Sejmu i Antoni Macierewicz. Inni ministrowie stoją w dalszych rzędach, większość wygląda raczej na spiętych lub zmęczonych. Układ do złudzenia przypomina trybunę honorową z dawnych uroczystych zjazdów partii, gdzie odległością od przywódcy mierzono wpływy polityczne; gdzie cały dygnitarski światek stanowił jedynie, niewiele znaczące, tło dla Pierwszego. Oczywiście, że akademia ku czci ma swoją ponadczasową estetykę, ale ten akurat obraz nie jest ani przyjemny, ani przyjacielski, ilustruje dystans, dominację lidera, jedynowładztwo, napuszoną

autocelebrę nowych właścicieli kraju. (Sponsorami i partnerami nagrody, jak chwali się tygodnik, byli: PZU, Orlen, PGNiG, PKO BP, Tauron, PGE, Totalizator, SKOK, Poczta Polska i inni – trzeba by sprawdzić, czy zabrakło jakiejś państwowej spółki).

Dobrze, to teraz zatrzymajmy wizję i włączmy fonię. Liczba i jakość wypowiedzianych podczas gali pochlebstw, drukowanych potem przez prawicowe portale i media, była fantastyczną próbką nowomowy, a właściwie, dla pamiętających PRL, staromowy. Po raz kolejny mistrzynią tej formy okazała się Pani Premier, która od kampanii wyborczej jeszcze udoskonaliła zestaw podręcznych związków frazeologicznych, używanych zresztą przez wszystkich ministrów, a zwykle obracających się wokół „Polek, Polaków i Polski”. Więc tym razem „Jarosław Kaczyński całe życie poświęcił wolności Polaków i Polski”, a „ta wolność daje nam dzisiaj poczucie, że jesteśmy prawdziwie wolnymi Polakami”, bowiem „Polacy mogą się czuć prawdziwie wolni dzięki premierowi Jarosławowi Kaczyńskiemu i jego bratu Lechowi Kaczyńskiemu”. Tę wolność przez program PiS „możemy dzisiaj budować razem wszyscy”, a „Polska nie musi kłaniać się na zagranicznych salonach, ale to Polska jest państwem, z którym muszą się liczyć inni”. To, co Jarosław Kaczyński zasiał w głowach swoich podwładnych, obficie zebrał podczas gali. (Właśnie Pani Premier otrzymała tytuł „Człowieka Roku Strefy Wolnego Słowa” Klubów Gazety Polskiej).

Za to laudacja ze strony redaktora gazety „wSieci” (nazwisko pominę, bo może mu się jeszcze kiedyś przyda) wyrażała w uroczystej formie stosunek licznych środowisk prawicowych, również tzw. mediów niepokornych, wobec Partii i Osoby. Niegdysiejsze spotkanie redaktora z Jarosławem Kaczyńskim to był, cytuję, „przede wszystkim potężny kop w głowę; strumień myśli, informacji, diagnoz, analiz”. Autor spotkał się wtedy z „charyzmą utkaną z potęgi myśli” (nigdy w historii III RP nie słyszałem, aby jakikolwiek dziennikarz wypowiadał się w ten sposób o jakimkolwiek polityku – ale pewnie żaden nie zasłużył). To Jarosław Kaczyński dał bowiem „prawdziwy wybór Polakom” i „włączył nas w grę o zmianę świata”. Dzięki temu jest dla wielu czytelników tygodnika „bezwarunkowym autorytetem”. Te deklaracje wypowiedziane były z autentycznym wzruszeniem.

A co na to Człowiek Wolności? Chyba sam prezes wolałby tytuł Patrioty Roku (przyznany już niestety Antoniemu Macierewiczowi) czy Demokraty Roku, bo „wolność” za bardzo kojarzy się z liberalizmem, ale sprowokowany tytułem

nagrody Laureat poczynił kilka spontanicznych uwag. Słusznie zauważył, że „wolność łatwo można utracić. Spójrzmy choćby na Wschód”. Także „Wolność w Europie jest w odwrocie. Szczególnie na zachód od naszych granic”. Zatem i na Wschodzie, i na Zachodzie jest źle i „może się zdarzyć tak, że Polska pozostanie wyspą wolności”. W tym celu niezbędne jest silne państwo. „Nie ma wolności bez silnego państwa. Strefę wolności i demokracji może stworzyć tylko i wyłącznie państwo narodowe”. I najważniejsze przesłanie: „Trzeba odrzucić postawy w gruncie rzeczy antypaństwowe, które znajdują swoje uzasadnienie w odwoływaniu się do wolności”. A zatem (chyba tylko taka interpretacja jest dopuszczalna) wolność nie wymaga bynajmniej ochrony obywateli przed władzą, gwarancji dla ich osobistych praw, respektu dla ich poglądów, przekonań, stylu życia, nie potrzebuje służebności i uspołecznienia państwa, ale jego „siły”, uosabianej przez centralny ośrodek władzy politycznej, który wyznacza „strefę wolności i demokracji”. Zatem: dysponentem naszej wolności ma być Człowiek Wolności. I jego ludzie.

Ale podczas gali wolności, prawa i sprawiedliwości padły też nieoczekiwane słowa otuchy. Oto sam Laureat zauważył: „ci, którzy po dziś dzień myślą o tym, by wolność ograniczyć i tego nie ukrywają, nie mają szans. Przegrają”. Pewnie rozumienie wolności całkowicie nas dzieli z Człowiekiem Wolności, ale konkluzja całkowicie łączy.

Ponieśliśmy zwycięstwo

Polityka 11 (3102), 14.03.2017 r.

Sporo w tym numerze piszemy o „brukselskim sukcesie” Beaty Szydło, która „poniosła wielkie zwycięstwo” (cytat z mema), broniąc (dalej będą cytaty z PiS) europejskiej jedności oraz godności Polski przed resztą Europy (działającą pod dyktando Niemiec) oraz przed Donaldem Tuskiem (niemieckim nominatem), nagrodzonym za wyprzedzą polskich stoczni, który uczestniczy w ataku na Polskę pod flagami Unii Europejskiej... Można by to zdanie ciągnąć, ale po co? To tak jakby otwierać cudzą przesyłkę; te zdania są adresowane przede wszystkim do działaczy i wyborców PiS, którzy słysząc – jeśli słuchają niewłaściwych stacji lub osób – o dyplomatycznej katastrofie w Brukseli, przegranej 27:1, osobistym

sukcesie Donalda Tuska i publicznej kompromitacji polskiego rządu, mogli przez chwilę zwątpić w geniusz prezesa oraz głęboki sens operacji „utłuc Tuska”. Wahający się i wątpiący otrzymali nie tylko szybką podręczną argumentację (Niemcy, Niemiec, niemiecki), ale też widowisko: triumfalne, huczne powitanie Pani Premier na lotnisku, z osobistym udziałem Pana Prezesa oraz ministra Macierewicza (choć tym razem bez asysty wojskowej i apelu smoleńskiego). Tak wita się zwycięzców i bohaterów. Co było do okazania.

Przy okazji odsłoniły się sztywne elementy konstrukcyjne pisowskiej propagandy. Otóż każde wydarzenie jest interpretowane według tej samej prostej zasady: PiS nigdy nie przegrywa; jest albo triumfotorem, albo niewinną ofiarą. Tak czy owak zawsze zwycięzcą – realnym lub moralnym. Gdyby udało się zablokować kandydaturę Tuska, byłby to wielki sukces finezyjnej strategii prezesa i „polskiej dyplomacji”; w przypadku sromotnej przegranej sukces nie jest mniejszy, bo jako jedyni bezkompromisowo bronimy zasad europejskich i swojego honoru. Ta formuła stosuje się i będzie stosowana do każdej sytuacji: gospodarki (jeśli wpadnie w kryzys i chaos, będzie to wina unijnej zmowy inspirowanej przez Tuska oraz patologicznych zachowań biznesu); unijnych dotacji, służby zdrowia, edukacji – wszędzie, jeśli coś się uda – to my; co złego – to nasi wrogowie. W tym propagandowym świecie każda klęska zamienia się w godnościowy sukces, mobilizuje do – jak się kiedyś mówiło – „jeszcze bardziej wytężonej walki” z atakującymi nas z zewnątrz i od wewnątrz wrogami. Ba, klęski są politycznie cenniejsze niż ewentualne sukcesy, które rozleniwiają, osłabiają spójność, determinację i poczucie krzywdy działaczy i wyborców.

My do tej retoryki godności i honoru, spisków i wrogów jakoś tam przywykliśmy, podobnie jak do pisowskiej taktyki politycznej, składającej się z marnych prawniczych trików, opatrzonych w patetyczne odwołania i prostackie pomówienia, ale polityczna Europa przeżyła pewien szok poznawczy. W dzień wyborów oglądałem zagraniczne telewizje, obserwując zmagania brukselskich korespondentów, aby wytłumaczyć swoim widzom, o co chodzi w atakach rządu polskiego na polskiego przewodniczącego Rady. Dominowały dwie hipotezy: mściwość Jarosława Kaczyńskiego, który wcześniej wielokrotnie przegrywał z Tuskiem wybory, uważa go za swojego osobistego wroga, współodpowiedzialnego za śmierć brata bliźniaka w katastrofie lotniczej; oraz zamiar utracenia Tuska jako przyszłego politycznego rywala i potencjalnego lidera

opozycji. Mniej więcej taki przekaz docierał do tzw. europejskiej opinii publicznej, wzmacniając wizerunek Jarosława Kaczyńskiego („polskiego lidera”) jako polityka irracjonalnego, agresywnego, ulegającego obsesjom i żądzy odwetu. Wezwanie Donalda Tuska przez prokuraturę na świadka w jakiejś drugorzędnej sprawie dotyczącej działalności służb specjalnych potwierdza taki scenariusz: Kaczyński Tuskowi nie odpuści. Nigdy.

Fakt, że wszystkie kraje unijne jednoznacznie i demonstracyjnie opowiedziały się za Tuskiem, a przeciw rządowi, to jest prawdziwy wymiar klęski PiS. PiS odnotował ciężką polityczną i prestiżową porażkę, potraktowany przez resztę Europy jako „rząd tymczasowy”.

Po brukselskiej kompromitacji intensywność antyunijnej i antytuskowej propagandy zapewne niepomiarnie wzrośnie, pytanie, czy jej skuteczność ograniczy się do twardego elektoratu obozu władzy, czy kropla po kropli PiS zdoła rozmiękczyć proeuropejskie nastawienie 70–80 proc. Polaków i przygotować Polskę albo do całkowitego wyjścia z Unii, albo zaakceptowania jej statusu w strefie „najniższej prędkości”? Kolejna wyborcza bitwa o naszą przyszłość rozegra się dopiero w latach 2019–20, ale opozycja, dotąd pozbawiona głowy, dzięki Kaczyńskiemu nagle zyskała wodza. Niedawno nikt by nie uwierzył, że to znowu będzie Donald Tusk.

Pan prezydent powiedział

Polityka 19 (3109), 09.05.2017 r.

Przy okazji wyborów we Francji mogliśmy się przekonać, jak ryzykowny politycznie jest system prezydencki, jak wrażliwy na przebieg kampanii. W polskiej konstytucji prezydentura jest tak umocowana, że choć ogranicza realną władzę głowy państwa, pozwala gromadzić poparcie środowisk znacznie szerszych niż własny obóz polityczny. Funkcja prezydenta jest w znacznej mierze osobista, nie podlega partyjnej kontroli, kadencja jest nieskracalna, ochrona i pensja dożywotnie, ba, nawet perspektywa reelekcji jest tym pewniejsza, im szersze niż jednopartyjne poparcie. Słowem, daje szanse wyjścia z partyjnego przedpokoju. Niestety, Andrzej Duda zgodził się na ograbienie swojego urzędu

z wiarygodności i znaczenia, czyniąc go de facto bezwartościowym nie tylko dla państwa, ale nawet dla własnej partii.

W jakiś cyniczny sposób Duda miał rację, deklarując ostatnio, że przecież nie jest i nie może być „prezydentem wszystkich Polaków”, bo nie wszyscy na niego głosowali. Ale na tym właśnie polega ustrojowa i moralna istota tego urzędu, w polskiej wersji, że prezydent powinien także wysłuchiwać, reprezentować i choćby symbolicznie dowartościować tych, którzy na niego nie głosowali. Teraz retoryczne pytanie: czy Andrzej Duda, przez już niedługo dwa lata urzędowania, zrobił cokolwiek, wykonał jakikolwiek istotny gest w stronę opozycji, wykroczył choć odrobinę poza najprościej rozumiany interes własnej partii, czy choć raz cofnął się przed złamaniem konstytucji, na którą przysięgał? Pamiętamy być może jeszcze buńczuczne zapowiedzi powołania jakichś pluralistycznych Rad Rozwoju, wielopartyjnych konsultacji w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, otwartych debat na temat tzw. reform edukacji i sądownictwa – i co? I pstro – jak pewnie skomentowałby Pan Mariusz z wiadomego kabaretu.

Andrzej Duda, pod presją kolejnych państwowych świąt, a także pewnie z własnej woli, był ostatnio nadzwyczaj aktywny, co dość zgodnie zostało odczytane jako desperacka próba zmiany wizerunku, który przykleiło mu „Ucho prezesa”. Postać Andrzeja/Adriana, bezskutecznie oczekującego na audiencję u prezesa – choć w kabarecie jakoś sympatyczna i budząca współczucie – jest dewastująca dla wizerunku głowy państwa. Dymisja dotychczasowego rzecznika Marka Magierowskiego zapowiada więc próbę wizerunkowego resetu; być może taki też był najgłębszy motyw propozycji referendum w sprawie zmiany Konstytucji. Trudno przecież uwierzyć, aby Andrzej Duda był na tyle zadufany czy niemądry, by naprawdę sądzić, że może stanąć na czele ogólnonarodowej, ponadpartyjnej debaty o doskonaleniu ustroju państwa. Ale nawet dziś trudno zrozumieć, dlaczego sam odbiera sobie jakiejkolwiek możliwości komunikacji ze środowiskami spoza najtwardszego elektoratu PiS.

Zademonstrował to ostatnio po raz kolejny, mówiąc w TVP o przeciwnikach obecnej władzy: „Miejmy tego świadomość, że dzisiaj dzieci i wnuki zdrajców Rzeczypospolitej, którzy tutaj walczyli o utrzymanie sowieckiej dominacji nad Polską, zajmują wiele eksponowanych stanowisk”, ba, „bardzo często jest tak, że ci zdrajcy [którzy strzelali do Polaków w tamtym czasie] mają dziś wpływ na życie publiczne”.

Nie chodzi już nawet o prymityzowanie polskiej historii, o zarzuty dywersji kierowane wobec 90-latków, o retorykę, wedle której o „utrzymanie sowieckiej dominacji” walczyli zapewne chłopci przejmujący z rąk nowej władzy ziemię w reformie rolnej, żołnierze zmobilizowani do LWP czy repatrianci zasiedlający, pod osłoną Armii Czerwonej, poniemieckie terytoria. Najciekawsze jest coś innego: otóż prezydent RP wyraźnie przywołał, sformułowaną kiedyś przez posła Marka Suskiego, koncepcję tzw. genetycznych zdrajców i genetycznych patriotów.

Jeśli kolejne pokolenia – nie tylko dzieci tych, którzy budowali Polskę Ludową, ale także ich wnuki – przejmują skłonność do zdrady (albo patriotyzmu, bo obecnie „trzecie pokolenie AK walczy z trzecim pokoleniem UB”), to znaczy, że nie chodzi tu o ewentualny wpływ wychowawczy, zawsze niejednoznaczny, ale o dziedziczne cechy determinujące „genetyczną” wrogość wobec państwa i narodu. To na odległość śmierdzi, przepraszam, jakąś wersją rasizmu; kiedyś takie cechy przypisywano Żydom. Dziś dla „genetycznych patriotów”, reprezentowanych przez prezydenta, sprawa jest pewnie bardziej złożona, bo wrogowie narodu nie noszą chałatów ani pejsów. Jak zatem, wedle tej koncepcji, można ich rozpoznać? Otóż po politycznych wyborach. Jeśli ktoś jest przeciw władzy, to znaczy, że gen zdrady się ujawnił. Na przykład: Jacek Kurski jest niewątpliwie patriotą, Jarosław Kurski zdrajcą – u jednego, choć rodzeni bracia, ujawnił się jeden gen, u drugiego drugi. Na wielkim marszu opozycji 6 maja byli więc prawdopodobnie sami genetyczni nie-Polacy. Jasne?

Fundamentem ideologii i praktyki PiS jest szukanie, wskazywanie i naznaczanie wrogów. We Francji taka retoryka polityczna przegrała. Może tymczasowo, ale dobre i to. U nas wciąż ma się świetnie, podpierana, niestety, przez głowę państwa.



Katastrofa bez końca

Polityka 23 (3113), 06.06.2017 r.

Miałem nadzieję, że przynajmniej przez jakiś czas nie będzie trzeba wracać do sprawy smoleńskiej. Ale się nie da. Teraz w mediach bliskich PiS mówi się głównie o „drugiej katastrofie smoleńskiej”: chodzi o ujawniane szczegóły ekshumacji, zarządzonych w ubiegłym roku głównie po to (jak można było wnosić z wyjaśnień prokuratur), by na pogrzebanych ciałach ofiar katastrofy szukać śladów wybuchu. Formalnie odpowiedzialny za tę decyzję prokurator Marek Pasonek tłumaczył się na konferencji prasowej, że nawet jeśli na dotychczas wydobytych ciałach nie było żadnego śladu trotylu ani eksplozji, to może jeszcze się znajdą na następnych. W przyszłości, jak sądzę, prokurator Pasonek będzie musiał jeszcze raz to wytłumaczyć, nawet jeśli ustawy uchwalone przez PiS zdejmują z prokuratorów odpowiedzialność za dzisiejsze czyny. Tymczasem Marek Pasonek, jakby w poczuciu winy za to, że ani trzy dni po katastrofie, kiedy był w Moskwie, ani w następnych latach nie żądał autopsji zwłok, opowiada na konferencji prasowej, jakie i czyje szczątki odnaleziono w kilku trumnach, a dodatkowe drastyczne szczegóły, a nawet zdjęcia, „ujawniają” tabloidy i pisowskie media, którym – znów już w pełni legalnie – prokuratura może przekazywać dowolne materiały ze śledztwa.

„Skandalicznym, haniebnym, barbarzyńskim” zaniedbaniom przy identyfikacji ciał i ich fragmentów towarzyszą medialne komentarze niektórych smoleńskich rodzin i polityków PiS. Czegóż tam nie ma? Pani Beata Gosiewska stwierdza w „Rzeczpospolitej”, że „patrzając na Tuska i polityków PO ówczynie rządzących, widzę twarze morderców mojego męża i elity polskiej”. Pan Jacek Świat, komentując informacje prokuratury, że w trumnie jego żony „zidentyfikowano szczątki jednej innej ofiary”, oświadcza, że „to nie była zwykła pomyłka i zwykłe niechlujstwo. To celowe działanie, by nas upokorzyć”, a pomieszanie szczątków dwóch osób w mundurach uważa za akt „symbolicznej zemsty na NATO-wskich generałach”. Inna wdowa (niech już pozostanie tu bez nazwiska) ogłasza w TVP, że nie zgodzi się, aby jakiegokolwiek fragmenty ciała jej poległego męża znalazły się w jakichś obcych grobach, więc ma prawo żądać przeszukania trumien, nawet należących do tych rodzin, które się na ekshumacje nie zgadzały, „bo pewnie odpowiada im sowiecka tradycja zbiorowych mogił w Katyniu czy na Łączce”. Minister Maciej Wąsik deklaruje, że niedokładne rozdzielanie fragmentów ciał ofiar katastrofy „to wina Kopacz i Tuska”. A TVP, głosami komentatorów (także cytując Martę Kaczyńską), zwraca uwagę, że coraz bliższa jest karna odpowiedzialność czołowych polityków PO za – ta fraza jest wielokrotnie powtarzana – przestępstwo zbezczeszczenia zwłok.

Przez 7 lat od katastrofy, przy akceptacji milczącej większości, PiS uprawiał moralny i emocjonalny szantaż wobec wszystkich, którzy gryźli się w język, aby nie odpowiadać nawet na najbardziej podłe insynuacje. Przecież choćby Bogu ducha winnych ekspertów Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych – kilkadziesiąt osób z eksperckim dorobkiem, wojskowym honorem, mających przecież własne rodziny – oskarżano publicznie o faktyczne maskowanie zabójstwa prezydenta Kaczyńskiego i współudział w spisku. Komisja rządowa, pod kierunkiem Michała Boniego, organizująca sprowadzenie ciał do kraju i uroczystości pogrzebowe, jest dziś oskarżana o „upokorzenie narodu” i naruszanie godności ofiar, choć wtedy także wielu ludzi PiS (czego dziś się wypierają) było pod wrażeniem sprawności i dyskrecji całej procedury, uroczystej, wzruszającej oprawy ceremonii pożegnań.

Dopiero teraz media pisowskie twierdzą, że należało zidentyfikować badaniami DNA wszystkie szczątki ofiar, aby uniknąć jakiegokolwiek pomyłek, choć nawet kompletny amator wie (a potwierdzają to biegli patolodzy), że musiałyby to

opóźnić pochówki nawet o wiele miesięcy (zapewne także nie mogłoby dojść do pogrzebu pary prezydenckiej na Wawelu). Gdyby rząd tak zdecydował, rozpętałoby się piekło, a wtedy jeszcze wiele osób wierzyło, że oto nad trumnami wybitnych Polaków – z różnych politycznych obozów i pokoleń – da się odbudować trwałą wspólnotę pamięci i emocji. Czy naprawdę te tysiące polskich urzędników, którzy robili wszystko, aby w stanie traumy zadbać o miliony organizacyjnych szczegółów, otoczyć opieką setki przerażonych, zrozpaczonych ludzi, nie zasługują na słowo wdzięczności? Czy Ewa Kopacz, która dobrowolnie wzięła na siebie ileś łez i bólu, ma być teraz pomiatana jako ruska agentka, bo „skłamała”, powtarzając zapewnienia o przekopywaniu terenu katastrofy? Cóż, po raz kolejny potwierdza się, że PiS to nie partia czy formacja, ale stan umysłu. Łatwość rzucania najcięższych oskarżeń, niewdzięczność, roszczeniowość, kult własnej krzywdy, swoboda kłamstwa, traktowanie cudzych zahamowań, umiaru, taktu jako dowodu słabości – wszystko to znamy z codziennej polityki, ale szczególnie wredną kumulację ma w sprawie smoleńskiej.

Zapewne, gdyby nie to, że katastrofa zdarzyła się na terenie Rosji, z tamtejszym jednakowoż bałaganem, biurokracją, lekceważeniem procedur, można by było uniknąć – w jakimś niewielkim stopniu – przemieszania szczątków, choć pewnie nie wyeliminować, zważywszy na charakter katastrofy. Nasz współpracownik Wiesław Romanowski, były korespondent TVP w Ukrainie, podesał nam tłumaczenie wywiadu, jakiego portalowi Swoboda udzieliła Polina Kozarenko, rosyjska tłumaczka, która po katastrofie towarzyszyła jednej z polskich rodzin w czasie identyfikacji ciał w Smoleńsku, a potem w Moskwie. Mówi o tym, jak trudno było wtedy nagle znaleźć ponad stu symultanicznych tłumaczy polsko-rosyjskich, w dodatku jakoś obeznanych z terminologią medyczną („jak przetłumaczyć «tchawica»?!”) i prawno-prokuratorską, i jeszcze gotowych zejść, po raz pierwszy w życiu, do prosektorium. Opowiada, że wszyscy byli wstrząśnięci, każdego właściwie przerosła skala i gwałtowność tej tragedii, także lekarzy, których ściągano, skąd się dało. Mówi, że ludzie sobie pomagali, a jak na Rosję, wszystko było zorganizowane „lepiej niż przyzwoicie”. Takich i podobnych relacji i z tamtej, i z naszej strony było i jest bardzo wiele. Nawet sam prezes dziękował „rosyjskim przyjaciółom” za empatię okazaną po katastrofie. No, ale się zapomniało.

Dziś nieskazitelni perfekjoniści z PiS mówią „rozliczyć!”, „nie ma usprawiedliwienia dla błędów”, powtarzają na okrągło, że plastikowe czarne torby, w których gromadzono (zbierano) kawałki ciał, to przecież „worki na śmieci”, co oczywiście potwierdza hańbę tej „drugiej katastrofy smoleńskiej”. Zresztą, czy nie jest to jakoś szczególnie przykre, że część, zwłaszcza związanych z PiS, rodzin smoleńskich nie życzy sobie, aby „ich trumny” były – co? – zanieczyszczone fragmentami ciał innych ofiar? Czy ta wspólnota losu i śmierci nie może być symbolicznie uszanowana? Ci ludzie nie żyją, czy pamięci o nich naprawdę przeszkadza jakiś pogański zgoła kult szczątków, kości? Jasne, że nikogo nie można zmuszać do wrażliwości, ale może ktoś (psycholog, spowiednik?) wytłumaczyłby niektórym bliskim ofiar, że nie można wciąż, przez lata, obnosić swojej żałoby jako nieustannego aktu oskarżenia? Że trzeba pozwolić sobie kiedyś na zamknięcie trumny. Że prawdziwym barbarzyństwem jest to, co przez tyle lat wyprawia się wokół tej katastrofy i jej ofiar.

Ameryka kocha Polskę. I odwrotnie

Polityka 28 (3118), 11.07.2017 r.

Przyjechał – wyjechał. My zostaliśmy. Pytanie: z czym? Kilkunastogodzinna wizyta Donalda Trumpa w Polsce miała przede wszystkim charakter wizerunkowy; zresztą dla obu stron. I z tego punktu widzenia była udana: każdy jakoś tam swoje ugrał. Prezydent Trump, o którym słusznie się mówi, że do polityki ma podejście biznesowe, tuż przed trudnymi spotkaniami w Hamburgu na szczycie G20 zastosował swoją ulubioną technikę negocjacyjną, nazywaną przez niego leverage, czyli w wolnym tłumaczeniu pompowanie.

Nietrudno się domyślać, że warunkiem jego nieoczekiwanego przyjazdu do Polski były widoki rozentuzjasmowanego tłumu, skandującego „Donald Trump!”, obrazek nie do uzyskania w żadnym kraju Zachodu. To był sygnał dla Angeli Merkel, że, sorry, jest jeszcze inna Europa, która mnie jednak ceni i popiera. Równocześnie, wzywając rozleniwionych Europejczyków do obrony cywilizacji zachodniej, prezydent USA po raz pierwszy tak wyraźnie dał do zrozumienia, że nie rezygnuje z tradycyjnej roli Ameryki jako przywódcy Wolnego Świata. To było czytelnie adresowane i do „Mercrona”, i do Putina.

Co powiedziawszy w Warszawie, prezydent Trump mógł już jechać do Hamburga na spotkanie z przywódcami największych krajów świata, nie jako nieprzewidywalny, niekompetentny i trochę kabaretowy parweniusz, ale nabierający wagi i rozmiaru „mąż stanu”. To jest właśnie leverage. Warszawa była tego warta.

Dla „Warszawy”, czyli rządzącej formacji, korzyści wizerunkowych też było wiele. Już sam fakt sprowadzenia nowego prezydenta USA do Polski jest niewątpliwym dyplomatycznym sukcesem, pierwszym wyjątkiem od reguły ministra Waszczykowski, który z polskiej polityki zagranicznej uczynił pasmo nieporozumień, gaf, błędów, pustosłowia. Należy więc domniemywać, że za tym sukcesem nie stał MSZ, ale głównie ośrodek prezydencki i szef gabinetu Andrzeja Dudy – Krzysztof Szczerski. Podsuniecie prezydentowi Trumpowi pomysłu rozpoczęcia w Warszawie swoistej gry wstępnej przed arcytrudnym dla niego spotkaniem z Putinem świadczy o pewnej zręczności. A dowartościowanie Andrzeja Dudy – wyprowadzenie go, choćby na jeden dzień, z obszaru niepowagi i medialnych kpin na środek sceny – to był już wielki dodatkowy bonus. Duda też miał przy Trumpie swój leverage. Podobnie PiS. Politycy tej partii nie ukrywali, że przyjazd Trumpa ma być dowodem, iż rząd PiS nie znajduje się bynajmniej w międzynarodowej izolacji, jak głosi opozycja; że w odpowiedzi na połajanki Berlina, Brukseli i Paryża pokażemy, że to właśnie nas łączą szczególne stosunki z Ameryką, że po brexicie to Polska w tej roli staje się w Unii nową Wielką Brytanią.

Ten godnościowy odwet na Unii wart był przełknięcia garści upokorzeń związanych z wizytą Trumpa. Choćby tego, że to ambasada USA była gospodarzem uroczystości na placu Krasińskich, a PiS został sprowadzony do roli organizatora klaki, że prezydent RP nie otrzymał tam prawa głosu; że nawet, jak zauważali dyplomaci, flaga polska ustępowała w precedencji amerykańskiej, że Trump musiał przed światem przywitać Lecha Wałęsę, a całkowicie zignorował istnienie Jarosława Kaczyńskiego.

Także politycznie PiS nie dostał, czego chciał: jeśli Trump miał wzmocnić – jak zapewne kalkulowano – pozycję rządu PiS przeciw Rosji, Brukseli i wewnętrznej opozycji, to ten plan powiódł się słabo. Żadnych gwarancji trwałej obecności żołnierzy amerykańskich w Polsce prezydent USA nie dał; przeciwnie – na dość zenującej w sumie konferencji prasowej z Andrzejem Dudą, gdzie obaj skarżyli się

na niechęć mediów – powiedział wyraźnie, że o niczym takim nie było mowy. Nie było też – cytując komentarz Donalda Tuska – żadnych wycieczek pod adresem Unii Europejskiej, a nawet padło zdanie, że „silna Europa to błogosławieństwo dla Zachodu i całego świata”.

Nieprzyjemne dla PiS mogło być też napomknięcie Trumpa, iż fundamentem naszych wspólnych wartości jest państwo prawa, wolność słowa, wolność jednostki, a także ograniczenie roli państwa i jego biurokracji, ale – na ile znamy samopoczucie partii rządzącej – nie wzięła ona tego do siebie. Zresztą prezydent USA nie jest w tej sprawie ortodoksem, a poziom wolności obywatelskich czy praworządności w Polsce obchodzi go tyle, co w Arabii Saudyjskiej. Jednak Donald Trump zachował w relacjach z gospodarzami wizyty nieoczekiwaną ostrożność: poza kurtuazyjnymi banałami nie powiedział niczego, co mogłoby być zinterpretowane jako poparcie dla rządów „dobrej zmiany”. W sumie handlowy sukces: w sensie realnej polityki, Donald Trump praktycznie nic nie zapłacił za triumfalny pobyt w Polsce; okupił się retorycznymi błyskotkami.

Działacze i wyborcy PiS, a przynajmniej aktywni zwiezione na plac Krasińskich, doznawali ekstazy, ilekroć prezydent Stanów Zjednoczonych mówił o wielkiej bohaterskiej przeszłości Polaków, dumie, godności, niezłomności naszego narodu. „Ameryka kocha Polskę i Ameryka kocha Polaków”. „Polska to cudowny, piękny kraj, jest tu naprawdę pięknie”. „Jesteście dumnym narodem. Narodem Kopernika, Chopina, Jana Pawła II. Polska jest ziemią wielkich bohaterów”. „Potwierdziliście swoją tożsamość jako naród wierny Bogu. I wygraliście. Polska zawsze zatriumfuje”. Pomiędzy tymi kulminacjami była opowieść, głównie o XX-wiecznej historii Polski, sprowadzona do sekwencji cierpień, ofiary, poświęcenia.

Raczej trudno sobie wyobrazić, aby prezydent USA przez pół godziny opowiadał Holendrom, Hiszpanom czy Włochom patetyczną wersję ich własnej historii; byłoby podejrzenie, że nie traktuje gospodarzy poważnie i po partnersku albo nie ma im nic ważnego do powiedzenia. Wielu osobom przypomniła się w tych dniach nielegalnie nagrana u Sowy i Przyjaciół wypowiedź Radosława Sikorskiego polskiej gotowości „robienia «łaski» Amerykanom” i pewnej „murzyńskości” we wzajemnych relacjach. Dosadne, złośliwe, ale jeśli przez „murzyńskość” rozumieć kolonialną mentalność, i to zarówno po stronie metropolii, jak i tubylców, trudno przed tym skojarzeniem uciec.

W rozmowach na szczycie G20 (czyli 19 państw plus Unia Europejska) Polskę, łącznie ze wszystkimi krajami Trójmorza, reprezentował tak naprawdę wyłącznie Donald Tusk. Tam ujawniła się dzisiejsza geopolityka: w grze mocarstw – Chin, Indii, Rosji, Japonii, USA, Niemiec, Turcji i innych – Polska uczestniczy tylko jako zbiorowość, jako Unia. Marzenia o trójmorskiej miniunii ze stolicą w Warszawie czy specjalnym sojuszu USA-Polska są iluzją, chciejstwem, bez znaczenia w realnej polityce, zaciemniającym ogląd rzeczywistości. Można zrozumieć, że rząd PiS, eksperymentując z jakąś lokalną wersją autorytaryzmu, nie chce, żeby mu się „Unia wtrącała”; że mobilizując wyborców, „podpompowuje” zagrożenie ze strony migrantów i uchodźców, a Europę coraz częściej przedstawia jako „zgniły Zachód” niosący zagładę dla polskiej tożsamości – to można pojąć w kategoriach doraźnej skuteczności wyborczej. Ale celebrowanie naszej peryferyjności i prowincjonalizmu jest strategią politycznie i psychologicznie skrajnie niebezpieczną. Nie mamy lepszego zakotwiczenia we współczesnym wzburzonym świecie niż Unia Europejska. Na dobre i na złe. Donald Trump to dla Polski – cytując mało elegancki żart – wciąż niepoważna „pomarańczowa alternatywa”.

Pułapka posybilizmu

Polityka 40 (3130), 03.10.2017 r.

Góra urodziła mysz. Andrzej Duda, po dwóch miesiącach pracy własnej oraz ekspertów, przedstawił projekty ustaw sądowych tak niedopracowane i niedomyślane, że w ciągu paru godzin rozsypały mu się w rękach, łącznie z jakimś dziwacznym pomysłem nagłej zmiany konstytucji. W tych propozycjach nawet technicznie i logicznie niewiele się klei, poza jedynym czytelnym motywem, by, ustanawiając swoją władzę nad sądami, partia uwzględniła prezydenta. Projekty Dudy nawet w obozie PiS wywołały konsternację i ironiczne komentarze. Nie mówiąc już o opozycji, która srodze zawiodła się w nieśmiały nadziejach na jakiś bunt Dudy przeciw łamaniu konstytucji. A ponieważ prezydenckie projekty ustaw nie zadowolają ani kierownictwa PiS, ani opozycji parlamentarnej i ulicznej (znów mieliśmy manifestacje pod sądami), merytorycznie zaś są żenujące – zapewne znów zaobserwujemy sondażowy wzrost poparcia dla Andrzeja Dudy. Tak działa nasze polityczne prawo Murphy’ego: im gorzej, tym wyżej.

W rankingach popularności i zaufania zdecydowanie dominują dziś partia PiS, a personalnie Andrzej Duda i Beata Szydło, urzędnicy raczej bezwolni i bez większego politycznego znaczenia. Zaś po sondażowym dniu szorują – w końcu broniący praworządności – działacze opozycji. Załamać się można, jeśli się nie jest z PiS.

Zagadka – dlaczego „temu pisu” nie spada? – obrosła licznymi hipotezami i teoriami. Po wyborach przed dwoma laty dominowała teoria awarii politycznej (że Tusk, Komorowski, Ogórek, która zaszkoziła lewicy). Potem analizy zaczęły sięgać głębiej: że oto mamy bunt klasy plebejskiej przeciwko klasie średniej albo że rozczarowana klasa średnia zwróciła się przeciw elitom III RP lub że obserwujemy ewidentny bunt prowincji. Była też narracja historyczna, że odżyła stłumiona nostalgia za PRL lub odmroziły się konflikty i podziały z czasów międzywojnia. Ciekawa, do dziś rozwijana, jest teoria kulturowa: PiS odkrył prawdziwą, folwarczną, chłopską naturę Polaków, odrzucił uciążliwy snobizm na zachodnie „ą, ę”, przywrócił godność i swojskość, pokazał, że my ze Wschodu i że nie musimy się tego wstydzić. Ważne są interpretacyjne nurty psychologiczne, odwołujące się do tłumionego poczucia krzywdy, zawiści, chęci odwetu. Jest ciekawy zestaw teorii mistycznych, mesjanistycznych – a jakby na drugim krańcu opowieść, że chodzi zwyczajnie o kasę, kariery, utrzymanie się przy korycie i korumpowanie państwowymi pieniędzmi (500 plus) jak największej grupy wyborców. Te hipotezy czasem się łączą, częściej wykluczają.

Ostatnio, zapewne na tle tzw. sporu o sądownictwo, modna stała się „teoria przełamania imposybilizmu”. Oryginalne słowo „imposybilizm” – wrzucone do naszego potocznego języka przez Jarosława Kaczyńskiego jeszcze w czasach rządów Platformy – miało oznaczać demonstrowaną jakoby przez PO „niemożność” rozwiązywania różnych problemów Polaków. A to z powodu braku pieniędzy, ograniczeń prawnych, międzynarodowych umów, politycznej poprawności. Kaczyński obiecywał, że po dojściu PiS do władzy niemożliwe stanie się możliwe. I na tym budowano kampanię wyborczą: „Nie wierzcie, że nie ma pieniędzy; wystarczy tylko nie kraść”. „Prawo nie może być ważniejsze od woli wyborców” – znamy, pamiętamy.

Po wygranych wyborach PiS robi dokładnie, jak zapowiedział. I co? – i nic. Dali 500 plus i budżet się nie załamał; obniżono wiek emerytalny, ludzie są zadowoleni. W ciągu paru miesięcy dało się zlikwidować gimnazja, wyciąć kornika

z Białowieży, zażądać reparacji wojennych od Niemców. Symbolem „przełamania imposybilizmu Platformy” stała się komisja ds. warszawskich reprivatyzacji Patryka Jakiiego. Prawnicy dowodzili, że nie da się bez długich procesów odwrócić dokonanych faktów, a tu proszę: Jaki oskarża, decyduje, nakazuje zwrot, pokrzywdzeni lokatorzy płaczą ze szczęścia, dziękują panu ministrowi. Jeśli potem nie uda się fizycznie odzyskać nieruchomości, to dlatego, że są jeszcze obrońcy imposybilizmu w sądach i warszawskim ratuszu.

Sporo ludzi wcześniej niewspierających PiS jest pod wrażeniem determinacji, skuteczności, aktywności, pośpiechu tej ekipy – zwłaszcza po okresie tuskowego zastoju – wytyczania dróg na skróty, nieliczenia się z oporem przeciwników i utyskiwaniem ekspertów. Jeśli to nam się będzie wciąż podobało (sondaże poparcia dla PiS rosną), będziemy mieli tego posybilizmu więcej. Prokurator Ziobro dopadnie złych ludzi uniewinnianych przez złe sądy; Jaki odda, co będzie komu uważał; Morawiecki zbuduje prom, lotnisko i milion aut na prąd; ABW i inne CBA będą podsłuchiwać na potęgę, rzecz jasna bez jakiegokolwiek imposybilistycznej kontroli, by nas ochronić przed terrorystami i oszustami. Partia, poprzez swoich ludzi (byle mieć do nich dojsie), zaprowadzi wszędzie prawo i sprawiedliwość.

Zgoda, cały ten trójpodział władzy, konstytucja, przetargi, kontrola publiczna, niezależne media, kadrowe konkursy, niekontrolowane samorządy, sądy, konsultacje, opinie – to wszystko strasznie utrudnia rządzenie. Jakby cała demokracja została pomyślana po to, by ograniczać, opóźniać władzę. Jakby podejrzliwie zakładano, że rządzący mogą się pomylić albo dbać głównie o siebie i swoich ludzi, albo chcieć zdławić opozycję i krytyków. Tak, radość z obalanego imposybilizmu może być naprawdę szczerą. I zabójczą.



Niewygodne przesłanie

Polityka 45 (3135), 07.11.2017 r.

To dobrze, że Piotr S. odzyskał nazwisko. Nazywał się Piotr Szczęsny. Wiemy też, jak wyglądał: sympatyczna twarz dobrego sąsiada czy kolegi, tak jak o nim mówili znajomi. Nie sposób, żeby jego zdjęcie nie znalazło się w podręcznikach historii Polski, choć na pewno jeszcze nie teraz. Może nawet długo nie. Na razie na plac Defilad przychodzą ludzie (wieczorem w Dzień Zaduszny było ich z półtora tysiąca), zapalają znicze, kładą róże; w Warszawie zorganizowano marsz pamięci; powstaje społeczny komitet, który ma zająć się wmurowaniem tablicy pamiątkowej w miejscu, gdzie to się stało. Mimo zadziwiającej jak na nasze warunki dyskrecji mediów i ich powściągliwości w epatowaniu tragedią, Piotr Szczęsny teraz, po śmierci, staje się powoli osobą publiczną. Taka była jego wyraźna wola, takie zostawił przesłanie; tylko jako demonstracja ten akt samospalenia przestaje być samobójstwem.

Władzom nie udało się zdegradować tej spektakularnej ofiary do objawu choroby psychicznej (nawet jeśli bez trudu zgodzimy się, że był to – według naszych codziennych standardów – czyn nienormalny). Sam Piotr Szczęsny uprzedzał psychiatryczne interpretacje swojej decyzji, pisząc w liście do mediów, że depresja, z którą żył, uczyniła go po prostu bardziej wrażliwym na niegodne postęпки władzy, że odczuwał je pewnie bardziej boleśnie i osobiście niż inni.

Uznał, że musi wystąpić w roli sygnalisty, nadając swojemu gestowi najbardziej dramatyczną, niemożliwą do przeoczenia formę. Żywej pochodni.

Próbujemy się mierzyć z trudnym, niewygodnym testamentem Piotra Szczęsnego. Zastanawiamy się, jak – odrzucając drastyczne formy protestu – można stawiać opór opresyjnej władzy, jak radzić sobie z narastającym poczuciem bezsilności i wściekłości, jak żyć w sytuacji, gdy przestają obowiązywać znane nam reguły społecznego i państwowego porządku, a w to miejsce wchodzi, „bez żadnego trybu”, wola samozwańczego władcy kraju? To nie są nowe pytania, zadajemy je niemal od początku rządów tej ekipy, a jednak desperacki czyn Pana Piotra jest sygnałem pewnej emocjonalnej zmiany wokół nas. Wielkie demonstracje sprzed kilkunastu miesięcy nie przyniosły żadnej korekty w sposobie sprawowania władzy, raczej przeciwnie, dziś jest ona bardziej ostentacyjna i arogancka niż po wygranych wyborach. Opozycja parlamentarna okazała się bezradna. Media albo przeszły całkowicie pod kontrolę i na służbę władzy, albo są ignorowane, bez względu na to, co napiszą, pokażą, ujawnią, a ich pytania pozostają bez odpowiedzi. Nawet tak spektakularne akcje protestacyjne jak głodówka młodych lekarzy mogą być lekceważone i obśmiewane. Dyplomatyczne interwencje sojuszników, unijnej administracji, trybunałów czy ONZ są traktowane jak szczekanie psów na karawanę. Krok po kroku ustanawiana jest partyjna kontrola nad sądami, gospodarką, okrajane są kompetencje samorządów. Jesteśmy dopiero w połowie kadencji, a już wyczerpały się i utraciły sens „normalne” formy oporu i nacisku na rząd. Samospalenie Piotra Szczęsnego symbolicznie zamknęło etap nadziei i złudzeń, że demokracja musi się obronić. Nic nie musi.

Popatrzmy na Węgry – to jest model przenoszony do Polski w skali jeden do jednego. Państwo Orbána to Polska Kaczyńskiego za 5 lat, bo o tyle dłużej rządzi tam Fidesz niż tutaj PiS. W tym czasie Orbán przejął sąd najwyższy i sądy powszechne, zlikwidował węgierską Krajową Radę Sądownictwa, utworzył Urząd Mediów Narodowych i przekazał budżetowe pieniądze na finansowanie propagandowej telewizji publicznej. Pięć ostatnich tytułów niezależnych gazet zostało przejętych przez ludzi premiera w sierpniu 2017 r. Kampanie reklamowe rządu wymierzone w politycznych przeciwników są finansowane z pieniędzy publicznych. Pod kontrolę państwa poszły organizacje pozarządowe, zmieniono ordynację wyborczą. Nieliczne środowiska opozycyjne alarmują, że Węgry stały się

krajem oligarchicznym, paramafijnym, kontrolowanym od góry do dołu przez ludzi szefa. A naród? Ponad 40 proc. wciąż popiera Orbána.

Premier solidnie nastraszył Węgrów inwazją imigrantów. Fidesz uznał się też za jedyne spadkobiercę niepodległościowych zrywów narodu. Głosi dumną ideę Wielkich Węgier. Stawia się Unii, Ukrainie, Niemcom, Słowacji. Opodatkowuje obce banki i sieci handlowe. I, bez względu na stan budżetu, waloryzuje emerytury, wypłaca hojne zasiłki za urodzenie kolejnego dziecka, daje dodatki mieszkaniowe. Państwowa propaganda nieustannie podsycza „klasowy” konflikt między tzw. zwykłymi ludźmi a zepsutymi elitami (choć dziś węgierskie elity to głównie ludzie Fideszu). A opozycja? Patrząc retrospektywnie, miała nawet szansę się odbudować, bo ponad połowa Węgrów ma dość rządów Orbanowskiej nomenklatury, ale liderzy partyjni nie potrafili dojść do porozumienia ani w obrębie własnych ugrupowań, ani między sobą. Ich wymuszona koalicja, nazwana, a jakże, Razem, sromotnie przegrała ostatnie wybory.

I tak przez Budapeszt doszliśmy do Warszawy. Mamy postępującą madziaryzację. Liderzy opozycji, nie odmawiając im dobrej woli, sprawiają wrażenie pozbawionych politycznej empatii, poczucia powagi i dramatyzmu sytuacji. Piotr Szczęsny napisał, że już nie wierzy w polityków, i do nas, do szarych obywateli, skierował wezwanie: „Obudźcie się!”. Jakby swoim radykalnym czynem chciał autoryzować każdy, nawet niewielki, osobisty przejaw buntu czy nonkonformizmu. Ale dzisiaj to jest też wołanie do polityków. Obudźcie się, mamy dopiero rok 2017, nie 2022, i to wciąż Polska, a nie Węgry.



Jeszcze lepsza zmiana

Polityka 50 (3140), 12.12.2017 r.

Badający aktywność internautów serwis politykawsieci.pl obliczył, że w ciągu doby od ogłoszenia dymisji premier Beaty Szydło pytanie „Dlaczego Szydło odchodzi?” zadano w internecie 33 mln razy. Szczególnie gorączkowo wyjaśnień domagali się użytkownicy tzw. portali prawicowych (na ogół sympatycy PiS) i oni też w ogromnej większości (75 proc.) wyrażali dezaprobatę dla decyzji kierownictwa partii. Pojawiły się nawet, rzadko w tych miejscach spotykane, agresywne komentarze wymierzone w prezesa Kaczyńskiego. Wątpię, by na którekolwiek z 33 mln podobnie brzmiących pytań padła zadowolająca odpowiedź. Partyjne przekazy dnia dopiero to ustalają; sam prezes w godzinie przełomu głosu nie zabrał.

Dość ogłupiałe są propisowskie media, wyraźnie zdane na siebie w poszukiwaniu karkołomnych uzasadnień, dlaczego „najlepszy rząd w historii” jest nagle zastępowany przez „jeszcze bardziej najlepszy”. I to dokładnie w tym samym dniu, kiedy rządowa większość odrzuca wniosek „antypolskiej opozycji” o dymisję pani premier. Tymczasowe tłumaczenia są takie, że chodziło o pewną korektę wizerunku rządu wobec instytucji Unii Europejskiej, o wzmocnienie kierownictwa gospodarczego i w ogóle o to, że jest nowy etap, do którego potrzeba nowych ludzi, a zresztą Beata Szydło przecież zostaje w rządzie... Chyba od początku tej kadencji nie było w PiS takiego propagandowego kociokwiku. A to przecież nie koniec serialu.

Trzeba powiedzieć, że i opozycja ma problem ze zrozumieniem „o co chodzi Kaczyńskiemu” tym razem? Przez pewien czas dominowała teoria przykrywkowa: rzuca się publiczności i mediom personalną sensację, żeby osłonić jednoczesny zamach władzy na wolne sądy i wolne wybory. Ta teoria, zresztą namiętnie i przy różnych okazjach używana przez politologów, generalnie wydaje się dość słaba, zakłada bowiem jakiś fundamentalny niedorozwój umysłowy ogółu obywateli, a już na pewno ciężkie, powszechne uszkodzenia pamięci. Więc jeśli nie to, to co? W tym wydaniu gazety przedstawiamy różne krążące hipotezy (medyczną, unijną, sondażową, psychologiczną), ale sami skłaniamy się ku interpretacji najbliższej istocie obecnej władzy: On miał Jej dość!

Nieudolność Beaty Szydło w roli szefa rządu, kompensowana ślełą lojalnością i wysiłkiem przypodobania się prezesowi, musiała Kaczyńskiego coraz bardziej nużyć i irytować. Ten związek nigdy nie był partnerski. Widzieliśmy to jaskrawo teraz, kiedy wśród retorycznych konfetti, jakimi prezes i jego towarzysze obsypali Beatę Szydło, jej polityczną egzekucję przeprowadzono bezlitośnie, z charakterystycznym dla tej władzy dręczeniem ofiary. Warto jednak zauważyć, że i Beata Szydło, choćby swoim ostatnim wystąpieniem sejmowym w roli premiera – pełnym pogardy i nienawiści wobec politycznych przeciwników – nie zasłużyła na współczucie, co najwyżej na litość. Nie wiem, czy bigoci są zdolni do rachunku własnego sumienia, ale polecałbym pani Szydło za jakiś czas ponowną lekturę swoich sejmowych wystąpień; może jednak uzna, że nie spotkała jej krzywda, tylko odpłata?

Częścią pakietu „jeszcze lepszej zmiany” jest nominacja Mateusza Morawieckiego na premiera. Od pewnego czasu ta kandydatura była już jedyną alternatywą dla, sugerowanej i oczekiwanej, samointronizacji Jarosława Kaczyńskiego. Więc zaskoczenia raczej nie ma, ale i sens nie do końca jest czytelny. Prawdopodobnie znów, jak w przypadku dymisji Szydło, zadecydowały emocje i nastroje prezesa. Morawiecki mu podobno imponuje, bo ma wiele z tego, czego prezesowi brakuje: światowe obycie, znajomość języków, zarobione pieniądze, wiedzę o finansach i gospodarce, a przy tym w żadnym miejscu nie wykracza poza ideologiczny horyzont prezesa. Podziela i wzmacnia jego przekonania o konieczności odwrotu od wolnorynkowej, liberalnej gospodarki w stronę państwowej własności i kontroli, „przemysłowego patriotyzmu”, wielkich inwestycji, odpowiadających wielkości Narodu i jego Kierownictwa. To ktoś taki jak przy Gierku (starsze pokolenie pamięta) wicepremier Wrzaszczyk, realizujący misję modernizacji kraju, co prawda na kredyt i poprzez import technologii, ale ze szczerym zamiarem przegonienia Zachodu. Jak to się wtedy skończyło, nie ma co wypominać, a już na pewno nie należy sobie i nowemu premierowi tego życzyć. Podzielam jednak niepokój wielu obserwatorów, że u Mateusza Morawieckiego występuje chroniczna nadprodukcja słów w stosunku do czynów, zwłaszcza retoryki pseudopatriotycznej, a ostatnio także chrystianizacyjnej, coraz mniej pasującej do dawnego wizerunku Morawieckiego profesjonalisty.

Rzeczywiście, zamianą Szydło na Morawieckiego nie ma co się specjalnie i zbyt długo emocjonować. Najważniejsze są wybory. Tylko one mogą popsuć prezesowi

zabawę w Piłsudskiego.



Rozdział

IV

2018: ULICA I ZAGRANICA

To był rok Stulecia Niepodległości. Władza – sama opisująca się jako „obóz niepodległościowy i patriotyczny” – zapowiadała, że będą to obchody godne wielkiego jubileuszu, rok narodowej dumy. Niewykluczone, że to ta emocja skłoniła Zjednoczoną Prawicę, aby rok zacząć od nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. Uchwalone 26 stycznia prawo wprowadzało kary za przypisywanie narodowi polskiemu odpowiedzialności za zbrodnie nazistowskie, penalizowało określenie „polskie obozy koncentracyjne” oraz „zaprzeczanie zbrodniom ukraińskich nacjonalistów”. Ustawa przewidywała także ściganie za granicą cudzoziemców szkalujących naród polski. Wywołało to natychmiastowy protest Izraela, który oskarżył rząd polski o zamiar zastraszania sędziwych świadków Holokaustu, próbę ograniczenia wolności mediów oraz badań historycznych, zadekretowanie historycznych fałszerstw. Ustawę ostro potępił rząd USA. Akurat w trakcie tego kryzysu wypadła rocznica tzw. wydarzeń marcowych 1968, przypominająca haniebną kartę państwowego antysemityzmu sprzed pół wieku, wypchnięcia na emigrację większości ocalałych z Zagłady polskich Żydów. Wizerunkowe i prestiżowe straty dla Polski były ogromne; dopiero w czerwcu premier Morawiecki zdecydował o faktycznym wycofaniu się z tej ustawy. I od tej sprawy zaczniemy też Przypisy do 2018 r. („Czyn pomówienia”, „O wyższości kwietnia nad marcem”).

To był zresztą rok zaskakująco wielu podobnych porażek PiS: mimo nieustępliwej retoryki wiele, może nawet większość, ważnych dla obozu władzy inicjatyw legislacyjnych kończyła się wycofaniem projektów – pod presją „ulicy i zagranicy”. Tak było z kolejną nowelizacją ustawy o Sądzie Najwyższym, obniżającą do 65 lat wiek przechodzenia sędziów SN w stan spoczynku, co miało pozbawić stanowiska pierwszą prezes Małgorzatę Gersdorf. Protesty społeczne, oświadczenia polskich i zagranicznych organizacji prawniczych, naciski instytucji europejskich, zmusiły w końcu PiS do zmiany ustawy i pozostawienia prezes Gersdorf na stanowisku do końca kadencji w 2020 r.

W kwietniu przed Wielkanocą PiS złożył w Sejmie projekt ustawy zaostrzającej przepisy antyaborcyjne. Spowodowało to spontaniczny masowy protest w całym kraju; dokładnie tak jak w październiku 2014 r. W samej Warszawie w czarnym marszu wzięło udział ponad 50 tys. kobiet. W przeddzień kolejnego zapowiedzianego marszu PiS

gwałtownie wstrzymał sejmową procedurę; sprawę zaostrenia przepisów przekazując w gestię Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej (dalszy ciąg tej historii znamy). Z kolei Europejski Trybunał Praw Człowieka w precedensowym wyroku nakazał państwu wypłacić odszkodowania rodzinom ofiar katastrofy smoleńskiej w związku z bezprawnymi, wbrew woli bliskich, ekshumacjami. Drobną, choć wizerunkowo dotkliwą przegraną PiS i prezesa Kaczyńskiego było orzeczenie Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, zmieniające decyzję wojewody o przemianowaniu warszawskiej alei Armii Ludowej na ulicę Lecha Kaczyńskiego.

Ale największą rejteradą zakończyła się operacja wypłaty sowitych premii za 2017 r. dla członków rządu Beaty Szydło, którym – jak broniła się w Sejmie była premier – „to się po prostu należało”. Pełne oburzenia wielodniowe publikacje tabloidów, także skoordynowana akcja plakatu opozycji, przyniosły rekordowy spadek notowań PiS, według niektórych sondaży aż o 12 proc. W ramach panicznie podjętej akcji ratunkowej prezes Kaczyński osobiście nakazał wysokim urzędnikom zwrot przyznanych premii (nigdy tego nie dopilnowano) oraz zadekretował obniżkę wynagrodzeń dla ministrów i parlamentarzystów, także, oczywiście, tych z opozycji. Zdaniem wielu komentatorów tę prestiżową porażkę obóz władzy skompensował sobie niezrozumiale nieustępliwą, wręcz brutalną postawą wobec protestu rodzin osób niepełnosprawnych, które okupowały korytarz sejmowy („Coming out”).

Sondażowe wahania i wyraźna utrata impetu przez parlamentarną większość nie wróżyła PiS spektakularnego sukcesu w zaplanowanych na październik wyborach samorządowych. To miały być pierwsze wybory po 2015 r. Na początku roku pisałem („Wróżby i zaklęcia” nr 1/18), że „jeśli PiS nie przejmie dużych miast, ta władza się nie domknie, pozostaną silne, trwałe ogniska oporu, mobilizacji i przyszłej rekonkwisty. Pech dla rządzących, że w trzyletnim cyklu wyborczym pierwsze są te samorządowe, do których ich partia jest najslabiej przygotowana, gdzie ma naprzeciw siebie wielu, nie zawsze łatwych do rozpoznania i zaatakowania, konkurentów. W dodatku jawne próby centralizacji państwa niesłuchanie podniosły stawkę i emocjonalną temperaturę tej rozgrywki”. Ostatecznie w sejmikach wojewódzkich PiS co prawda zdobył najwięcej mandatów (254, wobec 194 dla KO, 70 PSL, 15 dla Bezpartyjnych Samorządowców i 11 dla SLD), ale druzgocąco przegrał w miastach („Rozliczanie z sukcesu”). W 107 tzw. miastach prezydenckich wygrywali kandydaci KO lub niezależni, PiS w całym kraju zdobył ledwie kilka urzędów prezydenta.

Tydzień po drugiej turze wyborów odbyły się obchody Stulecia Niepodległości. Kompletnie, z punktu widzenia władzy, nieudane. Wielki Marsz Niepodległości przejęły środowiska młodych narodowców, a władzy pozostawiono dość żenującą formułę przedmarszu – odgradzonej przez policję małej czołówki pochodu. Właściwie tylko tyle zostało z szumnych jubileuszowych zapowiedzi.

W zestawie przypisów do roku 2018, oprócz tych, do których już przed chwilą odsyłałem, umieściłem kilka tekstów poświęconych szczególnej politycznej metodzie PiS. Jest więc o wygłaszanych z całą urzędową powagą notorycznych kłamstwach premiera Morawieckiego („Niežnośna lekkość słów”), o wielopoziomowym systemie korupcji, nie tylko finansowej („Czy to klepto?”), ale także moralnej („Krok defiladowy”), wreszcie o chamstwie, obcesowości, ostentacyjnej pogardzie wobec oponentów („Rozchamowanie” nr 30/18). Wtedy to jeszcze szokowało, potem już coraz mniej.



PRZYPISY 2018

Czyn pomówienia

Polityka 5 (3146), 30.01.2018 r.

Trzeba mieć jakiś niebywały talent do nakręcania awantur, żeby ni stąd, ni zowąd wywołać międzynarodowy skandal, bardzo dla reputacji Polski kosztowny. Chodzi o tę nieszczęsną nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej wprowadzającą karę do trzech lat więzienia dla każdego, „kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współudział” w zbrodniach nazistowskich „lub w inny sposób rażąco pomniejsza odpowiedzialność rzeczywistych sprawców”.

Jak potem zaczęli tłumaczyć rzecznicy polskich władz, nowe prawo miało przede wszystkim zapobiec używaniu określenia „polskie obozy koncentracyjne”. Najwężiej deklarowany cel nowelizacji wydaje się naciągany, bo poza jakimiś sporadycznymi i niesłychanie rzadkimi dziś przypadkami (raczej niechlujstwa niż intencji) nikt na świecie nie mówi i nie pisze, że to Polacy zakładali nazistowskie obozy koncentracyjne, a państwo polskie organizowało Zagładę. Akurat Holocaust jest tak silnie obecny w światowej historii, kulturze i popkulturze, że naprawdę nie ma tu czego prostować. W ogóle walka z „polskimi obozami” jest jedną z obsesji założycielskich polskiej prawicy. Psychoanalityk nie miałby pewnie problemu, żeby doszukać się tu pod spodem jakiegoś dyskomfortu sumienia, nieprzepracowanego wstydu.

Niemal natychmiast pojawiło się więc pytanie, w kogo i w co wymierzone są owe przepisy? Zapewne domyślnym adresatem ustawy był prof. Jan T. Gross, autor głośniejszej książki o zbrodni w Jedwabnem, oraz autorzy innych publikacji dotyczących udziału Polaków w mordowaniu Żydów podczas okupacji i tuż po wyzwoleniu. Zresztą już za pierwszego rządu PiS uchwalono podobne zapisy, zwane „lex Gross”, które w 2008 r. zakwestionował Trybunał Konstytucyjny. Obecna ich wersja, choć wyłącza penalizację dzieł artystycznych i naukowych, znów zostawia tak duże pole do interpretacji, że nietrudno byłoby na jej podstawie

określić twórczość Grossa („i jemu podobnych”) jako np. publicystyczne pamflety i oskarżyć autorów o dyfamację. To samo mogłoby spotkać np. dziennikarzy czy nauczycieli wypowiadających się na temat faktów niezatwierdzonych przez IPN. Polska Fundacja Narodowa, powołana do obrony dobrego imienia Polski i hojnie wyposażona w pieniądze spółek Skarbu Państwa, znalazłaby pewnie biegłych gotowych przyrzadzić stosowne ekspertyzy. Nieliczne placówki naukowe badające relacje polsko-żydowskie musiałyby zatrudnić prawników analizujących – przepraszam za określenie – „legalną koszerność” konkluzji swych prac i samego języka opisu.

Ale nawet jeśli zamiary autorów ustawy nie wykraczały poza „ochronę wizerunku Polski” przed niesprawiedliwymi oskarżeniami, to efekt okazał się dokładnie odwrotny. Oficjalna opinia władz Izraela była taka, że oto rząd polski próbuje wyprzeć z publicznego obiegu relacje o udziale Polaków w prześladowaniach Żydów podczas okupacji. Państwo Izrael, od dziesięcioleci uprawiające aktywną politykę historyczną, ma bez porównania silniejszą (cytując prof. Zybertowicza) Maszynę Bezpieczeństwa Narracyjnego niż amatorzy z PiS i raczej nie ma wątpliwości, jaka interpretacja zajścia będzie dominować i jak to ożywi negatywne stereotypy na temat Polaków.

Wobec ewidentnego i rozszerzającego się skandalu niektórzy oficjele PiS próbowali początkowo coś wyjaśniać i rozwadniać, ale zaraz zwyciężyła tradycyjna „formuła Kaczyńskiego”: jeśli nas krytykują, nie ustępować; odpowiedzieć atakiem na krytyków. Oficjalnie pod adresem Izraela padły więc zarzuty o antypolską histerię, ingerencję w wewnętrzne sprawy suwerennego kraju oraz sugestia, że owa „przesadna reakcja” wiąże się z roszczeniami majątkowymi Żydów wobec Polski. Poniżej poziomu oficjalnego, na prawicowych portalach, Twitterze, w mediach społecznościowych te same myśli były już formułowane bez zahamowań. Wylała się fala zarówno jawnego, najbardziej prostackiego, antysemityzmu, jak i tzw. antysyjonizmu, w wersji dobrze znanej z marca 1968 r. (którego półwiecze powinniśmy za moment obchodzić – ciekawe jak?).

W ciągu kilku dni PiS zdołał poważnie uszkodzić budowane przez lata (także przez Lecha Kaczyńskiego) dobre stosunki z władzami Izraela i społecznością żydowską, tak jak wcześniej zdewastował relacje polsko-niemieckie czy polsko-ukraińskie. Przy okazji sporu o „ustawę antypomówieniową” prawica pisowska odreagowuje jednak nieprzyjemne oskarżenia o flirty ze środowiskami

i organizacjami nazistowskimi, łącząc wszystko w „jeden wielki spisek” przeciwko Polsce. Widać przecież, że atakują nas Żydzi, Niemcy, Komisja Europejska, liberalne media, wielki biznes i inni. A dlaczego tak się na nas nagle rzucili? Dlatego, że stajemy się suwerenną potęgą, a o naszej sile świadczy moc i liczebność naszych wrogów. Proszę poczytać prawicową, pisowską prasę i jej portale: naprawdę tak piszą, i pewnie nawet w to wierzą. Megalomania narodowa, podsycana poczuciem krzywdy i zagrożenia, jest jedną z najsilniejszych emocji, jakimi PiS spaja swój elektorat.

Tą metodą posługują się zresztą wszyscy populiści świata: trzeba wskazać, wykreować wroga i przed nim zajadle się bronić. W tym sensie dawno już w Polsce nieobecny propagandowy Żyd-syjonista wsparł słabnącego Araba-terrorystę. „Nasz rząd nie pozwoli bezkarnie obrażać ojczyzny” – zadeklarował patetycznie wobec Izraela Joachim Brudziński. A Patryk Jaki wezwał patriotów do skupienia się wokół rządu i polskiej racji stanu. I zapewne PiS znowu sondażowo na tym zyska. Tylko że teraz nie wydarzyło się nic „antypolskiego”, poza uchwaleniem przez Sejm źle sformułowanej ustawy. Trzeba powiedzieć, że jedyne realne szkody dla reputacji Polski, jej międzynarodowego wizerunku i pozycji przynosi – niestety – rząd PiS. I nie ma jeszcze żadnej ustawy, która by nas mogła przed tym ochronić.



O wyższości kwietnia nad marcem

Polityka 10 (3151), 06.03.2018 r.

Zdjęcie, które umieściliśmy na okładce, pochodzi z rocznicowej wystawy „Obcy w domu. Wokół Marca '68”, którą właśnie otwiera warszawskie muzeum POLIN. Nie wiemy, kto jest na fotografii. Nie widzimy twarzy. Tylko kurczowy uścisk ramion. To nie jest zwykle pożegnanie; to jest rozstanie. Data i miejsce: Dworzec Gdański w Warszawie, zapewne koniec marca lub kwiecień 1968 r. To stąd, pociągiem do Wiednia, z dokumentem podróży w jedną stronę, w krótkim czasie wyjechało z Polski co najmniej kilkanaście tysięcy Polaków żydowskiego pochodzenia. Rozstawali się z domem, z bliskimi, przyjaciółmi, ze swoim dotychczasowym życiem. Już prawie ostatni potomkowie kilkumilionowej żydowskiej społeczności od dziesiątków pokoleń żyjących na tej ziemi. Wyjeżdżali starsi, cudem ocaleni z Holokaustu – i ich dzieci oraz wnuki, na ogół urodzone i wychowane już po wojnie, w Polsce zwanej Ludową, którym dopiero teraz władze państwa, a czasem sąsiedzi i koledzy, uświadamiali, że są Żydami, że są tutaj obcy i niechciani.

Być może Marzec 1968 r. powinniśmy przypomnieć inaczej, nielicznymi zachowanymi zdjęciami ze studenckich manifestacji. Ale tak jak wtedy wolnościowy bunt młodych został stłumiony i przykryty antysemitką nagonką, tak i teraz obchody 50-lecia tamtego zrywu zostały nagle przytłoczone, sprowokowanym przez władze, konfliktem polsko-żydowskim. Nikt się pewnie nie spodziewał, że tak właśnie wejdziemy we wspomnianie Marca '68, że wróci zła pamięć. Wyjątkowa okazja do złożenia hołdu dzielnym młodym ludziom „pokolenia 68” i jakiegoś symbolicznego zadośćuczynienia dla pokrzywdzonych została koncertowo zmarnowana, skażona przez niemądre czyny i słowa, wylew spontanicznego antysemityzmu. Gorszego niż tamten sprzed pół wieku, bo to przecież już wolna Polska.

Rządząca partia – nieważne, czy przez partactwo tzw. ustawy o Holokauście, czy cynizm późniejszych reakcji na wizerunkową katastrofę – wywołała skojarzenie marca 1968 i 2018. Nagle z obozu władzy posypały się niemal te same frazy, jakimi przed pół wieku zapełniał media Wydział Prasy KC PZPR: mamy (mieliśmy?) zatem agresję Izraela, antypolonizm określonych środowisk żydowskich, piątą kolumnę w kraju, zrzucanie na Polaków winy za Holokaust, niewdzięczność wobec okazywanej przez nasz naród pomocy i gościnności... Słowo w słowo jak wtedy, tyle że dziś dodatkowo wzmocnione przez setki

serwisów, blogów, tysiące internetowych kont, trolli, miliony postów, lajków, wpisów, linków, virali, memów. Wybiło.

Te skojarzenia obu marców nie są dla władzy wygodne, podobnie jak złośliwe porównywanie Kaczyńskiego do Gomułki, PiS do PZPR czy wykazywanie podobieństw narodowego konserwatyzmu w wersji PiS z narodowym komunizmem Mieczysława Moczara. Paradoksem tej władzy jest bowiem odtwarzanie niemal wszystkich cech organizacji i języka „rewolucyjnej władzy ludowej”, przy wtórze skrajnie antykomunistycznej propagandy. Widać więc, jak bardzo władza się stara, aby rozerwać to połączenie 1968 – 2018. Idzie to według takiej mniej więcej linii: w Polsce antysemityzm jest zjawiskiem marginalnym, a antyżydowska nagonka i deportacje sprzed pół wieku były dziełem komunistycznej władzy narzuconej Polsce przez Sowiety. W wersji Mateusza Morawieckiego Polska w 1968 r. w ogóle nie istniała jako wolne państwo, więc nie może też odpowiadać za to, co się wtedy wydarzyło.

Poważnie nie sposób polemizować z taką oszałamiającą konstrukcją historyczno-prawną, gdy państwo polskie znika i pojawia się w zależności od dzisiejszych propagandowych potrzeb. Podobnie jak z towarzyszącą jej tezą, że to nie Polacy przyczyniali się do zagłady czy pogromów Żydów, ale antysemita lub kolaboranci, nie Polacy przejmowali żydowskie majątki, ale szabrownicy, nie Polacy należeli do PZPR, ale komuniści itd. Koncepcja zanikającej Polski i nieobecnych Polaków, jakkolwiek wydaje się kuriozalna, pozwala jednak podtrzymywać propagandowy mit o bezgrzeszności i naturalnej czystości Narodu, „zawsze dziewicy”.

Gdyby i ta konstrukcja się chwiała, jest jeszcze jedno podparcie: czystki etniczne 1968 r. można osobiście przypisać generałowi Jaruzelskiemu. Gomułka i Moczar, ówczesni rozgrywający, dawno już zniknęli z polskiego imaginarium, ale Jaruzelski wciąż mocno tkwi w najnowszej historii. W dodatku, rzeczywiście, można go oskarżyć o usuwanie z wojska „podejrzanych o syjonizm” oficerów. Nagła akcja z ustawową degradacją gen. Jaruzelskiego (bez związku z rocznicą stanu wojennego, kiedy PiS sobie o nim przypominał) wyraźnie sugeruje wolę wskazania i napiętnowania konkretnego winnego. Choćby po śmierci.

Ale z tamtym marcem władza ma problem nie tylko ze względu na reanimację polskiego antysemityzmu. Kłopotem jest także pierwsza część wydarzeń marcowych, czyli rewolta studentów przeciwko „dyktaturze ciemniaków” i ich

stetryczalemu przywódcy. Tak się złożyło, że właściwie wszyscy żyjący bohaterowie i aktywni uczestnicy Marca '68 – Adam Michnik, Henryk Szlajfer, Karol Modzelewski, Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński, bracia Smolarowie, Jadwiga Staniszkis, Krzysztof Pomian, Marcin Król i inni – są dziś zagorzałymi przeciwnikami PiS, a Michnik – w obronie którego demonstrowali studenci UW – jest od dawna dla Kaczyńskiego osobistym wrogiem. Lech Kaczyński przed 10 laty potrafił jako prezydent podnosić zasługi i odznaczać czołowych marcowych buntowników, sam uważając się za uczestnika zrodzonego wtedy ruchu dysydenckiego. Dziś z Jarosławem to byłoby absolutnie niemożliwe. „Pokolenie 1968” jest uważane przez PiS za głównego ideowego oponenta, „michnikowszczyźnie” przypisuje się wszystkie „wady i patologie” III RP, obrzuca najgorszymi pomówieniami.

Legenda Marca '68, budowana przez demokratyczną opozycję w PRL, a potem w III RP wpisana w ciąg antykomunistycznych buntów (1956-1968-1970-1976-1980-1989) tę władzę bardzo uwiera. Marzec, w którym Jarosław Kaczyński nie odegrał żadnej roli, nie może być akceptowany jako część polskiej drogi do wolności, a Michnik, Szlajfer i inni przywróceni dumnej narodowej historii. W marcu 2018 r. czeka nas więc zapewne propagandowa rozprawa z Marcem '68; w najlepszym razie, parę frazesów Andrzeja Dudy i milczenie.

Przeczekamy miesiąc i wtedy odbędzie się prawdziwe oficjalne święto państwowe: rocznica katastrofy smoleńskiej. Kwiecień wygra z marcem. Tyle że, jak pokazuje doświadczenie ostatnich tygodni, historię można na siłę naginać, ale ona zazwyczaj boleśnie odbija.

Wrze pod przykrywką

Polityka 14 (3155), 03.04.2018 r.

Jeśli kłopotliwej wizerunkowo informacji nie uda się zataić, dezawuuować ani przeczekać, piarowcy na ogół podejmują próbę wypuszczenia królika, za którym pogonią media. Jak każdy chwyt marketingowy, stosowany zbyt często wytwarza odruch oczekiwania: był kłopot, znaczy będzie wrzutka.

Po potężnym ciosie w prestiż PiS, jakim okazał się przedświąteczny sondaż Kantar Media dla TVN, pokazujący bezprecedensowy (12 pkt proc.) spadek

notowań partii, należało więc się spodziewać jakiejś natychmiastowej, spektakularnej reakcji władzy. W redakcji różnie typowaliśmy, ale nikt nie przewidział, że zostanie odgarnięta tzw. afera hazardowa sprzed, uwaga, 9 lat. Rozumowanie partyjnego piaru było zapewne takie: ponieważ za spadek sondaży odpowiada, bez wątpienia, wpadka z wielotysięcznymi nagrodami dla ministrów i autonagroda premier Szydło, trzeba pokazać natychmiast, że poprzednicy też byli pazerni. Zażądano więc ujawnienia informacji o premiach dla ministrów Tuska i tu potknięcie, które z radością podchwyciły tabloidy: „Miliony u Szydło, u Tuska bieda”, bo rzeczywiście Tusk był dla swoich ministrów pokazowo skąpy. Więc następnego dnia został zatrzymany na zlecenie prokuratury były wiceminister finansów Jacek K., co pozwoliło, jeszcze przed wypuszczeniem ministra na wolność kilka godzin później, głosić, że „afery hazardowa przyniosła 20 mld zł straty”.

Wznowienie przez prokuraturę Zbigniewa Ziobry sprawy, zdawało się politycznie rozliczonej (liczne dymisje) i prawnie (już za rządów PiS) umorzonych, na kilometr pachnie doraźną polityką. Tym bardziej że Jacek K. był pozytywnym bohaterem tamtej historii (jako nieprzekupny „skur...”, którego przestępcy, jak wynika z podsłuchów, chcieli „upier...”), bo to on doprowadził do uszczelnienia systemu opodatkowania hazardu w Polsce. Zresztą zarzuty niedopełnienia obowiązków, przekroczenia uprawnień lub niegospodarności są rozciągliwe jak guma i można je postawić właściwie każdemu urzędnikowi, zwłaszcza jeśli nie trzeba takiego zarzutu potem bronić w sądzie (bo promocyjnie wystarczy sama akcja CBA-TVP). Nie szukając daleko, jakaś następna władza mogłaby bez trudu ogłosić, że np. kontrakt na zakup baterii Patriot został przepłacony o kilka miliardów, bo Rumuni kupili praktycznie to samo za pół ceny, i trzeba aresztować ministra Błaszczaka. Skądinąd w sprawie zakupu Patriotów też trzeba podejrzewać motyw przykrywkowy, próbę przesłonięcia poważnego kryzysu w stosunkach z USA.

Jednak Patrioty choć w trudnych okolicznościach udzieliły władzy wizerunkowej pomocy, nie mogą być odpalane codziennie. Zapowiedziano więc powołanie komisji śledczej do spraw wyłudzeń VAT. Tym razem, według premiera Morawieckiego, mogło już chodzić o stratę 200 mld zł. Znów, wielkie kwoty wymierzone od hipotetycznych przychodów. Zdaniem wielu biegłych, gdyby tak liczyć, obecna ekipa też musiałaby w przyszłości odpowiadać za wielomiliardowe

straty w VAT, podatkach korporacyjnych, składkach niezapłaconych dziś w Polsce przez robotników z Ukrainy albo „nieuzasadnionych” wydatkach budżetu. Niebezpieczna to zabawa, jeśli polityczni zwycięzcy, bez wyraźnych dowodów i powodów, chcą rywali traktować jak kryminalistów. To zaproszenie do przyszłego odwetu.

Normalnie w odzyskaniu inicjatywy politycznej oraz nadwątlonej spójności elektoratu powinny też pomóc obchody smoleńskie, tym razem połączone z odsłonięciem pomnika Ofiar Katastrofy, położeniem kamienia węgielnego pod pomnik Lecha Kaczyńskiego oraz zakończeniem miesięcznic. Kłopot dla PiS w tym, że Antoni Macierewicz – tak namotał, nakłamał, tak skompromitował siebie i podkomisję smoleńską, że emisja kolejnych animacji pokazujących wybuchy na skrzydle, jakaś parada rzekomo zniszczonych dowodów, teatr patetycznych min i patriotycznych przemówień już nie przywróci tej rocznicy powagi. Za zgodą Jarosława Kaczyńskiego uczyniono z katastrofy smoleńskiej polityczną błazenadę, za którą płaci także pośmiertnie Lech Kaczyński. Widziałem fotografię ulicznych tablic z nazwiskiem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, zerwanych ze słupa i rzuconych na podłogę ciężarówce, kiedy sąd w Gdańsku uznał, iż umieszczono je nielegalnie...

Państwowy kult smoleński staje się raczej obciążeniem niż siłą. I nie wiadomo, czy obchodów 10 kwietnia nie będzie trzeba szybko czymś innym przykryć. Nieudane operacje przykrywające też muszą być przykrywane. W tym chaosie rośnie jednak ryzyko, że – cytując prezesa – prawda się odsłoni.

Coming out

Polityka 19 (3159), 08.05.2018 r.

Zaczęliśmy wreszcie mówić o dorosłych niepełnosprawnych, a właściwie – jeśli odsunąć ten delikatny eufemizm – o setkach tysięcy dramatów, o żyjących gdzieś między nami ludziach wymagających stałej opieki, nadzoru, usprawniania, zdanych niemal całkowicie na pomoc bliskich oraz bardzo dziś ograniczoną pomoc społeczną. Co ważniejsze, mogliśmy ich zobaczyć w telewizji i to nie tylko podczas relacji z protestu w Sejmie, ale także w specjalnych programach pozarządowych mediów, na portalach społecznościowych, przeczytać wywiady

z opiekunami. Okazało się też, że wiele znanych osób ma własne doświadczenie z opieką nad niepełnosprawnym dzieckiem, a potem dorosłym dzieckiem, i te medialne świadectwa, specyficzne coming outy, bardzo pomogły przełamać barierę skrępowania i językowej nieporadności, jaka w naszej kulturze towarzyszy kalectwu, upośledzeniu, ułomności.

Dzięki zdesperowanym matkom z sejmowych korytarzy otrzymaliśmy ważną społeczną lekcję. Kto nie ma osoby „ciężko niepełnosprawnej” w swoim najbliższym otoczeniu, mógł zajrzeć do tego równoległego świata, na co dzień ukrytego przed widokiem publicznym, wyobrazić sobie siebie czy swoją rodzinę w sytuacji tak ekstremalnego życiowego, emocjonalnego, materialnego wyzwania; walki o przetrwanie każdego następnego dnia i strachu przed przyszłością. Od dawna żadna demonstracja nie zyskała takiego społecznego poparcia jak ta. Jeśli wierzyć sondażom, niemal 90 proc. Polaków popiera dziś postulaty protestujących w Sejmie rodziców i opiekunów.

Tym bardziej dziwi upór, z jakim władza – we wszystkich społecznych konfliktach niesłuchanie wrażliwa na sondaże – przeciąga, a nawet zaognia akurat ten spór. Pierwszą ofiarą stała się sama minister rodziny Elżbieta Rafalska, dotychczas najlepiej oceniana spośród wszystkich ministrów, w tej sprawie wyraźnie zagubiona, pozbawiona jasnych pełnomocnictw i wskazówek. Wiemy dlaczego: władza własną propagandą sukcesu odebrała sobie prawo do głoszenia „księgowych” rygorów; PiS nie może potępiać roszczeń, skoro przez lata zachęcał i mobilizował wszystkie grupy społeczne do wystawiania państwu swoich rachunków krzywd. Co więcej, krytykującym gotówkowe transfery 500 plus odpowiadano, że przecież sami rodzice najlepiej wiedzą, na co wydawać. Słowem, rząd nie ma właściwie dobrego argumentu, żeby nie spełnić postulatów tej grupy. A jednak – nie. Władza kręci, manipuluje, udaje, byle nie ulec. Dlaczego?

Na zgodny z postulatami protestujących program pomocy dla 700–800 tys. głęboko niesprawnych trzeba by wydać ok. 5 mld zł rocznie. Jeśli jeszcze w przyszłorocznym budżecie byłoby to nawet teoretycznie możliwe, to na pewno – z punktu widzenia partyjnych interesów PiS i politycznego kalendarza – mało użyteczne. Rodziny obciążone całodobową opieką nad ciężko chorymi zwykle nie należą do aktywnych, wdzięcznych i lojalnych wyborców. PiS na pewno planuje przed wyborami parlamentarnymi 2019 r. spektakularny wyrzut pieniędzy, nazywanych programami socjalnymi. Zbiera zasoby na najważniejszą dla siebie

bitwę polityczną i wpychający się ze swoimi cierpieniami niepełnosprawni są tu kompletnie nie na temat.

Znamy już nieźle PiS, więc wiemy, że gdyby sondaże dawały protestującym w Sejmie matkom i ich dorosłym chorym dzieciom silne poparcie, władza nie byłaby wobec nich tak twarda i arogancka, jak jest. Ale sondaże są niejednoznaczne. Niby wciąż ogromna większość – pod 80 proc. – ogólnie popiera postulaty osób niepełnosprawnych, jednak według świeżego badania (Pollster dla TVP) aż 62 proc. uważa, że protest powinien się zakończyć, w tym połowa (31 proc.) wyraża taką opinię zdecydowanie.

Oczywiście sondaż wykonany na zlecenie TVP był podmanipulowany, bo pytanie sugerowało, że rząd już spełnił żądania demonstrujących, ale nie zdziwiłbym się, gdyby jakikolwiek następny sondaż potwierdził, że w sumie 40–50 proc. ankietowanych ma już dosyć tego protestu – w tym, obok obojętnych i znużonych, byłby zapewne cały tzw. twardy elektorat PiS. Ten „twardy elektorat” – którego nic, żadne wpadki i afery PiS nie poruszają i nie wzruszają – jest bytem absolutnie fascynującym. I wciąż jeszcze słabo rozpoznanym. Tak silna, bezwarunkowa i dobrowolna lojalność „wobec partii i kierownictwa” w historii Polski występowała bodaj tylko raz, w pierwszych latach powojennej rewolucji komunistycznej. Nie chcę tu ciągnąć jakichś, zawsze ułomnych, historycznych analogii, chodzi mi o siłę, naturę i temperaturę tej więzi, wyraźnie wykraczającą poza tradycyjny dla Polaków dystans i nieufność wobec rządzących.

Jarosławowi Kaczyńskiemu przez lata udało się zbudować wokół siebie szczególną wspólnotę pokrzywdzonych; coś więcej niż partię, rodzaj szerokiej, związanej symbolami i emocjami, patriarchalnej rodziny. To prawda. Ale tym ciekawsze jest pytanie, dlaczego z tej dumnej, narodowej i katolickiej wspólnoty wyłączani są – i to niekiedy retorycznie bardzo brutalnie – najsłabsi z najsłabszych, ludzie porażeni ciężkimi biologicznymi dysfunkcjami i ich, budzący przecież odruchowe współczucie, opiekunowie? Intuicja podpowiada, że zdaniem lojalnych członków pisowskiej rodziny „oni” najprawdopodobniej przesadzili, nie przyjęli z wdzięcznością oferowanej im pomocy – przeciwnie, próbują szkodzić, jątrzyć, narobić wstydu. Więc sami się wykluczają ze wspólnoty współczucia.

W wypowiedziach polityków, nie mówiąc już o internetowych hejtach, pobrzmiwa także ton, wyraźnie uchwycony w głośnych socjologicznych badaniach dr. Gduli w propisowskim „Miastku”: otóż cechą twardego elektoratu

PiS jest rozmaicie wyrażana wyższość, nawet pogarda, wobec słabszych – migrantów, kolorowych, tzw. społecznej patologii. W ogóle wszelkich upośledzonych grup i mniejszości, więc i osób niepełnosprawnych, które zgodnie z polskim obyczajem „nie powinny się narzucać”. Wielu psychologów społecznych twierdzi, że u podstaw ideologii PiS leży swoisty ludowy darwinizm, postrzeganie społeczeństwa (ale i świata) jako nieprzyjaznej dżungli, terenu bezwzględnej rywalizacji, gdzie wygrywa ten, kto więcej wyrwie, a nakaz solidarności i pomocy obejmuje realnie tylko najbliższą rodzinę, zaś symbolicznie – plemię, naród. Bliscy mogą liczyć na poświęcenie i ofiarność, dalsi (co najwyżej) na ofiarę, jałmużnę.

Siła wszystkich populistów świata polega na tym, że udaje im się znaleźć drogę do społecznej podświadomości, głębokich, na ogół wypieranych, emocji i popędów zbiorowości. To buduje więzi znacznie silniejsze niż może zaoferować zwykła demokratyczna polityka.

W miarę trwania protestu, narastania jego wizerunkowych i politycznych kosztów, konieczna okazała się seria dodatkowych zabiegów władzy wobec własnego elektoratu, porządkująca ten emocjonalny chaos; rozdarcie między poparciem a potępieniem. Zatem demonstrujący zaczęli być przedstawiani jako świadomi uczestnicy wojny politycznej („kodziarze”) lub też nieświadome ofiary manipulacji (ze strony opozycji). Ich postulaty wyolbrzymiane. Rodzice niepełnosprawnych coraz częściej byli ustawiani propagandowo przeciw własnym dorosłym dzieciom („nie mają nad nimi litości”), a szykany ze strony administracji i samego marszałka Sejmu przedstawiane jako przejaw troski o bezpieczeństwo protestujących. Te i podobne racjonalizacje zapewne wystarczą twardemu elektoratowi.

Jednak bez względu na to, jak i kiedy skończy się sejmowy protest, niepełnosprawni okazali się dla zadufanej władzy i jej twardych zwolenników prawdziwym kłopotem, bo zakłócają ckliwą populistyczną narrację, bo żądają szacunku, poważnego traktowania, a nie charytatywnej daniny.

Nieznośna lekkość słów

Polityka 24 (3164), 12.06.2018 r.

Mateusz Morawiecki właśnie obchodzi półrocznicę objęcia urzędu. Ta zaskakująca wtedy nominacja była komentowana, także po stronie opozycji, jako bardzo sprytne posunięcie Kaczyńskiego, który zamierza Morawieckim przyciągnąć do PiS polityczne centrum i jednocześnie ułagodzić Brukselę, rozdrażnioną ostentacyjnym łamaniem w Polsce praworządności i agresywną antyunijną retoryką Beaty Szydło. Jeśli takie były intencje, to wyszło raczej słabo. I nie chodzi nawet o liczne polityczne i wizerunkowe gafy, które zrazu można było zapisać na konto braku doświadczenia Morawieckiego. Gorzej, że nowy premier okazał się zaprzeczeniem towarzyszącej mu reputacji sprawnego menedżera, który miał dodać władzy PiS realizmu oraz europejskiego sznytu. I tu jest zagadka: czy Morawiecki jr zawsze był, czasowo przebrany za bankowca, narodowo-katolickim fanatykiem (pamiętamy jego zapowiedź rechrystianizacji Europy), czy też wchodząc w nowe, sceptyczne wobec niego środowisko, próbował się w nie wkupić, zaimponować radykalizmem?

W każdym razie Morawiecki nie pokazał jakichś talentów negocjacyjnych, nie rozwikłał żadnego zewnętrznego czy wewnętrznego konfliktu. Przeciwnie. A już w obrażaniu opozycji (ludzi o kamiennych sercach, porywaczy biednych dzieci, turboliberalów itp.) przelicytował chyba samą Beatę Szydło. Po prawdzie do politycznego języka PiS Morawiecki wiele nie wniósł (gdzie mu do „zdradzieckich mord?”), zaskoczył natomiast nonszalanckim, jak na byłego bankowca, stosunkiem do faktów, danych, wagi własnych słów.

Właściwie do każdej wypowiedzi premiera konieczne byłyby sprostowania i dobrze, że media opozycyjne próbują temu jakoś podołać. Rzadko jednak udaje się taka natychmiastowa riposta, jak „panie premierze, niech pan nie kłamie” niepełnosprawnego Kuby Hartwicha, przekazana Sejmowi z telefonu poseł Scheuring-Wielgus. Więc tylko, dla ilustracji, wybór ostatnich sprostowań. Morawiecki do opozycji: „dawaliście groszowe waloryzacje emerytur, my najwyższe od 8 lat”. Fakty: to PiS w 2017 r. dał groszową podwyżkę 0,44 proc., rządy PO-PSL przez 6 lat przyznawały wyższe. Premier: „budżety gospodarstw domowych z osobami niepełnosprawnymi zwiększyliśmy z 2 do 3 tys. zł”. Otóż renta socjalna w 2016 r. wzrosła o 2 zł, w następnym była tylko ustawowo waloryzowana, a dopiero od września tego roku, wskutek protestu sejmowego, wyniesie netto 886 zł.

Albo żeby już było na inny temat: Morawiecki – z Polski do Europy wyprowadzane jest rocznie 100 mld zł dywidend, podczas gdy z Unii uzyskujemy tylko 25 mld. Ekonomiści Marcin Zieliński i Aleksander Łaszek w „Rzeczpospolitej” dowodzą, że nic się tu nie zgadza. Premier porównuje bezzwrotne transfery unijne z dochodami firm, które myli (?) z dywidendami, przy okazji ignorując fakt, że większość dywidend z inwestycji zagranicznych jest w Polsce reinwestowana. „Oddamy milion mieszkań w ramach programu Mieszkanie Plus” – w opinii banku finansującego ten program może być 200 tys., i to w 12 lat. „Zbudujemy Via Carpatia i Via Baltica” – oddano 40 km, 30 jest w budowie. „Na sądownictwo wydajemy 1,8 proc. PKB, trzy razy więcej od europejskiej średniej” – naprawdę poniżej 0,5 proc. Przeznaczymy ponad 20 mld zł na program Dostępność Plus (z artykułu „Bariery dla miast bez barier” wynika, że nie rząd wyda, lecz Unia i samorzady, nie teraz, ale przez wiele lat itd.). Wzmocnimy niezależność polskich sądów (to w raporcie dla UE), a „papież absolutnie zgadza się z naszą polityką” w sprawie uchodźców (papież nie zaprzeczy). I tak można by ciągnąć, nie tykając już nawet historycznych rewelacji wygłaszanych przez premiera.

W ciągu pół roku Morawiecki stał się naczelnym bajarzem kraju. I pierwszą samochwałą. Premier ma nieznośną lekkość opowiadania rzeczy nieprawdziwych, naciąganych, wygłaszania aktów strzelistych, składania bezgranicznych obietnic, łączenia drobnych kłamstw z wielkim patosem. Kto się spodziewał czegoś innego, będzie zawiedziony. Mateusz Morawiecki chyba już na dobre dołączył do grupy pisowskich delfinów; w każdym razie chłapie dokładnie tak samo.



Mecz o wszystko

Polityka 27 (3167), 03.07.2018 r.

Jeszcze zdanie o mundialu i już wracamy na boisko krajowe. Parafrazując znane powiedzonko Gary'ego Linekera, piłkarskie mistrzostwa świata to gra, w której startuje 32 rywali, ale na końcu wszyscy – oprócz jednego – przegrywają. Dlatego w tym największym globalnym targowisku narodowych tożsamości ważniejszy od wyników, które i tak zaraz zostaną zapomniane, jest styl. Maroko, Iran czy Tunezja z grupy eliminacyjnej nie wyszły, ale światu, setkom milionów widzów, zaimponowały. I w sumie o to można mieć pretensję do drużyny Nawalki, że nawet w ostatnim spotkaniu, nazywanym meczem o honor, pozorując grę w finałowych minutach, ośmieszyli siebie i własną, niewiele wartą, wygraną.

A ponieważ to jednak „reprezentacja narodowa”, to i trochę nam wszystkim uszkodzili wizerunek. Jasne, że chodzi tu o wizerunek popkulturowy, bo taki obsługuje piłka nożna, ale to tym gorzej, gdyż tam narodowe stereotypy zalegają najgłębiej. Słowem: walczyliśmy o honor, a przez jakieś nieudacznictwo narobiliśmy sobie wstydu przed całym światem. Dokładnie jak z ustawą o IPN. Na korzyść Adama Nawalki przemawia przynajmniej to, że nie próbował kłamać i wziął na siebie odpowiedzialność za sportowy i wizerunkowy blamaż.

Tymczasem premier Mateusz Morawiecki, po wymuszonej nowelizacji kompromitującego „Holocaust Law”, oświadczył: „Polska umie wygrywać!”. Pytanie, czy rządzący nie mogliby sobie pozwolić na podobne zwycięstwo rezygnując z ataków na Sąd Najwyższy, na co także naciskają nasi zagraniczni partnerzy? Niestety, tu odpowiedź musi być negatywna. O ile w kwestii IPN był to od początku mecz o honor, o tyle sprawa sądów ma już charakter meczu o wszystko. Tu rewolucja sama się nie zatrzyma, bo podważyłaby własną logikę i bezpieczeństwo.

W oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków warto się może zastanowić, jaki będziemy mieli ustrój, kiedy już PiS osiągnie, co zamierza: pełnię władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej. Nie ma jeszcze adekwatnych określeń na autorytarne systemy polityczne, które instalują się w krajach, gdzie załamała się, bądź w ogóle nie uformowała, demokracja liberalna. Każdy taki kraj znajduje jakąś własną wersję ustroju, na ogół jawnie lub symbolicznie odwołującą się do lokalnej tradycji, mitologii, może nawet – jeśli coś takiego istnieje – społecznej podświadomości. Nie trzeba specjalnej wiedzy historycznej, żeby odkryć, że w Rosji odtwarza się stale jakaś wersja caratu: po białym – czerwony, obecnie biało-czerwono-niebieski, czyli narodowy, w wersji putinowskiej; z całym kremłowskim sztafżem, lokalnymi bojarami, sojuszem z Cerkwią, imperialną ideologią.

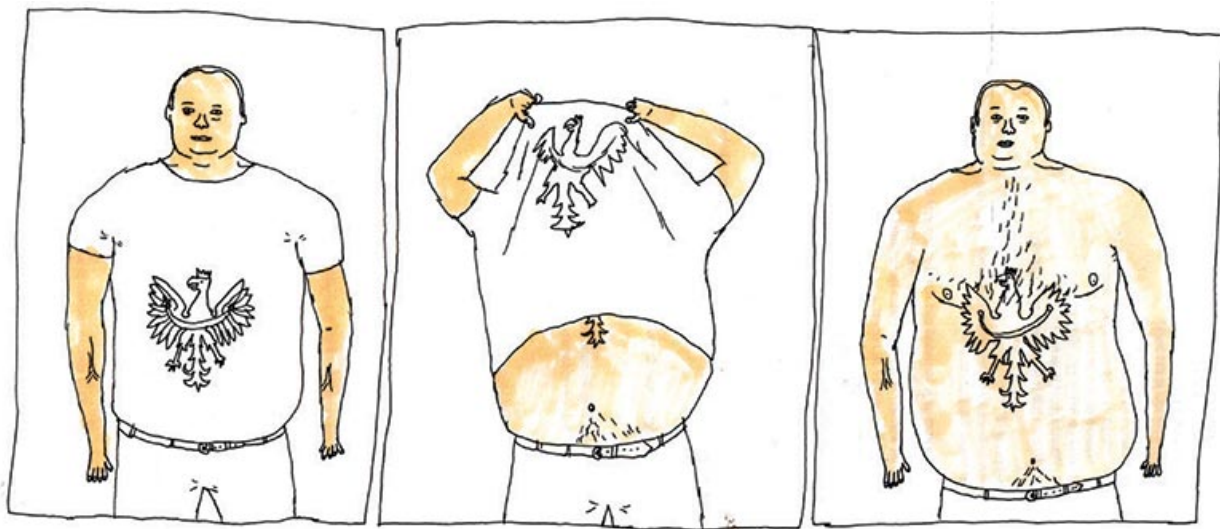
Albo Turcja: po ostatnich wyborach reżim Erdoğan'a powszechnie nazywany jest nowym sułtanatem, wschodnią, islamską wersją brutalnej satrapii. Lub Węgry: autorytarny, oligarchiczny system zbudowany w tym kraju jednym przypomina „gulaszowy socjalizm” Jánoša Kádára, innym przedwojenny nacjonalistyczny, wielkowęgierski reżim admirała Horthyego („admirala bez floty, w kraju bez morza” – co też jakoś pasuje do megalomanii Viktora Orbána). A u nas? Gdyby przyjąć, że nie obronimy w Polsce liberalnej demokracji, skopiowanej z Zachodu, czy jest jakiś swojski model, do którego Kaczyński, przeprowadzając swoją wielką rekonstrukcję historyczną, chciałby, czy też próbuje, nawiązać? Mam tu pewną teoryjkę.

W 100-leciu polskiej odzyskanej niepodległości „normalna”, według standardów zachodnich (choć nie wolna od napięć), demokracja parlamentarna funkcjonowała przez mniej więcej 35 lat. PiS, odrzucając demokratyczny „imposybilizm”, a opozycję mianując zdrajcami, czerpie raczej z tej drugiej części tradycji. A tam

mamy głównie sanację oraz PRL. I tzw. IV RP wydaje się fuzją, może nawet sumą, obu systemów.

Z sanacji pochodzi pierwszy filar ideologii państwowej: władza moralnie należy się prawdziwym twórcom (nowej) niepodległości Polski (czyli dzisiaj Jarosławowi Kaczyńskiemu) oraz ich legionistom. Z PRL drugi filar: władza jest sprawowana w imieniu ludu, a partia jest tego ludu awangardą. Istotą polityki wewnętrznej staje się ciągła naprawa, sanacja państwa (jak w II RP) oraz nieustanna walka z potężnymi wrogami ludu, klasami i kastami, wysługującymi się zachodnim mocarstwom (to już PRL). IV Rzeczpospolita ma być w swej istocie katolickim państwem narodu polskiego (sanacja), dokonującym rewolucji socjalnej poprzez stopniową nacjonalizację gospodarki, centralne inwestycje i państwowe świadczenia (PRL). Krajem tym rządzi Naczelnik Państwa, inkarnacja Józefa Piłsudskiego, ale – inaczej niż Marszałek – jest on jednocześnie Pierwszym Sekretarzem, działającym według peerelowskiej formuły „kierowniczej roli partii”, co znaczy, że rząd, prezydent, Sejm, a nawet sądy nie stanowią odrębnych układów władzy, ale pasy transmisyjne partii, zaś rządy ludu realizują się poprzez partyjne kadry.

Analogie i cytaty można ciągnąć długo i niezły się bawić – jeśli ktoś ma do tego nastrój – w rozpoznawanie w dzisiejszej państwowej polityce i propagandzie wątków postsanacyjnych i postpeerelowskich (innych w niej, w zasadzie, nie ma). Oczywiście Polacy mogą taki miks historyczny zaaprobować jako ustrój przyszłości. Czemu nie? Zaczął się polski mecz o wszystko; o honor zresztą też.



Czy to klepto?

Polityka 29 (3169), 17.07.2018 r.

Polska polityka jest wciąż zdominowana przez nierozstrzygnięte starcie Tusk–Kaczyński, o czym przewodniczący Rady Europejskiej właśnie przypomniał w wywiadzie dla TVN24, pół żartem, pół serio wyzywając Kaczyńskiego na osobisty pojedynek w kampanii prezydenckiej 2020 r. Jest oczywiście nieprawdopodobne, żeby do takiego pojedynku doszło. Zwłaszcza dla prezesa, pomijając już jego formę fizyczną, byłoby kompletnie bez sensu ubiegać się o stanowisko Andrzeja Dudy. Ale Tusk ma rację, że on i prezes nadal najlepiej symbolizują „dwie Polski”, zmierzające do niechybnego, oby tylko wyborczego, starcia.

Będąc w Brukseli, Tusk może jednak nie zdawać sobie sprawy, że to już nie jest dokładnie ten sam stary konflikt między PiS i PO. Ostrzejszy język, dużo gorętsze emocje, głębsze podziały, stawka nieporównanie wyższa, a przeciwnik dysponuje dziś całym aparatem państwa. Jednak doświadczenie i intuicja podpowiadają Tuskowi (a on podpowiada opozycji), żeby w tej sytuacji przynajmniej samemu wybrać pole starcia. I były premier tak je zakreśla: „Władza, która podporządkowuje sobie w całości sądy, prokuraturę, policję, także niezależne media, jest władzą, która bardzo szybko przekształca demokrację w kleptokrację. Czyli rządy złodziei”. Mówiąc dosadniej: opozycja, niestety, nie wygra, skupiając się na obronie niezależnego sądownictwa, mediów, poniewieranego parlamentaryzmu, łamanej konstytucji, nawet strasząc odebraniem pieniędzy unijnych – musi mówić o złodziejstwach władzy.

Praktyka zdaje się to potwierdzać: tak naprawdę jedyna do tej pory skuteczna akcja polityczna PO to „konwoje hańby”, mobilne billboardy ze zdjęciami prominentów PiS i kwotami ich zarobków. Podobną kampanię prowadzi PSL, ujawniając dochody pisowskich kadr samorządowych. Proszę zauważyć, że tu przebiega jedyny front, na którym prezes PiS panicznie się cofa. Tak było z akcją „głos ludu, głos Boga”, czyli nakazany przez Kaczyńskiego zwrotem „szydlówek”, czy teraz z bardzo źle przyjętym przez kadry partyjne zakazem kandydowania w wyborach dla działaczy pobierających pensje w spółkach Skarbu Państwa. Oczywiście nie jest tak, jak sugeruje Tusk, że kontrola nad sądami jest potrzebna ludziom PiS głównie po to, by kraść. Ale mówiąc o zamianie demokracji

w kleptokrację, były premier dotyka czegoś znacznie głębszego niż prosta korupcja władzy.

Kaczyński powtarza swoim ludziom, że „do polityki nie idzie się dla pieniędzy”. I ma rację: do polityki idzie się po władzę. Ale jest i druga, niedopowiedziana część zdania: jeśli władza jest kompletna i stabilna, pieniądze przychodzą same. Istnieje bowiem kilka odrębnych, ale nakładających się kręgów korupcji. Każdy z nich ma zresztą w naszym języku swoją nazwę.

Pierwszy to prymitywne łapówkarstwo: pieniądze do ręki w zamian za oczekiwaną decyzję. Nie ulega wątpliwości, że osobiste złodziejstwo, jako skrajnie niebezpieczne politycznie, nie jest w partii Kaczyńskiego tolerowane i (jeśli się wyda) jest potępiane.

Drugi krąg to nomenklatura, czyli korzystanie z pieniędzy przynależnych stanowiskom, obejmowanym z rekomendacji partii. Formalnie, zgodnie z prawem, choć na ogół bez żadnego związku z kwalifikacjami beneficjenta.

Kolejny krąg to nepotyzm: nie biorę dla siebie, ale załatwiam posady i zlecenia rodzinie, bliskim, znajomym.

Następny można by nazwać sponsoringiem – w tym przypadku chodzi już o duże transfery środków publicznych na rzecz własnego zaplecza partyjnego i wyborczego. Są tu zachowywane jakieś pozory legalności, zwykle jednak na pograniczu kpiny. 7 mln zł przyznane właśnie wiernej „Gazecie Polskiej” oficjalnie idą z Funduszu Ochrony Środowiska na portal puszczą.tv. Jan Pietrzak otrzymał 600 tys. zł na koncert żartów. TVP 800 mln zł tytułem zwrotu utraconych wpłat. Tadeusz Rydzyk 70 czy 80 mln zł na różne „dzieła”, a teraz dodatkowo ok. 80 mln na muzeum. Setki milionów ma rozprowadzać na różne projekty propagandowe Polska Fundacja Narodowa. A każdy milion ma na końcu konkretnych, fizycznych biorców.

I jest wreszcie piąty, bodaj najobszerniejszy krąg kleptokracji: klientelizm. To, najkrócej, uzależnianie prywatnego biznesu od rządowych umów, przetargów, regulacji; budowa państwowego imperium kredytowego, jak znacjonalizowane teraz banki, a wcześniej patologiczny system SKOK; celowane transfery na rzecz określonych, wybranych politycznie, grup i środowisk, organizacji społecznych itp. Słowem, bezwzględne wykorzystywanie instrumentów władzy dla jej samoutrwalania.

Przejęcie kontroli nad sądami jest tu ważne, lecz jeszcze ważniejsze jest wytworzenie, jak to nazywa Ewa Siedlecka, „bagna prawnego”, czyli chaosu kompetencji, ustaw, sprzecznych norm, nominacji, interpretacji, tak splątanych, że nawet gdyby władza PiS musiała odejść, nie da się tego węzła, zgodnie z zasadami legalizmu, rozsypać i wymierzyć sprawiedliwości.

Jednak istotą systemu kleptokratycznego jest nie tyle nawet okradanie budżetu, ile kradzież samego państwa, upartyjnienie jego instytucji, przerobienie ich w atrapy, zrównanie racji stanu z interesami „grupy trzymającej władzę”. W dzisiejszych niespokojnych czasach to może być dla Polski bardziej kosztowne niż wszystkie małe złodziejstwa aparatu władzy.

Rozchamowanie

Polityka 30 (3170), 24.07.2018 r.

Jeśli się nie chce sięgać po inwektywy, zaczyna brakować słów. To, co tzw. większość parlamentarna urządziła w Sejmie przy okazji przepychania ustawy ułatwiającej przejęcie kontroli nad Sądem Najwyższym, było pokazem cynizmu i arogancji, łamiącym nawet te, dramatycznie niskie, standardy, do jakich już przyzwyczailiśmy się w obecnej kadencji. Uzasadnienie ustawy trwało 7 sekund (!), posłom opozycji odebrano prawo zadawania pytań, zapowiedziano kary finansowe za zakłócanie obrad, a prowadzący „debatę” w komisji poseł Stanisław Piotrowicz skrócił czas wypowiedzi na temat poprawek do 30 sekund. Protestujących posłów opozycji Krystyna Pawłowicz nazwała „bydłem” i odesłała ich do chlewa (chyba powinna do obory?).

W ogóle pani poseł Pawłowicz niemal każdym publicznym zachowaniem prowokuje do ripost, które w naszym kodzie kulturowym, żądającym szacunku dla kobiet, byłyby niedopuszczalne. Raz bodaj Ryszard Petru zawołał do niej z trybuny sejmowej, żeby „się puknęła w łeb”, ale reakcje opozycji na jej zachowania (poza nielicznymi skargami) są wciąż bardzo stonowane. Jakby wszyscy przyjęli, że pani poseł ma jakąś przypadłość czy może cechę polegającą na pełnym rozchamowaniu (choć w tym przypadku należałoby raczej mówić o „rozchamowaniu”) i po prostu otwarcie mówi to, co partia myśli.

Nonszalancja i buta Piotrowicza są zapewne innego pochodzenia: to wygląda na kliniczny przypadek człowieka próbującego gorliwością i radykalizmem zatrzeć brzydkie, przynajmniej dla części obecnych towarzyszy, plamy w życiorysie (ostatnio TVN24 przypomniał jego aktywną działalność w egzekutywie PZPR). Ale to właśnie ta dwójka Piotrowicz–Pawłowicz (kiedyś napisałem, że pełnią w PiS rolę „Piotra i Pawła”, apostołów nowej wiary) wyznacza dziś – z woli prezesa – styl debaty w polskim parlamencie o najpoważniejszych sprawach ustrojowych.

W zasadzie istotę tych zmian też nieźle opisywałoby słowo „rozhamowanie”, bo od początku chodzi w nich o zdjęcie, nie tylko formalnych, ale też psychologicznych hamulców, jakie prawo i obyczaj nakładają na rządy we wszystkich demokratycznych krajach. W państwie PiS władza może powiedzieć i zrobić właściwie wszystko, bo taki, według rządzącej partii, jest przywilej większości. Nic dziwnego, że nowelizację przepisów o Sądzie Najwyższym uchwalono przy entuzjastycznych okrzykach PiS: „demokracja! demokracja!”. Teraz pójdzie szybko: podobno jest już kandydatka na nowego „demokratycznego” prezesa SN (Małgorzata Manowska, była zastępczyni Ziobry w poprzednim rządzie PiS), która wkrótce ma zastąpić – nawet nie Pierwszą Prezes Małgorzatę Gersdorf, bo ona dla PiS już oficjalnie nie istnieje – ale p.o. prezesa sędziego Józefa Iwulskiego.

Przy okazji szykowanej zmiany Zbigniew Ziobro zarzucił sędziemu Iwulskiemu, któremu zdarzyło się orzekać w kilku sprawach z dekretu o stanie wojennym, „służalczość” wobec komunistycznego reżimu. To skądinąd bardzo zabawne; po pierwsze, o służalczość oskarża sędziego człowiek, który który służalczość sędziów chce podnieść do rangi zasady ustrojowej; po wtóre, Ziobro, krytykując Iwulskiego za wyroki wydawane zgodnie z ówczesnym „nielegalnym” prawem, ostrzega wszystkich dzisiejszych sędziów, że stanowione prawo może być nielegalne i zawsze powinno podlegać ocenie sędziowskiego sumienia; po trzecie, zachęca sędziów do twardej niezależności, dając do zrozumienia, że orzekanie zgodnie z życzeniami władzy politycznej to zawodowy delikt i nawet po wielu latach może być napiętnowany i ukarany. Zapewne intencja Ziobry była dokładnie odwrotna, ale ta władza wciąż zaplątuje się w swoją pokrętną logikę i retorykę.

Kiedy w Sejmie, otoczonym nie tylko stalowymi barierkami, ale też bezprecedensowo licznymi oddziałami policji, szykowano narzędzia do rozprawy z Sądem Najwyższym, przed Sejmem doszło do przykrych incydentów. Chyba po

raz pierwszy, odkąd w tym miejscu odbywają się protesty, niektórym policjantom – namawianym przez ministra spraw wewnętrznych do stanowczości – puściły hamulce. Wśród demonstrantów, którzy zaliczyli „glebę, kolano, kajdanki”, znalazła się znana pisarka, tłumaczka, feministka Klementyna Suchanow. Na naszym portalu polityka.pl przyznaje, że próbowała dostać się na teren Sejmu z zamiarem napisania na murze hasła „Czas na sąd ostateczny”, odnoszącego się do wprowadzanych właśnie reguł „wieczystej” bezkarności władzy.

Być może nasi czytelnicy zauważyli, że zbiegiem okoliczności akurat opublikowaliśmy w „Polityce” tekst Klementyny Suchanow pt. „Duża rodzina”. Artykuł ten nie dotyczył bynajmniej sprawy sądownictwa. Autorka zamieściła materiał śledczy, opisujący związki polskich działaczy „prolife” z tajemniczą międzynarodową organizacją, wspieraną w sposób dość otwarty przez Rosję i ludzi Władimira Putina. Ale w dzisiejszym kontekście daje się to czytać jako przestrozę przed postępującą „putinizacją” naszego świata. I nie chodzi tu tylko o podsycanie przez Rosję wszelkich konfliktów dzielących demokratyczne społeczeństwa, ale o swoistą atrakcyjność putinizmu jako wzorca ustrojowego dla dzisiejszych populizmów. Rosyjska „demokracja suwerenna” to nic innego, jak utrzymywanie fasadowych instytucji demokratycznych, przy pełnej realnej kontroli władzy nad opozycją, mediami, sądownictwem, gospodarką, aktywnością społeczną. A to wszystko utopione w sosie ultrakonserwatywnej, państwotwórczej, nacjonalistycznej ideologii i propagandy.

Czy taka putinizacja Polski jest możliwa bez społecznego buntu? Klementyna Suchanow mówi ostro: „Jesteśmy w dupie. Przesuwa się nasza granica tego, co akceptujemy”. Rzeczywiście – dysproporcja między (niewielką) skalą protestów pod Sejmem a skalą nadużycia władzy, które się w Sejmie dokonywało, była bolesna. („Jeszcze zamach stanu i już wakacje” – żartowali sobie z opozycji posłowie PiS). Populiści – widzimy to wszędzie, gdzie społeczeństwa zafundowały sobie taki eksperyment – zdobywają i utrzymują poparcie dzięki społecznej obojętności, egoizmowi i ignorancji, skutecznemu podsycaniu lęków i podejrzliwości, wskazywaniu wrogów i winowajców, obietnicom wszystkiego dla wszystkich, odrzucaniu powściągliwości języka i zachowań, akceptacji dla powszechnego „rozchamowania”. Tak, to przez jakiś czas może działać jak używka – relaksująco i euforycznie. Zwłaszcza jeśli się ma słabą głowę. Pytanie: co nazajutrz?



Krok defiladowy

Polityka 33 (3173), 13.08.2018 r.

Defilada wojskowa to dość szczególny rodzaj patriotycznej liturgii. Dziś tylko autorytarne reżimy traktują takie parady serio jako pokaz zwartości, dyscypliny, potęgi militarnej kraju. W demokracjach to już jedynie państwowy spektakl, symboliczne przywołanie tradycji, chwały oręża, okazja, aby przypomnieć obywatelom o istnieniu sił (i wydatków) zbrojnych oraz oczywiście świąteczny festyn ludowy. Dalej to już rzecz gustu: jedni tego militarizmu nie cierpią, inni się autentycznie wzruszają, większość lubi sobie po prostu popatrzeć, bo publiczny pokaz mundurów, czołgów, armat, samolotów to zawsze jest atrakcja, zwłaszcza dla dzieci. Jednak w tym roku, gdy z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości państwo polskie wydało wielką defiladę wojskową wzdłuż Wisły, kto nie jest dzieckiem, musiał mieć poczucie, że cały ten patetyczny teatr jest fałszem podszyty.

Po pierwsze, obecna władza demonstracyjnie zawłaszcza, upartyjnia wszystkie uroczystości patriotyczne, czego świeżym przykładem brutalna próba odepchnięcia harcerzy i władz Gdańska od uroczystości na Westerplatte. Po drugie, armia polska, zdaniem bodaj wszystkich liczących się ekspertów, została przez obecne rządy zdewastowana kadrowo, technicznie i moralnie. Wyrzucono z wojska kilkudziesięciu najbardziej doświadczonych, kompetentnych i wprowadzonych w struktury NATO generałów, zerwane zostały długo negocjowane kontrakty zbrojeniowe, nie mamy obiecanej broni raketowej,

śmigłowców, dronów, nawet mundurów i amunicji. A marynarka wojenna jest w takim stanie, że prezydent Duda jedzie do Australii, żeby kupić jakieś dwie przestarzałe, 30-letnie korwety. Więc nie tylko jubileuszowa, historyczna część defilady ma charakter występów amatorskich grup rekonstrukcyjnych, ale niestety całość. Żadna w tym wina żołnierzy, przeciwnie: oni są ofiarami niekompetentnej cywilnej władzy. Seria dramatycznych publicznych wypowiedzi wybitnych dowódców nie pozostawia wątpliwości: wojsko polskie znalazło się w opłakanym stanie. I nawet nie ma jak się bronić. Musi defilować.

Nowo mianowani z okazji Święta Wojska Polskiego generałowie także otrzymują swoje gwiazdki, chcąc nie chcąc, w roli dublerów, w miejsce niesprawiedliwie, często po chamsku potraktowanych kolegów. Zostać „pisowskim generałem” to trochę jak „pisowskim sędzią” – już zawsze z podejrzeniem konformizmu, sprzeniewierzenia się zawodowej etyce i koleżeńskiej solidarności. Wracają moralne dylematy, jakie starsze pokolenia doskonale pamiętają z czasów PRL. Czy ekspert, który zgodził się pomóc minister Zalewskiej w opracowaniu na łapu-capu podstaw programowych (właśnie po dwóch latach, dopiero po decyzji sądu, ministerstwo ujawniło nazwiska tych ekspertów), wspierał „deformę edukacji” czy tylko starał się (jak to dziś uzasadnia) ratować szkołę i uczniów przed zupełnym chaosem? Czy policjanci o świcie wdzierający się do domu człowieka, który na pomniku wywiesił napis „konstytucja”, muszą się na takie misje godzić? Czy legalni sędziowie powinni współorzekać razem z dublerami, przyjmować stanowiska z rąk nowej, politycznie nominowanej KRS? Odchodzić na wymuszone emerytury czy trwać na posterunku i prosić władzę o zgodę na pracę? Politycy opozycji występować w TVP? Piosenkarze w Opolu? Profesorowie przyjmować nominacje z rąk Andrzeja Dudy? Przywlokło się za nami historyczne przekleństwo: państwo polskie przestaje być neutralne, staje się ideologiczne, napuszone, coraz bardziej obce i wrogie dla dużej części obywateli. I, co najgorsze, chce takim być.

Bodaj wszystkie dotychczasowe władze III RP rządzenie rozumiały jako zarządzanie państwa, wprowadzanie nowych instytucji, tworzenie warunków prawnych wymuszających określone zachowania obywateli, firm, urzędników, organizacji, samorządów. Obecna władza nie chce urządzać państwa, ale rządzić – nakazywać, zakazywać, wydawać polecenia, kontrolować, karać, ulaskawiać. To zasadnicza różnica. Państwo, zamiast wyznaczać ramy dla wolnej aktywności

obywateli, staje się nadrzędne wobec społeczeństwa, jest instrumentem panowania i kontroli.

Współczesna demokracja liberalna wydaje się endemicznym wytworem zachodnioeuropejskiego mieszczaństwa, dlatego marnie przyjmuje się na innych terytoriach historycznych. Nasza szlachecko-chłopska dwoista natura scala się natomiast w nieufności wobec instytucji państwa, w braku szacunku dla prawa, procedur, kompromisów, negocjacji. W Polsce przez stulecia naturalne były zależności o charakterze folwarcznym, a nie demokratycznym, zaś klanowe więzi silniejsze niż formalne. To niedobrze, bo nie ma kto bronić rozbijanych dziś instytucji, ale to dobrze, bo Polacy słabo trzymają krok defiladowy. Historycznie rzecz biorąc: tu się może nie udać demokracja, ale zamordyzm też nie.

Rozliczanie z sukcesu

Polityka 44 (3184), 29.10.2018 r.

Pierwsze od trzech lat wybory już się rozegrały; druga tura nic istotnie nie zmieni. Ruszyły więc spory o interpretacje i, jak można się było spodziewać, opinie są od Sasa do Lasa. W zależności od tego, jakie się przyłoży kryteria i z czym obecne wyniki porówna, zwycięstwa zmieniają się w porażki, a wnioski są sprzeczne. Paradoksalnie, w przypadku tak skomplikowanych wyborów jak samorządowe, o ich faktycznym wyniku więcej mówią polityczne emocje i nastroje po głosowaniu niż same liczby i procenty. W PiS, jak słyszymy, już rozpoczęło się „rozliczanie z sukcesu”. Żadne sondaże ani ich średnie wielotygodniowe nie wskazywały na taki „mało zwycięski” sukces PiS. Więc ostatecznie wygrał PiS, ale poczucie wygranej jest bardziej po stronie przegranych. I te emocje nie zwodzą.

Proponuję popatrzeć uważnie na jakąkolwiek mapę przedstawiającą wyniki wyborów do sejmików wojewódzkich (np. taką, gdzie „tereny PiS” zaznaczone są na niebiesko, a „kontrolowane” przez opozycję na żółto). Dwie trzecie terytorium kraju i aż 23 mln mieszkańców znalazło się w strefie żółtej. Niebieska jest ściana wschodnia i część dawnej Galicji, z łódzkim jeżorem, gdzie o przejęciu sejmiku przez PiS zdecydował jeden mandat (i kilkaset głosów). Podobne minimalne większości pozwoliły opozycji obronić wielkie, najzamożniejsze regiony:

mazowiecki i śląski, choć tam też może się wytworzyć układ obrotowy, „piwotalny”.

Oczywiście, że PiS zwielokrotnił swój obszar sejmikowej władzy, jednak to wcześniejsza sytuacja, po wyborach 2014 r., była nienormalna, a nie obecna. Zaskakująca nadwyżka głosów na PSL i niekoalicyjność PiS pozostawiła w rękach partii, która jednak wygrała ówczesne wybory, tylko jedno z 16 województw (podkarpackie). Dziś wraca jaka taka równowaga, tworzy się w Polsce rozkład przypominający polityczną mapę Stanów Zjednoczonych: są stany demokratyczne, republikańskie i tzw. swinging states, które mogą zmienić polityczne kolory. U nas według tej metafory mielibyśmy 6 stanów wyraźnie demokratycznych, 4 konserwatywne i 6 wahających (z których teraz większość jest po stronie demokratów). Trudno tę mapę uznać za dowód na przytłaczający sukces PiS.

A jeśli popatrzeć jeszcze bliżej, jest jeszcze gorzej dla zwycięzców. Otóż na mapie niebieskich województw trzeba by zakreślić spore regiony żółte: to stolice województw, bez wyjątku i z dużą przewagą przejęte/obronione przez opozycję. Polskie duże miasta to tylko 15–20 proc. głosów wyborczych, ale – na co zwracaliśmy uwagę tuż po wyborach – to tam skupia się ogromna większość potencjału gospodarczego, kulturalnego, edukacyjnego, rozwojowego Polski. Osiem największych miast wytwarza 45 proc. PKB, a sama Warszawa 18 proc. (dla porównania udział całego rolnictwa w PKB to 2,5 proc.).

Znany politolog Benjamin Barber (orędownik globalnego sojuszu burmistrzów metropolii) mówił „Polityce”: „Jedynym źródłem dochodów, jakie mają państwa, są podatki niemal w całości zbierane w miastach”, rząd nigdy nie będzie miał pełni władzy, jeśli politycznie nie kontroluje swych miast. Tymczasem w Polsce wytworzyła się sytuacja bez precedensu: większościowy rząd centralny nie panuje nad żadnym (!) dużym miastem (na 107 miast prezydenckich wygrał tylko w 10), a w stolicy kraju, gdzie musi urzędować, poniósł spektakularną, wręcz upokarzającą, porażkę. To nie odbiera PiS możliwości wygrania kolejnych ogólnopolskich wyborów, ale dramatycznie uszczupla realny zakres władzy. Z tego punktu widzenia nawet nowe zwycięstwa sejmikowe PiS stają się kłopotem, bo trudniej będzie – co chyba planowano – osłabiać kompetencje także władz marszałkowskich. PiS powyłączał rozmaite konstytucyjne bezpieczniki

ograniczające samowolę rządu, jednak samorządów połączyć nie zdołał; przeciwnie, wybory bardzo je wzmocniły.

Względny sukces PiS – nie wchodząc już w spór, czy partia dostała milion głosów więcej (w porównaniu z 2014 r.), czy paręset tysięcy mniej (w porównaniu z 2015 r.) – pozostawił w rękach opozycji solidny kawał władzy, w tym miliardowe lokalne budżety, dziesiątki tysięcy stanowisk – i to aż na 5 lat, bo kadencje władz samorządowych zostały przedłużone. Nie ma żadnego normalnego sposobu, aby tak zakorzenioną opozycję wyrugować z systemu władzy państwowej. Więc bez względu na wynik, wybory w 2019 r. już zostały przez PiS częściowo przegrane. Dodatkowo opozycja ujrzała z całą jaskrawością, na czym polega zabójcze działanie systemu D'Hondta, premiującego duże bloki wyborcze. PiS, mając w wyborach sejmikowych 34 proc. głosów, wziął aż 46 proc. mandatów; bez tej premii z kretesem przegrałby z rozproszoną dziś opozycją w kolejnych województwach. Opozycja ma więc imperatyw, aby pilnie testować nowe sojusze i koalicje, do czego idealnie nadają się nadchodzące wybory do europarlamentu, w których łatwo skupić się pod jednym żółtogwiaździstym sztandarem. Zyskała też polityczny czas, by lepiej przyszykować się na wybory sejmowe i na to, „co po PiS?”, bo jednak boleśnie uderzyła głową w wyborczy sufit.

Ale i partia rządząca ma ból głowy: zwycięstwo, zwłaszcza w Polsce wschodniej, wśród wyborców gorzej wykształconych, wiejskich, starszych oraz druzgocąca porażka wśród wyborców miejskich, mogą skłaniać do porzucenia „zabiegów o centrum”, uproszczenia i zaostrzenia przekazu, gry na lękach, stereotypach, patriotycznym patosie, obietnicach socjalnych. Czyli zwiększenia zawartości PiS-u w PiS-ie. Z drugiej strony po wyborach 21 października PiS już chyba wie, że może przegrać, zaś opozycja wie, że przegrać nie musi.



Marsz na rozstajach

Polityka 46 (3186), 13.11.2018 r.

Można było sobie wyobrazić lepiej zorganizowane, przemyślane i pogodniejsze obchody 100-lecia odzyskania niepodległości, ale też mogło być o wiele gorzej. Kulminacyjny punkt obchodów, czyli wielki warszawski marsz, był rzeczywiście masowy, imponujący rozmachem i zdecydowanie bardziej spokojny niż którykolwiek z wcześniejszych.

Jasne, nie przyjechali na polskie obchody światowi liderzy, a jedyny, który przyjechał, czyli przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, został przez władze państwowe bojaźliwie zignorowany. Nie otwarto żadnego spektakularnego obiektu, poza obrażającym poczucie proporcji, megalomańskim pomnikiem Lecha Kaczyńskiego – „największego przywódcy Polski od czasów Piłsudskiego”. Na szczęście też, staraniami lewicy, postawiono skromny, godny pomnik Ignacego Daszyńskiego. Opóźniona budowa muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku była na gwałt podciągana do stanu surowego, padły za to kolejne zapowiedzi, tym razem odbudowy Pałacu Saskiego oraz stworzenia, a jakże, muzeum-mauzoleum Lecha Kaczyńskiego. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że na 100-lecie mieliśmy do czynienia z „typowo polską” improwizacją, mieszaniną patosu i chaosu.

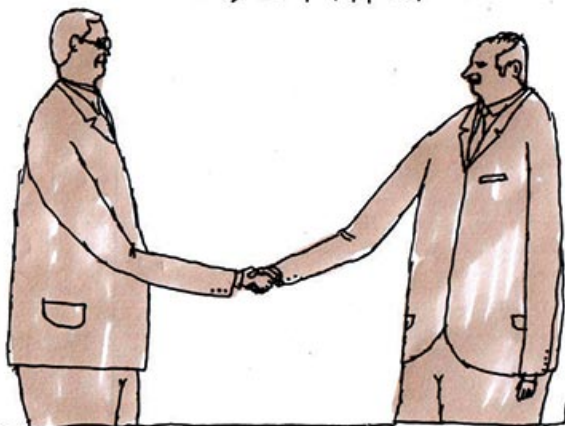
Było przykre, że opozycyjne partie, być może zmęczone sukcesem w wyborach samorządowych, w zasadzie oddały Dzień Niepodległości walkowerem, jakby zawczasu zakładając, że na patriotyczne popisy nie mają co się ścigać z PiS. Kiedy zaczęło wychodzić na jaw, że władza prawie niczego porządnie nie przygotowała, większość polityków opozycyjnych po ogłoszeniu złośliwości deklarowała, że 11 listopada spędzą prywatnie lub w gronie przyjaciół. Poza nielicznymi lokalnymi inicjatywami opozycja nie zorganizowała żadnych alternatywnych centralnych obchodów. Ale pojawił się Tusk, potwierdzając, że po stronie antyPiSu wciąż jest jedynym politykiem wagi ciężkiej, zdolnym w pojedynkę przeciwstawić obozowi władzy kompletnie odmienną i spójną wizję polityczną.

Jubileuszowe narracje PiS były zresztą wyjątkowo słabe. Powtarzane przez Dudę, Kaczyńskiego i Morawieckiego wezwania do pojednania narodowego należały do kategorii liturgicznych zaśpiewów. Na to wszystko próbowano narzucić interpretację, że niepodległość, której 100-lecie czcimy, oznacza, iż władza państwowa jest swoiście sakralizowana, a jej „suwerenność”, także wobec własnego narodu, nie podlega żadnym kompromisom. Tusk tymczasem przywołał formułę „nie ma niepodległości bez wolności”, podkreślając, że niepodległość państwa, które narusza wolność, godność i prawa obywateli, jest niewiele warta, a bezkompromisowe rządy większości łatwo przeistaczają się w „rządy bolszewików”. Rysując już linie podziału przed wyborami do europarlamentu, Tusk mówił o niebezpieczeństwie niechcianego, „lunatycznego” polexitu, do czego prowadzi kontestowanie przez rządzących unijnych reguł i wartości, stawianie egoizmu nad solidarnością. „A kto jest przeciw naszej obecności w Europie, ten jest przeciwko polskiej niepodległości”.

Ale bodaj najważniejszy przekaz Tuska był taki (z wywiadu dla „GW”): „W Polsce zawsze byli antysemita i nacjonałści, socjaliści i liberałowie, ludzie mroku i oświecenia. Ale na końcu zawsze są konkretne decyzje konkretnych polityków. I one przeważają. Nie ma fatalizmu w polityce”. Mówiąc inaczej, społeczeństwo może wyglądać jak pochody 11 listopada – „od faszystów po lewaków” – ale to politycy w znacznej mierze odpowiadają za to, jakie cechy, zachowania i psychologie wspierają, wzmacniają, organizują. Autorytarna, agresywna, nieufna, megalomańska władza będzie sobą zarazała wspólnotę.

A niepodległość może przecież maszerować pod rękę z wolnością i solidarnością.

KONIEC Z AGRESYW-
NYM JEZYKIEM



CZAS NA PRZEMOC
FIZYCZNĄ!



Rozdział

V

2019: DWA RAZY WYBORY

Pierwsze zdanie, pierwszych „Przypisów” roku 2019 brzmiało: „Tak, politycznie 2019 r. będzie najważniejszy od 30 lat, od początku transformacji”. Wybory parlamentarne zaplanowane na jesień opisywaliśmy jako „grę o wszystko”, przekonując, że to może być na długie lata, „na pokolenie” ostatni moment, aby dało się odsunąć PiS od władzy. Że oto będziemy musieli dokonać wyboru czarno-białego: między Wschodem i Zachodem, między groźbą autorytaryzmu a demokracją, klerykalizmem a świeckością, prowincjonalizmem i otwartością – mnożyły się te mentalne dychotomie. „Arytmetyczna większość jest po stronie «liberalnej», ale przewaga determinacji i siły politycznej po drugiej. I w tych wyborach, trzeba sobie powiedzieć, już nie przekonamy się wzajemnie, możemy się tylko policzyć”.

Za szczęśliwy dla opozycji uważałem fakt, że w maju, jakby we wstępie do kampanii parlamentarnej, odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego, w których pronijna opozycja była oczywistym faworytem. W eurowyborach miała być zresztą wypróbowana wspólna lista wszystkich demokratycznych partii antyPiSu, pod nazwą Koalicji Europejskiej. Dziś wiemy, że te ówczesne kalkulacje i nadzieje poniosły sromotną porażkę. W wybranych tu tekstach jest zapis ścieżki tego roku – od wiary po frustrację. Co się stało?

Rok zaczął się tragicznie: zabójstwo prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, od dawna brutalnie atakowanego przez rządowe media, wywołało społeczny szok, przerażenie, ale też wielką emocjonalną mobilizację po stronie opozycji. Tę zbrodnię, choć popełnioną przez człowieka zaburzonego, powszechnie traktowano jako zabójstwo polityczne. PiS znalazł się w propagandowej defensywie.

Za moment na partię i osobiście na prezesa spadł kolejny wizerunkowy cios: ujawnione zostały tzw. taśmy Kaczyńskiego. Były to zarejestrowane rozmowy między szefem PiS a austriackim biznesmenem dotyczące niejasnych rozliczeń związanych z planem budowy „dwóch wież” na działce przy ul. Srebrnej w Warszawie, jeszcze w latach 90. przejętej i sprywatyzowanej przez środowisko braci Kaczyńskich. Afera, choć umorzona przez dyspozycyjną prokuraturę, naruszyła reputację „ludowej partii”, na jaką lubił pozować PiS.

W końcu lutego sondaże dawały w eurowyborach zwycięstwo Koalicji Europejskiej. PiS został więc niejako zmuszony do wcześniejszego wystartowania swojej kampanii, od razu w formule zaplanowanej zapewne na „duże wybory” jesienią. Partia przedstawiła „plan wypłat” dla wyborców, przewidujący majowe zasiłki dla emerytów, potem 500 zł stałego dodatku już na każde dziecko, 300 zł „piórnikowego” itd. To było przeniesieniem „kopernikańskiego odkrycia” z kampanii 2015 r. – czyli, że wybory wygrywa się dzięki konkretnym pieniądзом wypłacanym konkretnym ludziom. Beata Szydło na konwencji partyjnej mówiła wręcz o „hojnym prezencie Jarosława Kaczyńskiego dla Polaków”. Była to jawna deklaracja klientelizmu jako państwowej ideologii.

Do „planu wypłat” doszło sprawne – i sprawdzone w poprzedniej kampanii – zarządzanie lękiem. Oto wyciągnięty z „Przypisów” pobieżny opis ostatniej konwencji PiS przed majowymi wyborami: „Prezes zebrał w garść wszystkie wypuszczane wcześniej w tygodniowych dawkach straszidła. Że jeśli PiS nie wygra, opozycja odbierze hojne świadczenia, dzieci już od przedszkola będą poddawane seksualizacji, propagowana będzie pornografia, dopuszczone homoadopcje, ograniczona wolność w internecie, wprowadzona waluta euro (która podniesie ceny), będziemy płacić za niemieckie zbrodnie wojenne i oddawać Żydom majątki, zostaniemy zmuszeni do przyjęcia islamskich imigrantów, w polskich miastach powstaną wyjęte spod polskiego prawa «strefy szariat» itd. Prezes PiS naprawdę te i podobne brednie publicznie wygłaszał i będzie to czynił do ostatniego dnia kampanii”. Mogę dodać, że będzie to czynił także do ostatniego dnia kampanii 2023 r., praktycznie słowo w słowo.

Wtedy, w maju 2019 r., to przyniosło sukces: PiS nieoczekiwanie wygrał wybory europejskie, zdobywając 45,3 proc. głosów i 27 mandatów, Koalicja Europejska – 38,4 i 22 mandaty, a nowa formacja lewicowa Wiosna Roberta Biedronia – 6 proc. i 3 mandaty.

W tamtej kampanii PiS dokonał drugiego „kopernikańskiego odkrycia”: otóż spośród wszystkich strachów, jakimi sztab motywował wyborców PiS, najmocniej rezonowały wątki seksualne, a precyzyjniej – homoseksualne. To było wręcz nieprawdopodobne – i zapewne niewyobrażalne dla opozycji, gadającej o inwestycjach unijnych i praworządności – że opowieści o planie rozbijania polskich rodzin i deprawowania dzieci („Afirmacja seksualizacji”) przez płynącą z Zachodu (Putin mówił: „gejropy”) ideologię LGBT będą tak skuteczne. To wtedy kontrolowane przez PiS samorządy zaczęły przyjmować uchwały o strefach wolnych od LGBT. Ale też, trzeba pamiętać, tę

narrację wzmacniał i autoryzował Kościół katolicki, przez cały rok 2019 borykający się z problemem tuszowania pedofili wśród kleru. Kot

W Gdańsku, po ujawnieniu pedofilskich przestępstw ks. Jankowskiego, obalono jego pomnik. Pod presją mediów episkopat został zmuszony do ujawnienia w marcu 2019 r. raportu o pedofili w polskim Kościele (od 1990 r. zgłoszono ok. 400 takich przypadków). Mocnym ciosem był obejrzany przez kilkanaście milionów Polaków internetowy film dokumentalny braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”, obnażający praktykę ukrywania przez Kościół instytucjonalny przestępstw seksualnych. Propagandowa akcja władz, stawiająca znak równości między homoseksualizmem a pedofilią, ewidentnie miała przekierować uwagę i oburzenie społeczne w stronę „lansowanej przez opozycję ideologii LGBT”.

Porażka opozycji w majowych wyborach spowodowała rozpad Koalicji Europejskiej. Jako pierwsze wycofało się PSL, któremu propaganda pisowska przypinała łatkę „gejowskiej partii”, a Władysława Kosiniaka-Kamysza nazywała „tęczowym Władkiem”. Przed wyborami parlamentarnymi Jarosław Kaczyński do dominującej narracji – o zagrożeniach ze strony LGBT oraz islamskich uchodźców – dołożył jeszcze teorie „historiozoficzne”, wielokrotnie oskarżając ludzi PSL, PO i SLD, którzy od początku współtworzyli III RP, o zdradę. Mówił o klęsce rządu Mazowieckiego i planu Balcerowicza, wczesnym i późnym postkomunizmie, niemieckiej opcji Gdańska, ukrytej opcji niemieckiej na Śląsku, nihilizmie moralnym zwolenników opozycji, „mrokach Tuska”.

W sondażach widzieliśmy, jak skuteczna jest metoda polaryzacji wyborców, budowania w każdym przekazie czarno-białego podziału na nas, reprezentujących (jak kiedyś Kaczyński mówił o sobie) „samo dobro” i na nich, których celem jest nas obrażać, ograbiać, zniszczyć. Ten prosty mechanizm pozwalał PiS przeskakiwać nad kolejnymi aferami (loty marszałka Kuchcińskiego) czy protestami – jak niemal powszechny strajk szkolny („Ostatni dzwonek”). Pisałem: „Kampanię wyborczą do parlamentu zdecydowanie wygrał PiS i gdyby traktować ją jako casting, w którym na końcu publiczność głosuje na lepszego performerę, bogatszy show czy zabawniejsze iluzje, to PiS powinien zwyciężyć 80:20”.

Ostatecznie było tak: PiS 43,5 proc. głosów i 235 mandatów; Koalicja Obywatelska/PO – 27,4 i 134 miejsca; SLD – 12,5 (49), PSL – 8,5 (30), Konfederacja – 6,8 (11). PiS, zdobywając więcej głosów niż w mocno przypadkowych wyborach 2015 r., potwierdził, zalegalizował ówczesne zwycięstwo. Partia Kaczyńskiego mimo wszelkich ekscesów

rządzenia uzyskała swoiste absolutorium. Ale wynik nie był jednoznacznym sukcesem („Teraz dogrywka”): PiS stracił większość w Senacie; okazało się też, że wśród posłów Zjednoczonej Prawicy są dwie niepisowskie formacje, mające po kilkunastu posłów: Porozumienie Jarosława Gowina oraz Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry. Skutki tego ujawniły się zaraz po wyborach i naznaczyły całą drugą kadencję PiS.

Podwójne przegrane przez opozycję wybory to oczywisty, przykry i powracający temat „Przypisów” 2019 r. Ale tu chcę zacząć od przypomnienia emocji, jakie towarzyszyły szokującej wiadomości o zabójstwie Pawła Adamowicza i Jego pogrzebowi. Gdańsk znowu przypomniat o swojej szczególnej roli w najnowszej historii Polski. To z Gdańska Donald Tusk ogłosił swój powrót do krajowej polityki, choć w listopadzie 2019 r. poinformował, że nie zamierza bynajmniej startować w wyborach prezydenckich 2020 r. („Bez Tuska”), do czego go namawiano.

W tym trudnym dla wyborców opozycji roku nieoczekiwanym bonusem, optymistycznym zakończeniem złych miesięcy była literacka Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk, „lewaczki, feministki, ekolożki”, jak nazywały ją skonfundowane media prawicowe. Komentarz do jej znakomitego sztokholmskiego wykładu zamyka opowieść o przegranych 2019 r. Ale najpierw Gdańsk i czarny styczeń.

PRZYPISY 2019

Słowa przed ciszą

Polityka 3 (3194), 15.01.2019 r.

Tę ostatnią scenę też zapamiętamy do końca życia: Paweł Adamowicz zginął od ciosów nożem, zadanych w świetle kolorowych reflektorów, akurat wtedy, gdy z przyklejonym na kurtce czerwonym sercem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy wśród setek rozradowanych osób uwalniał symboliczne „światełko do nieba”.

Wiele razy mówiliśmy i pisaliśmy na tych łamach, że poziom agresji i nienawiści, jakim parują rozmaite fora i serwisy internetowe, przyzwolenie na najdziksze formy propagandy w mediach państwowych, pogarda okazywana przeciwnikom politycznym, że to wszystko stwarza atmosferę, w której wcześniej czy później dojść może do publicznych, aktów przemocy. Ale jednocześnie takich incydentów było dotąd bardzo mało. I choć zdarzały się czyny odrażające – spoliczkowanie, oplucie, zwyzywanie oponenta – na szczęście od lat nie doświadczaliśmy w Polsce ataków godzących bezpośrednio w życie jakiegokolwiek polityka.

Być może potwierdzi się, że ten zamach nie miał wyraźniejszego podłoża politycznego, choć napastnik wykrzykiwał jakieś tego typu oskarżenia. Ale nawet gdyby to był „jedynie” indywidualny, odosobniony akt terroru, popełniony przez desperata czy człowieka niezrównoważonego, zabójstwo prezydenta Gdańska staje się poważnym ostrzeżeniem.

Po pierwsze, chodzi o nasz wewnętrzny kontekst. Atak nastąpił w dniu finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jurek Owsiak, zanim ogłosił, że „po tym, co się stało” rezygnuje z kierowania Fundacją WOŚP, w bardzo emocjonalny sposób przypomniał hejt, jakim on sam, Orkiestra i jej uczestnicy są obdarzani co roku przed wielkim Finałem, także ze strony tzw. mediów narodowych. Doszło już do tego, że TVP zaatakowała Owsiaaka jawnie antysemickimi chwytami. Jak w ostatniej świątecznej „GW” zwracał uwagę znany dziennikarz Krzysztof Leski,

przez kilkanaście miesięcy oglądający wytrwale „Wiadomości” TVP – najgorsza nie jest tam nawet bezwstydną manipulacja faktami czy nachalna propaganda; „najgorsza jest nienawiść. I język, w którym jest rozsiewana”. Co wieczór, mówi Leski, ogarnia go „niekończące się zdumienie”, że można wytaczać taką „beczkę z g...”. To, co przez ponad 20 lat było wielkim narodowym świętem dobroczynności, solidarności, rozrywki, przyjaźni, zostało publicznie zbrukane, ubabrane w jakieś chore polityczne i ideologiczne interpretacje i pomówienia. Nie, nie oznacza to, że władza odpowiada za barbarzyński atak w Gdańsku, ale odpowiada za zarażenie tego święta agresją i lękiem. I to pierwsze ze „złych skojarzeń”.

Drugie dotyczy naszego wizerunku, a właściwie stereotypów, jakie dziś towarzyszą Polsce. Od trzech lat przekazy z Polski dotyczą ulicznych demonstracji i protestów, konfliktów z Unią Europejską w sprawie niezależności sądownictwa, ostentacyjnych umizgów polskiego rządu wobec Donalda Trumpa czy, jak ostatnio, obrony przez polskie władze prawa do nieograniczonego wydobywania i spalania węgla. A teraz najgorsze: zabójstwo prezydenta miasta. Nie jesteśmy krajem o silnym, ugruntowanym historycznie wizerunku, gdzie taka zbrodnia byłaby „tylko” tragicznym incydentem. W medialnym i politycznym światku, który nie ma czasu na niuanse i chętnie posługuje się stereotypami, spadliśmy do kategorii państw niestabilnych, nieprzyjemnych, skłonnych do przemocy, sprawiających kłopoty sobie i innym. I będziemy za to płacić.

Sprawa trzecia. Paweł Adamowicz był, ze strony władzy, obiektem ataków, których natura od pewnego czasu już nie dziwi, ale w historii III RP jest mocno związana ze sposobem uprawiania i rozumienia polityki przez PiS. Chodzi o „kryminalizację opozycji”. To nie tylko tzw. sprawa Adamowicza, gdzie zawsze było więcej domniemań niż faktów, czy Donalda Tuska, na którego władza próbuje znaleźć jakikolwiek hak, od Amber Gold, przez udział w spisku smoleńskim, po „zbrodnię dyplomatyczną”. O zdradę interesów Polski oskarżana jest cała opozycja; sędziowie są publicznie dyskredytowani i obrażani nawet przez prezydenta, a media i dziennikarze opozycyjni traktowani jako sprzedajni i „niepolscy”. Nawet pobicie byłego szefa KNF ważny polityk rządzącej formacji usprawiedliwiał zdaniem, że „nie zawsze przestępcy biją dobrych ludzi”. Jasne, polityka, szczególnie dziś, bywa brutalna i prymitywna. Ale posłuchajmy obecnych, bardzo przecież gwałtownych, sporów politycznych w Wielkiej Brytanii,

Francji czy w Niemczech: gdzie rządzący oskarżają opozycję o zdradę stanu czy bez dania racji o najgorsze przestępstwa? Nie, nie oznacza to, że władze odpowiadają za jakies akty bandytyzmu wymierzone w osoby publiczne. Ale podnoszą poziom agresji i pogardy wobec polityków. Także wobec siebie.

Jeśli śmierć Prezydenta żąda od nas chwili ciszy, to w tym milczeniu, pochylając głowę, warto sobie zadać pytanie, czy całą winę możemy zatrzasnąć w celi razem z mordercą?



Zbrodnia i polityka

Polityka 4 (3195), 22.01.2019 r.

Żałoba po śmierci Pawła Adamowicza wypełniła się zbiorowymi emocjami, jakich Polska dawno nie widziała. Tłumy milcząco czekające w wielogodzinnej kolejce, żeby pokłonić się przed trumną Prezydenta; setki tysięcy zniczy zapalanych na rynkach polskich miast; łzy na ulicach i przed kamerami. A jednocześnie narastające poczucie, że polskie państwo nie podziela tej żałoby, że się od niej opędza, chce przeczekać.

Przykrych, niekiedy wręcz zenujących gestów mieliśmy w tych dniach aż nadto: demonstracyjne „spóźnienie się” Jarosława Kaczyńskiego na skromną sejmową uroczystość żałobną; potem w przeddzień gdańskiego pogrzebu zbiorowy wyjazd całego „kierownictwa partii i rządu” na Wawel, w celu złożenia hołdu Lechowi Kaczyńskiemu (!). A obok seria konferencji ministra Ziobry, głoszącego teorię, że zabójca „mógł chcieć” dokonać zamachu także na Andrzeja Dudę. Czy wreszcie odklepywane przekazy dnia, że nie należy tej zbrodni „upolityczniać”, że nie wolno eskalować emocji, a już zwłaszcza nie wypominać obozowi władzy kampanii oszczerstw wobec Pawła Adamowicza i Jurka Owsiaaka, „gdyż nie ma to nic wspólnego z zamachem”.

Objawy paniki w obozie władzy dadzą się zrozumieć: opozycja dostała symbol i emocje, jakich jej dramatycznie brakowało (prawicowe portale pisały o „opozycyjnym Smoleńsku”), a sam zamordowany, przez to, kim był, okazał się być po śmierci bardziej niebezpieczny dla władzy niż kiedykolwiek za życia. Dopiero teraz, naprawdę, cała Polska odkryła Pawła Adamowicza. Prezydent Gdańska – tak jak o nim opowiadali przyjaciele – był dokładnie takim, jakim mógłby być PiS, gdyby, jak kiedyś deklarowano, chciał pozostać partią konserwatywną, chadecką czy nowoczesną prawicą. Zanim Jarosław Kaczyński nie nasycił tej formacji swoimi obsesjami, kompleksami, nienawiścią, żądzą odwetu.

Adamowicz wywodzi się ze środowiska młodych gdańskich konserwatystów, dla których w latach PRL przewodnikiem politycznym był Aleksander Hall. Potem, już w latach 90., określał się jako „liberalny konserwatysta”. Był i pozostał osobą głęboko wierzącą, bliską tradycji polskiego Kościoła otwartego, posoborowego. Wiara absolutnie nie przeszkadzała mu, aby jako prezydent miasta aprobeował religijną i ideową różnorodność mieszkańców, wspierał lokalne programy in vitro, stawał na czele parady równości, a zwłaszcza „błuźnierczo” opowiadał się za pomocą dla uchodźców i imigrantów. Przekonanie, że taką postawę można pogodzić z katolicyzmem, ba, nawet wywodzić ją z chrześcijaństwa, w dzisiejszej Polsce, zdominowanej przez pełen pychy, Kościół toruński, wygląda na herezję. Ale Adamowicz uparcie dawał świadectwo; przypominał Polakom o innym, zepchniętym na obrzeża Kościoła, otwartym nurcie polskiego katolicyzmu.

Wielokrotnie wspominało się, że Paweł Adamowicz był „dzieckiem Solidarności” i do końca życia pozostał jej wierny. Kiedyś to była Solidarność także Lecha

Kaczyńskiego, z którym przyszły prezydent Gdańska blisko współpracował. Ale potem stawiała się coraz bardziej Solidarnością Jarosława Kaczyńskiego, kwestionującą po kolei fundamentalne wartości samego Ruchu i osoby jego przywódców. Tamta Wielka Solidarność stworzyła koncepcję „Polski Samorządnej”, w sposób naturalny odrzucała władzę jakiegokolwiek nomenklatury partyjnej, centralizm, opowiadała się za społeczną gospodarką rynkową, za Polską europejską, tolerancyjną i otwartą. Od początku był w niej obecny nurt nacjonalistyczny, ultrakatolicki, ale nie on kształtował podwaliny wolnej Polski.

Przyjaciele Adamowicza mówili o tym, że „Paweł dobrze wiedział, czym była Solidarność i kto ją tworzył”. „Zawsze wyznawał miłość Lechowi Wałęsie” – dodała następczyni Prezydenta Aleksandra Dulkiwicz. To on zbudował w Gdańsku Europejskie Centrum Solidarności, gdzie przechowywana jest pamięć o Ruchu, jego prawdziwej historii, ideach i przywódcach. Całkowicie sprzeczna z dzisiejszą pisowską narracją historyczną, stawiającą w centrum Solidarności i w ogóle współczesnej historii Polski braci Kaczyńskich i ich partię.

Adamowicz był samorządowcem, ale w sensie, który też jest prowokacją wobec koncepcji PiS. Samorząd to nie był dla niego lokalny organ władzy państwowej czy regionalne przedstawicielstwo zwycięskiej partii politycznej, ale realna wspólnota mieszkańców, z prezydentem jako jej usługodawcą. Mówił, że tu powinno się szukać równowagi między wolnością jednostki a potrzebami wspólnoty, budować solidarność z grupami mniejszościowymi i społecznie upośledzonymi. Stąd też jego entuzjastyczne osobiste wsparcie dla WOŚP, gdańskiego hospicjum i w ogóle dla wszelkich lokalnych inicjatyw obywatelskich. Także styl uprawiania polityki: otwarty, dialogowy.

Widok trumny Adamowicza niesionej na ramionach wybitnych prezydentów polskich miast zyskał wymiar politycznego symbolu. Samorządy spodziewają się dziś ataku ze strony władz państwowych, prób ograniczania ich kompetencji, dyskredytowania. Ale właśnie zdaje się formować polityczny sojusz prezydentów, nieformalne stowarzyszenie im. Pawła Adamowicza, które w nadchodzących kampaniach wyborczych nie zamierza chować się w ratuszach. Rozmawialiśmy o tym na spotkaniu prezydentów miast w „Polityce” cztery dni przed zabójstwem Adamowicza. Specjalną wysłanniczką prezydenta Gdańska na to spotkanie była Aleksandra Dulkiwicz. Mówiliśmy o tym, że niemal każdy obszar działania państwa jest też terenem aktywności i odpowiedzialności samorządów, więc

polityczność jest ich obowiązkiem, nie uzurpacją. PiS szedł do władzy m.in. z hasłem „odbudowy polskiej wspólnoty”, podstawiając pod to centralizację i wszechwładzę partii. Adamowicz pokazywał, że prawdziwa wspólnota musi być osadzona lokalnie, i taką budował.

O Adamowiczu ktoś ładnie powiedział, że jako z pochodzenia wilniuk był, jak większość mieszkańców Gdańska, „przychodźcą”. I udało mu się w mieście stworzyć, krok po kroku, specyficzną gdańską tożsamość, zamocowaną w poczuciu historycznej ciągłości, społecznego pluralizmu, otwartości. Lokalne, gdańskie oznaczało dla niego i polskie, i europejskie. Drwiono z Adamowicza, że rekonstruuje ideę Wolnego Miasta Gdańska (w domyśle – jakąś ukrytą opcję proniemiecką), ale tak to chyba było: po prostu wolne, europejskie miasto Gdańsk, wolne także od zaściankowej, ksenofobicznej ideologii tłoczonyj dziś przez władze państwowe.

Nie ma potrzeby ustawiania Pawła Adamowicza na cokołach, choć na to zasługuje. Ważniejsze jest, by pamiętać o jego testamencie politycznym. Bo udowodniał, że inna, mądrzejsza, lepsza Polska jest możliwa. Bo jego pogrzeb pokazał, że „Polski Adamowicza” chcą miliony porządnych ludzi, ostatnio politycznie osamotnionych, niepewnych, zagubionych. Że społeczna wrażliwość, solidarność, chrześcijaństwo, wspólnota, patriotyzm nie przynależą do PiS – przeciwnie, PiS je wypaczył, zakłamał, przerobił na narzędzia politycznej opresji.

Ten absurdalny zamach przydarzył się na początku roku 30-lecia polskiej demokracji, u progu wielkich wyborów. I dlatego, przez szacunek dla zabitego prezydenta, musi dla nas pozostać zamachem politycznym.

Afirmacja seksualizacji

Polityka 11 (3202), 12.03.2019 r.

Ledwie obóz władzy ujawnił strategię na tegoroczne kampanie wyborcze, a już ją radykalnie zmienił. Ogłoszony przed dwoma tygodniami na warszawskiej konwencji PiS, wart 40 mld zł, pakiet socjalny bynajmniej nie „zaorał opozycji”; w ogóle nie przyniósł spodziewanych zysków sondażowych. Kolejne symulacje podziału mandatów do Parlamentu Europejskiego wskazują na stan bliski remis. PiS nic nie wzrosło, co by znaczyło, że obiecane i już zaplanowane w tym roku do

wypłaty 20 mld zł w sensie wyborczym „poszło się gonić”. Potwierdzałoby to tezę, że podział polityczny w Polsce staje się coraz mniej wrażliwy na działania o charakterze socjalnym: wyborcy PiS łatwo mogą uznać, że „te pieniądze im się po prostu należały”, zaś opozycjoniści i niezdecydowani „prezent Jarosława Kaczyńskiego” wezmą, a zagłosują (lub nie) po swojemu.

Frustracja i niepewność często prowadzą, jak mówią psychologowie, do stereotypii, uporczywego powtarzania schematów, które kiedyś zadziałały. Coś takiego dokładnie obserwujemy w strategii kampanijnej obozu władzy. Odpowiednikiem dwóch politycznie najsilniejszych obietnic 2015 r. – czyli 500 plus i obniżenie wieku emerytalnego – jest teraz kolejne 500 i dodatek emerytalny. Jednak, jak pamiętamy, PiS sięgnął wtedy po jeszcze jedną broń: przez całą kampanię odbywało się solidne straszenie Polaków najazdem uchodźców – groźnych dla polskości, bezpieczeństwa obywateli i zdrowia publicznego (prawicowa prasa pisała o nadciągających, za zgodą koalicji PO-PSL, muzułmańskich hordach). Ale to było przed trzema laty, teraz nowych imigrantów prawie już w Europie, a jeszcze bardziej w Polsce, nie ma. Ten joker wypadł z talii.

I tu trzeba pochwalić sztabowców PiS, że szybko wykorzystali nadarzącą się okazję, aby – przynajmniej do czasu eurowyborów – w roli imigrantów obsadzić „środowiska LGBT”, a w roli islamu „homopropagandę”. Temu w zasadzie była poświęcona ostatnia konwencja PiS. Pretekstem stała się podpisana przez prezydenta Warszawy tzw. karta LGBT, zawierająca pewne ogólne deklaracje dotyczące równego traktowania osób o różnych orientacjach seksualnych oraz zobowiązanie miasta do wspierania, zgodnie z zaleceniami Światowej Organizacji Zdrowia WHO, edukacji seksualnej oraz „lekcji tolerancji”. Poprzez manipulację tekstem, już o intencjach nie wspominając, PiS zbudował narrację o rzekomym planie seksualizacji dzieci, lekcjach masturbacji, także dla najmłodszych i – drugie kluczowe słowo – „afirmacji” homoseksualizmu.

Manewr w sensie politycznym jest tak oczywisty, że aż trywialny; a skojarzenia z poprzednią kampanią antyimigrancką powszechnie. Po prostu po raz kolejny prezes PiS postanowił wzbudzić wśród tradycyjnych i konserwatywnych wyborców stan paniki moralnej („to horror, atak na polskie rodziny, na prawo rodziców do wychowania potomstwa” – wołał podczas konwencji) oraz wezwać ich do obrony, ramię w ramię z partią, najświętszych wartości: rodziny, dzieci i wiary. Obserwujemy zresztą od początku kampanii zamysł wprzęgnięcia w te wybory

emocji religijnych. Nie ma wystąpienia prezesa czy premiera, gdzie nie pojawiałyby się deklaracje, że „my reprezentujemy cywilizację chrześcijańską”, a katolików w Polsce i w laickiej Europie „się terroryzuje”.

Dzisiejsza Unia Europejska oraz broniąca jej Koalicja są traktowane jako rozsądni demoralizacji. Premier Morawiecki sformułował to dość precyzyjnie: nasi konkurenci rozumieją europejskość jako rewolucję obyczajową. Zatem – idąc za tą logiką – nie chodzi im o jakiś wolny rynek, swobodny przepływ osób, kapitału, o wspólne wartości, chodzi w gruncie rzeczy o promocję homoseksualizmu, eutanazji, aborcji, ateizmu, „podważanie naturalnej tożsamości płciowej chłopców i dziewczynek” (to już Jarosław Kaczyński). „Seksualizacja dzieci w ramach promocji i afirmacji LGBT” oznacza też – powtarzają na głosy politycy PiS – tworzenie atmosfery sprzyjającej pedofilii. W ten sposób, niejako przy okazji, sprawa pedofilii zostaje przerzucona na stronę „liberałów”, dokładnie jak u pewnego polskiego biskupa, który oskarżał rozbudzone erotycznie dzieci o emocjonalne prowokowanie księży. PiS, przyprawiając Koalicji Europejskiej gębę propagatorów dewiacji, rzuca więc jednocześnie moralne koło ratunkowe bardzo dziś zakłopotanemu seksualnymi aferami Kościołowi – oczekując zapewne politycznego rewanżu. A jako bonus może grillować PSL, obsadzając ludowców w roli stronników LGBT i do tego też wymiaru zredukować Wiosnę Biedronia.

Prezydent Francji Emmanuel Macron zaproponował Europejczykom poważną debatę o kilku fundamentalnych dla naszej przyszłości kwestiach: wspólnej obronie, zewnętrznej straży granicznej, przeciwdziałaniu nielegalnej imigracji, powołaniu biura ochrony demokracji i wolności wyborów, wspólnych budżetach. PiS chce sprowadzić wybory europejskie do prostej dychotomii: jesteś za Europą i Polską chrześcijańską, prorodzinną czy lewacką i zboczoną? Za homoseksualizmem czy przeciw? Potwornie to prostackie, kłamliwe, bezsensowne, ale znów budzi u wielu komentatorów podziw dla sprytu prezesa i jego znawstwa duszy polskiego ludu. Zaorał opozycję? Twarda, po raz pierwszy chyba tak twarda, odpowiedź Rafała Trzaskowskiego na „tępe szczucie, cyniczne oszczerstwa, jad i manipulacje” ze strony prezesa PiS raczej nie oznacza, że opozycja – jak zwykle – będzie się tłumaczyć przed PiS. Ale też czas najwyższy, żeby Koalicja Europejska zaproponowała własną agendę tej kampanii. Inaczej cała

debata unijna w Polsce 2019 r. zostanie przez PiS zseksualizowana, a spierać się będziemy o masturbację.



Kadzidło i ligawka

Polityka 15 (3206), 09.04.2019 r.

Do strajku szkolnego jednak doszło. Tego, że żadnej ugody nie będzie, można się było spodziewać, obserwując choćby przebieg kolejnej sobotniej konwencji wyborczej PiS, tym razem w kurpiowskim Kadzidle. Jarosław Kaczyński w ogóle nie odniósł się do groźby strajku, jakby sprawa rozgrywała się w jakiejś innej rzeczywistości. Albo jakby był pewien, że w miarę przedłużania się strajku zdoła skutecznie zwrócić rodziców przeciw nauczycielom. Na tym etapie kampanii bezwzględny priorytetem stała się mobilizacja wiejskich wyborców, których jest przecież 20 razy więcej niż nauczycieli. Nie dziwi więc, że prezes po tym, jak w poprzedni weekend nazwał PiS „partią wolności”, teraz przedstawił swoje ugrupowanie jako jedyną prawdziwą „partię polskiej wsi”. Co zaskoczyło, to forma tej konwencji.

Nie chciałbym nadmiernie ironizować, bo kampania, jak mówią, ma swoje prawa i służy ogólnie do ogłupiania elektoratu. Jednak ta wersja „dla wsi” była zenująca. Demonstracja najczystszej paternalizmu: oto władza zajęła na Kurpsie (jak językowo przypochlebiał się prezes); na sali chłopci i młodzież, przebrani w ludowe stroje; czapkujący gościom, odziany w sukmanę wójt; zespół folklorystyczny przygrywający na ligawkach (ludowy instrument, nomen omen, dęty) i prezenty przywiezione przez „państwo ze stolicy”.

Przebojem weekendu stała się zapowiedź przyznania „500 plus na każdą krowę” i „100 plus na każdą świnie”. Pod warunkiem, że będą to polskie krowy i polskie świnie. Prezes nie bardzo potrafił być precyzyjny w tych zapowiedziach, stąd ogólnie dość komiczny efekt, wzmocniony zaskakującym żartem: „wyborcza kiełbasa już została zaprezentowana”. W konwencję 500 plus wpisał się też, występujący jak zwykle po prezesie, premier Morawiecki, obiecując „500 tysięcy plus” dla małych przetwórci i „500 tysięcy euro plus” dla grup producenckich. Zdaje się, że wszystkie te beneficja miałyby pochodzić z pieniędzy unijnych, które PiS „umiejętnie wywalczy” w Europie. Oczywiście szykujący się do strajku nauczyciele zaraz skontrolowali, że oto dostali właśnie ofertę 1000 zł, czyli „zrobić dziecko, kupić krowę”. Tak to zabrzmiało.

Jednak na konwencję w Kadzidle warto też popatrzeć nieco szerzej. Prof. Jerzy Wilkin z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, jeden z najwybitniejszych w Polsce znawców i badaczy tematu, potwierdza w wywiadzie dla „Polityki”, że PiS ma duże poparcie wśród mieszkańców wsi głównie z powodu 500 plus, ostentacyjnego katolicyzmu i polityki godnościowej. Lecz jeśli chodzi o politykę rolną rządu, jest klęska. „PiS zabetonował fatalną strukturę polskiego rolnictwa, gospodarstwa są za małe i nie mogą się powiększać”, gdyż rząd zahamował obrót ziemią. Nowoczesne farmy „przedstawia się w złym świetle”, wracając do retoryki walki z kułactwem, „choć przy obecnej mechanizacji gospodarstwo rodzinne może mieć nawet tysiąc hektarów”. Obecne rozdrobnienie powoduje m.in., że wielkie sieci handlowe i dyskonty importują żywność (przeciwko czemu protestuje radykalny związek AgroUnia), ale władza, poza gadaniem, nie robi nic, aby temu przeciwdziałać.

Co więcej, zauważa profesor, „nikt na unijnych forach nie zabiega o sojusze” w sprawie przyszłych funduszy dla rolnictwa, „naszego głosu w Brukseli nie słychać”. Jest więc tak, że większość „rolników” bierze, póki dają, 500 zł unijnych

dopłat do hektara (znów to 500 plus), „ale po marchew czy ziemniaki idą do dyskontu”. PiS utrzymuje na wsi skansen, uzależniając miliony ludzi od dotacji unijnych i budżetowych. W ten sposób (to już ja dopowiadam) hoduje sobie przyszłych wyborców. Idealna wieś według PiS to byłoby parę kurek, świnek i krówek własnego chowu, zakupy w geesie, czekanie na pekaes i na przekaz z pieniędzmi, plus może folklor, cepelia i ligawki. Tak to prezes sympatycznie zapamiętał z dzieciństwa.

Jarosław Kaczyński, idąc do władzy, zapewne szczerze wierzył w swoją sprawczość, dziejową misję, w wielkie, według własnego projektu, przeoranie państwa. W czwartym roku sprawowania rządów ta ambicja legła w gruzach. Był „złoty róg”, czyli pełnia władzy, została, powiedzmy, ligawka. Materia okazała się zbyt oporna? Ludzie niekompetentni i pazerni? Program zmian źle pomyślany i zaplanowany? Zewnętrzna i wewnętrzna opozycja zbyt silna? Wszystko jedno: żadna dobra zmiana się nie dopełniła, przeciwnie, dramatycznie obniżyła się jakość państwa. Po kolei, już tylko hasłowo. Edukacja – protesty i chaos. Sądownictwo – konflikt na całą Europę i wszystkie wskaźniki sprawności gorsze, niż były. Wojsko – rozbrojone. Smoleńsk – żadnego dowodu na zamach, wrak nadal w Rosji. Plan Morawieckiego – z wielkich inwestycji zostały bajania, a w realu wygolenie kawałka Mierzei Wiślanej. Mieszkanie plus – nic. „Wstawanie z kolan” – izolacja plus seria kompromitacji w polityce zagranicznej. Kultura – minister Gliński. A media publiczne? Służba zdrowia? I tak punkt po punkcie.

Żeby uzasadnić trwanie przy władzy, PiS-owi została w rękach już tylko czysta, sucha technologia polityczna: jawne kupowanie głosów na wielką skalę, nawet nieudające jakiegokolwiek polityki czy „programu”; wojny światopoglądowe, szczucie na przeciwników politycznych, niepohamowane obietnice, zmasowana propaganda, prokuratura, służby specjalne. To może wystarczyć, aby wygrać, bo decydująca „środkowa” grupa wyborców jest labilna, niezorientowana, wrażliwa na sygnały ostatniej fazy kampanii. Ale wobec gruzowiska, jakie pozostawia po sobie „dobra zmiana”, przed opozycją otwiera się rozległe pole dla własnego programu rekonstrukcji państwa. Bo nawet jeśli PiS sam się zaorze, to opozycja i tak musi posiać.

Ostatni dzwonek

W każdej polskiej rodzinie są dzieci w wieku szkolnym, więc trwający już drugi tydzień masowy protest nauczycieli dotyka prawie wszystkich. Fakt, że premier Morawiecki ostentacyjnie nie znalazł dotąd „czasu” na spotkanie ze strajkującymi nauczycielami, wyraźnie określa intencje władz. PiS ewidentnie liczy na złamanie strajku, zmęczenie strajkujących, rozbicie solidarności między nauczycielami i szkołami. Liczy na skuteczną presję finansową, także na naciski rodziców, straszonych niedopuszczeniem dzieci do matur, „zawaleniem roku”, chaosem przy rekrutacji do liceów i na studia.

I zapewne dokładnie obserwuje sondaże. Na razie poparcie dla strajkujących rozkłada się według linii podziału politycznego. W elektoracie PiS trzy czwarte ankietowanych potępia strajk; dokładnie odwrotnie jest wśród potencjalnych wyborców antyPiSu. Ta polaryzacja jest zapewne dla Jarosława Kaczyńskiego kolejnym powodem, żeby nie ustępować. Jednocześnie cały aparat propagandowy partii dostał dyspozycje, aby – mających jednak jakiś moralny dyskomfort – codziennie przekonywać, że strajk jest zwykłą przedwyborczą akcją Schetyny, że nauczyciele, którym przecież rząd obiecuje podwyżki („do 8 tysięcy”, jak mówiła premier Szydło), są zmanipulowani przez postkomunistów z ZNP, że sprzeniewierzyli się zawodowej etyce, są egoistami, nieskłonni „pracować dla idei” – i co tam jeszcze komu przyjdzie do głowy i na język.

Wielu nauczycieli, wiemy, bardzo źle znosi te krzywdzące, często obrzydliwe ataki; są zaskoczeni, że można w taki sposób kłamać, pomawiać, poniżać. Na szczęście jest i druga strona: nie brakuje fantastycznych, wzruszających gestów solidarności z protestującymi; rozkręca się zbiórka pieniędzy na społeczny fundusz strajkowy. Ważna stała się też samorządowa i rodzicielska samopomoc, przejmowanie opieki nad dziećmi, także asysta w przeprowadzeniu egzaminów. To ułatwia kontynuację strajku.

Odkąd nauczyliśmy się lepiej rozumieć PiS, wiemy jednak, że prezes nie da sygnału do odwrotu, zanim – już nie pamiętam czyja to metafora – nie będzie miał wody powyżej nosa. Kaczyński na ostatniej partyjnej konwencji nawet się nie zająknął na temat szkolnego strajku. Po raz kolejny mógł demonstrować „nienawistne milczenie”. Ale problemem nie jest sam Kaczyński, którego patologiczny styl uprawiania polityki znamy od dziesięcioleci, lecz to, że kilka

milionów ludzi go popiera, a nawet – sądząc z masy internetowych wpisów – odnajduje w przyłączaniu się do nagonki na nauczycieli złośliwą satysfakcję. To kolejna „dobra zmiana”: w polskiej tradycji zawsze silny był odruch solidarności z protestującymi, popierania „strony społecznej” przeciw „stronie rządowej”.

Kaczyńskiemu udało się niezwykła sztuka: przekonał swoich zwolenników, że polityka to nie jest spór o sposób urządzania kraju, tylko, w istocie, starcie moralne, gdzie każdy przeciwnik jest – jak to zwerbalizował senator Bierecki – „niegodny należeć do naszej wspólnoty narodowej”. Bez końca snuta jest opowieść, że trwa starcie ludu, reprezentowanego przez PiS, z potężnymi, w gruncie rzeczy wciąż sprawującymi władzę elitami (nawet jeśli te elity zarabiają po 2 tys. miesięcznie, jak nauczyciele). Lecz głębiej tkwi jeszcze coś: sięgająca samych podstaw antyliberalnej rewolucji PiS, zasadnicza zmiana stosunku do wykształcenia.

Od narodzin III RP dominował w Polsce dogmat kształcenia jako najlepszej drogi do kariery i pozycji społecznej. Bez względu na liczne późniejsze rozczarowania, związane z inflacją dyplomów, do dziś nowa klasa średnia ma wręcz obsesję na punkcie edukacji swoich dzieci, doboru szkół, zajęć pozalekcyjnych, uzbrajania młodych ludzi w rozmaite kompetencje, które powinny im pomóc w odniesieniu życiowego sukcesu. PiS werbalnie nie potępia tych starań, ale w każdym niemal politycznym przekazie kwestionuje stojącą za nimi aksjologię: pragnienie osobistego awansu, indywidualną zapobiegliwość, potrzebę samorealizacji, niezależności, ambicję. Powyżej stawia „wspólnotę” – to słowo obracane jest na wszystkich partyjnych konwentykłach – uosabianą przez państwo i jego kierownictwo. To władza ma być dysponentem karier, społecznego prestiżu, dobrobytu. Więc i szkoła, poza dostarczeniem pewnego quantum wiedzy o świecie, powinna być przede wszystkim ośrodkiem wychowania „dla wspólnoty” – formowania postaw patriotycznych, etycznych (religijnych), propaństwowych, konformistycznych. Nauczyciele mieliby być raczej funkcjonariuszami państwa niż „spolegliwymi opiekunami”, przewodnikami dla młodych ludzi, z których powinni wyrosnąć świadomi obywatele i odpowiedzialni dorośli. Złamanie strajku nauczycieli przybliżyłoby zmianę charakteru polskiej szkoły: z liberalnej na narodową, z kształcącej na formującą, z publicznej na rządową. Nie wierzę, aby to się ostatecznie powiodło, ale czekałyby nas kolejne lata konfliktów i degradacji oświaty. Taka jest także stawka obecnego protestu.

Wobec nieustępliwości władz strajk szkolny w obecnej formie zapewne będzie tracił impet. Nie wiem, czy to jest emocjonalnie i organizacyjnie realne, ale wyobrażam sobie, że wobec tego można by było strajk zawiesić – również po to, aby spokojnie przeprowadzić matury – i zapowiedzieć kontynuację od września. Akurat wtedy wywołany przez PiS szkolny kryzys dwóch roczników, więc i desperacja rodziców, sięgną zenitu; zaś do wyborów parlamentarnych zostanie ledwie parę tygodni. I prezesowi woda podejdzie powyżej nosa. Po drodze warto by też zorganizować oświatowy, społeczny „okrągły stół” i rozmawiać nie tylko o zarobkach – żeby na wrzesień (i na wyborczy październik) mieć już konkretne propozycje. Widać, że nacisk na PiS może przynieść jakieś doraźne ustępstwa, lecz o przyszłości polskiej szkoły, celach kształcenia, warunkach i sensie pracy nauczycieli zadecydują ostatecznie wybory. Edukacja została przez PiS wpisana do polityki i tego sporu nie da się już od polityki oddzielić.



Lekcja majowa

Polityka 22 (3212), 28.05.2019 r.

Miał być „remis ze wskazaniem na PiS”, wyszło zdecydowane zwycięstwo PiS. Siedmiopunktowa przewaga Zjednoczonej Prawicy nad Koalicją Europejską jeszcze w noc wyborczą wydawała się nieprawdopodobna. Ale fakty są nieubłagane: partia Jarosława Kaczyńskiego wygrała eurowybory; w południowo-wschodnich okręgach uzyskała nadwyżkę niemal druzgocącą, kilku kandydatów pobiło krajowe rekordy poparcia (500 tys. głosów na Beatę Szydło robi wrażenie). Zważywszy, że to głosowanie miało być dla opozycji najłatwiejsze, a po przebiegu wyborów samorządowych spodziewano się nowej antypisowskiej mobilizacji wielkich miast, w sumie dla Koalicji wyniki są bardziej niż rozczarowujące, a nastroje zrozumiale podłe. Choć, formalnie, klęski przecież nie ma: prawie 40 proc. głosów oddanych na KE jest rezultatem przyzwoitym.

Opozycyjni politycy powtarzają, że mają jeszcze nie przesądza o wynikach października – ale co mają mówić? I tak niemal wszyscy wróżą dziś łatwe, przygniatające zwycięstwo PiS w wyborach parlamentarnych. Jeśli ta prognoza ma się nie spełnić, opozycja (wiem, że łatwo tak radzić) musi się jak najszybciej otrząsnąć z przygnębienia, nie zanurzać za głęboko w wewnętrzne rozrachunki. Ale najważniejsze, to w miarę poprawnie odczytać, co się stało.

My w „Polityce” też nad tym się zastanawiamy. Tymczasem kilka najogólniejszych, pospiesznych obserwacji. Po pierwsze, potwierdziła się głęboka polaryzacja polskiej polityki. Mimo utyskiwań orędowników tzw. trzecich sił na „wyniszczający duopol PO-PiSu”, prawie 85 proc. głosujących postanowiło wziąć osobiście udział w starciu PiS-KE, uznając, jak widać, jego sens i autentyczność.

Po drugie: ta dwubiegunowość oznacza też, w praktyce, dwudzielność, czyli że potencjały proPiS i antyPiS pozostają, wbrew pozorom, wyrównane. KE wspólnie z Wiosną zgromadziła ok. 45 proc. głosów, czyli dokładnie tyle samo, co antyPiS (w innym układzie partyjnym) w wyborach sejmikowych w 2018 r. i co Zjednoczona Prawica obecnie.

Po trzecie, zaskoczyła frekwencja. Pobite zostały wszystkie wcześniejsze rekordy. Jednak mobilizacja elektoratu nie zadziałała na korzyść „opcji europejskiej”, przeciwnie, zwiększyła skalę zwycięstwa PiS. Okazało się, że miasta, poza największymi, były znacznie mniej politycznie pobudzone niż otaczająca je tzw. prowincja. To poważne ostrzeżenie dla Koalicji i wskazówka, żeby przeorientować kampanię.

Istotna, zwłaszcza w perspektywie jesiennych wyborów, jest kolejna, pokrewna, obserwacja: kampania opozycji musi być aktywniejsza. Oczywiście, że PiS dysponuje nieporównanie większymi pieniędzmi i środkami perswazji niż przeciwnicy, a to, co wyprawiała telewizja, którą wstyd nazywać publiczną, faktycznie przypomina jakieś wzorce północnokoreańskie. PiS w tej batalii użył zresztą wszystkich działań: obiecał wyborcom 40 mld zł do ręki, wypłaty uruchomił tak, aby zaczęły trafiać „do portfeli Polaków” w rytmie wyborczym (portfele uznano za miarę wolności i europejskości); rzucił na wyborczą szalę gejów, Żydów, Niemców, Matkę Boską, Kościół, euro i krowę plus. Jeśli do tego dodać znakomitą ogólnie koniunkturę gospodarczą, minimalne bezrobocie i wzrosty płac – 45-procentowe poparcie dla partii władzy nie oszłamia, zwłaszcza że w domach tradycyjnie pozostała ponad połowa wyborców. Ale też więź PiS z jego wyborcami okazała się na tyle silna, że żaden głośny skandal nie spowodował odpływu elektoratu w stronę opozycji. Ba, wygląda na to, że nawet film Sekielskich zmobilizował część tradycyjnego elektoratu z tzw. pasa biblijnego, do „obrony Kościoła” i głosowania na PiS. Szansa dla opozycji w tym, że PiS wystrzelał już mnóstwo najcięższej amunicji i trudniej mu będzie stosować taktykę „więcej tego samego”.

Kolejna uwaga: logika polaryzacji jest bezwzględna i byłoby niedorzecznością, gdyby po majowych wyborach któryś z członków Koalicji próbował ten projekt porzucić (tu najbardziej podatny na rozłam jest PSL).

Wyniki wyborów zostawiły też miejsce na osobną inicjatywę polityczną po stronie opozycji, jaką miał być ewentualny „ruch 4 czerwca”. Opozycja bardzo potrzebuje rozszerzenia partyjnej formuły o sojusz z demokratycznymi środowiskami, zwłaszcza samorządowymi – i do tego planowane na 4 czerwca gdańskie Święto Wolności i Solidarności dobrze się nadaje. Pomysł ewentualnej wspólnej „samorządowej” listy do Senatu, pod patronatem lub tylko życzliwą protekcją Donalda Tuska, jest wart podjęcia. W ogóle jest wskazane, aby w Gdańsku, po opadnięciu powyborczych negatywnych emocji, nastąpił restart decydującego etapu kampanii wyborczej – nawet nie w sensie technicznym, ale ideowym.

Cała dzisiejsza demokratyczna opozycja broniąca zasad konstytucji III RP, prozachodniego kursu, honoru twórców Wolnej Polski, sukcesów transformacji – właśnie w rocznicę 4 czerwca może zaczepić swoją narrację. Koalicja potrzebuje

własnej legendy, ale i agendy, podjęcia porzuconych czy pominiętych w kampanii tematów: zmian klimatycznych, ochrony środowiska, służby zdrowia, przyszłości edukacji, polityki społecznej czy senioralnej.

Opozycja wciąż może wygrać jesienne wybory, wciąż ma rezerwę utraconych lub zubożniętych wyborców, lecz powinna im dać to, co Kaczyński daje swoim: ducha wspólnoty, poczucie własnej – i własnych – wartości, spójny plan na przyszłość. To dramatyczny wniosek z przegranych majowych wyborów.

Moment zero

Polityka 32 (3222), 06.08.2019 r.

Ujawniona trochę przypadkiem sprawa nadużycia przez marszałka Sejmu prawa do służbowych lotów rozkręciła się bardzo niepomysłnie dla obozu władzy. Tematu nie udało się zneutralizować ani wielokrotnym demonstrowaniem przez media narodowe fotografii premiera Donalda Tuska z rodziną na pokładzie służbowego samolotu, ani wymuszoną wpłatą datku-mandatu na cele charytatywne. Tu już dawno przestało chodzić o to, że marszałek podrzucił bliskich do Rzeszowa – opozycja słusznie eksponuje skalę prywaty, nadużywanie specjalnego statusu HEAD, a przede wszystkim milczenie marszałka i kłamstwa jego urzędników. W tym nasza „Airgate” zaczyna przypominać matkę wszystkich politycznych afer, słynną Watergate. Tam też zaczęło się od banału, włamania jakichś gości do jednego z partyjnych biur. To, co pogrążyło prezydenta Richarda Nixona, to próby tuszowania wpadki, kolejne fałszywe oświadczenia, nakręcające się spirale kłamstw, a przede wszystkim wyłaniający się pomału obraz skrajnego zepsucia i cynizmu władzy.

Niekompetencja Marka Kuchcińskiego jako marszałka Sejmu nigdy dotąd nie była niebezpieczna dla PiS. Nie drażniły też dygnitarские upodobania Kuchcińskiego, bo „suweren” – jak nazywamy zdeklarowanych wyborców PiS – toleruje, nawet chyba lubi, kiedy „władza jest władzą”, towarzyszy jej pewien splendor, luksus, uroczy dystans. Kłopotem stało się narzucenie przez tabloidy interpretacji, że marszałek przeholował, „woząc się za nasze miliony”. W kampanii PiS chce odtworzyć wizerunek z 2015 r.: partii skromnych patriotów zatroskanych o dobrobyt i bezpieczeństwo Polaków. Tak brzmią przemówienia

prezesa i premiera. Samoloty Kuchcińskiego zakłóciły tę sielankę. Jest więc bardzo prawdopodobne, że marszałek, „druga osoba w państwie”, może podać się do dymisji, zmęczony „bezprzykładną nagonką opozycji na swoją rodzinę”. Wszystko jak zawsze będzie zależało od sondaży i osobistej kalkulacji Jarosława Kaczyńskiego, czy da się z Kuchcińskim dotrwać do wyborów.

Ten sam dokładnie kontekst ma kolejna „afery tygodnia”, czyli blokowanie przez Kancelarię Sejmu ujawnienia nazwisk osób, które podpisały się pod kandydaturami do nowej Krajowej Rady Sądownictwa. To faktyczna odmowa wykonania prawomocnego wyroku sądu. Widać, że prezes podjął decyzję, aby za wszelką cenę, nawet ryzykując „jazgot prawników” czy kolejne interwencje Unii Europejskiej, nie odsłaniać kompromitujących (co do tego chyba nie ma wątpliwości) detali politycznego przejmowania KRS. Afera Dwóch Wież i kłopotliwe dla samego prezesa Kaczyńskiego zeznania austriackiego biznesmena Birgfellnera; publiczne oskarżenia ze strony Marka Falenty o to, że wymienieni z nazwiska funkcjonariusze PiS nakręcali wraz z nim aferę taśmową; niejasne zeznania majątkowe premiera Morawieckiego i ministra Dworczyka; transfery pieniędzy ze SKOK... Wszystko zamilczane, odroczone, przełożone.

Nie dziwi, że PiS postanowił, a prezydent zapowiedział, iż wybory parlamentarne odbędą się w najbliższym możliwym terminie, już 13 października. To nie tylko bardzo utrudnia zorganizowanie kampanii przez partie opozycyjne (w tym nowe koalicje), ale skraca też czas do „wielkiej legalizacji”. Zwycięstwo w wyborach PiS potraktuje jako pełne, ostateczne rozgrzeszenie ze wszystkich zarzutów i oskarżeń wobec władzy, jakie zgromadziły się przez te cztery lata. Uzna to za akceptację suwerena dla wcześniejszych naruszeń i łamania konstytucji, dla nadużyć, choćby takich, jak loty marszałka, korzystanie z publicznych pieniędzy dla jawnie partyjnych i prywatnych celów. A prokuratura zamknie dochodzenia przeciw prominentom.

To tylko dwa miesiące; jeśli uda się dowieźć do wyborów obecne sondaże, PiS z partii władzy stanie się partią-władzą. I trudno powiedzieć, na jak długo. Znany konserwatywny publicysta Paweł Musiałek pisze w „Polityce”, że przedłużenie rządów PiS mogłyby tę partię na swój sposób „upaństwowić”, pozbawić pazerności i agresywności motywowanej wieloletnim poczuciem krzywdy i pominięcia; włączyć wreszcie prawicę w historię III RP. No, nie wiem...

Na razie, w przypadku zwycięstwa PiS, zapowiada się raczej opcja Orbanowska lub Putinowska: przejęcie państwa przez partyjną oligarchię, faktyczne jedynowładztwo. Prezes Kaczyński zapowiedział w miniony weekend zamiar napisania nowej „prawdziwie demokratycznej” ustawy zasadniczej, ale nawet nie będzie musiał pisać i liczyć na jakąś formalną większość konstytucyjną – wystarczy nawet taka jak dotychczas. Kontrolując całkowicie aparat i budżet państwa, Trybunał Konstytucyjny, prokuraturę, już za chwilę może sądy i samorządy, prezes będzie miał takie państwo, jakie zechce.

Żeby dotrzeć do „momentu zero”, partia nie może jednak spłoszyć suwerena. Dlatego kampania wyborcza PiS będzie wielkim milczeniem na temat realnego stanu państwa, unikaniem merytorycznych polemik i debat; okresem przykrywania afer, uśmiechów prezesa, wezwań do narodowej zgody; zapowiedzi kolejnych prezentów (w tym tak nieoczekiwanych jak legalizacja bimbrownictwa), snuciem usypiających opowieści o dobrym czasie dla Polski i jeszcze lepszym, który przyjdzie.

PiS w tej kampanii nie epatuje jakąś nową wersją IV RP, wizją przyszłego państwa – tu wystarczają komunały. Coraz wyraźniej rolę ideologii zajmuje – ma zająć – religia. Na różne głosy i sposoby partia Kaczyńskiego przedstawia się jako formacja obrony katolicyzmu, protektor sankcjonowanego przez Kościół (ten ks. Rydzyka i bp. Jędraszewskiego) porządku społecznego i moralnego, „świeckie ramię wiary”. Mamy w polskiej literaturze piękny cytat na taką okoliczność: „ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni”. Ale te dzwonki dzwonią także dla opozycji. O episkopacie już nie wspomnę.

Teraz dogrywka

Polityka 43 (3233), 22.10.2019 r.

Jeszcze przez dłuższy czas będziemy szukali odpowiedzi, co wydarzyło się 13 października. Wynik wyborów parlamentarnych jest zaskakujący i kompletnie nieoczywisty, nawet w najprostszym wymiarze – liczbowym. Nagle 235 mandatów dla PiS – dające skromną, ale wystarczającą do samodzielnego rządzenia większość – po wyborach zamieniło się w 199, bo okazało się, że dwa „koalicyjne ugrupowania” Zjednoczonej Prawicy, czyli „ziobryści” i „gowinowcy”, dotychczas

istniejące jako byty wirtualne, nabrały politycznej masy, wprowadzając do Sejmu równo po 18 posłów. Nie wiadomo, czy Jarosław Kaczyński czegoś nie dopatrył, coś zlekceważył, ale dopuszczając do reaktywacji owych stronnictw, już ma kłopot i żadnych korzyści.

Od wyborów obserwujemy w obrębie Zjednoczonej Prawicy prężenie mięśni, popisy „koalicjantów” i nawet jeśli prezes za moment twardo przywoła ich do porządku, sytuacja zmieniała się obiektywnie. PiS wcale nie musi mieć w każdym głosowaniu stabilnej sejmowej większości. I dla Zbigniewa Ziobry, i dla Jarosława Gowina otwiera się w nowym układzie przestrzeń dla politycznych manewrów. Niepokój w partii podsycana planowana hospitalizacja Jarosława Kaczyńskiego. Wiadomo, że PiS jest formacją, w której występuje tylko jeden kot oraz stado myszy, które spuszczone z oczu nie tylko mogą harcować, ale wręcz się pozagryzać.

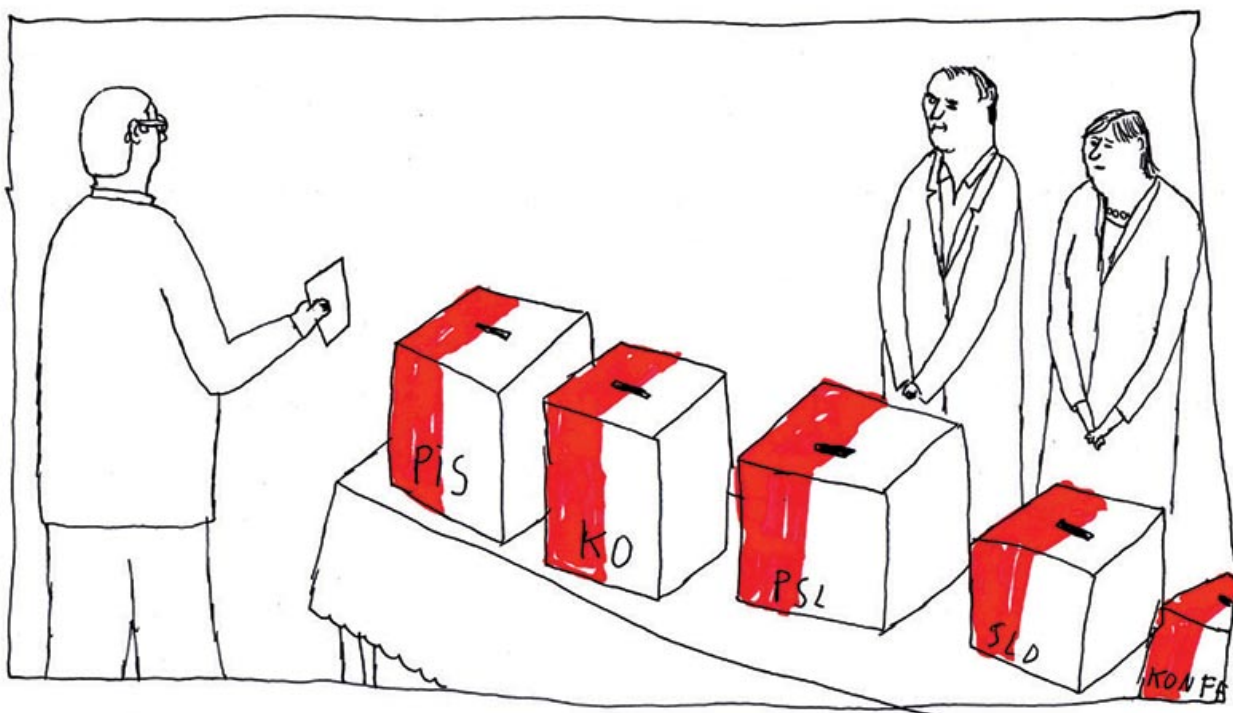
Właściwie wszystkie liczby, które wypadły z urn, potwierdzają tezę o „gorzkim zwycięstwie” Jarosława Kaczyńskiego. Komentarze po tzw. prawej stronie są dalekie od euforii, sprawiają wrażenie wzajemnych poszturchiwań: cieszymy się, przecież wygraliśmy! Dominuje jednak kiepsko skrywany zawód, że to tylko 235 mandatów – mimo fantastycznej kampanii, dziesiątków rodzinnych pikników, efektownych konwencji, tysięcy plakatów na tysiącach płotów, ciężkiej pracy kandydatów, mimo 100 mld zł w obietnicach dla wyborców, poparcia Kościoła, całodobowej bezpłatnej kampanii wyborczej w TVP, mimo słabości i podziałów w opozycji – i ani jednego mandatu więcej niż w 2015 r. Czyżby to znaczyło, że sufit był niżej, niż się komukolwiek wydawało? Że polityczna energia 500 plus, dodatkowych emerytur, LGBT itp. znalazła swój limit?

Znakomite 8 mln głosów na PiS zostało przeważone 9 mln oddanymi na zdeorganizowaną opozycję i jeszcze milionem głosów na „odpychającą PiS od prawej ściany” Konfederację. Do tego doszła formalna utrata większości w Senacie. Wróciła do Sejmu politycznie wygłodzona Lewica; znakomity (względem oczekiwań) wynik uzyskało PSL. Jak ktoś złośliwie skomentował: Kaczyński odniósł zwycięstwo, po którym trudno mu się będzie pozbierać.

Zresztą, prawdę mówiąc, opozycja nie tylko nie wierzyła w możliwość odzyskania władzy w październiku 2019 r., ale i niespecjalnie się do tego paliła. Taki wynik jak ten z 13 października brano by przed wyborami w ciemno. Dlaczego? Samo ewentualne montowanie wielokoalicyjnego rządu jawiło się jako

personalna i programowa gehenna, w dodatku pozbawiona sensu, bo do czasu wyborów prezydenckich weta Andrzeja Dudy zapewne paraliżowałyby każdą próbę „depisyzacji” państwa. W naszym systemie konstytucyjnym arytmetyczna większość parlamentarna, mająca naprzeciw siebie wrogiego prezydenta, staje się legislacyjnie bezradna. W tym sensie od wyborów parlamentarnych – przy tak niewyraźnym ich rozstrzygnięciu – ważniejsze okazują się nagle te nadchodzące, prezydenckie. I to dla obu stron.

Po wyborach bardziej zmienił się polityczny nastrój niż rzeczywistość. To przede wszystkim zasługa antypisowskich wyborców, którzy wreszcie zdołali się przy urnach policzyć. Jednak 5 mln głosów na Koalicję Obywatelską nie było dowodem uznania dla kampanii wyborczej KO, przywódczych czy organizacyjnych kwalifikacji Grzegorza Schetyny oraz jego najbliższych współpracowników. Przeciwnie; głosowano mimo tego, bo sama kampania to była katastrofa. Żądania dymisji Schetyny są więc zrozumiałe. Ale dla największej partii opozycyjnej byłoby lepiej nie wszczynać dziś jawnej personalnej wojny. Można chyba przeprowadzić cywilizowane wybory nowego szefa, nie poniżać Schetyny; przede wszystkim zaś wrócić do „obywatelskich” korzeni PO, otworzyć się na nowych członków, organizacje i środowiska, zbudować wreszcie profesjonalną organizację i sztab wyborczy. Jest parę tygodni na refleksję i reorganizację przed dogrywką. Gra trwa. Dopiero wynik przyszłorocznych wyborów prezydenckich domknie interpretację październikowego głosowania, która do tego czasu pozostaje w zawieszeniu.



Bardziej MY

Polityka 51 (3241), 17.12.2019 r.

Otrzymaliśmy na tegoroczne święta piękny zbiorowy prezent: Nagrodę Nobla dla Olgi Tokarczuk, a właściwie – Nagrodę Nobla od Olgi Tokarczuk. Sama laureatka przytaczała opowieść o fryzjerze, który popłakał się przy klientkach, kiedy usłyszał, że „mamy Nobla”. Na internetowych forach mnóstwo było w ostatnich tygodniach emocjonalnych wpisów („ryczałyśmy przez godzinę, oglądając transmisję ze Sztokholmu”), hołdów, gratulacji, pękania z dumy, wylewnych komentarzy – i że świetnie wyglądała, że mądrze mówiła, i w ogóle. Obiegały media cytaty z laudacji wygłoszonej przez Pera Wästberga z Akademii Szwedzkiej, zwłaszcza otwierające zdanie, że „Polska literatura opromienia Europę”.

Rzeczywiście zdarzyło się coś niezwykłego: za życia jednego pokolenia trzeci literacki Nobel dla twórcy piszącego w języku polskim; coś jakby kolejne mistrzostwo świata zdobyte w wielkich, nieustających zawodach kultur, gdzie to pisarze tworzą narodowe reprezentacje. Podobno w jakimś rankingu Polska, po doliczeniu „punktów noblowskich”, awansowała już na ósme miejsce wśród potęg

kulturalnych świata. „Gdybym była członkinią rządu – mówiła na konferencji prasowej laureatka – zdecydowanie postawiłabym na kulturę” – i była to aluzja, leciutka złośliwość skierowana w stronę polskiego ministra kultury Piotra Glińskiego, który, jak pamiętamy, na dwa dni przed werdyktem Akademii oświadczył, że „żadnej książki Tokarczuk nie przeczytał; próbował, ale nie dokończył”. „Ludzie, którzy nie czytają powieści, zwykle widzą świat w bardziej czarno-biały sposób” – komentowała Olga Tokarczuk w jednym z wywiadów.

Pisaliśmy o tym, jak ciężko rządzący i ich medialne zaplecze odchorowało i odreagowywało nagrodę dla „feministki i lewaczki”. W noblowskim tygodniu to się trochę zmieniło: Andrzej Duda pozwolił wyświetlić portret pisarki na fasadzie Pałacu, a minister Gliński zaprosił ją do urzędu, jak wynika z pisma – celem odebrania gratulacji. Ale już w wywiadach Gliński relatywizował („pewnie słusznie dostała nagrodę”) i polemizował (w noblowskim odczycie Tokarczuk „nie ma pojęcia dobra, pojęcia wspólnoty”, zwłaszcza „funkcjonującej wspólnoty narodowej”). To nawiązanie do wcześniejszych sugestii ministra, że byłoby lepiej, gdyby Tokarczuk stała się „rozsądną polską pisarką, która by rozumiała polskie społeczeństwo”. Prawicowa prasa ujmowała to jaśniej, oskarżając autorkę o „szkalowanie polskiej historii i tradycji”. A już „po Noblu” mniej skrepowany urzędową funkcją wicepremier Jacek Sasin powtórzył publicznie, że nadal „nie zamierza czytać Tokarczuk”, bo woli książki historyczne. Przypadkowa puenta noblowskiej laudacji: Per Wästberg, mówiąc o uniwersalnym przesłaniu „Ksiąg Jakubowych”, zaadresował je także do „współczesnych populistów, którzy historię widzą jak w chłopięcych książkach, czyli jako opowieść o bohaterach i zdrajcach”.

Rzeczywiście, trudno wyobrazić sobie bardziej odległe przekazy niż ten prezentowany od lat przez obóz władzy i ten zawarty w literaturze Olgi Tokarczuk i skondensowany w jej sztokholmskim wykładzie. Było to bardzo nieoczywiste, bardzo mocne wystąpienie. Esej zbudowany wokół relacji między literaturą i rzeczywistością, a jednocześnie gorzki obraz współczesnego świata, z którym „coś jest nie tak”. Mówiła Olga Tokarczuk: „Świat umiera, a my nawet tego nie zauważamy. Kryzys klimatyczny i polityczny, w którym dzisiaj próbujemy się odnaleźć i któremu pragniemy się przeciwstawić, ratując świat, nie wziął się znikąd (...). Chciwość, brak szacunku do natury, niekończące się współzawodnictwo, brak odpowiedzialności sprowadziły świat do statusu przedmiotu, który można ciąć na kawałki, używać, niszczyć”.

Czy możemy zatrzymać tę autodestrukcję? Olga Tokarczuk podsuwa pewną formułę, odnosząc ją nie tylko do zadań literatury: musimy – mówiła – przekroczyć granice własnego ego, uświadomić sobie istnienie „czasem bardzo zaskakujących zależności w skali całego globu”, w naszych opowieściach o świecie przyjąć perspektywę „czwartoosobową” – MY, nie JA; stać się „czułym narratorem”. Ta czułość to więcej niż prosta wrażliwość, to „znajdowanie podobieństw, współdzielenie losu, przejęcie się drugim bytem, jego kruchością, niepowtarzalnością”.

Wykład Olgi Tokarczuk nie był manifestem politycznym – na pewno nie w sensie polityczności tak jak ją rozumieją rządzący. Był jednak – i stąd zrozumiałe ich podenerwowanie – głęboko sprzeczny z lansowaną przez obecną władzę wizją państwa i społeczeństwa: zamkniętego w „narodowej wspólnotie”, egoistycznego, zbudowanego na hierarchii, wykluczającego odmienności, odwróconego tyłem od realnych wyzwań świata. Świeży przykład: rząd zdecydował właśnie o niewłączeniu Polski do unijnego programu neutralności klimatycznej. To manifestacja postawy, którą dobrze wyraziła była premier Beata Szydło: „Zielony Ład jest ważny, ale nie naszym kosztem”. Zdanie-symbol.

Jest coś w nastrojach końca tego roku, że – nie tylko w polityce – mamy poczucie „stanu przejściowego”, zapędzenia się w kozi róg. Pytamy, czy można znaleźć bardziej „czuły” wobec planety model cywilizacji, wyluzować w pogoni za ilościowym dobrobytem, skupiając się raczej na społecznych indywidualnym dobrostanie. Odrzucić, czego domaga się także papież Franciszek, zwulgaryzowaną teologię „czynienia sobie świata poddanym”.

Więc może w te święta nie życzyć sobie więcej wszystkiego, ale „podzielić się czułością”, pamiętając – i to ostatnie odwołanie do Olgi Tokarczuk – że słowa mają zdolność stwarzania naszego świata.



Rozdział

VI

2020: COVID RZĄDZI

Nową chorobę wywołaną przez zmutowany szczep koronawirusa zaobserwowano w Chinach w końcu 2019 r. – i otrzymała nazwę Covid-19. W styczniu 2020 r. władze chińskie zarządziły blokadę kilkumilionowego miasta Wuhan, gdzie zakażenia przybrały już rozmiary epidemii, ale covid wciąż wydawał się lokalnym, chińskim problemem. Jednak w ciągu paru następných tygodni ogniska wirusa pojawiły się na innych kontynentach, przenoszone przez podróżujących bez przeszkód pasażerów. Tak zaczęła się pierwsza od stu lat globalna pandemia, która wkrótce kompletnie zmieniła życie społeczne w skali całej planety.

Świat nie był przygotowany na takie wyzwanie, wcześniej zaliczane do kategorii dystopijnych wizji. Brak danych medycznych i epidemicznych, chaotyczne reakcje władz, powielane przez media i internet obrazy masowych pogrzebów – doprowadziły do paniki, jakiej współczesna cywilizacja jeszcze nie doświadczyła. Zamknięto sklepy, restauracje, kina, szkoły, transport publiczny, granice państw, stanęła gospodarka, służba zdrowia przeszła w stan ciągłego alertu, brakło respiratorów, kombinezonów ochronnych; nie było na covid leków. Pierwsze szczepionki pojawiły się dopiero po roku pandemii (co i tak było olbrzymim sukcesem naukowców i firm farmaceutycznych) i po kilku milionach ofiar. Choć koronawirus uważano początkowo za patogen niewiele tylko groźniejszy od grypy, w zatrważającym tempie przybywało przypadków śmiertelnych, zwłaszcza wśród osób starszych i obarczonych innym chorobami. Codzienne meldunki o liczbie nowych zakażeń, hospitalizacji, zgonów – otwierały każde programy informacyjne.

Przywołuję te niezwykle, pandemiczne doświadczenia, które przeorganizowały nasze życie na ponad dwa lata, bo potem szybko je wyparliśmy ze zbiorowej pamięci, wyblakły emocje. Już pewnie większość z nas uważa, że wtedy nadmiernie daliśmy się ponieść lękom, że reakcje były nieprzemysłane, przesadzone, a ich skutki uboczne równie kosztowne jak sama pandemia. Ale to jest dzisiejsza mądrość. Zresztą chyba w żadnym kraju nie dokonano kompleksowego podsumowania kosztów pandemii, również dlatego, że i politycy nie byli skłonni do kłopotliwych autorozliczeń.

Wiele społecznych następstw Covid-19 stało się nową praktyką, normą, weszło w codzienność. Covid zmienił zwłaszcza organizację pracy i zwiększył stopień cyfryzacji

życia codziennego, ale wbrew licznym wtedy prognozom i nadziejom nie przeorał „chorej cywilizacji”. Oczekiwania, że po pandemii „nic już nie będzie takie jak przedtem”, że ograniczymy ekscesy globalizacji i konsumpcji, okazały się przesadne, może nawet historyczne.

W Polsce pierwsze przypadki Covid-19 odnotowano na początku marca, a 20 marca ogłoszony został „stan epidemii”. Władze państwa, tworząc tę specjalną konstrukcję prawną, nie skorzystały z opisanej w konstytucji formy „stanu klęski żywiołowej” – powód był czytelny: w maju miały się odbyć wybory prezydenckie, a PiS nie chciał ich przekładać. Surowe, bardziej radykalne niż w innych krajach „antycovidowe” restrykcje, podbudowały autorytet i notowania rządu, a minister zdrowia Szumowski stał się najpopularniejszym w Polsce politykiem. Wzrosły także notowania, publicznie bardzo aktywnego, Andrzeja Dudy. Podobnie jak wszystkie kraje Unii, rząd polski zaczął też wypłacać firmom dotkniętym przymusowym lockdownem rekompensaty, które w sumie sięgnęły ponad 200 mld zł i były propagandowo przedstawiane jako wyraz hojności, troskliwości władzy. Kaczyński zamierzał wykorzystać ten moment dla domknięcia wyborów, zapewne także w obawie, że dalszy przebieg epidemii, szczególnie zapaść w służbie zdrowia, może odwrócić nastroje Polaków. W tym sensie miał rację: pod względem tzw. nadmiarowych zgonów na milion mieszkańców, będących miarą skuteczności w walce z epidemią – Polska zajęła tragiczne pierwsze miejsce w Unii Europejskiej.

Zamiar przeprowadzenia wyborów prezydenckich w trakcie pandemii spowodował ostry spór polityczny, nie tylko między władzą i opozycją, żądającą przełożenia głosowania, ale także w obrębie Zjednoczonej Prawicy. Forsowanym przez PiS wyborom korespondencyjnym, zwanych kopertowymi albo „pocztyniada”, sprzeciwił się Jarosław Gowin, szef koalicyjnego Porozumienia. Gowin argumentował, że taka operacja, sprzeczna z prawem wyborczym, byłaby międzynarodowym skandalem i odbierałaby ewentualnej reelekcji Andrzeja Dudy walor legalności. Ostatecznie wybory zostały przełożone na lipiec, a specyficzną pamiątką po tej politycznej awanturze zostały tzw. pakiety Sasina, czyli wydrukowane za 70 mln zł i zmarnowane zestawy do głosowania korespondencyjnego.

Sama kampania wyborcza Andrzeja Dudy była prowadzona z finansowym i organizacyjnym rozmachem, przy intensywnym wsparciu propagandowej maszyny tzw. mediów publicznych, które wzmocniono specjalną państwową subwencją

w wysokości 2 mld zł. Natomiast aktywność kandydatów opozycji, także z powodu regulacji sanitarnych, była bardzo ograniczona.

Naturalny kandydat na prezydenta – czyli powracający po 5 latach w Brukseli do polskiej polityki Donald Tusk – ostatecznie zrezygnował ze startu. Kandydatką Platformy została była marszałek Sejmu Małgorzata Kidawa-Błońska, która swoją i tak niezbyt mocną i krótką kampanię zakończyła wezwaniem do bojkotu wyborów kopertowych i praktycznym wycofaniem się z wyścigu. Po kompromisie w sprawie nowej daty wyborów we wznowionej kampanii zastąpił ją prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Mimo ogromnej materialnej i organizacyjnej przewagi Dudy, Trzaskowski znakomicie zmobilizował przeciwników PiS i szybko wyprzedził w sondażach konkurujących kandydatów opozycji. Ale wciąż było wielce prawdopodobne, że wobec rozstrzelenia głosów między pięcioma liczącymi się rywalami Andrzej Duda wygra w pierwszej turze.

Tak się nie stało: w głosowaniu 28 czerwca Duda zdobył 43,5 proc. głosów, Rafał Trzaskowski 30,5 proc., trzeci był debiutujący w polityce medialny celebryta Szymon Hołownia 13,9 proc., czwarty z poparciem 6,7 proc. przedstawiciel prawicowej Konfederacji Krzysztof Bosak. Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL zdobył 2,4 proc. głosów. Przed drugą turą opozycyjni rywale nie udzielili jednoznacznego poparcia Trzaskowskiemu. W dogrywce 12 lipca ostatecznie obaj kandydaci zdobyli po ponad 10 mln głosów. Wygrał Andrzej Duda w stosunku 51:49 proc., otrzymując 400 tys. głosów więcej. Trzaskowski, startujący ze straconej pozycji, odniósł ogromny osobisty sukces. Ale antypisowska opozycja doznała kolejnej ciężkiej porażki.

Przed wyborczym rozstrzygnięciem pisaliśmy („Na rozdrożu”), że te wybory są krytycznie ważne bynajmniej nie dlatego, że ważny jest urząd prezydenta. Przeciwnie, „w formie, jaką nadał mu Andrzej Duda, był doskonale bez znaczenia”. Ale to czwarte i ostatnie z cyklu wybory (po samorządowych, europejskich, parlamentarnych), jakie może wygrać PiS, a więc de facto ogólnonarodowy plebiscyt w kwestii ustroju państwa. „Osądowi wyborczemu podlega już wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie 5 lat. Ponowne zwycięstwo Dudy, w zero-jedynkowych wyborach, da prezesowi PiS wolną rękę dla przejęcia pełnej kontroli nad państwem, jego instytucjami i pieniędzmi”.

Miałem wtedy jeszcze jedną obawę, że z „własnym prezydentem” PiS zainstaluje epidemiokrację, przedłużając się pod pretekstem covid rządu stanu wyjątkowego, z ograniczeniem praw obywatelskich, wolności mediów, swobody działania opozycji. „Zwycięstwo Trzaskowskiego byłoby ciosem w splot słoneczny tych planów. Projekt

Kaczyńskiego zostałby nagle wtłoczony w prawne ramy, których nigdy nie powinien być opuszczać. Nastąpiłby powrót do większej równowagi władz, konieczności szukania kompromisów, uzgadniania kluczowych nominacji personalnych, w tym na stanowiska sędziów, generałów, profesorów, ambasadorów”. Kolejne, jak w 2015 r., rozwiane złudzenie o „kohabitacji”.

Minimalna przegrana Trzaskowskiego, a zwłaszcza jego potężne 10 mln głosów, stwarzało jednak pewne nadzieje na przyszłość. Zaraz po wyborach uważałem, że prezydent Warszawy powinien jak najszybciej przejąć kierownictwo PO albo – wracając do korzeni „platformy obywatelskiej” – budować szerszy społeczny ruch oporu, którego partia PO byłaby składową. Też nic z tego nie wyszło. Trzaskowski nie zdecydował się pójść za ciosem, wrócił do Warszawy.

Przetknięte nadzieje opozycji na zmianę układu sił i naruszenie społecznego poparcia dla PiS ożyły w końcu roku. Pomogła powyborcza arogancja, pewność siebie Kaczyńskiego, który postanowił ostatecznie złamać tzw. kompromis aborcyjny – jak nazywano skrajnie już restrykcyjne prawo – wciąż jednak kontestowane przez prawicowych fundamentalistów i Kościół katolicki. Decyzję w tej sprawie Kaczyński przeniósł z Sejmu na dyspozycyjny Trybunał Konstytucyjny, który zdelegalizował tzw. embriopatologiczną (w sytuacji ciężkiego uszkodzenia płodu) przesłankę dopuszczalności przerywania ciąży. Wywołało to wielodniowe masowe protesty w całym kraju, głównie młodych ludzi. Demonstracje przybrały niezwykle, dosadne, „internetowe i memiczne” formy, także językowe z hasłem „je*** ****” na czele. Czynione były próby nadania spontanicznemu ruchowi protestu jakiegoś kształtu organizacyjnego, zebrania postulatów, wyłonienia reprezentacji. Podobnie jak z „ruchem Trzaskowskiego”, zabrakło determinacji, wzajemnego zaufania, aktywizmu. Protestujący rozeszli się do domów, PiS przetrzymał kolejny „strajk”, nowe przepisy antyaborcyjne pozostały w mocy. Ale jedno się zmieniło, i to po raz pierwszy od 2015 r.: PiS stracił w sondażach prawie 8 pkt proc. i do 2023 r. już tej straty nie odrobił.

Zrozumiałe, że „Przypisy” w roku 2020 obracały się wokół tematu pandemii Covid-19 („Narodowa kwarantanna”, „Za zasłoną”) i wyborów prezydenckich („W cieniu palca”, „Wielki przywódca”, „Pół plus pół”). W końcu roku to już był społeczny, pokoleniowy, kulturowy fenomen Strajku Kobiet („Dość tego”, „Dziewiętnaście gwiazdek”).

W sumie jednak politycznie to był rok rozczarowań. Nie chodzi tylko o minimalną – ale o ogromnych negatywnych konsekwencjach dla polskiej demokracji – porażkę Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Rozwiały się kolejne iluzje: że

Trzaskowski stworzy nowy ruch polityczny, że Strajk Kobiet wzmocni w młodym pokoleniu lewicowe, postępowe nastawienia, zwłaszcza wolę udziału kobiet w polityce (stało się raczej odwrotnie). Szybko rozpadły się rachuby na „ucywilizowanie” Dudy i jego zbliżenie z opozycją.

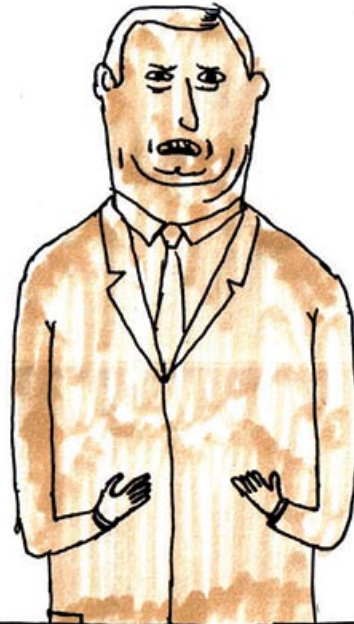
Ale ten zestaw „Przypisów” zaczynam od tematu nieobecnego w kampaniach i w mediach 2020 r.: od 30. rocznicy planu Balcerowicza. Nie chodzi tylko o odkłamanie historii polskiej transformacji, kompletnie zafałszowanej przez PiS, ale o – fundamentalny dla dzisiejszej opozycji – mit założycielski III RP, związany z Okrągłym Stołem, wyborami 4 czerwca, nazwiskami Wałęsy, Geremka, Michnika, Mazowieckiego, Balcerowicza. Bynajmniej nie braci Kaczyńskich, wówczas, u narodzin nowej Polski, działaczy drugiego rządu.

Jarosław Kaczyński, od 8 lat już przy użyciu całego aparatu państwa, tworzy alternatywną historię, której Bracia stanowią centrum. Odbiera, próbuje odebrać prawo do dumy i własnej pamięci milionom ludzi, którzy byli uczestnikami i beneficjentami transformacji, budowali demokratyczne państwo i rynkową gospodarkę, entuzjastycznie witali członkostwo Polski w Unii Europejskiej. Uważają, że III RP, przy wszystkich niedoskonałościach i błędach, to jednak dzieje wielkiego zbiorowego sukcesu, a nie klęski. Wybierając, nawet nie do końca świadomie, jakąś wersję przeszłości, możemy przy okazji wybrać sobie przyszłość.

NAPRAWĘ,
SŁUŻBY ZDROWIA



ZACZNIEMY
OD ZAKAZU
CHOROWANIA



PRZYPISY 2020

Plan 30-letni

Polityka 2 (3243), 07.01.2020 r.

Mija właśnie jedna z najważniejszych rocznic w historii wolnej Polski. Obchody były skromne, właściwie towarzyskie; trochę okolicznościowych publikacji, żadnej uroczystości z udziałem władz państwowych; ba, nawet partie polityczne, we wszystkich sprawach podzielone, dość zgodnie ten jubileusz zignorowały. O czym mówię? Równo przed 30 laty, w styczniu 1990 r., wszedł w życie pakiet ustaw zmieniających ustrój gospodarczy i społeczny Polski, nazwany planem Balcerowicza. Rewolucję firmował premier Tadeusz Mazowiecki, ale, jak głosi legenda, nawet on do końca nie wiedział, co przygotowuje i w nadzwyczajnym trybie przeprowadza przez Sejm ekipa gospodarcza rządu kierowana przez ministra finansów.

Ta historia była już rzecz jasna opowiadana, w czym – od razu przyznaję – mam także własny udział jako współautor książki „Leszek Balcerowicz. 800 dni” – pierwszej, spisanej tuż po ustąpieniu Balcerowicza z rządu w 1992 r., jego osobistej relacji z tamtych „dwóch lat, które wstrząsnęły Polską”. Teraz, kiedy po latach przejrzałem tę książkę, miałem wrażenie, jakbym, rozgarniając popiół, złapał rozżarzone węgle – tyle że ówczesne emocje, nastroje, awantury i spory, paniczne lęki i nadzieje są już niemożliwe do przekazania ludziom poniżej pięćdziesiątki. I pewnie niewiele ich obchodzą. Jak wszystko w historii, pozostaną doświadczeniem i przeżyciem pokoleniowym. Jednak, w żadnym przypadku, nie powinniśmy już dziś zamykać sporu o sens i przebieg polskiej transformacji, bo tam tkwią korzenie obecnych podziałów politycznych. U podstaw oferty ustrojowej PiS leży bowiem delegitymizacja całej niePiSowskiej historii III RP, dla której plan Balcerowicza był aktem założycielskim.

Jest psychologicznym i politycznym fenomenem, jak w sumie łatwo udało się Jarosławowi Kaczyńskiemu zmać pamięć świadkom i uczestnikom historii. Dziś nawet wielomilionowa klasa średnia, ludzie, którzy po upadku PRL, dzięki pracy,

przedsiębiorczości, szczęściu, ale też warunkom stworzonym przez transformację, odnieśli życiowe sukcesy, publicznie przymuszani są do wstydu, przezywani elitami, oskarżani o pogardę dla ludu.

Jedno jest wytłumaczenie: właściwie nikt Kaczyńskiemu nie przeszkadzał zamieniać białe w czarne. Kolejne rządy III RP na ogół odpuszczały politykę i edukację historyczną, nie budowały żadnego mitu państwowego, nie kreowały społecznej ideologii. Najwięcej czasu na ułożenie narracji „o pochodzeniu i narodzinach III RP” miał Donald Tusk, ale trafiło akurat na pragmatyka władzy, ostentacyjnie odcinającego się od „romantycznych wizji”, patriotycznego patosu, narodowego mitotwórstwa. A Kaczyński uparcie przez ćwierć wieku gromadził wokół siebie, kolekcjonował, spinał w opowieści o układach i spiskach, wszelkie rzeczywiste i wyobrażone krzywdy, bóle i błędy transformacji. Plan Balcerowicza ciemniał i czerniał: już nie był otwartą przez Solidarność drogą do wolności gospodarczej i rozwoju, ale bramą do złodziejstwa i patologii. Paradoksalnie, Kaczyński, a potem PiS stopniowo przejęli całą antybalcerowiczowską retorykę z początku lat 90., wtedy przypisywaną odsuniętym od władzy komunistom. Że Balcerowicz zniszczył „dorobek pokoleń, które zbudowały potężny przemysł”, że działał pod dyktando międzynarodowej finansjery, że doprowadził do masowego bezrobocia, degradacji regionów, wyprzedazy majątku narodowego, upadku PGR. Dziś tę argumentację powtarza razem z PiS tzw. młoda lewica.

Trudno z tą wspólną prawicowo-lewicową interpretacją historii sprzed 30 lat polemizować, ponieważ jest ona doskonale ahistoryczna. Wszystko zależy od odpowiedzi na pytanie, czy społeczne koszty transformacji zapisujemy na rachunek Balcerowicza, czy jednak na rachunek PRL i pół wieku realnego (a właściwie coraz bardziej absurdalnego) socjalizmu. Żałuję, że nie można zmienić w lekturę obowiązkową opublikowanej w ubiegłym roku książki naszej redakcyjnej koleżanki Joanny Solskiej pt. „80-te. Jak naprawdę żyliśmy w ostatniej dekadzie PRL”. Tam jest wszystko: idiotyzmy systemu kartkowego i urojonych kursów walut, praktyki handlu wymiennego i turystyki szmuglerskiej, opisy życia za 20 dol. miesięcznie i najdziwniejszych, naprawdę imponujących, „barejowskich” strategii przetrwania.

Jerzy Koźmiński (wtedy szef sztabu Balcerowicza) przypominał ostatnio, że kiedy nowa ekipa weszła do rządowych gmachów, miała wrażenie, że wszystko dookoła płonie. Inflacja wynosiła kilkadziesiąt procent miesięcznie, sklepy

wyczyszczone z towarów, kraj już nie spłacał zobowiązań, dramatycznie brakowało dolarów, choćby na import leków, rozpadł się budżet. A jednocześnie w ciągu paru miesięcy trzeba było przygotować plan reform, nie mając żadnych wzorców, precedensów, nawet rzetelnej statystyki czy systemu podatkowego. Mityczny „dyktat Zachodu” był już późniejszym wymysłem – nikt nie wiedział, co Polsce poradzić.

Ci, którzy powtarzają do dziś, że Balcerowicz był wtedy skrajnym liberałem, przypisują mu późniejsze, także pozapolityczne, eksperckie opinie i przekonania. W sytuacji wymuszonego odchodzenia od rozpadającej się gospodarki państwowej „liberalizacja” była bardziej wyborem technicznym niż ideologicznym. Zresztą na temat planu Balcerowicza naprodukowano całą stertę mitów. Podobno na siłę prywatyzował przedsiębiorstwa państwowe – prawda jest taka, że chciał, ale nie było chętnych, poza (zwalczanymi, i to ostro – wbrew kolejnemu mitowi) tzw. spółkami nomenklaturowymi. Nieprawda, że brutalnie wyhamował inflację – schodzenie do 10 proc. zajęło aż 12 lat. Mówi się, że mógł dłużej utrzymać ochronne cła importowe, aby ocalić niektóre fabryki – ale to wymagałoby zamknięcia granic, zablokowania indywidualnego importu, sprzyjałoby inflacji, przemytowi, przestępczości. I tak by można punkt po punkcie.

Pytanie, czy istniała jakaś inna, „trzecia droga”, towarzyszy planowi Balcerowicza od początku. Może istniała – lecz do tej pory nikt jej nie wskazał, pojawiają się albo ogólniki, albo szczególiki. Fakty i statystyki są zaś takie, że Polska rozwijała się najszybciej ze wszystkich krajów pokomunistycznych, że tylko w Polsce od 1992 r. nie było ani recesji, ani kryzysu bankowego, że nie wykształciła się oligarchia, że spłaciliśmy długi, że eksport wzrósł kilkunastokrotnie, że powstał „z niczego” prężny sektor prywatnych firm, tych „małych i średnich przedsiębiorstw”, tak hołubionych dzisiaj w deklaracjach przez obóz władzy. Polska transformacja jest na świecie synonimem wielkiego społecznego sukcesu, od którego, paradoksalnie, z krzykiem odcinają się wszystkie polskie siły polityczne.

Jasne, można i trzeba ten sukces relatywizować, pokazywać jego (do uniknięcia lub nie) koszty, błędy i zaniechania polityki gospodarczej i społecznej w 30-leciu. Kto chce, może też do woli krytykować dzisiejszego Balcerowicza, że jego liberalna ortodoksja nie pasuje do współczesnych wyzwaniań, rewizji starych wzorców i miar rozwoju. Ale, odświeżając swoją pamięć i wspomnienia, myślę z podziwem o nim

i o całej jego ekipie, zdeterminowanej, radykalnie propaństwowej; o „niedzisiejszych patriotach”. Nie dorobili się fortun, tablic pamiątkowych, powszechnego społecznego uznania. Sam Leszek Balcerowicz od 30 lat jest atakowany, postponowany.

Więc tylko tyle: chciałem się nisko ukłonić i podziękować, Panie Profesorze.



W cieniu palca

Polityka 8 (3249), 18.02.2020 r.

Wielka inauguracja kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy odbyła się w cieniu środkowego palca Joanny Lichockiej. Skierowany w stronę opozycji obsceniczny gest pani poseł błyskawicznie stał się internetowym wiralem i źródłem niezliczonych memów. Zwłaszcza że sama Lichocka podrzuciła komiczne skojarzenia, opowiadając o „przecieraniu oka palcem”. Można ubolewać, że masowe media dopadły Lichocką nie za jej często skrajnie aroganckie wypowiedzi, lecz za parosekundowy gest – jednak tak to działa: za politykami ciągną się, niekiedy przez całe życie, jakieś skojarzenia z ich jednym zachowaniem, zdaniem, zdjęciem, gafą. „Palec Lichockiej” właśnie dołącza na stałe do słownika polskiej frazeologii politycznej. Inna sprawa, że „im się to po prostu należało”. Ten gest nie zrobiłby zapewne takiego wrażenia, gdyby nie jego symboliczna prostota i adekwatność.

Opozycja przez lata szukała jakiejś formuły oddającej polityczny styl PiS: tupet, bezwzględność, cynizm, działanie na rympał. Popularność zdobyła fraza szatniarza z filmu „Miś”: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi?”. Jednak politycy opozycyjni zawsze byli skrępowani własną polityczną poprawnością, speszeni oskarżeniami o klasizm, łatwo zawstydzani zdaniem, że „zachowują się tak samo jak PiS”. Nie sposób sobie wyobrazić, aby bez gwałtownych głosów potępienia we własnym obozie jakikolwiek prominentny działacz PO czy Lewicy mógł sięgnąć w opisie PiS po wyzwiska.

I nagle jedna z najważniejszych polityczek PiS sama dostarcza mocnego, plakatuowego znaku arogancji, pogardy, triumfalizmu swojej formacji. Nic dziwnego, że zaraz zaczęto przypominać liczne przykłady działań PiS „spod palca Lichockiej”: od niepublikowania wyroków TK, przez reformę edukacji minister Zalewskiej, rozprawę z nauczycielami, nominacje do KRS, bezwstydnym nepotyzm w obsadzaniu stanowisk w spółkach i urzędach, aż po miliardy dla telewizji Kurskiego (która skądinąd mogłaby pokazywać „faka Lichockiej” jako firmowy wygaszacz ekranu).

Zorganizowana z wielkim i kosztownym rozmachem konwencja prezydencka Andrzeja Dudy trafiła więc w zły dla PiS moment. Rzecz jasna, nikt z mówców nie odnosił się do trwającej od kilkadziesiąt godzin „internetowej beki z PiS”, ale jedyny wyłowiony przez komentatorów „programowy konkret” (czyli zapowiedź inwestycji w onkologię) i jedyne retoryczne zaskoczenie (czyli apel Dudy, aby to PiS wyznaczał najwyższe standardy publicznej debaty) – miały oczywisty związek z nieszczęsnym głosowaniem nad zasileniem budżetu TVP. (Po którym – jak złośliwie skomentował Tusk – dwa miliardy przeznaczono nie na onkologię, ale na nowotwór). Choć wielu dziennikarzy i komentatorów wciąż zachwyca się organizacyjną, iście amerykańską, sprawnością konwencji PiS, tym razem przerost formy nad treścią był aż nadto uderzający. Przez dwie godziny nikt nie powiedział niczego godnego uwagi, a dawka samozachwyty – nawet jeśli wiadomo, że na tym polegają tego typu spektakle – dla każdego, poza partyjnym aktywem, była trudna do strawienia.

Rozrywkową też wybrano formułę, jawnie nawiązującą do popularnych gal bokserkich, gdzie główna gwiazda wieczoru, po wykrzyczonej przez spikera zapowiedzi, wyłania się zza kotary (tu w formie biało-czerwonej flagi) i przy ogłuszających dźwiękach muzyki kroczy wzdłuż szpaleru fanów. Poza tym nic

zgoła: nie było żadnych nowych obietnic finansowych, na co czekano; prezes Kaczyński także, w jakimś sensie, zawiódł – w bezbarwnym przemówieniu nie wskazał nawet, co wcześniej zawsze czynił, przeciw komu będzie się toczyć ta kampania. Z przeszłości wiadomo, że prezes nie traktuje Andrzeja Dudy poważnie, i na konwencji mimowolnie o tym przypomniał, uznając za jedną z głównych zalet „naszego kandydata marzeń” jego żonę. Także Mateusz Morawiecki zdawał się ironizować, choć w jego przypadku ciężko odczytać, „czy kpi, czy o drogę pyta” – mówiąc, że to dzięki „żelaznej konsekwencji” Andrzeja Dudy zwalczyliśmy bezrobocie i odnosimy triumfy w polityce zagranicznej.

Co pozostało z tej konwencji, to zapowiedź dalszych podróży kandydata po małych polskich miejscowościach i ogólnie banalne przesłanie: zrobiliśmy wiele, ale wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Jednak wydaje się, że Andrzej Duda odpuścił radykalny, ostry ton wypowiedzi z ostatnich tygodni: nie atakował sędziów, Unii Europejskiej, nie wzywał do „oczyszczenia polskiego domu”. Politolodzy komentują, że PiS prawdopodobnie przestał już bać się Konfederacji i znowu przesuwa Dudę do centrum.

Ta jałowa konwencja, właśnie przez swą jałowość, zapowiada restart kampanii Dudy, ponowne ocieplanie wizerunku (stąd nachalne eksponowanie rodziny prezydenta). Niewykluczone, że prezydent dostanie zgodę na pojednawcze gesty wobec opozycji, należy się spodziewać nawet „uspokajania Ziobry” i deeskalacji napięcia wokół sądów. Nieoczekiwana publikacja zajadłe chowanych przez dwa lata list poparcia do KRS może być tego zapowiedzią.

Wciąż trzeba przypominać, że uśmiechnięty Duda to tylko kolejna maska PiS. Na końcu, jeśli wygra wybory i tak zobaczymy palec Lichockiej.

Narodowa kwarantanna

Polityka 12 (3253), 17.03.2020 r.

Ogłoszenie w Polsce „stanu zagrożenia epidemicznego” może nie było zaskoczeniem, ale zaskakująca okazała się skala, radykalizm i tempo wprowadzanych ograniczeń. Od 13 marca mamy w Polsce nieformalny stan wyjątkowy. Jednoczesne zamknięcie granic, zawieszenie pracy szkół, uczelni i placówek opiekuńczych, hoteli, restauracji, galerii handlowych, kin, teatrów,

zakaz zgromadzeń i inne podobne restrykcje nie zdarzyły się w naszym kraju od czasu stanu wojennego. Dla większości Polaków to kompletnie nowe doświadczenie.

Dopiero zaczynamy rozpoznawać, co się stało, jakie mają być reguły tej narodowej kwarantanny. Pytań, pozbawionych jasnych odpowiedzi, wciąż jest mnóstwo, ale jedno jest pewne: na dwa tygodnie, może dłużej, nasze życie zasadniczo się zmieni.

Relacje, które zbieramy, często są dramatyczne. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi uwięzionych gdzieś za granicą, miliony pozbawione nagle możliwości pracy i zarabiania, panika wśród właścicieli małych firm, zwłaszcza w gastronomii, turystyce, handlu, którzy boją się utraty pracowników, klientów, dochodów, a – po zniesieniu stanu epidemicznego – nawet bankructwa firmy. Wiele szpitali musiało wstrzymać planowane zabiegi, operacje, podawanie chemii; gdzie można, ogranicza się przyjmowanie pacjentów. Lekarze obawiają się, że wzrost śmiertelności z powodu innych chorób znacznie przewyższy ewentualną liczbę ofiar koronawirusa. Pewnie ponad 100 tys. ludzi znajdzie się za moment w przymusowych kwarantannach: wciąż nie wiadomo, jak (a często też i za co) w takich warunkach funkcjonować, kto pomoże, jak zwyczajnie przetrwać takie nagłe, przymusowe odosobnienie. W jednej chwili zatrzymały się sprawy biznesowe, sądowe, administracyjne – wszystko, co normalnie na co dzień załatwiamy. Kraj stanął.

Ludzie są na razie bardzo przejęci, przestraszeni, ale też wyrozumiali i nad podziw zdyscyplinowani. Hasło „zostaję w domu” zostało potraktowane śmiertelnie poważnie, nawet ponad realny wymiar zagrożenia i prawne wymagania. Opustoszały miasta, komunikacja publiczna; mnóstwo firm, biur, urzędów, przychodni zadekretowało pracę zdalną lub w ogóle zawiesza działalność. Polacy jeszcze raz okazali się zaradni i (czasem nawet na wyrost) zapobiegliwi. Jest też mnóstwo poruszających przykładów samopomocy, solidarności, samoorganizacji. Co więcej – zauważają psychologowie – objawił się jakiś szczególny nastrój podniosłości, patosu, uroczystej wspólnoty, jak po śmierci Jana Pawła czy po katastrofie smoleńskiej. To na swój sposób imponujące; choć raczej krótkotrwałe.

Za moment pojawią się – muszą – pytania: czy naprawdę trzeba było aż takich drakońskich środków? Czy dzisiejszy radykalizm nie jest skutkiem karygodnych

zaniedbań władzy, w tym Ministerstwa Zdrowia, w pierwszych tygodniach epidemii? Czy ta efektywna, „wojenna” terapia antywirusowa nie okaże się społecznie kosztowniejsza, gorsza od samej choroby? Czy władzom – dysponującym bez ograniczeń wszystkimi zasobami państwa – uda się zminimalizować, skompensować straty pracodawców i pracowników, ogarnąć organizacyjnie zarówno sam „stan epidemiczny”, jak i to, co będzie potem? Czy do epidemii koronawirusa nie dodajemy właśnie epidemii chaosu? Na razie opozycja nie stawia zbyt kłopotliwych pytań, żeby nie wyjść na nieodpowiedzialną, malkontencką, kiedy – jak głosi TVP – „rząd walczy o życie i zdrowie Polaków”. Ale kiedy trochę opadną pierwsze emocje, obywatele będą pytać.

W ocenie decyzji o wprowadzeniu stanu epidemii wszyscy jesteśmy dość bezradni. Nawet jeśli nie ma się za grosz zaufania do obecnego rządu i jego kompetencji, to przecież podobne decyzje podjęły niektóre inne kraje (choć tu strategie są bardzo różne). Polska – wbrew nieznośnemu samochwalstwu Morawieckiego – nie jest tu żadnym wzorcem, raczej naśladowcą. Większość epidemiologów jest zresztą za „rozrywaniem łańcuchów przenoszenia wirusa”, poprzez wdrażanie wszelkich form izolacji chorych i potencjalnie zarażonych (także ograniczanie kontaktów między zdrowymi). Inni, na ogół innych specjalności, wskazują jednak na przerost paniki nad realnym niebezpieczeństwem. Bo koronawirus jest „wysoce zaraźliwy, ale niezbyt śmiertelny”, zapewne na poziomie nieprzekraczającym 1–2 proc. (przypomina się, że epidemia grypy w 2008 r. tylko w Niemczech „zabiła” 25 tys. osób). Ale te dane słabo przekonują. Wszystkie rządy, sięgające po drastyczne instrumenty bezpieczeństwa, powołują się na przykład Włoch, gdzie faktycznie (ze względu na różne lokalne specyfiki) jest szokująco duża liczba ofiar śmiertelnych.

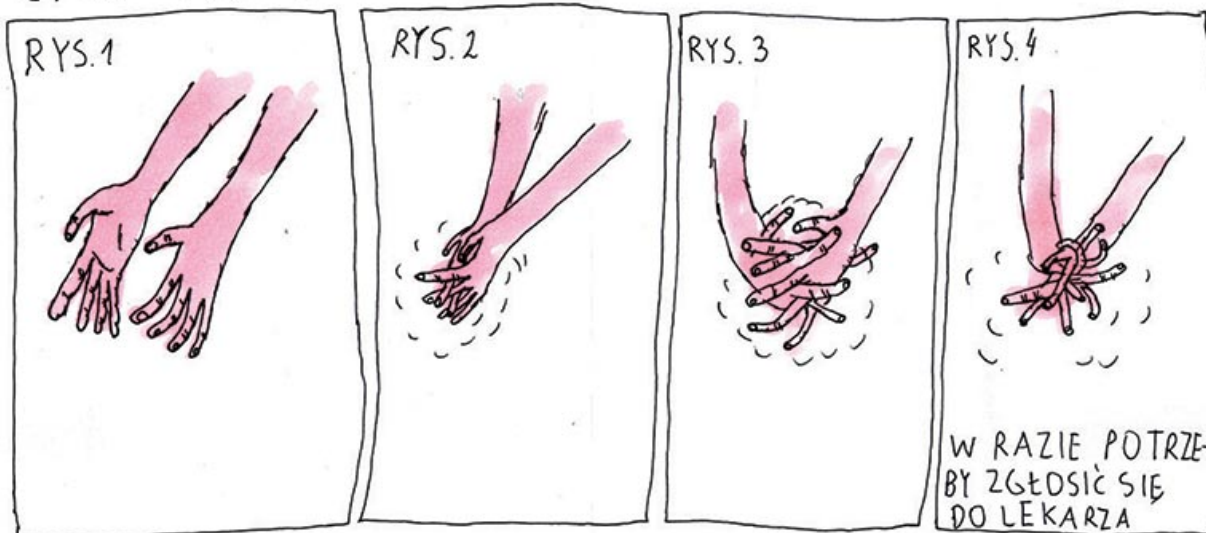
Zasadę dmuchania na zimne i stosowania nawet nadmiarowych środków zapobiegawczych trudno dziś podważać. Na pewno jest zbieżna z poziomem społecznego lęku (podkręcanego przez wszystkie media świata) i powszechnym oczekiwaniem aktywności władz. Dla upartych sceptyków jest też zimny argument racjonalny: wobec niewydolności i ograniczeń systemu służby zdrowia rygory stanu nadzwyczajnego mają „wyplaszczyć krzywą zachorowań”, rozciągnąć ją w czasie, żeby np. starczyło respiratorów, jeśli nastąpi epidemiczna eksplozja.

Nic już nie poradzimy: spór o społeczną celowość i sposób wprowadzenia „narodowej kwarantanny AD 2020” będzie się pewnie toczył przez lata

i pozostanie nierozstrzygnięty. Ale z tej niedobrej sytuacji mogą także płynąć pewne uboczne korzyści. Dokonuje się wielki stres test systemów państwa i społecznych relacji. Służba zdrowia może przećwiczyć procedury i schematy na wypadek, gdyby kiedyś nadeszła, jeszcze nieznana, śmiertelna plaga nazywana „chorobą X”. Aparat państwa – setki tysięcy ludzi poniżej szczebla politycznego – może przetestować rozmaite operacje nadzwyczajne, z których składa się obecny „stan epidemiczny”. Instytucje finansowe i fiskalne zweryfikują swoje systemy interwencji i wsparcia dla gospodarki, biznesu i sfery publicznej (podobne ćwiczenie wykonuje też administracja Unii Europejskiej). Pracodawcy i pracownicy zaczęli na wielką skalę testować modele pracy zdalnej, co może na trwałe zmienić ekosystemy polskich firm, urzędów, korporacji. To samo dzieje się w wielu szkołach, gdzie nieoczekiwane koronaferie czy, jak mówi się na uczelniach, koronaria wymuszają wdrożenie programów e-learningu. Własny stres test przechodzi Kościół katolicki – i jako instytucja, i jako społeczność. Sprawdzamy się jako rodziny, sąsiedzi, znajomi, przyjaciele.

No i polityka: nie chodzi tylko o konstytucyjny eksperyment z przełożeniem wyborów (czego opozycja twardo powinna się domagać), ale o odpowiedź, czy w ogóle jest możliwa jakakolwiek uczciwa współpraca opozycji i obecnej władzy. Nie wiem, czy po tej przymusowej kwarantannie będziemy mądrzejsi – na pewno lepiej się wzajemnie i na sobie poznamy.

JAK PRAWIDŁOWO MYĆ RĘCE?



Za zasłoną

Polityka 22 (3263), 26.05.2020 r.

Ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego wziął w obronę sam Jarosław Kaczyński: „to wściekły atak na człowieka, który stał się ikoną skutecznej walki z koronawirusem” – powiedział w specjalnym wywiadzie dla PAP. W zasadzie powinien dodać (według tyle razy stosowanej formuły), że zaatakowali go „ci, którzy poczuli się zagrożeni”; w domyśle, tym razem, zwolennicy koronawirusa. Przy każdym wizerunkowych kłopotach ludzi PiS – a mieliśmy już tego na pęczki – stosowane są te same metody obrony, w podobnej zresztą kolejności: zaprzeczać, bagatelizować, oskarżać oskarżających, zwać na poprzedników, a jeśli już nie można inaczej, odciąć się od delikwenta/ów, „gdyż nasze standardy są lepsze niż wasze”.

Z ministrem Szumowskim kłopot jest jednak taki, że akurat wtedy, gdy stał się gwiazdą rządu, najpopularniejszym politykiem, wyszło, że słabo pasuje do oficjalnego wizerunku „ludowej partii”. W tym sensie jest bratem bliźniakiem premiera Mateusza Morawieckiego. Obaj bardzo zamożni, z majątkami „przepisanymi na żony” (co zawsze rodzi podejrzenie, że chce się coś ukryć przed publiczną dociekliwością), obaj związani z biznesami uchodzącymi w PiS za trefne: Morawiecki z wielkim zagranicznym bankiem, Szumowski z interesami na pograniczu państwowej i prywatnej służby zdrowia, co PiS zawsze uważał za patologię.

Dwaj czołowi dziś przedstawiciele rządu PiS – premier i minister zdrowia – mają więc bardzo niepisowską, żeby nie powiedzieć antypisowską przeszłość. To jeszcze nie dyskwalifikuje: prezes Kaczyński do takich i podobnych przypadków od lat stosuje świętą zasadę: każda, nawet kręta, życiowa droga, jeśli na końcu prowadzi do partii, zostaje wstecznie wyprostowana. Zresztą w przypadku obu panów trudno też doszukać się jakichś oczywistych naruszeń prawa; ot, sporo kombinatorstwa, z lekkim dodatkiem kumoterstwa. Niestety, są bogaci, a każda tabloidowa, plotkarska wzmianka o ich domach, willach, majątkach jest politycznie bolesna. PiS ma bowiem podstawowy, tkwiący u założen tej formacji, problem z osobistymi karierami, pieniędzmi, dorabianiem się.

To znaczy tak: prezes pozwala, żeby aparat partyjny i w ogóle ludzie władzy bogacili się, ile wlezie, ale jednocześnie musi utrzymywać wizerunek partii

skromnej, biednej, pokornej, oddanej pracy dla dobra zwykłych Polek i Polaków. Bolesny szpagat. Osobisty wizerunek prezesa, materialnego abnegata żyjącego na koszt partii, bardzo pomaga w utrzymaniu mitu partii żebraczej, lecz tym większe jest polityczne niebezpieczeństwo, gdy zza tego obrazka wystają duże pieniądze i pazerne paluszki. Najgroźniejsze dla PiS – sądząc z reakcji partii i prezesa – były afery związane bynajmniej nie z naruszaniem konstytucji, ale z pieniędzmi, premiami, dygnitarstwem („nam wolno więcej”) ludzi władzy. Dlatego PiS stworzył cały system ochrony materialnych interesów i przywilejów aparatu partyjnego przed przypadkowym ujawnieniem.

To przede wszystkim szczelna osłona informacyjna. Niezależni dziennikarze (w tym nasi, w „Polityce”) wiedzą o tym aż za dobrze. Władze konsekwentnie odmawiają odpowiedzi na pytania mediów i organizacji antykorupcyjnych (za to grożą procesami sądowymi o zniesławienie). Nawet uzyskane nakazy udzielenia informacji publicznej nie są wykonywane. Spółki Skarbu Państwa, płacące gigantyczne pensje kolejnym oddelegowanym funkcjonariuszom, we wszelkich niewygodnych kwestiach zasłaniają się albo tajemnicą handlową, albo przepisami o ochronie danych osobowych. Niedawno media podały, że sam Orlen wydał w ubiegłym roku ponad 400 mln zł na sponsoring, marketing, reklamę, doradztwo. Do kogo i za co trafiły te pieniądze, dowiedzieć się nie sposób – tajemnica.

Choć sam rząd traktuje spółki Skarbu Państwa jako rządowe (vide nakaz premiera Morawieckiego, aby KGHM zakupił transport maseczek z Chin), w przypadku pytań – nawet dotyczących działających przy nich fundacji – zmieniają się w najściślej chronione firmy prywatne. W Narodowym Centrum Badań i Rozwoju (skąd firmy Szumowskich otrzymały ponad 140 mln zł) danych o przebiegu konkursów się nie ujawnia. Wyciekających do opinii publicznej informacji na temat finansowej bonanzy w TVP, gdzie radośnie dzielone są dwa miliardy od Dudy, nie sposób oficjalnie zweryfikować. Na wypowiedź senatora Borusewicza, że Magdalena Ogórek dostaje w TVP 600 tys. zł, rzecznicy odpowiedzieli kpiącymi zaprzeczeniami, oczywiście nie podając żadnych konkretów.

Pandemia dała władzy pretekst do nieorganizowania otwartych konferencji prasowych, a przepisy w specustawie dodatkowo zdjęły z urzędników obowiązek informacyjny oraz odpowiedzialność za ewentualne nadużycia czy

niegospodarność (co ćwiczymy w sprawie góralskiego kontraktu na maseczki). Ustawa o ujawnianiu majątków rodzin polityków (uchwalona pokazowo po sprawie tzw. działek Morawieckiego) ugrzęzła w Trybunale Pani Przyłębskiej. CBA i nadzorowana przez Zbigniewa Ziobrę prokuratura stają się służbami ochrony władzy (CBA zajęła się właśnie intensywnie... awarią oczyszczalni Czajka za prezydentury Rafała Trzaskowskiego). I tak można ciągnąć. W Polsce pod rządami PiS odbywa się wielka operacja, zwana nieelegancko rwaniem kasy. Że tak było i wcześniej? Zapewne, choć nawet w najgorszych czasach nie w takiej skali; zwłaszcza od wejścia Polski do Unii Europejskiej standardy przejrzystości i procedury kontrolne niesłychanie się poprawiły. PiS to wszystko zastopował, wywalił, przykrył gospodarce państwową nieprzejrzystą zasłoną.

W tej kampanii PiS próbuje jeszcze raz grać wizerunkiem partii ludowej: po jednej stronie, według propagandowych przekazów, ma być wielkomięski wykształciuch Trzaskowski, przedstawiciel elit, którego ostatecznie kompromituje znajomość pięciu języków; po drugiej prości, skromni, oddani państwowej służbie Duda, Morawiecki, Szumowski – prawdziwi przedstawiciele ludu. Jacek Kurski powiedziałby pewnie, że ciemny lud to kupi.

Wielki przywódca

Polityka 23 (3264), 02.06.2020 r.

Wiem, że PiS-owi bardzo zależy na reelekcji Andrzeja Dudy, ale coraz częściej mam wrażenie, że własny obóz nie traktuje prezydenta poważnie. Sam Jarosław Kaczyński przez 5 lat bodaj ani razu nie okazał prezydentowi Dudzie ani szacunku, ani sympatii. W ostatnich tygodniach partia przystawiała prezydenta do różnych swoich zajęć, próbując dodać mu jakiejś wagi i rangi: a to pokazywał się u boku ministra Szumowskiego i walczył z pandemią, a to w wodewilowym mundurku wizytował granice, otwierał produkcję płynu odkażającego bądź też współogłaszał tarcze dla biznesu. Widać było, że jest obsadzany w jakichś wymyślanych rolach, których scenariusze pisane są na kolanie.

Najnowszy odcinek stał się mimowolną puentą tego usilnego powiększania kandydata: premier Morawiecki zabrał Andrzeja Dudę na przekop Mierzei Wiślanej. To absurdalne, iście gierkowskie przedsięwzięcie – ciągnące się od 5 lat,

szkodliwe środowiskowo i bezużyteczne gospodarczo – zostało wybrane jako symbol suwerennej polityki PiS. Przy tej okazji premier nazwał Dudę, stojącego obok z bezradnym uśmiechem, „Wielkim Przywódcą”. Ma chyba na tyle wyczucia językowego, aby zdawać sobie sprawę, że takie północnokoreańskie odniesienia brzmią w Polsce jak kpina.

Ubiegłotygodniowa, nerwowa reakcja prezesa Kaczyńskiego na płynące z Senatu sygnały o możliwym opóźnieniu terminu wyborów była kolejnym dowodem, że PiS chce te wybory przeprowadzić jak najszybciej, bojąc się każdego dodatkowego tygodnia kampanii Dudy. Co prawda poparcie dla prezydenta jest wciąż względnie wysokie, ale już nie daje szans na łatwe zwycięstwo. Dramatycznie poszukiwany jest „pomysł na finał”. Wypad na Mierzeję Wiślaną sugeruje, w jaką stronę może pójść przekaz Dudy-PiS w ostatnim miesiącu kampanii: zapewne będzie lansowany Wielki Plan Odbudowy Kraju po pandemii. Ma to tę zaletę, że ocena wiarygodności takiego planu jest z definicji niemożliwa, bo obietnice pomieszczą wszystko (pamiętamy: milion aut elektrycznych, lotnisko na 100 mln pasażerów, polskie promy, drony, satelity). Teraz jednak PiS dostał szansę podpięcia się pod rzeczywiście wielki, bo obliczony na 750 mld euro, unijny plan odbudowy, w ramach którego Polska mogłaby dostać nawet 63 mld euro. Już Morawiecki ogłosił ten plan jako dowód na to, „że Polska nadaje ton i wytycza ścieżki w Unii Europejskiej” i że na pewno nie byłoby takich propozycji, gdyby Andrzej Duda nie napisał listu do przywódców europejskich. Że brzmi to znowu jak kpina, bo ani Duda, ani Morawiecki, ani PiS nie mieli w tej sprawie nic do powiedzenia, a negocjacje dopiero się zaczynają? A jakie to ma znaczenie?

W politologii istnieje strategia tzw. podwójnej wygranej: win-win. Jeśli dadzą – nasz sukces, jeśli nie – ich wina. (Tę stałą pisowską manierę nieustannego obwiniania wszystkich o własne kłopoty i niepowodzenia należałoby spolszczyć do zwykłego wiń-wiń). Nie można jednak lekceważyć socjotechnicznej skuteczności tej metody. W jakiejś mierze, przynajmniej w oczach własnego elektoratu, impregnuje ona władzę na zarzuty i krytykę. Jeśli zastanawiamy się, w jaki sposób PiS i Andrzej Duda przy tylu wpadkach, gafach i skandalach wciąż utrzymują znaczące i stabilne poparcie, to głównie dlatego, że PiS wytrwale zbudował obraz opozycji jako wrogów – suwerenności, patriotyzmu, religii, rodziny – idealnych winnych.

Dziś w roli przywódcy tego „antyświata” jest obsadzany Rafał Trzaskowski, któremu TVP przypisuje najgorsze ludzkie cechy i intencje. Kandydat PO słusznie już na etapie prekampanii próbuje ten obraz zakłócić, lawirując między pryncypialną krytyką PiS a uspokajającymi gestami wobec wyborców tej partii. Ale trzeba pamiętać, że te wybory – choć z musu akceptowane przez opozycję – nie są w żadnym sensie równe, nie dają równych szans. Żaden kandydat w dotychczasowej historii polskich wyborów prezydenckich nie miał takiej przewagi medialnej jak Duda; żadna partia nie miała też nad konkurentami tak wielkiej przewagi materialnej.

Entuzjazm, jaki wśród działaczy i wyborców PO wywołała dynamika kampanii Rafała Trzaskowskiego, strukturalnej przewagi Dudy nie zniweluje. Potrzebna jest wyjątkowa mobilizacja i – czego dziś dramatycznie brakuje – jakakolwiek lojalna współpraca wszystkich demokratycznych kandydatów opozycyjnych, choćby w kwestii samej technicznej strony wyborów, demaskowania najgrubszych kłamstw i pomówień PiS, i niechby nieformalnego „paktu drugiej tury”. Bez tego pokonanie Dudy będzie mrzonką. A wtedy zza jego pleców znów wyjdzie prawdziwy Wielki Przywódca. I to jest dziś jedyny Wielki Plan Prawa i Sprawiedliwości.

Pół plus pół

Polityka 29 (3270), 14.07.2020 r.

Andrzej Duda wygrał wybory prezydenckie. Jego zwycięstwo, choć minimalne, jest na tyle wyraźne, że nawet dziesiątki tysięcy składanych protestów wyniku już nie zmieniają. Polska, która głosowała na Rafała Trzaskowskiego, musi się z tym pogodzić. To nie była ani uczciwa kampania, ani równe wybory, ale opozycja czuła się w obowiązku stanąć do tej rywalizacji, świadomie podjąć ryzyko, bo takie było wyraźne oczekiwanie jej wyborców. Mimo zaangażowania po stronie Dudy całego aparatu państwa zwycięstwo kandydata opozycji było bardzo blisko. Wszystkim nam zostaną w pamięci gigantyczne kolejki przed konsulatami i nielicznymi punktami wyborczymi w miejscowościach wakacyjnych, tak jak wcześniej kolejki w urzędach gminnych po zaświadczenia o prawie do głosowania. Mobilizacja wyborców opozycji – widoczna zwłaszcza w rekordowej frekwencji w miastach –

była niezwykła, wręcz poruszająca. A jednak nie starczyło głosów. Przez najbliższe dni będziemy się pewnie zadręczać pytaniami: co by było, gdyby? Gdyby opolskie nie zaważyło, jak zwykle, udziału w wyborach? Dlaczego tak marnie wypadło dolnośląskie? Gdyby nie robiono takich (celowo?) trudności Polakom głosującym za granicą? Gdyby Hołownia i Kosiniak-Kamysz włączyli się jakoś w kampanię drugiej tury, może to oni dodaliby te brakujące 200–300 tys. głosów?

Pierwsze powyborcze analizy wskazują, że Andrzej Duda wygrał głównie dzięki nadzwyczajnej mobilizacji wyborców wiejskich, osób starszych i – tradycyjnie – województw wschodnich. Mamy przekonanie, że to zwycięstwo Dudy było nieuczciwe, że wobec tych wyborców użyto cynicznych kłamstw i manipulacji. Straszono – w przypadku ewentualnego zwycięstwa Trzaskowskiego – odebraniem świadczeń socjalnych i podniesieniem wieku emerytalnego; oddaniem majątków Żydom; podporządkowaniem Polski Niemcom; seksualizacją dzieci i ich adopcjami przez pary homoseksualne; atakiem „ideologii LGBT” na rodziny; a już najbardziej ohydny chwytem, zastosowanym osobiście przez Jarosława Kaczyńskiego, było straszenie starych ludzi „prawie przymusową” eutanazją.

To, co wyprawiała w tej kampanii telewizja państwowa, to nie tylko oczywiste złamanie standardów wyborczych i medialnych, ale wręcz haniebna, niespotykana w cywilizowanym świecie, finansowana w dodatku za publiczne pieniądze, operacja planowego szcucia, pomawiania, czarnego piaru. Andrzej Duda ponosi za ten przekaz pełną odpowiedzialność, podobnie jak za własne, oburzające wypowiedzi, które teraz kwituje: „taka jest kampania”. Nie, takiej kampanii negatywnej nie było w historii polskiej demokracji. To bardzo osłabia wyborczy mandat prezydenta Dudy. Ale tak czy inaczej będziemy musieli z tym prezydentem żyć jeszcze przez pięć lat.

Część komentatorów żywi słabo uzasadnioną nadzieję, że w drugiej kadencji Andrzej Duda, odpowiadając już tylko „przed Bogiem i historią”, wybije się na jakąś niezależność, że zapamięta, iż wygrał „o włos”, a 10 mln Polaków, na ogół – takie są twarde dane: lepiej wykształconych, młodszych, miejskich, mniej zależnych od państwa i socjalnych transferów, kulturowo otwartych – głosowało przeciwko niemu. To połowa Polski, a jeśli chodzi o rozwojowy i społeczny potencjał „dużo większa połowa”. Da się tę połowę ignorować, obrażać, tak jak w poprzedniej kadencji? Andrzej Duda nie dawał dotąd oznak niezależności, my

także z pełnym przekonaniem portretowaliśmy go jako marionetkę prezesa – ale może zechce wziąć rewanż za upokorzenia „Adriana”? Może zacznie się bardziej liczyć z opiniami dawnych kolegów i mentorów z uniwersytetu? A może przynajmniej spróbuje zawalczyć o szacunek córki, która w wieczór wyborczy pokazała się jako osoba odważna, samodzielna, tolerancyjna, absolutnie niepasująca do politycznego przekazu i otoczenia ojca? Po tej kampanii Duda sporo musi jednak zrobić, żeby dorosnąć do roli, jaką dali mu wyborcy i nakłada na niego konstytucja.

Opozycja wychodzi pokonana, ale w formie najlepszej od lat. Ma wreszcie lidera i przynajmniej zaczątek nowego przekazu. Rafał Trzaskowski – mając za sobą ogromne poparcie, nawet jeśli w milionach przypadków jednorazowe i warunkowe, oraz wielką, obudzoną społeczną energię – nie może tego zmarnować, zająć się na powrót wyłącznie zarządzaniem stolicą. Powinien, tak sędzę, jak najszybciej przejąć przywództwo swojej formacji i nadać jej nowy kształt; po tysiącach spotkań z wyborcami już powinien wiedzieć jaki. Dobrze, że wyraźnie odciął się od przeszłości swojej partii; nawet jeśli ta historia jest dużo lepsza, niż się ją dziś opisuje, Polska – postawiona jak cała współczesna cywilizacja wobec niebywałych wyzwań (klimatycznych, pandemicznych, demograficznych, politycznych, gospodarczych, budżetowych) – potrzebuje dziś przede wszystkim klarownej wizji (tak, tak) układania się ze światem, z Europą i ze sobą samą. Wizja PiS jest dramatycznie przestarzała, załężniona, pełna kompleksów, fałszów, a przede wszystkim zależna całkowicie od jednego człowieka, z jego obsesjami i ograniczeniami. Ten człowiek dostał dziś pełnię władzy nad Polską; a jego wyborcy zabrali nas wszystkich w podróż w nieznane.

Próba kładki

Polityka 32 (3273), 04.08.2020 r.

Jak traktować Andrzeja Dudę, to dla antypisowskiej opozycji naprawdę trudny dylemat polityczny, moralny i także estetyczny: ignorować, tak jak Kaczyński i jego partia ignorowali przez pięć lat Bronisława Komorowskiego, nie podawać mu ręki i nie przyjmować ewentualnych zaproszeń? A może wyzerować licznik, przymknąć oczy na obrzydliwą kampanię – i po prostu czekać, co zrobi? Albo też:

aktywnie wciągać go we współpracę, pomagać, jeśli da takie sygnały, w budowie samodzielnej pozycji politycznej? Emocje po nieuczciwej przegranej, wstyd, że „człowiek bez właściwości” znów został głową państwa, narzucają odruch bojkotu. Pragmatyzm podpowiada, aby dać Dudzie drugą szansę. Rafał Trzaskowski, dziś najważniejszy polityk opozycji, wybrał ryzyko pragmatyzmu.

Nie sędzę, aby Trzaskowski żywił złudzenia co do charakteru i potencjału Dudy; zapewne w drugiej kadencji prezydent będzie równie „niezłomny” jak w pierwszej, ale w geście podania mu ręki najmniej chodziło chyba o samego Dudę. Politycznie i symbolicznie to ręka wyciągnięta w stronę ponad 10 mln Polaków, którzy z przekonaniem, a często z entuzjazmem, głosowali na kandydata PiS. Być może ten gest trafia w próżnię, ale – znów – ważniejszy jest chyba dla opozycji niż dla elektoratu Dudy.

Wyborcy opozycji na ogół nie są tak łagodni i koncyliacyjni jak kampania Trzaskowskiego; przeciwnie, są wkurzeni, naprawdę mają dość chamstw, kłamstw, buty i pazerności ludzi władzy, a wyborców PiS (jak pokazywały m.in. badania SWPS) traktują jako współników Kaczyńskiego, często po prostu jako roszczeniowych ignorantów, antysemitów, bigotów, kseno- i homofobów. PiS te opinie i emocje przeciwników chętnie podchwytuje, wręcz wyławia, wzmacnia i przedstawia jako prowokacje, dowody na „pogardę elit” wobec „zwykłych Polaków” i ich wartości. Nieważne, że 10 mln wyborców Trzaskowskiego trudno uznać za elitę (byłaby to najliczniejsza elita świata), że dzisiejszą, i to naprawdę grabieżczą, elitą są ludzie PiS – ale taki właśnie przekaz był konsekwentnie budowany w kampanii przez cały aparat propagandowy PiS. Jak się okazało, skutecznie.

Utwierdzenie wzajemnych negatywnych stereotypów w obu wielkich 10-mln grupach wyborców to prawdziwa ostoja, fundament władzy Kaczyńskiego. Im gorzej te dwie części Polski myślą o sobie, tym lepiej dla PiS. Jasne, że wyborcy jednej i drugiej strony mają różne socjologiczne charakterystyki, ułatwiające generalizację i przylepianie etykiet: wiemy, że Trzaskowskiego popierali głównie mieszkańcy miast, młodzież, profesjonaliści – za Dudą gremialnie głosowali mieszkańcy wsi, emeryci, ludzie o niższym poziomie wykształcenia i zamożności, bardziej zależni od świadczeń socjalnych, które elity miały im rzekomo odebrać. Mimo intensywnych zaprzeczeń wszystkich opozycyjnych polityków, że „niczego nie zabiorą”, ten straszak po raz kolejny okazał się zabójczą polityczną bronią,

przede wszystkim dlatego, że PiS wykreował opozycję na wcielenie zła, ludzi gotowych do każdej podłości, intrygantów snujących demoniczne plany ataku na rodziny, wyprzedaży interesu narodowego. Że absurd? – oczywiście, ale dopiero połączenie, zmiksowanie „obrony świadczeń” z „obroną rodziny, narodu i wiary” stworzyło pełny, kompatybilny, emocjonalny przekaz kampanii. Potwierdziło się, że najmocniejszą stroną PiS jest wciąż zorkiestrowana, bezwzględna propaganda, intensywna pedagogika społeczna kierowana i w stronę zwolenników, i przeciwników. Produkcja wzajemnej nieufności, pogardy, strachu, poczucia obcości.

Jeśli opozycja ma kiedykolwiek wygrać z PiS, musi tę polaryzację osłabić, naruszyć stereotypy „wyniosłych elit” i „ciemnego ludu”. O tym właśnie mówi Trzaskowski, projektując swój nowy, pozapartyjny ruch jako „organizację wyborców”, narzędzie bezpośredniego „docierania do wszystkich, którzy głosowali inaczej”. Pomysł jest chyba taki – nawet jeśli idealistyczny – aby nie tylko organizować społeczną samoobronę przed nadużyciami władzy, ale też przerzucać kładki na drugą stronę, wchodzić między wyborców wiejskich, na wschód i na Podkarpacie, dać się nawet obrażać i wygwizdywać, ale stłuc informacyjną bańkę. Oddemonizować opozycję, stopniowo obniżyć poziom lęku wśród wyborców „socjalnych” i wśród ludzi starszych, ośmieszyć narracje o rzekomych ideologiach jawnie lub skrycie wyznawanych przez antyPiS.

Ale też i wobec opozycyjnego elektoratu potrzebna jest swoista (anty)pedagogika i to adresowana do obu dominujących w powyborczych sporach nurtów: wykpiwania wyborców Dudy oraz ich „uświęcania”, w czym zwłaszcza celuje radykalna lewica, oskarżająca „liberalny establishment” o niezrozumienie ludu, jego upokarzanie i inne „klasistowskie” myślozbrodnie. Dziś jednak opozycja nie bardzo ma wybór: mimo urazów i uprzedzeń musi rozmawiać, budować jakieś minimalne zaufanie – i między sobą, i z wyborcami „tamtych”. Nawet jeśli początki będą zimne i nieufne jak rozmowa Trzaskowskiego z Dudą.



Iga, Pan Czarnek i czarne dziury

Polityka 42 (3283), 13.10.2020 r.

Cieszymy się sukcesem Igi Świątek. Bardzo nam teraz jest potrzebna odrobina zbiorowej radości. Niby tenis jest sportem indywidualnym, ale organizatorzy takich turniejów jak Roland Garros mocno eksponują narodowość zawodników, więc wszyscy stajemy się niejako udziałowcami globalnego triumfu młodej Polki. Tym bardziej godzi się przypominać, że zwycięstwo w wielkim prestiżowym turnieju tenisowym jest przede wszystkim osobistym osiągnięciem samej Igi (wszyscy zwracają się do niej po imieniu, bo to wciąż nastolatka) i jej rodziny. Kariera córki to było prywatne przedsięwzięcie państwa Świątków, ryzykowne, wymagające finansowych wyrzeczeń, wiary, uporu. Tenis jako sport „elitarny” nigdy nie doczekał się w Polsce systemowego, publicznego wsparcia, choć teraz politycy na wyścigi będą się do Igi przymilać.

Poprzednia ekipa rządowa, jeśli mogę tu wtrącić trochę polityki, przynajmniej budowała orliki i piłkarskie stadiony, obecna zapowiadała jedynie budowę strzelnic, z czego i tak niewiele wyszło. Dodatkowo dowiedzieliśmy się, że przy okazji tzw. rekonstrukcji rządu zniknie w ogóle Ministerstwo Sportu, a dział „kultury fizycznej” zostanie przyporządkowany... ministrowi kultury. Tak, to ten sam pan, który nie dał rady przeczytać żadnej książki Olgi Tokarczuk, choć być

może, ubiegłorocznym wzorem, zaprosi „laureatkę Rolanda Garrosa” do ministerstwa „celem odebrania gratulacji”.

Sport, nie tylko zawodowy, ale i ten masowy, szkolny i amatorski, jest na liście priorytetów obecnej władzy chyba jeszcze niżej niż kultura. Prezes nie bardzo się osobiście sportem interesuje (z rodeo to była raczej kpina), co w systemie państwa PiS od razu spycha tę dziedzinę na poślednie budżetowe miejsce. W ogóle sport się w Polsce sprywatyzował: miliony ludzi biegają, jeżdżą na rowerach, ćwiczą na siłowniach, grają w tenisa itp. na koszt własny lub rodziny. Instytucje publicznego i prywatnego wsparcia są wątle materialnie i organizacyjnie.

Czasem, jakby na przekór, pozaustrojowo, rodzą się niebywale sukcesy, takie jak Igi Świątek (czy młodego Jana Krzysztofa Dudy, który w tenże weekend pokonał najlepszego szachistę świata). Szkoda, bo jak takie sukcesy mogą być narodowo euforyczne, właśnie doświadczamy: hymn grany na kortach paryskich, przed dziesiątkami milionów telekibiców, to najprzyjemniejsza forma nacjonalizmu. Zwłaszcza że Iga Świątek pokazała światu – tu z kolei przepraszam za patos – piękną twarz młodej Polski i Polki: otwartej, sympatycznej, kolorowej (o jej „tęczową” sukienkę już się nakręca awantura), mówiącej swobodnym angielskim, pozbawionej kompleksów, ale i jakiegokolwiek napuszenia. Jakże to różny wizerunek od gęby – fraza Gombrowicza pasuje tu jak ulał – jaką Polsce od lat przyprawia za granicą ekipa Kaczyńskiego.

Ostatnio pierwszą twarzą rządzącej formacji stał się poseł Przemysław Czarnek, którego powołano na nowe stanowisko „ministra wszechnauk”, odpowiedzialnego za edukację i wiedzę Polaków od przedszkola do uniwersyteckiej profesury. Pisaliśmy o tej złowróżbnej nominacji, tłumacząc stojące za nią polityczne, raczej niskie, kalkulacje prezesa partii. Zapewne był tam też zamysł drażnienia, prowokowania „lewicowo-liberalnych elit”, w sumie – podkreślenia tzw. wojny kulturowej, która znakomicie wzmacnia obóz władzy i przykrywa niewygodne tematy. Ale nawet jeśli pan Czarnek jest prowokacją, nie warto jej unikać; jego wypowiedzi znakomicie nadawałyby się na publiczne cotygodniowe czytania. Niechby ta: „Jeśli (kobieta) pierwszego dziecka nie rodzi się w wieku 20–25 lat, tylko około trzydziestki, to ile tych dzieci można urodzić? Takie są konsekwencje, jeśli tłumaczy się kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana”. Tak, tak, Igo Świątek, główny dziś edukator RP już za rok–dwa nakazałby ci, gdyby mógł, macierzyństwo jako wypełnienie twojej „funkcji”.

Ale jeszcze lepiej czyta się rozmaite wypowiedzi ministra w kontekście tygodnia noblowskiego. Skojarzenie uprawnione, ponieważ Przemysław Czarnek jako minister nauki będzie miał realny wpływ na finansowanie badań. Twierdzę, że żadna z dziedzin wyróżnionych tegorocznymi Noblami nie mogłaby być wsparta w Polsce PiS funduszami publicznymi. Bo albo w tle mamy szczepienia i testy genetyczne (jak w przypadku nagrodzonych Noblem badań nad wirusem WZW C), albo mamy – potępiane przez PiS – technologie GMO oraz możliwość interwencji w przypadku wad genetycznych (co ułatwiają tzw. nożyce molekularne). A nawet kosmologia: badania nad fizyką czarnych dziur, kwazarami, bytami o masie 4 milionów Słońc – gdzie tu jest, zapytam prostacko, miejsce dla Pana Boga pana Czarnka? Nowy polski minister nauki chętnie wchodzi w rolę (jak zresztą wielu polityków PiS) wyraziciela „woli boskiej”, nie tylko w odniesieniu do kobiet, ale i całego porządku społecznego i umysłowego; po co Czarnkowi i jego Bogu te galaktyki?

Zresztą postępowanie rządu wobec pandemii koronawirusa wskazuje na (być może u niektórych rzeczywiście motywowany religijnie) nastrój fatalizmu, podporządkowania się raczej woli bożej niż racjonalizmowi, planowaniu i ekspertom. Ale nie upieram się: może tu też chodzić o zwyczajną nieudolność i bezwzględny, narzucony przez prezesa, priorytet dla cynicznej polityczności. Przecież Jarosław Kaczyński, wchodząc do rządu w roli wicepremiera, nie zajął się bynajmniej „koordynacją działań przeciwepidemicznych”, tak teraz niezbędną, ani dramatyczną sytuacją w oświacie, lecz kontrolą służb specjalnych oraz wpływów Zbigniewa Ziobry, do czego też użyty ma być minister Czarnek. Takie są dziś realne priorytety władzy. Nastrojami powinniśmy więc już tkwić w czarnej dziurze, gdyby nie takie jasne zjawiska jak Iga Świątek oraz, jak mówią fizycy, „horyzont zdarzeń”, za którym wciąż kryje się nadzieja, że Donald Trump zapłaci za swój narcyzm, niekompetencję, lekceważenie epidemii i jednak przegra wybory, a wraz z nim wszyscy trumpiści świata. I to będzie nasz breakpoint.



Dość tego

Polityka 44 (3285), 27.10.2020 r.

Decyzję o faktycznej delegalizacji aborcji w Polsce uważamy za barbarzyńską. Ale już nie będziemy setny raz na tych łamach rozwijać argumentów, które ta władza konsekwentnie ignoruje. Że nie ma żadnych „zwolenniczek aborcji”, które chcą zmusić katoliczki do przerywania ciąży, że chodzi tylko o prawo wyboru. I prawa człowieka w ogóle. Że nie można kobiet traktować jak bezmyślne inkubatory, narażać na tortury fizyczne i psychiczne, zmuszając do rodzenia niezdolnych do przeżycia płodów. Że rolą państwa jest pomagać matkom, także niepełnosprawnym dzieci, a nie narzucać obowiązków heroizmu, poświęcenia siebie i rodziny na ołtarzu bigoterii. Itd. Groch o ścianę. Pytamy jednak, po co Kaczyński to zrobił i dlaczego teraz? Choć mnóstwo osób uważa, że w ogóle nie warto się nad tym zastanawiać, a jedyne, co należy tej władzy powiedzieć, to „wyp...łać!”. OK. Ale stawianie pytań jest ważne dla oceny skutków tego aktu agresji. No więc, dlaczego?

Argument, że to „Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie”, zostawiam propagandzie PiS; za dobrze znamy panią Przyłębską, sędziów dublerów i tryb

działania tego gremium, żeby mu przypisywać jakąkolwiek autonomię. To mogła być jedynie osobista decyzja Jarosława Kaczyńskiego. Nie przyjmuję też podsuwanego wyjaśnienia, że prezesowi chodziło o pełną ochronę życia poczętego. Kaczyński przez lata odsuwał i blokował podnoszone wciąż przez katolickich fundamentalistów postulaty całkowitego zakazu aborcji, a przynajmniej wykreślenia przesłanki embriopatologicznej, nazywanej przez nich eugeniczną. Płacił pewien trybut retoryczny (kobieta powinna „chore dziecko” urodzić, ochrzcić, nadać mu imię i po katolicku pochować – mówił), ale mając od lat sejmową większość, nie zdecydował się, także teraz, na otwartą nowelizację ustawy. Kiedy po poprzednich wyborach PiS próbował już zerwać tzw. kompromis aborcyjny, po masowych protestach kobiet Kaczyński się wycofał. Na odczepnego uchwalono ustawę „trumienkową”, przyznającą 4 tys. zł rekompensaty (!) w przypadku urodzenia niepełnosprawnego czy niezdolnego do życia dziecka. Prezes PiS musiał więc wiedzieć, że znowu idzie na awanturę. A jednak się zdecydował.

Zapewne nie ma tu jednego wyjaśnienia. Tezy, że to Kaczyńskiego odwet za upokorzenie, jakiego doznał ze strony kobiet przed czterema laty, czy też przeciwwaga dla „kompromitująco liberalnej” ustawy futerkowej jakoś pasują do osobowości prezesa, choć niewiele tłumaczą. Podobnie jak prosta odpowiedź, że zrobił tak, bo mógł: wygrał wszystkie wybory, najbliższe będą dopiero za 3 lata, a pandemia dodatkowo bardzo ogranicza możliwości protestu. Ale: po co? Mówi się, że aby spłacić dług Kościołowi za wierne poparcie polityczne. Tak, niewątpliwie Kaczyńskiemu zależy, aby Kościół hierarchiczny, który z entuzjazmem przyjął „decyzję Trybunału”, wspierał PiS w czasach zarazy, tonując nastroje społeczne, tłocząc pseudoreligijne uzasadnienia pandemii. Na pewno też, stając po stronie katolickiego fundamentalizmu, Kaczyński osłabia dysydenckie ciągoty w Zjednoczonej Prawicy, zwłaszcza ewentualne próby tworzenia bardzo niebezpiecznego dla niego sojuszu Rydzyk-Ziobro-Konfederacja. Polityczne interpretacje wskazują też jako jeden z ubocznych celów skłócenie opozycji. Pośrednie wsparcie dla słabnącej dramatycznie Lewicy, która dostała „swoją temat”, miałyby osłabić rosnącą sondażowo PO i postawić w trudnej sytuacji „chadeków” Hołownię i Kosiniaka-Kamysza. Być może to już zbyt subtelne spekulacje, jednak w tym sensie prawdopodobne, że Kaczyński zawsze był wytwórcą chaosu, wykonywał ostre ruchy, wypowiadał oburzające deklaracje,

aby potem wykorzystać energię którejś ze wzburzonych przez siebie fal. Niemniej uważam, że zasadniczym powodem tej akcji jest covid.

Patrząc na to, w jakim kierunku zmierza partyjna propaganda, można dostrzec, że celem tej operacji jest wykreowanie winnych epidemicznej klęski państwa PiS. Mateusz Morawiecki, w dzień po „orzeczeniu Trybunału”, wygłosił orędzie, którego zasadniczym przekazem było: „odłóżmy na bok polityczne spory”. A ponieważ opozycja nie może wyrzec się obrony praw kobiet, będzie dostarczała poręcznej propagandowo amunicji: rząd walczy ze śmiertelnym wirusem, a oni, proszę, zajmują się sporami światopoglądowymi. Jednak celem głównym, mam wrażenie, będą kobiety, nazywane feministkami. W TVP ruszyła akcja wiążąca demonstracje uliczne z ryzykiem wzrostu zachorowań. „Zwolenniczki aborcji” są zrównywane z radykalnymi antycovidowcami, którzy też (bez maseczek) wyszli na ulice. W ten sposób covid jest wprzęgany w wojnę kulturową: odpowiedzialna władza v. lewactwo i groźny feminizm (który „służy do zniszczenia rodziny” – cytując ministra Czarnka). „Feministki i aborcjonistki” fantastycznie się nadają do roli roznosicielek wirusów. I bluźnierczyń atakujących wiarę i kościoły.

Ta taktyka, jeśli ją dobrze odczytuję, ma jednak coraz wyraźniejsze limity. Demonstrują tysiące młodych ludzi, „a nie żadni kodziarze”, którzy kiedyś przy drwinach lewicy i prawicy bronili „jakiegoś Trybunału Konstytucyjnego”. I to demonstrują w swoim stylu: twardo, w dodatku pod domem Kaczyńskiego i siedzibami PiS, co zaskakująco dobrze świadczy o realizmie politycznym protestujących. Nie wydaje się też, żeby wiejski, „ludowy” elektorat PiS popierał nowo ustanowione reguły: uderzą one przede wszystkim w biedniejsze kobiety. Zresztą większość wyborców, także wiejskich, opowiadała się raczej za liberalizacją, a nie zaostrzaniem prawa aborcyjnego. Nawet jeśli w Sejmie będą próby rozmywania „decyzji Trybunału”, tego co Kaczyński zrobił i jaka pod spodem tkwi ideologia, nie wolno zapomnieć.

POLSKIE TRADYCJE I ZWYCZAJE WOBEK KOBIEC



Dziewiętnaście gwiazdek

Polityka 45 (3286), 03.11.2020 r.

To były fantastyczne dni. Mimo pandemii. Od przegranych przez opozycję wyborów prezydenckich tkwiliśmy w politycznej beznadziei, zatrutowanej bezproduktywnymi konfliktami w obozie władzy, przestraszeni narastającą liczbą zachorowań, groźbą załamania systemu ochrony zdrowia. I nagle zdarzyła się wiosna jesienią. Protesty przeciwko orzeczeniu „Trybunału Julii Przyłębskiej”, faktycznie delegalizującym aborcję, w ciągu kilkudziesięciu godzin przerodziły się w żywioł. Nikt się tego nie spodziewał ani władza, ani opozycja, która już od lat nie potrafiła takich tłumów wyprowadzić na ulice. Szokująca skala – nawet pół miliona protestujących jednego dnia; zasięg – po raz pierwszy manifestacje odbyły się również w dziesiątkach małych miast, często uchodzących za bastiony obecnej władzy; wiek demonstrantów – niemal wyłącznie młodzi ludzie, kilkanaście roczników urodzonych i wyrosłych w III RP. Wreszcie język: wulgarny, ale jednocześnie jakoś niedosłowny, ironiczny, mający zaszokować „dziadów”, przekonanych, że mogą dowolnie urządzać życie młodego pokolenia. Na slogany żądające liberalizacji ustawy antyaborcyjnej szybko nałożyły się głośnie, coraz

głośniejsze, hasła antyrządowe, z dwoma najważniejszymi „Wypierdalać!” i „Jebać PiS!”. Ktokolwiek wpadł na pomysł przeniesienia okrzyku na W na transparenty, miał przebłysk geniuszu. W ustach tysięcy młodych kobiet wulgaryzm zmienił się w czysty wyraz gniewu i odrzucenia. Władza, która arogancko zamachnęła się na wolność i prawa kobiet, nagle dostała (pozostając w tej poetyce) kontrę w pysk.

Formy tego protestu to zresztą fenomen na skalę światową, eksplozja kreatywności pokolenia internetu. Sama organizacja „spacerów” miała charakter sieciowy, rozproszony, trochę anarchistyczny, ale – mimo improwizacji – była zaskakująco sprawna. A po wsze czasy symbolem tej polskiej „rewolucji październikowej” zostaną tysiące kartonów z pisanymi odręcznie tekstami. Powstały już i krążą w sieci zestawienia, rankingi haseł, często niebywale dowcipnych, imponujących odwołaniami do popkultury i literatury, zabójczo szyderczych wobec Jarosława Kaczyńskiego, PiS, biskupów, Krzysztofa Bosaka, Kai Godek, Julii Przyłębskiej – wszystkich, którzy zostali uznani za udziałowców antywolnościowej koalicji. Sprawa delegalizacji aborcji – symbol, kondensat trwającej od lat narodowo-katolickiej ofensywy przeciw prawom kobiet i liberalnej demokracji w ogóle – była iskrą, od której eksplodowały nagromadzone emocje. Poszło o wolność jako zasadę. To był chyba główny przekaz demonstracji: wy z PiS, i każda inna władza, możecie zarządzać państwem, ale odwalcie się od nas, naszych ciał, łóżek, sumień, stylu życia – wyp...!

Czy jednak „osiem gwiazdek” plus drugie „jedenaście gwiazdek” to są hasła polityczne? Teraz, po spektakularnym sukcesie manifestacji, wielu demonstrujących, nie mówiąc już o zagubionej i pomijanej opozycji, zadaje sobie pytanie: co z tego wszystkiego ma wynikać? Czy marsze nie rozejdą się do domów, jak tyle razy wcześniej? Masowe protesty w końcu zaczną wygasać, będą się samoograniczać, może zostaną zawieszane. Przecież nadal jest pandemia, i choć epidemiolodzy mówią, że ta forma manifestacji, na świeżym powietrzu i w maskach jest względnie bezpieczna, to młodzi będą podlegać presji, także własnych rodzin, żeby nie kusić losu. Powołanie rady konsultacyjnej Strajku Kobiet, z bardzo sensownymi ludźmi i postulatami, jest próbą przeniesienia energii tego protestu w politykę, ale w jaki sposób, czy jako kolejnego „ruchu”, organizacji, czy zaplecza opozycji, grupy nacisku, tego dziś powiedzieć się nie da.

Jednak ta rewolucja (bez względu na to, co się stanie dalej) już zrobiła swoje, przeorała polską politykę głębiej, niż się może wydawać. Kilka punktów.

W polityce objawiło się wreszcie młode pokolenie Polaków, oskarżane dotąd przez starą opozycję o bierność i obojętność. Objawiło się na swój sposób, ale trudno o bardziej wyraźne i precyzyjnie zaadresowane polityczne hasło niż „Jeb... PiS!”. Ta najaktywniejsza część młodego pokolenia jest dla PiS stracona, a jednocześnie atrakcyjne formy antysystemowego buntu będą przeciągać w stronę ośmiu gwiazdek tych politycznie obojętniejszych. Urodzeni w wolnej Polsce, wychowani w Europie, mają wreszcie swoje doświadczenie pokoleniowe, własne, zapamiętane pewnie do końca życia, spotkanie z polityką.

Cała tzw. klasa polityczna dostała czytelny sygnał, jakie są i będą granice jej władzy. Ale szczególnie oberwał PiS: partia rządząca i jej lider stali się na powrót synonimem obciachu, tandety, żenady. Nawet ponure, szalone groźby, miotane przez Jarosława Kaczyńskiego, zostały zbyte śmiechem. A groteskowy dyktator, bohater memów i dowcipów, traci symboliczną władzę. Awantura aborcyjna, następująca tuż po rekonstrukcyjnej i futerkowej, bez wątpienia naruszyła i w partii, i w elektoracie mit nieomyślności prezesa. Co prawda dramatyczne spadki notowań PiS i samego Kaczyńskiego nie są doraźnie groźne, bo nie ma żadnych nowych wyborów, ale niechybnie będą prowokować konflikty i podziały w Zjednoczonej Prawicy. Potężne ostrzeżenie otrzymali hierarchowie Kościoła katolickiego, słusznie potraktowani jako współnicy i lennicy PiS. Wezwanie Kaczyńskiego, aby partyjne i kibolskie bojówki „broniły kościołów”, było już tylko jawnym przypieczętowaniem tego, obraźliwego dla wielu katolików, sojuszu. Tymczasem to antyklerykalizm – choć jego agresywniejsze przejawy były tłumione przez samych organizatorów – okazał się powszechnym wyznaniem młodego pokolenia. Cios w jeden z filarów władzy PiS i przyszłość tej formacji.

PiS na razie próbuje przeczekać rewoltę, przykryć ją propagandą. TVP robi wszystko, aby protesty przedstawić jako „początek rozprawy z katolikami”, użycia przeciw wierzącym przemocy, noży i pałek; opowiada o lewackich faszystach, ze znakami nawiązującymi do SS, sterowanych i szkolonych przez opozycję i zagranicę, popieranym przez „Światowy Zakon Szatana”. To naprawdę mówi się w rządowych mediach. Zgroza? Groteska? Obłąd? Ziobro zapowiada wyroki (do 8 lat więzienia) dla organizatorów protestów. Mówi się wciąż o możliwości wprowadzenia stanu wyjątkowego. Czarnek chce finansowo karać uniwersytety. Duda próbuje cofnąć orzeczenie Trybunału Przyłębskiej desperacką propozycją pseudokompromisu aborcyjnego. Kaczyński po wezwaniu do wojny domowej

zamilkł i chowa się gdzieś za setkami policjantów i radiowozów. Morawiecki wzywa do rozmów, nie wiadomo z kim, w jakiej sprawie i z jakim mandatem.

Gdyby nie pandemia i jej skutki dla służby zdrowia, gospodarki, edukacji, to wszystko pasowałoby do kabaretu. Ciekawe, czy znajdą się w otoczeniu prezesa jacyś odważni, żeby mu wylać na głowę kubel zimnej wody i powstrzymać chociaż przed pokusą „rozprawy z buntownikami”? Oni też muszą się lękać, że Kaczyński wyzwolił polityczną energię, która wcześniej lub później wyp... ich z orbity władzy. Na jednym z transparentów ktoś namazał: „Wasz los jest już zapisany w gwiazdkach”. Niedawno to byłby tylko żart, po październiku to brzmi jak prognoza.



Rozdział

VII

2021: NA GRANICY

Drugi rok covidu, rygorów sanitarnych, maseczek na twarzach, przepelnionych szpitali. W styczniu jest już w sumie ponad 2 miliony zachorowań, ale też startuje wreszcie, szumnie nazwany, Narodowy Program Szczepień. Unia Europejska zatwierdza, kupuje i rozprowadza wśród krajów członkowskich pierwsze partie nowatorskich preparatów, w ekspresowym tempie opracowanych przez globalne koncerny farmaceutyczne. W Polsce akcja zaczyna się od małego skandalu, kiedy grupka artystów dostaje szczepionki poza ustaloną przez NFZ kolejnością. Potem zapisy i szczepienia idą w miarę sprawnie, ale już po kilku miesiącach okazuje się, że wiele osób pod wpływem narastającej antyszczepionkowej propagandy odmawia przyjęcia zastrzyku. Do końca roku 2021 udaje się uodpornić pierwszą dawką 56 proc. społeczeństwa; do 2023 r. to będzie niewiele więcej, łącznie 64 proc. Ale są rejony, w tzw. polskim pasie biblijnym, czyli na ścianie wschodniej i Podkarpaciu, gdzie poziom wyszczepień ledwo przekracza jedną czwartą uprawnionych. Kolejne fale epidemii wciąż przynoszą tysiące zgonów.

Tymczasem pojawia się nowy problem: napięcie na granicy z Białorusią. Białoruski dyktator Alaksandr Łukaszenka po sfałszowanych wyborach prezydenckich i masowych, brutalnie tłumionych, protestach społecznych przystępuje do rozprawy z opozycją. W marcu do więzienia trafiają m.in. współpracujący z polską prasą dziennikarz Andrzej Poczobut (w 2023 r. skazany na dodatkowe 8 lat w kolonii karnej) i Andżelika Borys, szefowa Związku Polaków na Białorusi. Unia nakłada sankcje na białoruski reżim; odpowiedzią jest operacja „Śluza”, czyli zorganizowany przez władze proceder przemytu ludzi. W krajach Azji i Bliskiego Wschodu werbowani są potencjalni migranci, przerzucani na granicę z państwami Unii i nakłanianiani do jej nielegalnego przekraczania.

W sierpniu w okolicy podlaskiej wsi Usnarz kilkudziesięcioosobowa grupa uciekinierów z Afganistanu zostaje przez służby graniczne obu krajów na wiele tygodni zablokowana na skrawku ziemi niczyjej. Tak rozpoczyna się trwający przez kolejne miesiące i lata kryzys humanitarny na granicy polsko-białoruskiej („Bitwa pod Usnarzem”). Rząd PiS wykorzystuje sytuację do nakręcania atmosfery wojennej, na granice kierowane są znaczne oddziały wojska i policji, we wrześniu, po raz pierwszy w historii wolnej Polski, wprowadzony jest stan wyjątkowy. W granicznych powiatach

zawiesza m.in. prawo swobodnego przemieszczania się, zgromadzeń, także pracy dziennikarzy i organizacji pomocowych. Minister spraw wewnętrznych urządza haniebną konferencję prasową, przedstawiając migrantów i uciekinierów jako potencjalnych terrorystów i dewiantów. Władze nakazują operacje tzw. pushbacków, czyli siłowego wypychania ujętych uchodźców z powrotem na Białoruś. Organizacje pozarządowe, które niosą „nielegalną” pomoc humanitarną, mówią o dziesiątkach śmiertelnych ofiar tego ludzkiego ping-ponga. Jednocześnie rusza budowa muru-zapory na granicy.

Zakaz dostępu dziennikarzy do terenów przygranicznych to tylko jeden z przykładów wojenki, jaką władze wypowiedziały niezależnym mediom. Już na początku 2021 r. PiS wnosi ustawę nakładającą na prasę, radio i telewizję specjalny podatek od reklamy. Chce w ten sposób zebrać, rzekomo na walkę z covid, ok. 800 mln zł rocznie. Byłoby to ogromne obciążenie dla zubożonych przez pandemię, niezależnych, niesponsorowanych przez państwo mediów. Po raz pierwszy po 1989 r. dziesiątki redakcji ogłaszają jednodniowy solidarny strajk, m.in. wstrzymując emisję programów. Do akcji przyłącza się nawet „symetrystyczny” Polsat. Władze wycofują się z tego projektu, ale bynajmniej nie z pomysłu „repolonizacji”, czyli przejęcia kontroli nad „nieprzyjaznymi mediami”. Sejm uchwała nowelizację ustawy o radiofonii i telewizji, potocznie nazwaną lex TVN. Projekt procedowany błyskawicznie, z naruszeniem regulaminu Sejmu, daje władzom możliwość nieprzedłużenia wygasającej koncesji dla TVN24. Odczytywane jest to jako presja na sprzedaż stacji w ręce którejś ze spółek Skarbu Państwa lub (jak na Węgrzech Orbána) wskazanego biznesmena. Ostro protestuje administracja USA, bo TVN jest częścią amerykańskiego koncernu Discovery. Ostatecznie Andrzej Duda wetuje ustawę. Ale Orlen już prowadzi rozmowy, sfinalizowane w następnym roku, dotyczące wykupu od niemieckiego koncernu Polskapresse niemal wszystkich ukazujących się w Polsce dzienników regionalnych („Wolne i powolne”).

Przez cały rok władze podtrzymują napięcie w relacjach z Unią Europejską. To w 2021 r. rozpoczynają się konflikty wokół kopalni węgla brunatnego Turów i Krajowego Planu Odbudowy (KPO). W sprawie Turowa chodzi o skargę Czech do Trybunału Sprawiedliwości UE na rozbudowę kopalni i nieuwzględnienie przez stronę polską negatywnego wpływu tej inwestycji na poziom wód gruntowych w rejonach przygranicznych. TSUE nakazuje wstrzymanie wydobywania, rząd polski odmawia, Trybunał nakłada karę pół miliona euro dziennie, Polska odmawia płacenia, Unia

potrąca karę z należnych Polsce funduszy. Potem jeszcze rząd, ignorując opinie środowiskowe, przedłużyła koncesję na wydobycie węgla brunatnego w tym rejonie. Turów-Bogatynia staje się dla PiS politycznym symbolem „walki o suwerenność Polski”.

Polskie problemy z praworządnością – potwierdzane kolejnymi wyrokami TSUE czy Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (w maju 2021 r. orzekł np. o nielegalności sędziów-dublerów w TK) – zablokowały także negocjacje w sprawie KPO. W ramach unijnego pakietu, mającego pomóc w odbudowie gospodarek po pandemii i w realizacji długoterminowych projektów modernizacyjnych, Polska mogła otrzymać z Unii 58 mld euro, w tym 24 mld bezzwrotnych dotacji. Warunkiem było wypełnienie tzw. kamieni milowych, w tym dotyczących przywrócenia europejskich standardów praworządności. Od roku 2021 nie było ani przywrócenia, ani wypłat. Pieniądze z KPO miały ułatwić rządowi dokonanie obniżki podatków w ramach tzw. Polskiego Ładu. Projekt, zwyczajowo dla PiS wprowadzany bez konsultacji społecznych i eksperckich, okazał się tak skomplikowany, nieczytelny, że w praktyce został zarzucony. Spoczywa obok Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju i innych sztandarowych planów ogłaszanych przez Mateusza Morawieckiego („Ład władzy” nr 21/21).

To, jak bardzo działania rządu są podporządkowane propagandzie, zostało ujawnione w korespondencji wyciekłej z prywatnej skrzynki mailowej ministra Michała Dworczyka, szefa Kancelarii Premiera. W publikowanych na komunikatorze POUFNA Rozmowa setkach maili znalazło się mnóstwo kompromitujących władzę przykładów manipulacji faktami, organizowania hejterskich kampanii, dowodów skrajnego cynizmu, jak np. nazwanie problemu uchodźców na granicy z Białorusią „politycznym złotem”. Rok skończył się zresztą podobnym skandalem ujawniającym nie tylko cyniczne, ale też nielegalne praktyki władzy. Światowe agencje prasowe podały, za ośrodkiem badawczym Citizen Lab, zajmującym się cyberbezpieczeństwem, że polskie władze inwigilowały przeciwników politycznych za pomocą wyrafinowanego, szpiegowskiego systemu Pegasus. Jedną z inwigilowanych osób był senator Krzysztof Brejza, wówczas szef sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej. Władze zignorowały zarówno skandal z mailami Dworczyka, powtarzając, że to rosyjska propaganda, jak i aferę Pegasus, po prostu odmawiając komentarzy.

Rok 2021 był też czasem ważnych zmian personalnych w polityce światowej – to Joe Biden nie bez kłopotów („Gęsi kapitoliańskie” nr 3/21, od których zaczynamy „Przypisy”) zastąpił Donalda Trumpa; w Niemczech Olaf Scholz został nowym kanclerzem po 16 latach sprawowania urzędu przez Angelę Merkel. A w Polsce? Rozpadła się partia

Porozumienie, kończąc karierę polityczną wicepremiera Jarosława Gowina; formalnie przestał istnieć Sojusz Lewicy Demokratycznej, zastąpiony Nową Lewicą Czarzastego i Biedronia. Zarejestrowano partię Polska 2050 Szymona Hołowni. A w październiku po 8 latach na stanowisko szefa PO powrócił Donald Tusk.



PRZYPISY 2021

Gęsi kapitołińskie

Polityka 3 (3295), 12.01.2021 r.

Być może dzięki temu, że wybory prezydenckie w Polsce wygrał Andrzej Duda, uniknęliśmy jeszcze gorszego scenariusza niż sama prezydentura Dudy. Ewentualna, nieznaczna, wygrana Rafała Trzaskowskiego zapewne nie zostałaby uznana przez PiS. Przypomnijmy, że Jarosław Kaczyński nigdy nie zaakceptował „wybranego przez nieporozumienie” prezydenta Komorowskiego. Że w 2014 r. rzucił agresywne oskarżenia o, nigdy niepotwierdzone, fałszerstwa wyborcze, mówiąc słowo w słowo to, co teraz Donald Trump. Że to było dawno? No więc przypomnijmy sobie, jakie przygotowania czynił obóz rządowy, aby zapewnić reelekcję Dudy. Forsowanie majowych wyborów, w których „ludzie Sasina”, pomijając Państwową Komisję Wyborczą, mieli organizować pocztowe głosowania, zbierać, przewozić i liczyć głosy. Na chybcika zmieniono skład PKW, powołana została w trybie niekonstytucyjnym nowa Izba Sądu Najwyższego, mająca rozpatrywać protesty i orzec o ważności głosowania. Gdyby i to zawiodło, o nielegalności wyboru Trzaskowskiego mógłby zdecydować Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej, wezwany np. do rozstrzygnięcia „sporu między instytucjami państwa”. Kto powie, że to niewyobrażalne?

Jeśli sytuacja w Polsce i USA jest nieporównywalna, to raczej na polską niekorzyść. Po tym jak Donald Trump sprowokował atak swoich zwolenników na Kapitol, odwrócili się od niego wpływowi działacze Republikanów, łącznie ze „zdrajcą” wiceprezydentem Pence’em. Oczywiście, że byli współwinni, bo przez lata koniunkturalnie tolerowali kłamstwa i nadużycia Trumpa, ale w końcu – używając historycznej metafory – hałas „gęsi kapitołińskich” ocknął ich z ciężkiego snu. Wcześniej sądy, łącznie z Sądem Najwyższym, gdzie przeważają nominaci Trumpa, odrzuciły, jedną po drugiej, jego skargi na urojone wyborcze oszustwa. Media społecznościowe Twitter i FB zablokowały wpisy prezydenta, nawet Fox News, uważany przez lata za „prawicową szczujnię”, potępił „atak motłochu” na

Kapitol. Jak powiedział Joe Biden, demokracja jest krucha, ale amerykańskie instytucje, zwłaszcza wymiar sprawiedliwości, obroniły honor Ameryki. Obroniłyby w Polsce? Nie wiem; wygląda jednak na to, że u nas proces demontażu demokracji, jej zdolności do samoobrony, zaszedł znacznie dalej niż w USA.

Demokracja, według jednej z klasycznych definicji, to system, który pozwala w pokojowy sposób zmieniać liderów i rządy. Wszyscy populiści świata, występując zawsze w imieniu wartości wyższych niż praworządność – bo w imię ludzi pracy, Boga, Kościoła, rodziny, sprawiedliwości dziejowej, przywrócenia zabranej potęgi i godności narodu, przeciw skorumpowanym elitom itp. – raczej dobrowolnie władzy nie oddają. Przywódca naszych trumpistów Jarosław Kaczyński wielokrotnie potwierdzał, że demokratyczne procedury i instytucje ma za nic, że muszą one poddać się woli politycznej, a wszystkie zasoby państwa wolno wykorzystywać dla utrzymania władzy. Cała historia minionego pięciolecia, którą opowiadamy na tych łamach w cotygodniowych odcinkach, jest właśnie o tym: o przejmowaniu państwa przez „charyzmatycznego lidera” i jego partię. Nie miejmy więc złudzeń – PiS wykorzysta wszystkie sposoby, także pozaprawne i bezprawne, aby w przyszłości utrzymać się przy władzy.

Warto patrzeć na Amerykę jak na polityczne laboratorium. Kaczyński jest w polskiej polityce obecny od ponad 30 lat, więc jego i jego drużynę traktowaliśmy jako nasz lokalny historyczny wytwór. Tymczasem Trump, który objawił się w polityce dopiero przed kilku laty, pokazał nam populizm w wersji turbo, skondensowanej, spektakularnej, odsłaniając przy okazji uniwersalne mechanizmy tego typu rządów. Co zobaczyliśmy? Że realne problemy, napięcia, nierówności społeczne są przez lidera-narratora zamieniane na opowieść o kraju w ruinie, w którym za wszelkie nieszczęścia odpowiadają wyobcowane elity, okradające i poniżające prostych ludzi. Receptą jest zatem odsunięcie owych „złych ludzi” od władzy, zastąpienie ich dobrymi, powrót do dawnej wielkości i dawnych wartości (czyli MAGA – Make America Great Again). Osiągnięcie tego wielkiego celu wymaga nieustannej czujności i walki, gdyż zaciekły opór stawiają liczni i wpływowi wrogowie, często ukryci. Stąd nieodłączną składową populizmu są teorie spiskowe.

W USA zaczęło się od Tea Party i powielanych także przez Trumpa opowieści o nielegalnym, bo urodzonym w Kenii, prezydencie Obamie. Za kadencji Trumpa spiskowe teorie przybrały formę najpierw internetowego, a teraz także

społecznego ruchu o nazwie QAnon, skupiającego miliony ludzi przekonanych o istnieniu „głębokiego państwa” lewaków, satanistów i pedofilów, którzy zamierzają zniszczyć Amerykę. To głównie przedstawiciele Q, jako nowi prawdziwi patrioci, zasiedli w fotelach zdobytego Kapitolu.

Zdumiewające, jak bardzo towarzysząca nam od lat retoryka Kaczyńskiego okazała się prekursorska wobec QAnonu. Przecież już w 2005 r. mieliśmy tajemniczy, nigdy nieodkryty Układ, rządzący Polską. Potem był wielki spisek smoleński („Zabiliście mi brata!”); kraj ograbiony na 500 mld zł (tak głosił słynny pisowski audyt z 2015 r.); finansowana przez Żyda Sorosa destrukcyjna imigracja muzułmanów do Europy; spiski zwolenników LGBT – w gruncie rzeczy pedofilów żądających adopcji i seksualizacji dzieci itd. Nawet ze szczepionkami – też do końca nie wiadomo, czy to nie konspiracja. Niewątpliwie ciąg dalszy tych rojeń nastąpi – bo, jak pisze o trumpistach „The Economist”, bezwiednie przywołując głośną frazę Kaczyńskiego, „jeśli brak na spisek dowodów, to znaczy, że zostały one zniszczone lub ukryte”.

Dlaczego ludzie w to wierzą? Dużo jest na ten temat teorii: od osobniczych skłonności, powszechniejszej ignorancji, poszukiwania „racjonalnych” wyjaśnień dla coraz mniej zrozumiałej rzeczywistości, po żądę odwetu na elitach, aż do potrzeby narodowej dumy, silnej tożsamości, uwznioślenia własnego życia. Niewątpliwie i tu przynajmniej panuje zgoda, ogromny udział w szerzeniu paranoicznej wizji świata mają nowe media, fake newsy, czarny internet. Propaganda, media, to kluczowy, najcenniejszy dla populistów instrument panowania, bo pozwalający rozciągnąć je nad umysłami. Zwróćmy zresztą uwagę, co się u nas dzieje: nie tylko z TVP, ale z tzw. Orlen Press, wokół planów wykupu TVN24, Radia Zet itd.

Tak, Stany to laboratorium. Tak, zwycięstwo Bidena – a zwłaszcza to, na ile uda mu się odbudować szacunek Amerykanów do siebie i własnego państwa, wyhamować medialny potok nienawiści i kłamstw, obniżyć społeczne napięcie, zrjonalizować politykę – to będzie ważna lekcja i prognoza dla nas. Patrzmy więc na Amerykę. I trzymajmy kciuki za Joe Bidena.

Milowy kamień węgielny

Polityka 10 (3302), 02.03.2021 r.

Slajdy Mateusza Morawieckiego zostały przykryte taśmami Daniela Obajtka. Akurat w dniu, kiedy rząd postanowił wreszcie przedstawić Krajowy Plan Odbudowy, sensacją stały się opublikowane przez „GW” nagrania z 2009 r., potwierdzające, że ówczesny wójt gminy Pcim łamał prawo, prowadząc nielegalnie działalność biznesową, w dodatku – co sprawie dodawało kolorytu – wymierzoną w firmy wujów wójta. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że prokuratura kierowana przez Zbigniewa Ziobrę taśmy schowała, a sprawę Obajtka umorzyła, podobnie jak inne śledztwa, w tym dotyczące korupcji, z jego pcimskich czasów.

Dzisiejszy gwiazdor PiS, „Człowiek Wolności”, kandydat na następcę Morawieckiego, pokazuje się na tych taśmach jako lokalny cwaniaczek, któremu przyklejenie się do PiS zapewniło bezkarność i oszałamiające awanse na miarę Nikodema Dyzmy. Dla prezesa Kaczyńskiego, patrona tej kariery, sprawa musi być niewygodna, ruszyło więc „intensywne bagatelizowanie” afery oraz dyskretne dochodzenie, kto taśmy ujawnił. W gęstej atmosferze nieufności i podejrzeń, w jakiej zanurzyła się „Zjednoczona” Prawica, raczej nikt tu nie wierzy w przypadek. To przed takimi aktami nielojalności przestrzegał w wypowiedzi dla PAP Jarosław Kaczyński. „Każdy, kto rozbija dzisiaj prawicę – mówił w swoim stylu prezes – działa przeciw Polsce, przeciw polskiej rodzinie i przeciw polskim wartościom”. Konkretnie chodziło o intrygi i niedyskrecje w „obozie patriotycznym”.

Od miesięcy cały układ władzy jest coraz bardziej zajęty sobą. Działa tylko propaganda; jakość zarządzania kryzysowego pozostaje bardzo niska, decyzje są chaotyczne, niekonsultowane, niechlujne prawnie i merytorycznie. Krajowy Plan Odbudowy, niewątpliwie najważniejsze dziś wyzwanie dla rządzących, też padł ofiarą tej bylejakości. Przypomnę, że Unia Europejska, przyjmując bezprecedensowy w jej historii, wart aż 750 mld euro program „popandemicznego” wsparcia państw członkowskich, zaleciła rządowi przygotowanie i przedstawienie do końca kwietnia lokalnych planów wykorzystania tych środków. Dla Polski miałyby z ogólnej puli przypadać aż 24 mld euro bezzwrotnych (i niewymagających wkładów własnych!) dotacji oraz 34 mld, gwarantowanych przez Unię, tanich pożyczek. Łącznie 260 mld zł do 2026 r. Wszystkie kraje Unii zdecydowały, że będą sobie nawzajem te plany zatwierdzać, oceniać ich jakość i kontrolować wykonanie. Rząd PiS nie ma dziś w Europie sojuszników (poza Węgrami), więc bardzo przydałoby się, aby polski KPO miał

szerszą społeczną i polityczną legitymację niż tylko legitymacja PiS. Dla Polski, mówiąc patetycznie, też byłoby tak lepiej. Niestety, Plan (miał być gotowy już jesienią ubiegłego roku) kompilowano na ostatnią chwilę i na zasadzie pospolitego ruszenia ministerstw, czyli wyciągania z szuflad jakichś od Sasa do Lasa projektów i pomysłów. Podobno zebrano 1200 inicjatyw inwestycyjnych, ale ani samorządy, które powinny być tu głównym partnerem, ani organizacje biznesowe, branżowe, zawodowe, społeczne nie były, jak twierdzą, pytane o zdanie ani o propozycje. O partiach opozycyjnych już nawet nie wspomnę.

Sama prezentacja KPO była równie amatorska jak tryb jej przygotowania. Ktokolwiek oglądał konferencję rządu, musiał mieć wrażenie udziału w jakiejś totalnej improwizacji, gdzie nieliczne bardziej szczegółowe zapowiedzi (jak nieśmiertelne polskie drony czy przekop Mierzei) zostały utopione w oceanie nowomowy. Mieliśmy więc „dalsze wdrażanie innowacyjnych rozwiązań” i „strukturalną transformację w obszarach kluczowych”, „kompleksowe skrócenie łańcucha dostaw w przetwórstwie” czy brawurową deklarację: „chcemy rozwijać wybrane kierunki rozwoju”. Poszczególnym, zaleconym przez Unię, obszarom planu przypisano jakieś kwoty, np. „wzrost odporności i konkurencyjności gospodarki” – 18,6 mld zł; zielona energia – 28,6 mld zł; transformacja cyfrowa – 13,7; jakość służby zdrowia – 19,2; inteligentna mobilność – 27,4 mld zł. Ale na co, dlaczego, ile, dla kogo? – bez konkretów. Widać, że rząd zrobił minimum tego, co musiał, żeby coś dać do pozorowanych konsultacji. Ale uwaga: ten program wkrótce powróci ustrojony w propagandowe pióra, z dodatkiem kolejnych slajdów Morawieckiego – jako wielki, od tygodni zapowiadany, Nowy Polski Ład. Pięknie ten pomysł ujął sam Mateusz Morawiecki, mówiąc, że Krajowy Plan Odbudowy to kamień milowy, który jest kamieniem węgielnym Nowego Polskiego Ładu. Wszystko zdaje się tu sprowadzać do prostej kalkulacji: przy pomocy pieniędzy z Unii (prócz Planu Odbudowy będą też miliardy z „normalnego” budżetu UE) – sfinansować, a przynajmniej uwiarygodnić kolejne obietnice wyborcze. Oczywiście atakując samą Unię i moralny nihilizm Zachodu.



Ład władzy

Polityka 21 (3313), 18.05.2021 r.

Jedno się wyjaśniło: nowy polityczny program PiS, nazwany Polskim Ładem, ostatecznie został przedstawiony jako wspólny projekt całej Zjednoczonej Prawicy. Oficjalnie zakończył się więc kilkumiesięczny kryzys grożący rozpadem rządowej koalicji. Wcześniej spekulowano, że „nowy ład” to będzie w istocie samodzielny program PiS na przyspieszone wybory. Na razie ta perspektywa się odsuwa, choć w sobotnich wystąpieniach słychać było, że panowie Gowin i Ziobro podpięli się pod gotową prezentację w ostatniej chwili. Jarosław Gowin dawał do zrozumienia, że „nie cieszy się” z zaszytych w Ładzie obciążeń dla przedsiębiorców; Zbigniew Ziobro po swojemu ignorował premiera, głównie upominając się o zgodę na „dokończenie reformy wymiaru sprawiedliwości”.

Zapewne jednak główny piarowy cel konwencji został osiągnięty: chodziło – czego specjalnie nikt nie ukrywał – o „odzyskanie dynamiki”: odwrócenie niekorzystnych sondaży, zatarcie wrażeń pustki programowej, przykrycie

trapiących PiS konfliktów frakcyjnych i afer, także symboliczne i polityczne zamknięcie czasów pandemii. Władze połączyły termin ogłoszenia Polskiego Ładu ze zniesieniem najbardziej dokuczliwych ograniczeń sanitarnych. Miało to ten paradoksalny skutek, że obywatele oszołomieni pierwszym dniem wolności bynajmniej nie zasiedli gremialnie przed telewizorami. Ale co się odwlecze, to nie uciecze: ofensywa promocyjna PŁ dopiero się zaczyna, a znając zasoby finansowe i propagandowe PiS, Polski Ład dopadnie każdego. Sobotni zjazd koalicji rzeczywiście otwiera w Polsce popandemiczny sezon polityczny, ustawia ramy następnej, obojętnie kiedy się odbędzie, kampanii wyborczej. Po 15 maja lepiej widać, w co PiS będzie grał.

I tu raczej nie ma zaskoczenia: Kaczyński, jak pisaliśmy wielokrotnie, gra w to, w co wygrywa. Stąd w nowym programie PiS znów dominują wydatki socjalne i to nawet mocniej niż przed 6 laty. Wtedy w przekazie PiS pełno było jeszcze opowieści o naprawie i usprawnieniu państwa po rządach PO, o wielkim planie modernizacji kraju, o wyjściu z „kolonialnej zależności” od gospodarki niemieckiej itd. Teraz nic już z tej nadbudowy nie zostało. Mateusz Morawiecki nawet się nie zająknął na temat spektakularnej klęski swojej Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju, z tymi wszystkimi promami, dronami, elektrycznymi autami, lukstorpędą, setką tysięcy mieszkań na wynajem. Nie było też żadnych podsumowań rządowej polityki w czasach pandemii, ba, poza jakimiś rytualnymi napomknięciami prawie żadnych odniesień do forsowanych przez PiS zmian ustrojowych, do Krajowego Planu Odbudowy; nawet „obrona wartości” została podana półgębkiem, żeby nie podnosić napięcia. PiS zaproponował narodową amnezję, kolejny wizerunkowy reset.

Cały nacisk poszedł na obietnice nowego podziału dochodów. Tego dotyczą trzy główne filary Ładu: podwyższenie kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł, progę drugiej stawki PIT do 120 tys. zł oraz wprowadzenia dodatku opiekuńczego 12 tys. zł na dwa lata na drugie i kolejne dziecko. To jest ten konkret, sedno przekazu. Większość pozostałych zapowiedzi (w tym tak zaskakujące, jak możliwość wznoszenia budynków mieszkalnych bez zezwoleń i nadzoru, byle do 70 m kw. i z płaskim (!) dachem) – to na razie głównie propagandowy szum.

Oczywistym adresatem tych wstępnie wycenianych na ok. 70 mld zł rocznie wydatków/ulg z budżetu są najbardziej cenni i wierni wyborcy PiS: emeryci, osoby nieaktywne zawodowo, najniżej wykwalifikowane i najmniej zarabiające, rodziny

wielodzietne, mieszkańcy wsi. Jak szybko obliczono, już średnio zarabiający (od 5100 zł na rękę), na zmianach podatkowych tracą; podobnie jako samozatrudnieni i przedsiębiorcy, których, tak jak wszystkich, obciążą teraz pełna składka zdrowotna. Na podatkowych ulgach tracą także samorządy, co nie dziwi, bo generalnie wszystkie zmiany zapowiedziane w Ładzie wzmacniają władzę centralną.

Koszty nowego programu wyborczego PiS będą pokryte przez ok. 1/3 ogółu pracujących, uznanych za „bogaty”; także przyrostem długu państwowego oraz pieniędzmi unijnymi, które rząd, jak chwalił się premier, „dla Polski wynegocjował”. Nasza gospodarka ze względu na swoją strukturę proeksportową, stosunkowo małe uzależnienie od usług, elastyczność firm, także spore rozmiary szarej strefy, okazała się dość odporna na pandemiczny kryzys. PiS może więc zakładać, że tak jak w poprzednich latach będzie się mógł „wieźć” na fali powracającej koniunktury. Aż do wyborów.

Polityczny przekaz do potencjalnego elektoratu PiS jest prościutki: my wam damy (ich) pieniądze, wy nam władzę. W kampanii PiS będzie nakręcał wokół tego retorykę „wojny klasowej”, konfliktu ucziwej, uboższej większości z bogatą „liberalną” i niesolidarną mniejszością, przy czym granica ostrego klasowego podziału została wyznaczona na poziomie zarobków ok. 6,5 tys. zł brutto. To jest ten nowy konflikt, który, umiejętnie podsycany, miałby dać PiS kolejne wyborcze zwycięstwo.

No i co ma z tym Ładem począć opozycja? Dotychczas w opozycji panował konsens, że transfery socjalne są traktowane przez PiS przede wszystkim jako osłona dla pełzającego, autorytarne zamachu stanu, że z partią Kaczyńskiego – po tym, co robi z instytucjami państwa, standardami demokratycznymi, jak nadużywa władzy – nie siada się do stołu. Lewica przerwała ten sanitarny kordon, deklarując selektywne wsparcie dla „zgodnych z ich programem” propozycji Ładu. Tym bardziej potrzeba, i może to już ostatni moment, jakiejś rozmowy liderów opozycji. Ewentualne poparcie dla sensownych czy wartych dyskusji elementów Ładu wyglądałoby inaczej, gdyby było zrównoważone własnymi projektami, a przede wszystkim twardym stanowiskiem całej opozycji w sprawie „minimum demokratycznego”. Musi być jakiś czytelny wspólny mianownik przyszłej rządowej koalicji, inaczej lepiej już odpuścić i poprosić prezesa Kaczyńskiego

o zgodę na podpisanie Deklaracji Polskiego Ładu. Podobno są tam wolne miejsca i prezes czeka.



Panowie i państwo

Polityka 24 (3316), 08.06.2021 r.

Przypomnę jeszcze raz, co napisał Ryszard Terlecki, bo warto mieć ten cytat w rocznikach gazety: „Jeśli Cichanouska chce reklamować antydemokratyczną opozycję w Polsce i występować na mityngu Trzaskowskiego, to niech szuka pomocy w Moskwie. My popierajmy taką białoruską opozycję, która nie staje po stronie naszych przeciwników”. Wiemy, że szef klubu PiS często zachowuje się i wypowiada arogancko, ale tym razem to było wyjątkowo paskudne. Mąż liderki białoruskiej opozycji od prawie roku siedzi w ciężkim więzieniu, ona sama została zmuszona do emigracji; od sfałszowanych wyborów prezydenckich jeździ po świecie, aby upominać się o pozbawianych wolności, bitych, torturowanych

fizycznie i psychicznie przeciwników reżimu. Wysyłanie Swiatłany Cichanouskiej „po pomoc do Putina”, jakieś pogrożki, że rząd PiS znajdzie tam sobie „lepszą” opozycję, było więc nie tylko głupie, niemoralne, ale też sprzeczne z polską racją stanu, skrajnie partyjniackie.

W krótkim wpisie Pana Marszałka jest jeszcze coś wartego uwagi: otóż legalna, mająca poparcie przynajmniej połowy Polaków opozycja, została nazwana „antydemokratyczną” zapewne dlatego, że stawia opór „demokratycznie wybranej” władzy. To jest typowa, niemal rytualna fraza każdej dyktatury. Przecież dokładnie tak mówią o swoich przeciwnikach Łukaszenka czy Putin, zarzucając im działalność wywrotową, antypaństwową, ekstremizm, agenturalność. A jeśli opozycję uważa się za wrogów demokracji, to znaczy, że istnieje ideologiczne uzasadnienie i polityczne przyzwolenie, żeby się z nią rozprawić, wyrzucić z systemu politycznego, uniemożliwić wyborcze zwycięstwo, czemu marszałek Terlecki prostolinijnie dał wyraz.

Oczekiwania, że sam Ryszard Terlecki wycofa się z oburzającego (i kompromitującego szczerego) wpisu, okazały się jak zwykle naiwne. Brnął dalej. Taki jest styl tej ekipy: żadnego kajania się, żadnego kroku wstecz, dopóki można. Ten typ politycznego „zakapiorstwa” ma w Polsce długie historyczne korzenie, znacznie dłuższe niż demokracja. Rozmawiamy w tym numerze z Kacprem Pobłockim, autorem książki „Chamstwo” poświęconej dziejom pańszczyzny – praktykowanego w Polsce przez stulecia, opartego na przemocy, ustroju półniewolnictwa, którego pamięć pozostaje mocno zakotwiczona w naszej zbiorowej psychologii. To nie pierwsza książka wywodząca z folwarcznej tradycji specyficzną polską kombinację pańskość i chamstwa, silnie naznaczającą nasze relacje społeczne. Ale autor zwraca też uwagę na zapisaną w historycznym genotypie Polaków (w większości przecież chłopskiego pochodzenia) skłonność do autorytaryzmu, rządów silnej ręki, paternalizmu. Nie chodzi o to, aby te obserwacje przenosić od razu w skali jeden do jednego na współczesną politykę (choć Ryszard Terlecki idealnie wpisuje się w formułę „Pana chama”) – polskie społeczeństwo jest dziś bardzo zróżnicowane, ma różne wzorce zachowań, tradycje rodzinne, kulturowe punkty odniesienia. Ale teoria pańszczyzniana podsuwa ciekawe wytłumaczenie dla bezbrzeżnej tolerancji, jaką ogromna część polskiego społeczeństwa żywi dla chamskiego, przemocowego stylu bycia, a więc i takiegoż stylu uprawiania polityki.

Dla liderów antypopulistycznej opozycji to od lat trudny dylemat: czy zachować „klasę i umiar”, zgodnie z tym, jak sobie wyobrażamy i jak próbowaliśmy praktykować demokratyczne standardy, czy odpowiadać pięknym za nadobne, przyjąć, że w polityce „Wersal się skończył” i przyszła pora walenia na odlew. Trzeba przyznać, że główni politycy opozycyjnych partii retorycznie starają się już nie oddawać pola rządzącym, ale w rolach twardych politycznych graczy wypadają na ogół nieprzekonująco. Żeby Borys Budka nie wiem, jak się srożył, nie wygląda na brutala i cwaniaka. Rafałowi Trzaskowskiemu zawsze zarzucano, że jest zbyt grzeczny, zbyt dobrze ułożony, za mało agresywny. Nowa nadzieja opozycji, czyli Szymon Hołownia, jest człowiekiem sprawnym komunikacyjnie, zdeterminowanym, ale też kulturalnym, racjonalnym, co może bardzo osłabić jego szanse w polskiej polityce. Zdaniem wielu jedynym maczo po stronie polskiej opozycji wciąż pozostaje Donald Tusk, od dwóch dekad najgroźniejszy przeciwnik Jarosława Kaczyńskiego, pewny siebie, doświadczony, obyty, odpowiednio bezwzględny, cyniczny i złośliwy. I, właściwie bez wyraźnego powodu, pozostający poza czynną polityką. Wiek (64 lata) nie ma tu nic do rzeczy – Joe Biden ma 78 lat. Elektorat negatywny? Kaczyński miał większy. Także ideowo, po latach spędzonych w centrach światowej polityki, stał się nowoczesnym, pragmatycznym socjalliberałem, dokładnie w kompromisowym stylu Joe Bidena.

Powrót Tuska do aktywnej krajowej polityki wciąż może być oczekiwanym „gamechangerem”. Że to byłby kłopot dla młodszej generacji polityków, aspirujących do roli liderów opozycji? Niekoniecznie – sensowny podział ról jest dość łatwy do wyobrażenia. Tusk zresztą na razie niczego wiążąco nie zadeklarował, poza gotowością do rozmów. Wydaje się, że może być przydatny w różnych rolach, i jako szef partii, i jako alter ego Kaczyńskiego, nominalny, nieaspirujący do stanowiska premiera czy prezydenta, koordynator przyszłej rządowej koalicji. Jarosław Kaczyński mówił kiedyś o Tusku jako o podwórkowym żuliku. Rzeczywiście, były premier jest dziś pewnie jedynym opozycyjnym politykiem, który łączy demokratyczną, liberalną, europejską miękkość z „chuligańską” twardością, niezbędną, aby dać odpór „naturalnym panom” – w jakiej to roli obsadziła się, i gra ją na zabój, ekipa Kaczyńskiego.



Tusk Plus

Polityka 27 (3319), 29.06.2021 r. / 28 (3320), 06.07.2021 r.

Już 3 lipca Donald Tusk faktycznie może przejąć obowiązki szefa Platformy Obywatelskiej, partii, którą zakładał przed 20 laty i z którą przez dwie kadencje rządził Polską. Wdziera się tu nawet swoista numerologia: Tusk pełnił funkcję premiera równo przez lat 7 i to był dla PO czas prosperity; po jego odejściu w 2014 r. nastąpiło 7 lat chudych; mimo starań kolejnych kierownictw partii, coraz chudszych: dziś sondażowe poparcie dla PO to ledwie jedna trzecia tego z czasów potęgi. Ale wagę symbolu ma przede wszystkim powrót do niedokończonego pojedynku Tusk–Kaczyński. Można się zżymać, że za kluczową dla polskiej polityki uważamy konfrontację dwóch „dziadersów”, 72- i 64-latka, ale wiek obu

panów nie ma tu nic do rzeczy. Zderzenie Trumpa (74) z Bidenem (78) miało w istocie podobny charakter: to była tam, i jest u nas, rywalizacja dwóch zasadniczo odmiennych koncepcji państwa, władzy, społeczeństwa, polityki, czytelnie uosabianych przez obu liderów.

Nasz polski dramat polegał na tym, że po wyjeździe Tuska do Brukseli Kaczyński stracił przeciwnika i przeciwwagę. Nikt z nowych kandydatów na lidera opozycji nie dorastał doświadczeniem, polityczną siłą, determinacją, tupetem do Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS coraz bardziej wypełniał sobą puste miejsce pozostawione przez Tuska, urósł tak, jak nie miał prawa. Natomiast po drugiej stronie doszło do kompletnego zerwania ciągłości. Następcy Tuska w PO próbowali się od niego dystansować. Nie broniąc swojej przeszłości, PO sama podważała swoje roszczenia powrotu do władzy.

Młodsze pokolenie wyborców nie zna już innego Tuska niż ten z pisowskiej karykatury. Wystarczy poczytać, co na temat jego ewentualnego powrotu do realnej polityki piszą dość zgodnie lewicowi i prawicowi młodzi publicyści. W wielu tych tekstach Donald Tusk jawi się jako skrajny neoliberal, niewrażliwy społecznie, marionetka w rękach zachodnich polityków i kapitalistów. To jest ewidentna nieprawda, dziś jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, bo po 5 latach praktykowania funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej, Tusk jest niemal wzorcowym socjal-liberalno-progresywnym centrystą, gdzieś między Bidenem a Merkel. Więc jednym z pierwszych i najważniejszych zadań Tuska po powrocie musi być odzyskanie twarzy, wyprostowanie choćby części kłamstw na temat rządów PO-PSL, ponowna polityczna autoprezentacja. Wbrew pozorom, bo mówimy tu o najbardziej rozpoznawalnym w świecie polskim polityku, Donald Tusk jest w Polsce mało znany, w publicznej wyobraźni pozostaje awatarem, kreacją sklejoną z kilku stereotypów. Fakt, że sam niewiele zrobił, aby po zakończeniu unijnej misji wrócić do kraju. Usunął się, tłumacząc, że nie chce w wyborach 2019 i 2020 r. przytłaczać PO swoim niejednoznacznym wizerunkiem; potem przyszła pandemia, która również fizycznie zamknęła go za granicą.

W tzw. normalnej demokracji Tusk może nie byłby już przydatny, ale przecież Kaczyński to nie jest normalny demokratyczny przeciwnik. Jego totalny, ustrojowy projekt zagarnia i przetwarza całą historię III RP, odrzuca reguły gry przyjęte po przełomie 1989 r., kwestionuje sens transformacji, jest jakąś koślawą próbą rekonstrukcji PRL. Powrót Tuska, jednego z ostatnich czynnych w polityce ojców

założycieli III RP, stanowi więc poważne zagrożenie dla ideologii obozu władzy, dla zmanipulowanej, pisowskiej wersji historii, z której prezes PiS wywodzi swoje szczególne prawa do rządzenia. Tego, co zasadził i wyhodował Kaczyński, nie da się skutecznie przystrzyc nożyczkami, bo będzie odrastać; tu trzeba podcinać korzenie. A Tusk ma motykę.

Moment na podjęcie przerwane, nierozstrzygniętego sporu o kierunek rozwoju i charakter nowego polskiego państwa wydaje się odpowiedni. Projekt Kaczyńskiego wyraźnie się zawiesza. Nie udał się polityczny blitzkrieg po ogłoszeniu tzw. Nowego Ładu; partia Gowina coraz mocniej odstaje od ZP; w tym tygodniu PiS utracił parlamentarną większość; rośnie społeczny niepokój wywołany inflacją; do kryzysów wywołanych przez Ziobrę dochodzą te prowokowane przez Czarnka. Ostatnie sondaże pokazują już ponad 20-punktową przewagę antyPiS nad PiS. Ale opozycji wciąż brakuje siły głosu, pewności, minimalnej spójności.

PO na dzień dobry otrzymała od nowego-starego szefa prosty, jednoznaczny przekaz: PiS to jest zło „bezwstydne i permanentne”, do którego nie wolno się przyzwyczajać; to zło-dzieje, którzy nie tylko zagarniają dla siebie publiczne pieniądze, ale okradają Polaków z bezpieczeństwa, praworządności, godnej pozycji w Europie, z przyszłości. Więc nie ma miejsca na niuanse, na „tak, ale” – pokonanie PiS staje się tyleż zadaniem politycznym, ile moralnym. Krytycy – a tych Tuskowi nigdy nie brakowało, także po stronie opozycji – od razu komentowali, że nowy szef PO skupił się na atakowaniu PiS, polaryzacji sceny politycznej, ogłosił „śmierć symetryzmu”, nie przedstawił ani programu pozytywnego, ani planu działania.

Sam prezes PiS przed weekendem podrzucił politykom i mediom swojego obozu szyderczy ton, mówiąc, że Tusk to leń, „germanocentrysta”, a wraca, bo mu się skończyły na Zachodzie kontrakty. I, co najwyżej, spróbuje rywalizować z Szymonem Hołownią o lepsze sondaże. Wystarczyły dwa dni, żeby drwiny ustąpiły ewidentnej nerwowości. To nie był powrót starego, dobrego Tuska od „cieplej wody w kranie”; zobaczyliśmy Tuska Plus. Przy całej kurtuazji, „czułości” okazywanej innym politykom opozycji widać było, jak bardzo Tusk przerasta ich politycznym doświadczeniem. Ale też nowy szef PO, wytrenowany w unijnym stylu kompromisów i negocjacji, na wszelkie sposoby starał się przekonać, że nie zamierza ustawiać się w roli lidera opozycji, narzucać innym swojej dominacji, że

przyszłość opozycji postrzega jako otwarty proces. Jednak, cokolwiek by mówił, stało się jasne, że po stronie opozycji pojawił się, wyczekiwany od 2015 r., naturalny autorytet, „dziekan korpusu”, wyrastający wysoko ponad sondażowe słupki. Za to Kaczyński spotkał swój stary koszmar: przeciwnika, który jak nikt wyczuwa jego słabości i lęki.

Już pierwszym publicznym wejściem Tusk rozbił, ośmieszył (odbywający się w tym samym dniu) przygotowywany od tygodni kongres PiS. Szef PO w opisie pisowskiej demoralizacji chętnie zresztą sięgał po tabloidowe chwytły (choćby hasło „koryto plus” czy „PiS to 3D – Długi, Drożyzna, Daniny”). Ten Tuska atak na „pazerne elity” jest dla PiS politycznie znacznie groźniejszy niż wszelkie tzw. polemiki programowe, w które Kaczyński chciałby wciągnąć opozycję.

Donald Tusk jest twardym, doświadczonym zawodnikiem, który znakomicie potrafi wykorzystywać słabości, potknięcia, dwulicowość partii Kaczyńskiego. Jeśli zdoła przy tym zbudować rzeczywiste partnerstwo i zaufanie z Hołownią, Kosiniakiem i Trzaskowskim, 3 lipca 2021 r. może być początkiem końca „tej parodii dyktatury”, jak nowy szef PO nazwał formację Jarosława Kaczyńskiego. I wtedy już PiS mógłby śmiało mówić o winie Tuska. Trzeba jednak pamiętać, że w rozgrywce demokratycznej opozycji z PiS powrót Tuska mocno wyrównał szanse, ale o wyniku nie przesądza.



Wolne i powolne

Polityka 29 (3321), 13.07.2021 r.

Po co oni to robią? Nasze cotygodniowe pytanie tym razem zawisło nad tzw. lex TVN, czyli wrzuconym nocą do Sejmu projektem ustawy, która, gdyby przeszła, mogłaby oznaczać koniec niezależnej telewizji TVN i jej kanału informacyjnego TVN24. Myślę, że większość naszych czytelników znajduje się w grupie 4,5 mln widzów TVN24 i „Faktów” TVN, więc o sprawie wie, bo w mediach się po tej wrzutce zagotowało. Część komentatorów uważa zresztą, że chodziło właśnie o to, żeby media ruszyły w pogoń za nową kością, zostawiając dopiero co nadgryzane tematy nepotyzmu w PiS, wycieku maili ministra Michała Dworczyka czy następstw powrotu Donalda Tuska do polityki. Jeśli taka była intencja, to wyszło słabo – wolne media robią swoje, choć oczywiście atakiem na TVN wszyscy się przejęli, bo to jednak bardzo groźna próba zastraszenia wydawców i nadawców.

Niezastąpiony poseł Marek Suski, firmujący tę nowelizację, sam zresztą na spotkaniu lojalnych Klubów Gazety Polskiej odsłonił intencje autorów projektu – ośmieszając przy okazji samego premiera, który powtarzał propagandowe głupstwa o konieczności ochrony polskich mediów przed Rosją czy Arabami. Suski potwierdził, że adresatem ustawy jest TVN, a plan jest taki, żeby – groźbą utraty koncesji, czyli całego biznesu – zmusić amerykańskich właścicieli do sprzedaży udziałów na rzecz państwowego koncernu lub w ręce podstawionego biznesmena. I wtedy, mówi poseł Suski, „będziemy mieli jakiś tam wpływ na to, co się dzieje w TEJ telewizji”. Jest też chyba w rezerwie plan minimum: niech się TVN spróbuje z nami dogadać. Sygnały zostały wysłane.

Niby to nic nowego. Walka władzy z niezależnymi mediami toczy się z różną intensywnością i różnymi metodami od 2015 r., kiedy to PiS po wygranych wyborach zapowiedział wprowadzenie ustawy o „repolonizacji” mediów. Prawniczo było to karkołomne, więc PiS skupił się w pierwszej kadencji na całkowitym podporządkowaniu sobie tzw. mediów publicznych. Media niepodporządkowane były systematycznie odcinane od reklam spółek państwowych, od informacji, dostępu do polityków i dokumentów publicznych, ignorowane, zastraszane kosztownymi procesami. Po sprawie Dworczyka rzecznik rządu zapowiedział już kolejną ustawę o „przeciwdziałaniu dezinformacji”, która miałaby chronić władze przed rozpowszechnianiem

w mediach negatywnych – jak można się domyślać – informacji. Na ostatnim kongresie PiS prezes Kaczyński mówił zresztą otwarcie, że to przez „dezinformację” program Polski Ład nie jest takim sukcesem, jakim miał być. Szczególnym celem ataków był od początku TVN, uważany w PiS za bastion opozycji, przede wszystkim z powodu (znakomitego – to mój dopisek) dziennikarstwa śledczego, przodujących w oglądalności „Faktów”, kpiącego z władzy „Szkła kontaktowego”. Na stację nakładano kary, szykowane były jakieś oferty wykupu (co ujawnił biznesmen Leszek Czarnecki); głównie w TVN miał uderzać niedawny projekt ustawy o podatku od przychodów reklamowych; teraz sięgnięto po broń koncesyjną.

Kaczyński nigdy nie ukrywał niechęci, wręcz pogardy, wobec mediów czy dziennikarzy uważających się za niezależnych. Dla prezesa PiS w ogóle nie ma czegoś takiego jak wolne, autonomiczne instytucje, wypełniające jakąś publiczną misję – to zawsze są konkretne osoby mające swoje interesy, układy i uwikłania, wykonawcy poleceń, którzy czasem dorabiają do swojego oportunistycznego szlachetnego, pustego racjonalizacji. W strasznym świecie Kaczyńskiego właściwie nikt nie jest godzien szacunku. Lex TVN jest więc przejawem tego samego sposobu myślenia, który obserwujemy w stosunku władzy do sądów, prokuratury, samorządów, uczelni, konstytucyjnych urzędów, organizacji społecznych – jest próbą złamania niezależności, wyłączenia kolejnego instrumentu kontroli władzy.

Spełnieniem wyobrażeń Kaczyńskiego o mechanizmie działania mediów jest TVP Jacka Kurskiego: ma ona oczywistego dysponenta, który po prostu rozkazuje funkcjonariuszom, rozlicza ich z gorliwości i dobrze płaci (właśnie Onet opisał sprawę transferu przez spółki państwowe kilku milionów złotych na konto firmy „dziennikarza” TVP Info). Jeśli inne redakcje i dziennikarze twierdzą, że u nich jest inaczej, a właściciel im nie dyktuje, co i jak mają pisać i pokazywać, to kłamią. Jak u Orwella: patologia to norma, uczciwość to poza; nie ma mediów wolnych, są tylko takie, które realizują czyjąś wolę, czyli – jak mówili nasi przodkowie – powolne. Jeśli popatrzeć na niebywały wręcz atak TVP na Donalda Tuska, na kłamstwa, manipulacje, szczucie, po jakie „Telewizja Polska” sięga – zobaczymy na ekranie projekcję poglądów Kaczyńskiego na rolę mediów; Kurski podstawia mu tylko szklane lustro.

Jednak tym razem sprawa ma dodatkowy poważny aspekt: dotyka bezpośrednio polityki zagranicznej, a zwłaszcza stosunków ze Stanami Zjednoczonymi.

Administracja Joe Bidena już wysłała czytelne sygnały, że zmiana prawa, skierowana przeciwko inwestycji amerykańskiej w Polsce (TVN, jak wiemy, jest własnością koncernu Discovery, wkrótce koncernu WarnerMedia), wpłynie negatywnie na obraz Polski w USA. Prasa amerykańska już ma używanie na „autorytarnych rządach Kaczyńskiego” i stawia nasz kraj, jak uczynił to choćby wpływowy miesięcznik „Foreign Affairs”, obok wątpliwych sojuszników: „Turcji, Filipin czy Wietnamu”. Jeśli akcja pod TVN była jakimś małym „asertywnym” odwetem na Ameryce Bidena za jawnie niechętny stosunek do rządu PiS – pokazaniem, że jak wy tak, to my tak – wyszła jedynie groźna bufonada.

Bitwa pod Usnarzem

Polityka 36 (3328), 31.08.2021 r.

Mamy już sondaże opinii w sprawie uchodźców przetrzymywanych od trzech tygodni na granicy polsko-białoruskiej. Na proste pytanie, czy tę grupkę wpuścić na terytorium Polski, 56 proc. odpowiedziało, że nie, 44 proc. byłoby za (badanie Pollster). Mniej więcej taka sama większość 55 proc. stwierdziła w sondażu dla Polsatu, że w ogóle nie powinniśmy przyjmować żadnych „uchodźców i migrantów”. Specjaliści od ankiet mówią, że połączenie tych dwóch kategorii w jednym pytaniu jest nadużyciem, ale podobne badania sprzed czterech lat przyniosły zbliżone wyniki. Wtedy, w czasie wielkiego kryzysu migracyjnego, w sondażu IBRiS dla „Polityki” 56,5 proc. Polaków zadeklarowało, że powinniśmy zamknąć granice dla uchodźców z krajów muzułmańskich, nawet za cenę utraty unijnych pieniędzy lub wręcz (51,2 proc.) opuszczenia Unii.

Wcześniej Polacy byli raczej przychylni uchodźcom; bez problemu przyjęliśmy choćby 100 tys. muzułmańskich uciekinierów z Czeczenii. Sytuację zmieniła historyczna, wręcz rasistowska kampania antyimigrancka PiS, która walnie przyczyniła się do zwycięstwa tej partii w wyborach 2015 r. Kaczyński (nie tylko w tej sprawie) dobrze rozpoznał głębsze, wyparte „terrorem poprawności”, postawy większości Polaków i na nich zagrał. Nie znamy i nie ufamy obcym, nie chcemy tu mieć żadnych kłopotów, nikomu też nic nie jesteśmy winni, a nasze katolickie sumienie nie obejmuje przecież muzułmanów. Teraz PiS gra w to samo, na tych samych instynktach i z nadzieją na ten sam polityczny skutek. Sondaże

poparcia dla partii już zresztą pokazują, że słusznie: PiS zatrzymał trend spadkowy. Trzydzieścioro Afgańczyków rzeczywiście zamieniło się w polityczne złoto (cytuując nieostrożną uwagę Mateusza Morawieckiego); przyszli niemal w ostatniej chwili, odwracając publiczną uwagę od narastających kłopotów chwiejącego się układu władzy. Więc teraz będą przetrzymywani na granicy, jak długo się da. Dopiero zabranie ich przez Łukaszenkę byłoby prawdziwie wrogim gestem wobec rządu PiS.

Polityczny patent Kaczyńskiego polega na tym, że nawet najbardziej podłe odruchy swoich wyborców i działaczy racjonalizuje, ubiera w formy patetycznych werbalnych uniesień – obrony suwerenności, polskości, rodziny, honoru. PiS jest wielką całodobową fabryką plastrów na sumienia. W „temacie Usnarzu”, gdzie wyjątkowo trudno wytłumaczyć, dlaczego nasz wielki i gościnny naród nie może, niechby charytatywnie, w drodze wyjątku, za wstawiennictwem Kościoła, ulitować się nad grupką Afgańczyków, rządzący sięgnęli po najwyższe rejestry: mamy wojnę. Co prawda jest to „wojna hybrydowa”, ale pod Usnarzem polska straż graniczna i wojsko walczą w obronie „świętej polskiej ziemi” – jak powiedział Mateusz Morawiecki.

Zapewne dla podtrzymania nastroju zagrożenia premier i minister obrony, wizytując nasze oddziały, przebrali się w (chyba szyte specjalnie na tę okazję) dziwaczne mundury. Nawet żołnierze rozciągający zasięki są w strojach bojowych, zamaskowani, w hełmach, kamizelkach kuloodpornych, jakby uchodźcy mieli do nich strzelać. TVP już całkowicie przeszła na język militarny, gdzie poświęcenie obrońców polskich granic miesza się z opowieściami o zdradzie opozycji oraz z obrazami (na ogół sprzed 6 lat) awantur w obozach dla afrykańskich uchodźców w Grecji i na Lampeduzie. To wszystko nabudowane zostało na trzydziestce zmarzniętych, upodlonych ludzi. Większość Polaków oklaskuje ten spektakl, choć jeśli deklarowanym celem było zniechęcenie ewentualnych następnych migrantów, to chyba już się udało z nawiązką.

Jednak w tej bitwie pod Usnarzem polskie służby mundurowe naprawdę ponoszą straty. Rzucając wojsko do pozorowanej, teatralnej operacji przeciw bezbronnym uchodźcom, Mariusz Błaszczak nadużył honoru i prestiżu armii. Nic dziwnego, że po brutalnej wypowiedzi Frasyniuka o „psach” i „śmieciach” minister obrony, w pisowskim stylu – kasa za wstyd – obiecał żołnierzom spod Usnarza duże nagrody pieniężne. Także straż graniczna zmuszana jest do działań

sprzecznych z prawem, aroganckich, niehumanitarnych. Przypuszczam, że na odprawach funkcjonariusze karmieni są tą samą ciężką propagandą, jaką pichci TVP: że za owymi „Irakijczykami na Białorusi” (tak Morawiecki nazywa Afgańczyków na polskiej granicy) pójdą dziesiątki tysięcy (jakby Łukaszenka miał ich jak i czym sprowadzić); a opozycja (dosłowny cytat z „Wiadomości”) – „domaga się otwarcia polskich granic dla imigrantów”, którzy mogą „sterroryzować Polaków”.

Akurat niemal cała opozycja twierdzi dokładnie coś innego: granicy trzeba chronić, może nawet budować płoty, ale tym uchodźcom jeszcze możemy pomóc. Donalda Tuska, który mówił podczas campusu w Olsztynie, że „nie musimy wybierać między bezpieczeństwem a człowieczeństwem”, trudno tu posądzać o naiwność; jako szef Rady Europejskiej już podczas pierwszej fali uchodźczej w 2015 r. krytykował chaos decyzyjny i prawny w krajach Unii, także brak współpracy w organizowaniu pomocy humanitarnej. Dziś Unia Europejska jest zdeterminowana, aby nie dopuścić do powtórki z przeszłości. Europa, przy pomocy pieniędzy i dyplomacji, stara się zamknąć szlaki przerzutowe, stawia mury i płoty na granicach zewnętrznych, legalizuje pushbacki, czyli zawracanie uchodźców z granic. Ale też tworzy się nowa polityka migracyjna Unii, która ma obejmować wspólne zasady azyłowe, emigracyjne i deportacyjne, a także – uwaga! – relokacji. Polski rząd, uwięziony we własnym radykalizmie, jest w tej debacie nieobecny i nieużyteczny. Więc znów decydować muszą inni.

Problem migracji to jedno z największych dziś wyzwań dla świata; nic zresztą nie jest tu łatwe ani jednoznaczne. Wiemy, że zmiany klimatyczne wkrótce mogą pchnąć nawet kilkadziesiąt milionów ludzi z nienadającego się do życia południa na północ, do Europy. Polska naprawdę, nie tak na niby jak teraz, może się stać krajem granicznym. Więc powtarzamy: trzeba się przygotować politycznie, technicznie, organizacyjnie, prawnie. Rozmawiać poważnie z partnerami w Europie i w NATO. Wreszcie przyjąć sensowną i długofalową politykę migracyjną; określić, razem z samorządami, ilu uchodźców i migrantów możemy przyjąć, jak ich integrować i na czyj koszt. Jednak przede wszystkim nie należy, nie wolno, nakręcać paniki i wrogości wobec „obcych”. Zwycięstwem pod Usnarzem da się oszukać część wyborców, ale nie rzeczywistość. Przybysze z innych stron świata są już między nami i będą. Zresztą: „nasza święta ziemia” ich potrzebuje. I pomieści.



Gdzie jest granica?

Polityka 41 (3333), 05.10.2021 r.

Opozycji zaczyna brakować słów, bo ile razy można mówić o wstydzie, hańbie, kłamstwie, okrucieństwie. Co powiedzieć o spektaklu, jaki w minionym tygodniu urządzili ministrowie obrony narodowej i spraw wewnętrznych, demonstrując zdjęcia, podobno znalezione w telefonach uchodźców, które miały sugerować, że są oni terrorystami, agentami, zbrojcami. Wyświetlenie ledwo rozmazanego zrzutu ekranowego przedstawiającego rzekomy akt zoofilny to już było przekroczenie nie tylko norm prawnych, zakazujących rozpowszechniania takich obrazów, ale i jawna manipulacja, bo jak szybko ustalili dziennikarze OKO.press, konstytucyjni ministrowie rządu RP sięgnęli po od dawna obecny w internecie kadr z jakiegoś hardcorowego filmu pornograficznego. „Wstyd” to rzeczywiście za mało. Nie dziwię się, że po tej konferencji prasowej (?) tak wiele osób miało skojarzenia z antysemitką propagandą nazistowską.

Pytanie, dlaczego „oni” to robią, jest retoryczne: bo sięganie po najgorsze, najbardziej prymitywne emocje i stereotypy jest wydajne politycznie, bo podoba się twardemu, zwłaszcza męskiemu elektoratowi prawicy, chętnie odnoszącemu się do ciapatych i „kozy...ców”. Kamiński nie dosiadłby tej kobyły

(zwierzę na ekranie nie było krową, jak ekscytowała się przez dwa dni TVP, lecz klaczą), gdyby nie wiedział, że pociągnie ona sondaże PiS. Od początku tzw. nowego kryzysu uchodźczego notowania PiS wzrosły o kilka punktów, straszenie najazdem tysięcy muzułmanów okazało się dla partii bardziej skuteczne niż cały tzw. Polski Ład, czyli nieludzko skomplikowana reforma podatkowa, właśnie przepchnięta przez Sejm. Mariusz Kamiński, atakowany za zoofilski spektakl, tłumaczył się w Sejmie, że władze muszą przecież ostrzegać Polaków przed „potencjalnymi zagrożeniami”; to cudowna formuła, bo przecież uchodźcy mogą „potencjalnie” przenosić nie tylko pasożyty, ale np. narkotyki, kindżały, broń atomową, cokolwiek. Władza, dzięki stanowi wyjątkowemu, ma dziś wyjątkowy komfort zastraszania Polaków.

Sondaże (choćby niedawny IPSOS) pokazują, że skutecznie: większość obywateli (52 proc.) popiera obecną politykę władz, polegającą na wypychaniu migrantów z powrotem na Białoruś. Wśród zwolenników twardej ręki dominują tradycyjni wyborcy PiS – czyli osoby z wykształceniem podstawowym, starsi, mieszkańcy wsi – oraz miejski i wiejski, głównie młody i męski, elektorat Konfederacji. To by nawet nie dziwiło; jednak analitycy wskazują także na nowe zjawisko: otóż w stronę PiS przesunęło się stosunkowo dużo kobiet, które odwróciły się od tej partii po wprowadzeniu całkowitego zakazu aborcji. Czyli ponownie udało się w Polsce zaszcześcić lęk, naruszyć elementarne poczucie bezpieczeństwa. Propagandowy majstersztyk, zważywszy na wciąż znikomą realną liczbę migrantów „szturmujących” granicę wschodnią.

Eksperci mówią, że oficjalne dane o próbach przekraczania granicy są zapewne znacznie zawyżone, bo te same osoby mogą być liczone wielokrotnie (a i tak większość tych, którzy przechodzą, odnajduje się potem w Niemczech). Wciąż więc mamy do czynienia na granicy przede wszystkim z politycznym spektaklem. Reżim białoruski (za którym, jak podkreślają politycy PiS, stoją Rosjanie) musi widzieć, że swoją „wojnę hybrydową” wzmacnia antyuniijną władzę PiS – i chyba nie ma nic przeciwko temu.

Ta władza – przestrzegamy i będziemy powtarzać w kółko – wydobywa i hoduje najgorsze cechy i uprzedzenia Polaków: ksenofobię, homofobię, antysemityzm, bigoterię, rasizm (eufemistycznie określany jako odrzucenie osób obcych kulturowo), egoizm, któremu kiedyś Kaczyński, a teraz Morawiecki nadają parareligijną nazwę „ordo caritatis”, czyli porządku miłosierdzia. Ku zgrozie

prawdziwych teologów ewangelia w pisowskiej interpretacji oznaczałaby nakaz dbania przede wszystkim o siebie i najbliższych parę osób. W tej wizji nie istnieje wspólnota, nie ma miejsca na bezinteresowność, praktyczną solidarność, ofiarność, współczucie, ma być – jak w słynnej teorii prof. Stefana Nowaka o polskiej próżni socjologicznej – na dole wyidealizowana Rodzina, na górze idealny Naród reprezentowany przez jedną partię. A pomiędzy – bierność, obojętność, pustka. Takim społeczeństwem chce rządzić PiS. I tylko takim może rządzić.



Cena większości

Polityka 50 (3342), 07.12.2021 r.

To, co rząd robi, a właściwie czego nie robi, w sprawie pandemii, jest niewybaczalne i mam nadzieję, że wybaczone ani zapomniane nie będzie. Kilkaset ofiar śmiertelnych dziennie, przepelnione i zdeorganizowane szpitale, kilka tysięcy tzw. nadmiarowych, niecovidowych zgonów tygodniowo, wielka liczba nowych zakażeń (prawdopodobnie nawet 4–5-krotnie więcej, niż podaje Ministerstwo Zdrowia), chaos w szkołach, bezradność praco- i usługodawców,

którzy nie mają możliwości kontroli certyfikatów sanitarnych. I niemądre, bałamutne tłumaczenie się władz z bezczynności – że „polski gen nieposłuszeństwa”, że już-już czwarta fala mija i szykujemy się na piątą, że prawo nie pozwala dyskryminować niezaszczepionych itp. Minister Adam Niedzielski powtarza drogę swojego poprzednika ministra Szumowskiego – od wizerunku profesjonalnego urzędnika do oportunisty uległego wobec politycznych żądań.

Zapewne wewnętrzne sondaże wciąż pokazują PiS, że znaczna część wyborców tej partii łatwiej godzi się na śmierć nieznanym ludzi niż na niewygodę sanitarne. Pod względem liczby zgonów Polska ma dziś jedne z najgorszych statystyk na świecie.

Przykra jest świadomość, że za karygodną biernością administracji stoi wyłącznie kalkulacja polityczna: Zjednoczona Prawica w sprawie ewentualnych ustaw antycovidowych nie ma większości we własnych szeregach. Oczywiście, że zalecenia Rady Medycznej przy premierze, która od dawna domaga się surowszych regulacji, mogłyby być przyjęte w Sejmie głosami opozycji, ale widać, że ani premier, ani marszałek Witek, którzy jakieś gesty w tę stronę czynili, ostatecznie nie dostali zezwolenia Nowogrodzkiej. Jarosław Kaczyński, jak sądzę, nie chce się przyznać, że rząd w arcyważnej sprawie musiałby zniżyć się do szukania głosów opozycji.

Ostatnie miesiące w polskiej polityce są w ogóle zdominowane przez poszukiwanie większości parlamentarnej dla PiS, jej organizowanie, utrwalanie, ochronę. Wiemy już, że prezes PiS nie cofa się tu przed niczym i przed nikim. O ile jeszcze werbowanie grupki Kukiza miało przynajmniej pozór porozumienia politycznego, o tyle rozbijanie Porozumienia Gowina czy przyciąganie pojedynczych przedstawicieli tzw. parlamentarnego planktonu nosiło już wszelkie cechy korupcji politycznej. Zawstydzająca historia posła Łukasza Mejzy, dziś wiceministra sportu, oskarżanego o biznesowe żerowanie na nieuleczalnie chorych, jest ilustracją tego procederu. A ociąganie się z dymisją Mejzy miało/ma jedyny powód: większość.

Za podtrzymanie chwiejnej przewagi parlamentarnej szczególnie dużo każe sobie płacić Zbigniew Ziobro i to nie tylko setkami milionów z tzw. Funduszu Sprawiedliwości. Paraliż w relacjach z Unią Europejską mógłby zostać dawno przełamany poprzez likwidację, jak domaga się TSUE i Komisja Europejska, nielegalnej Izby Dyscyplinarnej SN i jej orzeczeń. Choć sam Kaczyński

i Morawiecki to zapowiadali, widać, że Ziobro dalej licytuje, uzależniając swoją zgodę od wprowadzenia całego pakietu ustaw oddających ministrowi sprawiedliwości kontrolę nad sądami. W konsekwencji tego politycznego pata możemy utracić miliardy euro z funduszu odbudowy, a w przyszłości także pieniądze z budżetu Unii, bo wiadomo już, że wypłaty zależne będą od przestrzegania unijnych standardów praworządności. Kaczyński naprawdę stał się tu zakładnikiem Ziobry i jego zwartej Solidarnej Polski.

Ponieważ nawet twardym zwolennikom PiS trudno byłoby wytłumaczyć, dlaczego z powodu jakiejś kompletnie nieistotnej Izby Dyscyplinarnej mielibyśmy tracić wielkie pieniądze, rozpoczęło się ustawianie propagandowych zasieków. Warszawski zjazd przedstawicieli antyunijnych, prawicowych partii i powtarzane przez Jarosława Kaczyńskiego oskarżenia, że nowy rząd niemiecki zamierza stworzyć z Europy federacyjną „IV Rzeszę” – ma zapewne zamienić konflikt z Unią o praworządność w „odwieczną walkę z niemiecką hegemonią”. Paradoks, że akurat teraz, kiedy Rosja zagraża suwerenności Ukrainy, PiS, wraz z grupą jawnie proputinowskich europejskich partii, organizuje antyniemiecki Układ Warszawski. Rozumiemy, że chodzi o „odebranie powietrza” ziobrystom i Konfederacji, czyli znów o to samo: utrzymanie większości i dominacji PiS na prawicy.

Polityka władz uległa zapętlению: ludzkie, finansowe, moralne, polityczne i geopolityczne koszty podtrzymywania parlamentarnej większości PiS służą już niemal wyłącznie podtrzymywaniu tej większości. Każda polityczna inicjatywa jest albo owocem ustępstw na rzecz jakiejś grupy interesów, albo rozgrywek w obozie władzy, albo desperackiego ratowania sondaży, bo dalsze spadki notowań PiS byłyby hasłem do bezpardonowej rywalizacji wewnętrznych koterii o miejsca na wyborczych listach, o doraźne polityczne i materialne profity. To zaś, co chwila, groziłoby utratą większości. Obóz władzy nieuchronnie więc zanurza się w „imposybilizmie”, traci (i tak niewielką) zdolność podejmowania ryzykownych sondażowo decyzji czy jakichkolwiek realnych reform w obszarze edukacji, służby zdrowia, energetyki, finansach publicznych, gdziekolwiek.

Akurat w tym tygodniu obchodzimy 40-lecie stanu wojennego. Dla pokoleń 50 plus to jedno z najważniejszych, najbardziej traumatycznych wydarzeń w życiu; dla młodszych pewnie prehistoria, dziaderska legenda, choć korzenie obecnych podziałów sięgają właśnie czasów Solidarności i pierwszych lat transformacji.

Jednak nawet cięższa niż dramat stanu wojennego jest historia straconych lat 80., dekady beznadziei, marazmu, zbiorowego oportunisty, materialnej i moralnej biedy. Nie chodzi o naciągane historyczne porównania, ale w naszym doświadczeniu zapisana jest przestroga, że niedemokratyczna władza potrafi wystawić rządzonej słony rachunek za swoje trwanie.



Rozdział

VIII

2022: WOJNA. I WOJENKI

Najważniejsza data tego roku to 24 lutego. Napaść Rosji na Ukrainę przywołała obrazy, które raz na zawsze miały w Europie należeć do historii: burzonych miast, milionów uciekinierów wypełniających drogi, stacje kolejowe, przejścia graniczne; widzieliśmy na ekranach zdjęcia ofiar bombardowań, wojennych starć czy egzekucji cywilów – jak w Buczy. Do ostatniego dnia wydawało się niewyobrażalne, że Putin, z którym od 20 lat politycy Zachodu toczyli niemal rytualną grę napięć i odprężeń, zdecyduje się na tak bezczelny i bestialski akt agresji. Po dekadach pokoju, końca historii, odkryliśmy nagle, że wojna – tak jak zaraza – jest możliwa, i to nie na krańcach naszego świata, ale w jego centrum. Tuż za naszą granicą.

Ta wojna przysłała i do nas wraz z kilkoma milionami uciekinierów, głównie kobiet i dzieci, które w Polsce szukały i znalazły ochronę, życzliwość, troskę, serce. Byliśmy świadkami niezwykłego, imponującego świata, społecznego poruszenia. Do akcji pomocowych w najróżniejszych formach włączyły się setki tysięcy polskich rodzin, dając uchodźcom gościnę i utrzymanie. Nie mieliśmy wtedy pojęcia, na jak długo. Spontaniczne inicjatywy zyskały mocne wsparcie ze strony samorządów, ze znacznym opóźnieniem włączyły się też władze centralne. Przyjęta w marcu ustawa o pomocy uchodźcom dała im prawo pobytu, przyznawała numery PESEL, otwierając dostęp do opieki społecznej, zdrowotnej, edukacji dzieci. Także do rynku pracy – do dziś pracę w Polsce podjęło około miliona ukraińskich obywateli.

Podobne regulacje przyjęły także inne państwa unijne; jednocześnie solidarnie nakładając na Rosję kolejne pakiety sankcji. Oznaczały one praktyczne zerwanie relacji handlowych, politycznych, komunikacyjnych, społecznych. Najważniejsza i najtrudniejsza gospodarczo (zwłaszcza dla Niemiec) była decyzja o szybkim wycofaniu się z importu rosyjskich paliw. Sojusz Północnoatlantycki, w którym Stany Zjednoczone znów przejęły rolę lidera, udzielił walczącej Ukrainie natychmiastowej pomocy militarnej. Unikając bezpośredniego starcia z Rosją, od pierwszego dnia walk kraje NATO zaopatrują armię ukraińską w broń, amunicję, udzielają wsparcia logistycznego, wywiadowczego, szkoleniowego. Polska znalazła się na bezpośrednim zapleczu tej wojny i – z tego, co wiemy – z sojuszniczych zadań wywiązuje się bez zastrzeżeń. Dwie

wizyty prezydenta Joe Bidena w Polsce („Gorąca i zimna”) były potwierdzeniem szczególnej roli Polski jako „kraju frontowego”.

Kto jednak spodziewał się, że wojna u granic uspokoi polską politykę, przyniesie reset w stosunkach władzy z opozycją – ten musiał się rozczarować. Tu nic się nie zmieniło: żadnych konsultacji, współpracy, nawet podstawowych informacji o zagrożeniach dla bezpieczeństwa państwa, o podejmowanych decyzjach, zobowiązaniach w dziedzinie obronności. Przeciwnie: do rutynowego oskarżania opozycji, zwłaszcza osobiście Donalda Tuska, o realizowanie interesów niemieckich, doszły oskarżenia o uleganie także wpływom i interesom Rosji.

Nie nastąpił też reset w stosunkach rządu PiS z Unią Europejską. W czerwcu, po ponadrocznych negocjacjach, Komisja Europejska zaaprobowała polski Krajowy Plan Odbudowy, ale warunkiem dostępu do nowych unijnych funduszy miało być wypełnienie przez Polskę tzw. kamieni milowych, pośród których specjalny status zyskały sprawy sądownictwa, w tym wymóg ustawowych gwarancji niezależności sędziów i rzetelnych procedur dyscyplinarnych. PiS realnie nie podjął próby wykonania tych unijnych zaleceń, unikając w ten sposób konfliktu z radykalnie antyeuropejską partią Zbigniewa Ziobry oraz z równie skrajną Konfederacją. Zapewne aż do wyborów 2023 r. Polska nie skorzysta więc ze środków z KPO. Propaganda rządowa przedstawia tę porażkę jako skutek agresji ze strony – kierowanej przez Niemców i Niemkę – Komisji Europejskiej, wspieranej tu przez polską „antypolską” opozycję.

Latem 2022 r. przeżyliśmy szok wywołany tajemniczym zatruciem rzeki Odry. Skala ekologicznej klęski była bezprecedensowa w historii Polski; zginęły miliony ryb, rzeka stała się ściekiem. Władze państwowe zareagowały z opóźnieniem, chaotycznie; trwało gorączkowe poszukiwanie winnego – na liście pojawili się, oczywiście, Niemcy, z którymi dzielimy Odrę. Specjaliści mówili o nadmiernych i nielegalnych zrzutach zasolonych wód pokopalnianych i przemysłowych w rejonie Śląska, które miały się przyczynić do zakwitów toksycznych dla ryb tzw. złotych alg. Katastrofa pokazała nie tylko zaniedbania polskich służb ochrony środowiska, ale też brak jakiegokolwiek współpracy transgranicznej.

Rok 2022 przyniósł za to kolejne akcje zaczepne w toczonej wytrwale przez Jarosława Kaczyńskiego kampanii antyniemieckiej. 1 września PiS przedstawił raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie drugiej wojny światowej. Ogólną kwotę wyliczono na 6 bilionów zł. Sejm przyjął uchwałę domagającą się od Niemiec reparacji wojennych; rząd RFN oświadczył, że sprawa

reparacji i odszkodowań jest prawnie zamknięta. Ale temat pozostał aktywny w kampanii wyborczej i w propagandzie politycznej PiS. W tym kontekście kłopotem okazał się incydent w Przewodowie, gdzie w wyniku eksplozji zbłąkanej ukraińskiej rakiety przeciwlotniczej zginęły dwie osoby. Niemcy zaproponowały Polsce natychmiastowe użyczenie swoich systemów obrony przeciwrakietowej Patriot, co wywołało konsternację i zamęt w antyniemieckim przekazie obozu władzy („Patrioci i Patriots”).

Wojna w Ukrainie pozostała cały rok głównym tematem polskich mediów, ale najważniejszym tematem codziennych rozmów stała się inflacja. Jesienią zbliżyła się do 20 proc. w skali roku, wielkości nienotowanej od ćwierćwiecza. Od początku władze zwały pełnię odpowiedzialności za drożyznę na okoliczności wojenne („putinflacja”), ale niezależni ekonomiści zgodnie twierdzili, że przynajmniej w połowie za poziom inflacji, jeden z najwyższych w Europie, odpowiada spóźniona reakcja NBP, niekompetencja uprawiającego błazeńskie stand-upy prezesa NBP Adama Glapińskiego oraz ogólnie proinflacyjna wydatkowa polityka rządu („Dwie ciężkie stopy” nr 49/22). Nic dziwnego, że „cenowe szaleństwo” stało się głównym wątkiem wystąpień polityków opozycji.

W 2022 r. – pisałem („W czym nadzieja”), że znów przemknęło obok nas czterech jeźdźców Apokalipsy: wciąż doświadczaliśmy zarazy i przedczesnych covidowych śmierci, ale doszła też najprawdziwsza wojna i – jeśli jeszcze nie głód – to już zubożenie.

„Mijający rok aż do przesytu potwierdził, jak destrukcyjna jest władza skupiona na sobie, rozgrywaniu wewnętrznych konfliktów, na pazernym dorabianiu się, na propagandowych, niedowarzonych projektach. Widzimy, ile – w każdym sensie – kosztuje nas zamach na praworządność i niezależność sędziowską. Jak politykę zastępuje szczucie: na opozycję, na kolejne grupy zawodowe i mniejszości, na Unię Europejską, na naszych sąsiadów i sojuszników z Niemiec, na rzekomo płynącą z Zachodu demoralizację i bezbożność. W kampanii wyborczej dostaniemy jeszcze dużo więcej tego samego”.

„Przypisów” do 2022 r. nie zaczynam jednak od wojny w Ukrainie, ale od przypomnienia atmosfery pierwszych tygodni tamtego roku, kolejnych przejawów („Sztuki i sztuczki”) tupetu, infantylizmu i samozadowolenia władzy. Za moment zawyły syreny alarmowe i przez krótki czas w kraju zrobiło się poważnie i prawdziwie, polityka usunęła się w cień, oddając pola „wielkiej orkiestrze społecznej pomocy” dla uchodźców z Ukrainy. Nikt nikogo nie pytał o poglądy i partyjne sympatie, Polacy

pokazali, że jeszcze potrafią być wspólnotą. Ale „płomień wojny oświetliły też marną, chwiejną konstrukcję polskiego państwa”.



PRZYPISY 2022

Sztuki i sztuczki

Polityka 7 (3350), 08.02.2022 r.

Polityka co tydzień zabiera nas w krainę iluzji, tworzoną przez sztukmistrzów od przekazów i wizerunku. To, co widzimy i słyszymy, zwykle jest tylko spektaklem, i to niezbyt wyrafinowanym. Jeśli coraz częściej zadajemy sobie pytanie: „Czy oni robią z nas idiotów?” – odpowiedź brzmi: tak, robią.

Oto kilka pozycji ze świeżego repertuaru.

1. Lex konfident. Rząd już dawno odpuścił realną walkę z pandemią. Za to widzowie otrzymali serial w postaci pozorowanych wysłuchań, debat, konsultacji. Potem, w wielkim finale, wniesiony został kuriozalny projekt, według którego to obywatele sami mieli się oskarżać o zakażenia. Ponieważ nikt nie wierzył, że można było coś takiego wymyślić serio, uznano, że to toporny trik służący do przeniesienia odpowiedzialności za „brak legislacji antycovidowej” na opozycję. Po spektakularnym odrzuceniu lex konfident przez Sejm (także głosami koalicji) magicy od propagandy wypuścili interpretację, że oto, po raz kolejny, naczelny prestidigitator wszystko ukartował i rozegrał, bo nie chodziło tylko o pandemię, ale o kontrolę chwiejnej lojalności posłów... Trudno nie mieć wrażenia przymusowego udziału w jakiejś kompletnie niezrozumiałej „grze w głupa”. Tylko pandemia pozostała boleśnie prawdziwa.

2. Duda zamyka Izbę. Inicjatywa prezydenta, aby zlikwidować – nieuznaną w Europie za sąd – Izbę Dyscyplinarną SN, a tym samym usunąć przedmiot kosztownego sporu z Unią, też jest grą pozorów. Problem bowiem tkwi w statusie „nowych” sędziów powoływanych przez nielegalnie obsadzoną Krajową Radę Sądownictwa, a Duda proponuje, aby osoby przebrane w togi mieszać z prawdziwymi sędziami, rozpraszając ich w różnych izbach SN. Natomiast w miejsce Izby Dyscyplinarnej miałyby powstać nowe ciała, tak skomponowane, aby Duda mógł z dużej grupy wylosowanych sędziów wskazać 11 swoich. Komisja

Europejska musiałaby sama zamydlić sobie oczy, żeby potraktować serio te innowacje.

3. Duda w Chinach. Prezydent jako jedyny z demokratycznych przywódców Zachodu pojechał na otwarcie igrzysk olimpijskich w Pekinie. W nagrodę otrzymał kurtuazyjne spotkanie z prezydentem Xi i fotografię mającą być dowodem, że Duda liczy się w polityce międzynarodowej. Jego ludzie tłumaczyli, że pojechał „lobbować za suwerenną Ukrainą”. W realu było tak, że w Pekinie Xi z Putinem ogłosili zamiar współdziałania obu mocarstw w konfrontacji z Zachodem, a prezydentowi RP pozostały nic nieznaczące korytarzowe spotkania z kilkoma azjatyckimi satrapami. Rola w chińskim teatrzyku cieni.

4. Oś L–W–K. Premier Morawiecki udał się do Kijowa, żeby zatrzeć fatalne wrażenie po madryckim spotkaniu z liderami prorosyjskich i antynatowskich (Marine Le Pen) prawicowych partii. W tym czasie, gdy jego najbliższy sojusznik Viktor Orbán ostentacyjnie na Kremlu otwierał z Putinem szampana, polski premier ogłosił ni stąd, ni zowąd powstanie osi Londyn–Warszawa–Kijów. Co by to miało znaczyć, ujawniła szefowa brytyjskiej dyplomacji Liz Truss, mówiąc, że oprócz bezpieczeństwa militarnego we współpracy z Warszawą chodzi także o przeciwstawienie się „ambicjom Chin w Cieśninie Tajwańskiej, rosyjsko-chińskim operacjom w kosmosie oraz na zachodnim Pacyfiku”. Pomijając już pomoc Morawieckiego dla operacji w kosmosie, jak to się ma do osi Duda–Xi? Dwa teatry?

5. Rząd wygrywa. Ogłoszone jako sukces zakończenie negocjacji z Czechami w sprawie odszkodowań za działalność kopalni Turów będzie nas kosztowało 45 mln euro – tyle, ile załatwiłoby sprawę rok czy dwa lata wcześniej. Do tego „poniesionego sukcesu” trzeba doliczyć 300 mln zł kary, już nałożonej na Polskę za ignorowanie w tej sprawie orzeczeń TSUE. Teraz rząd zapowiada, że nie zamierza płacić mandatu, co jest deklamacją równie podniosłą, jak pustą, bo Unia te należności potrąci z kwot transferów finansowych dla Polski. Rząd nie zapłaci, ale my zapłacimy. Taki trik.

6. Kary za Ład. Zamieszanie i złość wokół niechlujnie przeprowadzonej reformy podatkowej osiągnęły taki poziom, że władza musi to jakoś rozładować. Więc oprócz pośpiesznej łataniny należy wskazać winnego. Politycznie odpowiedzialny za ten bałagan jest sam Jarosław Kaczyński, wykonawczo premier, głowę ma dać minister finansów – pierwszy w historii III RP na tym stanowisku człowiek,

którego nazwiska nie zna i nie powtórzy pewnie 90 proc. Polaków. To też pokazuje degradację urzędu i w ogóle finansów publicznych. W dopiero co przyjętym budżecie na 2022 r. założono przecież od razu inflację na nierealnym poziomie 3,5 proc., a zadłużenie państwa – większe od deklarowanego o 250–300 mld zł – poukrywano w pozabudżetowych funduszach. Finanse państwa to kolejna mistyfikacja.

7. Stępka na złom. Rozeszła się wiadomość, że stocznia w Szczecinie chce sprzedać na złom za 2 zł/kg 60-tonową stępkę, niegdyś uroczyście położoną przez premiera Morawieckiego pod budowę pierwszego z licznych polskich promów. To przypomniało słynną Strategię Odpowiedzialnego Rozwoju – z połowy lutego 2016 r. – czyli gospodarczy program rządu PiS, zawierający iście gierkowskie obietnice budowy promów, dronów, samochodów elektrycznych, największego lotniska, wielkiej elektrowni w Ostrołęce i innych oszałamiających inwestycji. Stępce udało się podtrzymać iluzję i czary planu Morawieckiego przez długie sześć lat.

8. Pegaz trojański. Informacja, że służby specjalne mogły inwigilować już nie tylko działaczy opozycji czy „niepewne elementy” w obozie władzy, ale i setki pracowników i kontrolerów NIK, już nawet nie zaskakuje. Podobnie jak reakcja rządu, który – tak jak przy kolejnych mailach Dworczyka – tumani, zaprzecza, o niczym nie wie, nie słyszał, nie uczestniczył. Ale Pegasus, raz sprowadzony do obozu władzy, mimo zaklęć nie chce zniknąć.

Dla kogo te wszystkie spektakle, w których iluzjonistom stale wypadają gadżety z rękawów? Piszemy w tym numerze o – historycznie jakoś wytłumaczalnych – przykrych cechach dużej części Polaków: ich egoizmie, nieufności, tolerancji dla kłamstw i obłudy, prostym materializmie. Jeśli wyborcy „coś dostają od władzy”, łatwiej akceptują jej nieuczciwość, zamykają oczy na fakty, przyjmują byle jakie opowieści i usprawiedliwienia. Ale, jak pokazują różne szczegółowe sondaże, większość Polaków już coraz rzadziej nabiera się na sztuczki z repertuaru „narodowego iluzjonizmu”. Tyle że to dopiero większość statystyczna, jeszcze nie polityczna.



Chwała Ukrainie!

Polityka 10 (3353), 01.03.2022 r.

Patrzymy z przerażeniem na to, co dzieje się w Ukrainie: płonące miasta, tysiące ludzi koczujących na stacjach metra i w piwnicach domów, rozwalone budynki, mosty, lotniska, zniszczone pojazdy bojowe. To, co rosyjska propaganda wciąż nazywa specjalną operacją wojskową, to po prostu brutalna „pełnoskalowa” wojna, bandycka napaść na sąsiedni kraj, mniejszy, słabszy militarnie, który w niczym nie zagrażał bezpieczeństwu mocarstwowej Rosji. Oskarżenia miotane przez Putina, że Ukraińcy, „rządzeni przez nazistów, narkomanów i Amerykanów”, szykują się do ludobójstwa na Rosjanach, trudno traktować inaczej niż jako brednie, wyraz pogardy do niezależnego ukraińskiego państwa, któremu Putin odmawia prawa do istnienia. Jeśli jednak uwierzył we własną propagandę o „nieistnieniu Ukrainy”, musiał się strasznie zawieść. W obronie swej młodej niepodległości i demokracji Ukraińcy wykazali godną najwyższego szacunku dzielność i determinację. Można tylko powtórzyć: Chwała Ukrainie i Jej Bohaterom!

Sam przebieg działań wojennych wciąż nie jest jasny – choć wydawało się, że w świecie milionów smartfonów będziemy widzieli wszystko – ale dane wywiadowcze potwierdzają zdumiewające, na pozór, informacje o grzęźnięciu potężnej rosyjskiej ofensywy, o znacznych ofiarach, jakie ponosi nacierająca

armia, i nadspodziewanie dobrze zorganizowanej, ruchliwej i skutecznej ukraińskiej samoobronie. Nie wiadomo, czy Władimir Putin, sprawca tej wojny, zdecyduje się na atak totalny, bombardowanie miast, zwłaszcza Kijowa i zabijanie ludności cywilnej. Widać jedynie jego narastającą frustrację i wzburzenie; ostatnio zaczął nawet grozić użyciem broni jądrowej. Przed nami może być więc zarówno eskalacja działań zbrojnych, próba wymuszenia kapitulacji władz Ukrainy, jak też – pod presją sankcji i własnych strat – jakieś zawieszenie broni, rozejm, negocjacje. Od początku ta wojna jest niemożliwa do pojęcia.

Putin, poszerzając granice swego imperium, zmusza i nas do poszerzenia granic własnej wyobraźni. Jeszcze kilka, kilkanaście dni temu koncentrację rosyjskich wojsk wokół Ukrainy traktowano jako demonstrację siły, wzmocnienie pozycji negocjacyjnej Rosji w kwestii rzekomych planów Zachodu „rozszerzania NATO”; nawet prezydent Zełenski wzywał zachodnich przywódców, aby nie siali paniki. Już po ogłoszeniu przez Putina faktycznego „anschlusu” tzw. Republik Donieckiej i Ługańskiej niewiele wskazywało na plan pełnej inwazji. I teraz jesteśmy tyleż zaskoczeni, co bezradni w próbie odpowiedzi, o co naprawdę chodzi Putinowi, gdzie się zatrzyma? Bo jeśli nie jest to przejaw odcięcia od rzeczywistości (być może chorego) dyktatora, to jest to bez wątpienia szaleństwo geopolityczne. Rosja militarnie uderzyła w cały międzynarodowy porządek, jaki ukształtował się po rozpadzie Związku Radzieckiego. Ale z jakim zamysłem? Odbudowy stalinowskiego imperium, wznowienia zimnej wojny czy tylko wzmocnienia osobistej pozycji Putina w Rosji, w stosunkach z Zachodem i ustanowienia „nowej Jałty”?

Wszystko jest dziś możliwe; definitywnie kończy się epoka jakiejś takiej stabilizacji i przewidywalności w polityce międzynarodowej. Niewykluczone zresztą, że cele Putina są zmienne, zależne od realiów wojskowych, reakcji świata, własnych emocji. Jeśli chodziło o blitzkrieg, szybkie opanowanie Kijowa, rozbicie władz Ukrainy i posadowienie rosyjskiego namiestnika, to już widać, że plan się nie powiódł, przeciwnie – Zełenski wyrósł na narodowego bohatera. We krwi i w bólu rodzi się świadomy swej nierosyjskiej tożsamości i ceny własnego państwa, polityczny naród ukraiński. To już jest klęska Putina. Jednak wciąż pozostaje prawdopodobne, że rosyjski władca zechce przynajmniej dokonać rozbioru terytorialnego Ukrainy. Po liniach ataków widać, że chodzi o stworzenie faktów dokonanych: włączenie do Rosji Zadnieprza, czyli znacznej części

wschodniej Ukrainy, zapewne także odcięcia Krymu od Morza Czarnego i zajęcie pasa łączącego Krym z Odessą oraz samozwańczą, kontrolowaną przez Rosję częścią Mołdawii, zwaną Republiką Naddniestrzańską.

Ale poszerzając wyobraźnię o dotychczas niewyobrażalne, jeśli odpór Wolnego Świata nie byłby dostatecznie silny i jednoznaczny, kto wie, czy kolejnym etapem hybrydowej wojny nie stałyby się Republiki Nadbałtyckie, których prawo do suwerenności Rosja od dawna kwestionuje. To już by znaczyło konfrontację z NATO, ale Putin mógłby chcieć sprawdzić wolę Zachodu „umierania za Rygę i Tallin”. Przecież w centrum NATO, czyli w Stanach Zjednoczonych, Republikanie skupieni wokół Donalda Trumpa (być może następnego prezydenta USA) uważają, że „pribałtikę” niepotrzebnie przyjmowano do Sojuszu, a sam Trump, jak dobrze pamiętamy, uznawał NATO za twór przestarzały i zbędny (nawiasem mówiąc, jakie to szczęście, że dziś w Białym Domu jest pronatowski Joe Biden). Nawet jednak w szalonej logice imperialnej ewentualne bezpośrednie zagrożenie dla Polski wydaje się absurdalne, wykraczające niebotycznie ponad realny gospodarczy i wojskowy potencjał Rosji. Niemniej, po zwasalizowaniu przez Rosję Białorusi, Polska już staje się krajem frontowym NATO.

Obserwujemy jakąś próbę generalną wojny światowej. Z jednej strony mamy otwarty atak wojskowy na niezależne państwo i pośrednio na cały system bezpieczeństwa Zachodu, z drugiej kontratak Wolnego Świata przy użyciu sankcji politycznych, ekonomicznych, personalnych, dyplomatycznych, środków wojny cybernetycznej, informacyjnej, dostaw broni. To pierwsza taka próba sił między wojną w starym „czerwonoarmijnym” stylu i nową, posługującą się zróżnicowanym zestawem środków nacisku. Trzeba powiedzieć, że Zachód coraz lepiej sobie w tej konfrontacji radzi, szybko udało się zbudować komunikację i współdziałanie na poziomie globalnym, uzgodnić kolejne, bezprecedensowe kroki. Paradoksalnie „generalissimus Putin” na nowo odtworzył sojusz Zachodu, poczucie wspólnoty celów i wartości demokratycznego świata. A potężne demonstracje antyputinowskie dają rządowi państw NATO i Unii tak potrzebny w tej wojnie mandat polityczny i społeczny. Nawet Niemcy, historycznie niechętni konfliktom z Rosją, zasadniczo zmieniają swoją politykę, także energetyczną, aby zmniejszyć uzależnienie od importu rosyjskiego gazu. To kolejna klęska Putina, która mocarstwowe ambicje Rosji zmienia w izolację i ostracyzm, spycha

gospodarkę tego kraju w chaos i kryzys, a samemu Putinowi grozi buntem bojarów i pałacowym zamachem.

Nigdy tak wyraźnie jak teraz nie było widać, że bezpieczeństwo Polski zależy od zwartości Zachodu i obu najważniejszych dziś jego form istnienia: NATO i Unii Europejskiej. Polska – z armią dramatycznie osłabioną przez Antoniego Macierewicza, pozbawioną setek doświadczonych i zdymisjonowanych dowódców, z rozbitym wywiadem, uzbrojoną głównie w zapowiedzi zakupów – w sytuacji krytycznej byłaby zdana wyłącznie na pomoc sojuszników. Dlatego właśnie teraz, zanim zdarzy się nieszczęście, trzeba mówić, wręcz krzyczeć, że dotychczasowa polityka obecnych władz stanowi bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski.

PiS, a wraz z nim silny chór medialny, powtarza, że wobec inwazji Rosji na Ukrainę w polskiej polityce musi nastąpić reset, że „dawne spory” powinny pójść na bok. Tak, ale resetu, i to jawnego, powinna dokonać władza, bo jej polityka właśnie legła w gruzach. Przypomnijmy: wasalny sojusz z miękkim wobec Rosji Donaldem Trumpem; marginalizujący Polskę głęboki konflikt wartości z Unią Europejską; demonstracyjne koalicje z „proputinowskimi” prawicowymi partiami europejskimi; niechętna, nieprzyjazna od lat polityka rządu PiS wobec Ukrainy, której podobno „Jarosław nie lubi”. A przede wszystkim (o czym tyle razy pisaliśmy) antyzachodnia, antyunijna retoryka rządzących, całkowicie zbieżna – wbrew deklarowanej rusofobii – z narracją Putina: że Zachód gnije moralnie, jego przywódcy są słabi, że „Unia to wyimaginowana wspólnota” i „okupacja brukselska”. Ba, putinowskie jest już samo pojęcie „suwerennej demokracji”, którą PiS próbuje w Polsce od siedmiu lat ustanowić, kopiując „nieliberalną demokrację” prorosyjskiego lojalisty i lawiranta Viktora Orbána.

Bądźmy ostrożni, bo PiS – głośno żądając od opozycji zawieszenia krytyki i w ogóle polityki – sam ją uprawia w najlepsze. Politycy obozu władzy, jawnie dążący do osłabienia Unii, teraz ją surowo poganiają do czynu. Według stałego patentu: najpierw odmawiamy Unii kompetencji, żądamy redukcji Wspólnoty do prostej współpracy gospodarczej, a w sytuacji kryzysowej krytykujemy za brak sprawczości. (Minister Wawrzyk pytany o to, dlaczego Polska wciąż jest największym importerem rosyjskiego węgla, odpowiadał, że „to Unia nie pozwala na ograniczanie handlu”). Na wezwanie Borysa Budki, aby PiS pohamował Ziobrę

i zakończył jak najszybciej kosztowny spór z Europą, jedyną reakcją były oskarżenia, że PO znowu wraca do awantur.

Wojna Rosji przeciw Ukrainie w żadnym razie nie może usprawiedliwiać antyzachodniej polityki PiS i ciągłych opowieści o „kolejnej kompromitacji Unii”, przeciwnie – trzeba żądać prawdziwego resetu, a nawet – jak kiedyś mówiono – „pivotu”, czyli zwrotu wokół osi i wyłączenia szcujących megafonów. Jak Morawiecki i Duda mogą się domagać od Unii pilnej akceptacji dla kandydatury Ukrainy do UE, kiedy to dzięki polskim (i węgierskim) rządóm w krajach Europy Zachodniej powszechne jest dziś przekonanie o błędzie rozszerzenia Unii na wschód, o tym, że kraje naszego regionu nie trzymają demokratycznych standardów, a społeczeństwa są skłonne popierać skorumpowane, nacjonalistyczne, zdemoralizowane rządy?

Na szczęście sami Polacy, na co mamy tysiące dowodów, wobec wojny w Ukrainie, klęski humanitarnej, napływających do Polski tłumów uchodźców, zachowują się nadzwyczajnie; solidarnie, ofiarnie. Podobno dzięki samorządom, organizacjom społecznym, firmom i osobom prywatnym możemy dać czasowe schronienie nawet milionowi uciekinierów. Tym razem władze państwowe zachowują się wreszcie jak powinny, pomagają organizować pomoc. Trudno jednak zapomnieć, patrząc na wzruszonego losem uchodźców Mariusza Kamińskiego, jego niedawne występy o zoofilach i terrorystach ciągnących do Polski, czy twarde deklaracje, że Polska nie przyjmie żadnej, choćby kilkunastoosobowej grupki migrantów przedostających się przez granicę z Białorusią. Politycznie, emocjonalnie te sytuacje trudno porównywać, ale moralnie? Jeśli więc władza mówi o potrzebie resetu, także jedności wobec wojennego zagrożenia, ma okazję dostarczyć dowodów dobrej woli: niech wesprze finansowo samorządy i organizacje pomocowe, niech zaakceptuje powołanie ponadpartyjnej komisji do prac nad ustawą o obronności, niech informuje i konsultuje się z opozycją. Proste? Proste.

Walczącej Ukrainie i Ukraińcom potrzebna jest dziś wszelka pomoc, jaką możemy okazać. To nasz obowiązek wobec najbliższych sąsiadów, z którymi jesteśmy tak mocno związani wspólną historią, z których ponad milion już od lat żyje i pracuje w naszym kraju. Nie wiemy, co nastąpi po tej wojnie ani jak i kiedy się ona skończy, ale warto, żeby Polska znów stała się „europejskim adwokatem” Ukrainy, pomagała w przyszłej odbudowie kraju i jego drodze do Unii. Jednak

ogień u sąsiada oświećła też marną konstrukcję naszego własnego domu, naruszoną przez rozpalanie konfliktów, polityczną marginalizację opozycji i jej wyborców, zawłaszczanie państwa, prymitywizm i brutalność państwowej propagandy – i wszystko złe, niemądre, byle jakie, o czym piszemy od lat. A przecież widać, że w zbrutalizowanym przez Putina świecie tylko Polska proeuropejska, lojalna wobec sojuszników, solidarna, przewidywalna, demokratyczna, może pomóc innym w potrzebie. I sama oczekiwać pomocy.



Gorąca i zimna

Polityka 14 (3357), 29.03.2022 r.

W dniu wizyty Joe Bidena w Polsce Rosjanie ostrzelali rakietami Lwów. Celem uderzenia była baza paliwowa, ale przesłanie miało trafić do Warszawy, gdzie prezydent USA właśnie spotykał się z ministrami obrony i spraw zagranicznych Ukrainy. Nie ulega wątpliwości, że rozmawiano o dostawach broni i pomocy wojskowej NATO dla walczącej armii ukraińskiej. Putin wysłał więc ostrzeżenie, że może w każdej chwili przenieść wojnę na zachodnią Ukrainę, zbombardować

tamtejsze miasta, szlaki dostaw i magazyny. I oczywiście może to zrobić, bo przerzedzona ukraińska obrona powietrzna nie da rady zapobiec wszelkim atakom. Inwazja wkracza w bardzo niebezpieczną fazę: armia rosyjska poniosła ciężkie straty, nie zdobyła żadnego dużego miasta, ugrzęzła w terenie, Ukraińcy przeprowadzają udane kontrataki – rośnie więc prawdopodobieństwo jakichś desperackich demonstracji siły i brutalności, ślepego odwetu. Także prowokacji.

Tymczasem prezydent USA przekazał w Warszawie ustalenia ubiegłotygodniowego szczytu w Brukseli, że NATO nie zamierza wysyłać swoich żołnierzy na Ukrainę. Tym bardziej nie ma mowy o żadnej „zbrojnej misji pokojowej”, jaką proponował Kaczyński. Dla prezydenta Zełenskiego, który coraz mniej dyplomatycznym językiem domaga się od państw Zachodu zdecydowanego zaangażowania „w wojnę Rosji przeciw wolnemu światu”, to musi być rozczarowujące. Ale NATO powtarza, że jest sojuszem obronnym, ograniczonym do terytorium państw członkowskich. Tchórzostwo? Nie, bo nie chodzi tu o brak empatii wobec ogromu cierpień Ukraińców – mamy do czynienia z racjonalną i również humanitarną kalkulacją. Bezpośrednie zderzenie NATO–Rosja niesłoby ryzyko wybuchu potężnej wojny regionalnej, nawet światowej, z nieodgadnioną liczbą nowych ofiar, także dewastacją terytorium Ukrainy i krajów sąsiednich w przypadku użycia przez Rosję broni masowego rażenia.

A los walczącej Ukrainy? Przy wszystkich hołdach złożonych bohaterstwu ukraińskiej armii i poświęceniu cywilów komunikat płynący z Brukseli i Warszawy do Kijowa jest prosty: Putina musicie powstrzymać sami – oczywiście wsparci dostawami „defensywnej” broni, danymi wywiadowczymi oraz „bezprecedensowymi w historii” sankcjami gospodarczymi i politycznymi, nałożonymi na Rosję i jej aparat władzy. Strategicznie, uspokajał prezydent USA, Rosja już tę wojnę przegrała, wytrzymajcie.

Rzeczywiście, wywiady ukraiński i amerykański mówią o możliwym wycofaniu się wojsk rosyjskich do Donbasu, odpuszczeniu, grożącego klęską, szturmowi Kijowa i Odessy. Potencjał armii rosyjskiej jest już tak wyczerpany, że – poza morderczymi ostrzałami – nie jest ona zdolna ani do okupacji znaczącej części ukraińskiego terytorium ani do kolejnych akcji zaczepnych, zwłaszcza wobec krajów NATO. Ponowiony w Warszawie komunikat o bezwzględnej obronie każdego cala ziem Sojuszu musiał brzmieć twardo, ale kwatera główna NATO nie zdecydowała przecież o wysłaniu do Polski kolejnych 20–30 tys. żołnierzy (czego

oczekiwało wielu polskich polityków), nie padły deklaracje utworzenia stałej bazy amerykańskiej czy przemieszczenia do nas kolejnych baterii Patriot. Do czerwcowego szczytu NATO to się może zmienić, ale widać, że niebezpieczeństwo przekroczenia przez Rosję czerwonej linii, czyli granic Sojuszu, nie jest dziś uważane za realne. Jednak nawet jeśli nie będzie gorącej wojny, będzie zimna.

Słuchając opowieści ukraińskich uchodźców o bestialskich atakach wojsk rosyjskich na ludność cywilną, Joe Biden nazwał Władimira Putina zbrodniarzem i rzeźnikiem. To był wyraźny sygnał także do przywódców Zachodu, że z Putinem się nie negocjuje; prezydent Rosji został odgradzony od cywilizowanego świata żelazną kurtyną. Biden w Warszawie (jak Churchill w Fulton w 1946 r.) ogłosił de facto początek nowej zimnej wojny Zachodu z Rosją, i ostrzegł, że może ona potrwać lata. No, chyba że sami Rosjanie wcześniej zdecydują, że „ten człowiek nie może pozostać u władzy” – to zdanie, dyplomatycznie potem łagodzone, ale jego sens był jasny dla wszystkich.

Prezydent USA mocno zarysował główne materialne i moralne fronty tej wojny. Gospodarczo chodzi przede wszystkim o ograniczenie podstawowego źródła dochodów Rosji, czyli eksportu ropy, gazu i węgla. W Brukseli na szczycie Unii Europejskiej i G7 powołano grupę zadaniową, która ma szybko przygotować warunki techniczne dla importu gazu skroplonego z USA i z innych kierunków. Nawet Niemcy ogłosili, że chcą zaprzestać importu rosyjskiego gazu już do końca 2024 r., co ostatecznie grzebie projekt Nord Stream 2 i całą merkelowską politykę „wiązania Putina”. Joe Biden, faktyczny gospodarz trzech brukselskich szczytów, potwierdził tym samym, że „America is back”, po epoce Trumpa, wróciła do roli lidera Zachodu, a Zachód, „dzięki Putinowi”, znów odzyskuje dawną jedność, sprawczość i moralną siłę.

To właśnie była ta druga polityczna i etyczna część przekazu Bidena: nowa zimna wojna będzie przede wszystkim konfrontacją wartości, demokracji z dyktaturami, świata wolności ze światem zniewolenia, prawa z bezprawiem. Cytował słowa Lincolna: „To prawo daje siłę, nie odwrotnie”. I dodawał, że „my też mamy tu lekcje do odrobienia”. Czytelna aluzja do niedemokratycznych praktyk obecnej polskiej władzy, niedawno wprost wymienianej przez Bidena, obok Węgier, wśród reżimów autorytarnych.

Dziś Polska jako kraj frontowego zaplecza została – i inaczej nie mogło być – ogłoszona niezawodnym sojusznikiem USA. Ale stało się też coś ważniejszego,

głębszego: Polacy, imponujący światu ofiarnością, z jaką przyjęli uchodźców, odzyskali dla Polski szacunek i sympatię zachodnich społeczeństw. To jednak w małym stopniu dotyczy samej władzy, która, jak może, próbuje grzać się w tych nowych emocjach. Na spotkaniu z Andrzejem Dudą (prezydent sam doznał probidenowskiego resetu i pozornego wzrostu politycznej wagi) Joe Biden mówił: „Najważniejsza rzecz, jaka nas łączy, to nasze wartości – wolność, wolność prasy, wolność mediów”, jawnie nawiązując do sprawy lex TVN, czyli rozpętanej przez PiS nagonki na niezależne media.

Widoczna nieobecność Kaczyńskiego – w końcu wicepremiera ds. bezpieczeństwa – na przemówieniu prezydenta USA była więc zapewne demonstracją obrazy i z powodu zlekceważenia przez Amerykanów „naczelnika państwa” oraz jego „ukraińskiej inicjatywy”, i z powodu ledwie zawołanych reprimend za naruszanie przez polskie władze demokratycznych standardów oraz jedności Zachodu. Prezes już zresztą zapowiedział powrót do przedwojennej polityki, łącznie z odgrzewaniem bredni o smoleńskim zamachu, kontynuacją konfliktu z Unią w kwestii praworządności, nieograniczonego zadłużania państwa pod wyborcze potrzeby, co piarowcy premiera bezwstydnie nazwali „tarczą antyputinowską”. Biden w Warszawie swoje powiedział, Kaczyński swoje robi. Mógłby spokojnie, naśladując Viktora Orbána, oświadczyć: w wojnie rosyjsko-ukraińskiej jestem po własnej stronie.

Niepowaga

Polityka 18 (3361), 26.04.2022 r.

Wybór Emmanuela Macrona na prezydenta Francji to dobra wiadomość dla Unii Europejskiej, dla Polski, dla Francuzów chyba też, choć tu głosy były podzielone (58:42). To nie jest dobra wiadomość dla rządu PiS. Kuriozum politycznym był przedwyborczy atak premiera Mateusza Morawieckiego na Macrona, za co w rewanżu usłyszał, że jest nacjonalistą i antysemitą. To zapowiada w przyszłości marne relacje polsko-francuskie, bo przy całej dyplomatycznej poprawności polityka francuska jest kształtowana osobiście przez prezydenta, a ten raczej nie zapomni impertynencji Morawieckiego. Zważywszy, że po brexicie Francja jest jedynym europejskim mocarstwem dysponującym bronią jądrową i stałym

miejszem w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, akcję premiera przeciwko faworytowi francuskich wyborów trzeba by uznać za strategiczny idiotyzm, najłagodniej – za ekstrawagancję, sprzeczną z polską racją stanu.

Po co Morawiecki to robił? Zapewne premier miał polecenie od wicepremiera, aby mimo powagi rosyjskiego zagrożenia nie rezygnować z obrzydzania Polakom Unii Europejskiej, jej liderów i reguł. Dlatego wyjątkowo celna jest złośliwość Donalda Tuska, że Morawiecki, Ziobro, Kaczyński to dziś (obok Orbána) rosyjskie pociski balistyczne wymierzone w Zachód. Faktycznie, przeciwnicy integracji mają problem: Unia Europejska pod presją kolejnych potężnych kryzysów zaczęła się „federalizować”. Od dwóch lat podejmuje bezprecedensowe wspólne przedsięwzięcia: europejski program szczepień, fundusz pocovidowej odbudowy, sankcje na Rosję, dostawy broni na Ukrainę... Wybór Macrona, który po odejściu Angeli Merkel staje się dziś najważniejszym politykiem Europy, oznacza, że Wspólnota będzie się zacieśniać, z Polską lub bez.

Oglądałem trzygodzinną debatę prezydencką Macron-Le Pen. Imponujące: nie tylko dlatego, że w ogóle robią tam takie rzeczy, że rywale byli sprawni i dobrze przygotowani, ale też, że mimo nieuniknionych polemicznych chwytów była to poważna merytoryczna konfrontacja bardzo różnych wizji Francji i różnych osobowości. Okazuje się, że polityka, pozostając spektaklem, może być jednak traktowana serio, a politycy nie muszą uprawiać błazenady. A właśnie zarzut niepowagi jest jednym z cięższych, jakie trzeba adresować w stronę naszej politycznej elity, która niezmiennie przypomina wybrańców castingu do kolejnego sezonu „Ucha prezesa”. Tyle że dziś to jest coraz mniej zabawne.

Kto na przykład uwierzy w kompetencje militarne Mariusza Błaszczaka, działacza partyjnego rzucanego przez prezesa na kolejne posterunki? Fachowcy wojskowi mówią, że zakupy dla polskiej armii są spóźnione, chaotyczne, na pokaz, niemożliwe do skontrolowania, że nie uwzględniają wniosków płynących z wojny w Ukrainie. Dobrze chociaż, że to oficerowie NATO, a nie minister Błaszczak i jego kadry dowodzą akcją pomocy Ukrainie z terytorium Polski, bo byłoby jakieś nieszczęście. Przy tym obecny minister obrony to i tak jest postęp w stosunku do poprzednika. Wciąż szokuje, że bezpieczeństwo kraju prezes PiS powierzył Antoniemu Macierewiczowi, człowiekowi o tajemniczych powiązaniach i mocno zaburzonym postrzeganiu rzeczywistości. Macierewicz dewastował polską armię kadrowo i sprzętowo, kompromitował ją dziwacznymi wypowiedziami

i nominacjami (pamiętamy „ministra” Misiewicza?) i został odwołany dopiero pod naciskiem NATO.

A ministrowie Sasin, a Kamiński, a Ziobro, który z ustrojowo marginalnej Izby Dyscyplinarnej dla sędziów uczynił pole zajadłego sporu z Unią Europejską, co już kosztuje nas miliardy euro? Nawet Andrzej Duda, w którym wielu chce dziś upatrywać patrona nowego, bardziej racjonalnego PiS, nie ma w swoim obozie politycznym ani powagi, ani szacunku. Wybrańcy Jarosława Kaczyńskiego z reguły są pozbawieni cech samodzielności – stali się nosicielami poglądów prezesa, jego fobii, przekąźnikami jego emocji; w tym kręgu nikt już chyba nie ma odwagi i niezależności, jaką w swoim czasie miał Ludwik Dorn. Specyficznym rzecznikiem nowogrodzkiego dworu jest sam premier, który sprawia wrażenie, jakby od rana do nocy był sterowany przez specjalistów od wizerunku i wizażu. Żaden szef rządu w historii III RP nie miał tylu konferencji prasowych, aranżowanych wystąpień, piarowych bon motów, starannie dobranych dekoracji, „roboczych” strojów. Te stroje często udają mundury, ale np. w dotkniętej katastrofą górniczą kopalni Pniówek Morawiecki wystąpił w czarnej kurtce z orłem i z napisem „Prezes Rady Ministrów”. To jednak i tak najmniej istotna przebieranka premiera.

Od wybuchu wojny jego główną rolą jest odgrywanie „kaznodziei i moralizatora Europy”. Morawiecki już codziennie poucza i strofuje Zachód: że jeszcze nie wstrzymał całkowicie importu rosyjskich paliw (tak jakby Polska wstrzymała), że mógłby nałożyć ostrzejsze sankcje i w ogóle „robić więcej”. W weekend premier ogłosił, że wysyła do miast Europy przewoźne billboardy „Stop Russia now!”, by „budzić sumienia”, co starszemu pokoleniu musi się kojarzyć z akcją Jerzego Urbana wysyłania koców dla biedaków w Nowym Jorku. Nieustanne rozliczanie innych nie zostawia już miejsca na zdanie sprawy, co rząd polski sam robi dla Ukrainy i Ukraińców. Na razie premier zażądał od Unii 11 mld euro za i na pomoc dla uchodźców, od początku świadczoną głównie przez społeczne pospolite ruszenie.

Mimo ostatniej, typowej dla niego, deklaracji, że rząd „zabezpiecza bezpieczeństwo Polaków”, widać, jak ryzykowne staje się dziś prowadzenie polityki do piaru i poszukiwania politycznego złota. Tym razem myślę też o gospodarce i finansach państwa. W warstwie narracyjnej politykę gospodarczą Morawieckiego da się sprowadzić do serii grepsów: Strategia Odpowiedzialnego

Rozwoju, Polski Ład, kolejne tarcze, w tym ostatnio „antyputinowska”, zapowiedzi „derusyfikacji” energetyki czy przebojowa „putinflacja”. W praktyce mamy przedwyborcze nakręcanie wydatków, czemu towarzyszy wzrost stóp procentowych i zadłużanie państwa na prawo i lewo. „Dług Morawieckiego”, ukrywany po różnych kątach, może wkrótce sięgnąć 1,5 bln zł.

Sytuacja Polski jest chyba najpoważniejsza w tym stuleciu: mamy brutalną wojnę za naszą granicą, dwa miliony uchodźców na naszym terytorium, coraz bardziej rozpaloną i rozregulowaną gospodarkę. Odpowiedzią są pozorowane „programy”, zakłamywanie faktów, odkładanie decyzji, lejąca się od rana do nocy radosna propaganda sukcesu, pompatyczne przemowy i inscenizacje. Polska jest chora na niepowagę.

DLA BEZPIECZEŃSTWA
KAŻDA POLSKA RODZINA
DOSTANE 5M DRUTU
KOLCZASTEGO



Dwie ciężkie stopy

Polityka 21 (3364), 17.05.2022 r.

Kadencja Adama Glapińskiego, właśnie wybranego ponownie na prezesa Narodowego Banku Polskiego, skończy się w 2028 r. Kawał czasu. Nawet jeśli opozycja wygra przyszłoroczne wybory, będzie miała przez kilka lat nieprzyjaznego, może nawet wrogiego prezesa NBP. Okoliczności powołania Glapińskiego na urząd, jego przedwyborcza wizyta w sztabie PiS na Nowogrodzkiej, a przede wszystkim wypróbowana lojalność wobec Jarosława Kaczyńskiego, raczej nie zostawiają wątpliwości co do bezstronności prezesa NBP. Przeciwnie, można zakładać, że zrobi wszystko, aby zaszkodzić ewentualnej przyszłej ekipie. Paradoksalnie to akurat ustrojowo ma spore zalety. NBP powinien być niezależny od rządu, niepowiązany z władzą, a jego prezes wraz z Radą Polityki Pieniężnej mają jedynie czuwać nad stabilnością pieniądza. To będzie łatwiejsze przy politycznym konflikcie (choć nie wojnie) między obiema stronami ul. Świętokrzyskiej (NBP mieści się tu naprzeciwko Ministerstwa Finansów). Nieszczęściem pierwszej kadencji prezesa Glapińskiego były właśnie jego bliskie, przyjacielskie stosunki z rządem i prezesem PiS, co zredukowało bardzo mocną konstytucyjnie pozycję NBP do roli jednej z agend rządowych.

Opozycja miała pretensje do Glapińskiego właśnie o sprzeniewierzenie się obowiązkowi ochrony waluty, po to, by praktycznie bez ograniczeń i na każde żądanie dostarczać rządowi pieniędzy. Niski kurs złotego, emisje „pod korek” tzw. obligacji covidowych, zbyt długie podtrzymywanie zerowych stóp procentowych, gawędy prezesa zachęcające do zaciągania kredytów i powiększania wydatków publicznych – to wszystko stworzyło ekonomiczną ściółkę, na której wybuchł pożar inflacji. Nawet jeśli ogień podłożył Putin, w obecnych rekordach cenowych udział „putinlacji” jest podobny jak „glapinflacji”, co potwierdza wskaźnik tzw. inflacji bazowej, oczyszczonej z wpływu cen paliw i żywności, na które bank centralny akurat ma niewielki wpływ. Gdyby nie świetna współpraca Glapińskiego z Morawieckim, inflacja w Polsce byłaby niższa.

Jej obecny poziom (12,4 proc. w kwietniu) i prognozy sięgające nawet 17–20 proc. w ciągu kilku miesięcy to fatalna wiadomość dla wszystkich, a w pierwszej kolejności dla kredytobiorców. NBP w końcu musiał się zdecydować na podwyżki stóp procentowych. Dla rodzin, które w ostatnich latach zaciągnęły kredyty hipoteczne (4,2 mln Polaków jest zadłużonych na ponad 520 mld zł), to dramat, często ruina domowych budżetów. Dziś żal, że w Polsce prawie nie było umów kredytowych ze stałą stopą procentową, w czym także jest wina NBP, bo zabrakło

woli i pomysłu, aby NBP asekurował banki, sam dostarczając im kredytów o stałych stopach. Ale trudno, wrzątek wykypiał. Teraz rząd próbuje jakoś łagodzić skutki kredytowego szoku. Ekonomiści są jednak sceptyczni wobec głównych propozycji premiera: wakacje od kilku rat działają jak doraźny środek przeciwbólowy, maskują objawy choroby, nie leczą. Zastąpienie tzw. referencyjnej stawki WIBOR (rynku międzybankowego) niższą, nazywaną Polonią, dałoby ulgę minimalną (ocenianą na ok. 0,5 pkt proc.) albo żadną, bo banki mogłyby bez trudu odbić swoje straty w marżach. Jedyna w miarę realna, choć trudno dostępna, byłaby pomoc z Funduszu Wsparcia Kredytobiorców.

Propozycje premiera to piarowe triki, z czego on sam jako były bankowiec pewnie zdaje sobie sprawę. Tu nie ma innego sposobu niż skuteczne ograniczanie inflacji, a w ślad za tym stóp procentowych. Jeśli w miarę szybko udałoby się przygasić pożar cenowy, ogromna większość spłacających raty może zachować wypłacalność, oczywiście kosztem rozmaitych życiowych wyrzeczeń. Dlatego wszyscy pytają, kiedy ceny zaczną się wreszcie stabilizować. Oczywiście wojna Putina bardzo komplikuje przewidywania, ale nie zmienia reguł ekonomii: trzeba, niestety, ograniczać podaż pieniądza i popyt. Kolejne tzw. tarcze antyinflacyjne wprowadzane przez rząd działają w drugą stronę: znów dają chwilową ulgę, ale nakręcają spiralę wzrostu dochodów i cen oraz tzw. oczekiwania inflacyjne. Lepszy jest pomysł PO ściągania gorących pieniędzy z rynku za pomocą atrakcyjnie oprocentowanych obligacji, jednak opozycja proponowała tu oprocentowanie na poziomie inflacji, a rząd na poziomie WIBOR, czyli dziś 6,3 proc.; równo połowę. Słabo.

Ponieważ aż 80 proc. oszczędności Polaków to depozyty na rachunkach bieżących, ten nawis inflacyjny, gorący dyspozycyjny pieniądz, przed wypływem na rynek może zatrzymać tylko zwiększenie oprocentowania depozytów przez banki. To, czego premier mógłby spróbować, to wymusić na wielkich bankach państwowych (zwłaszcza PKO BP i znacjonalizowanym Pekao SA) podwyższenie oprocentowania depozytów i lokat. To mogłoby wywołać podobne reakcje mniejszych banków komercyjnych i ruszyć wreszcie w górę oprocentowanie kont i lokat. Zamiast tego premier straszy banki jakimiś administracyjnymi sankcjami.

Realna walka z inflacją wymaga, aby rząd i NBP ciągnęły w jedną stronę: podwyższaniu stóp procentowych (restrykcyjna polityka monetarna) musi towarzyszyć obniżanie wydatków państwa (restrykcyjna polityka fiskalna). Inaczej

jest tak jak teraz: NBP mocno naciska na hamulec, rząd równie ciężką stopą dodaje gazu. Morawiecki zapewne chciałby utrzymać już wprowadzone ulgi i tarcze (nazywane kiedyś dodatkami drożyznianymi) aż do wyborów, a pewnie i podsypać wyborcom dodatkowe pieniądze. Już teraz mamy największy przyrost deficytu budżetowego w UE, a nabywcy polskich papierów dłużnych każą sobie płacić ogromnymi, dziś prawie 7-proc. marżami.

Polska gospodarka jest u progu recesji; utrzymujący się jeszcze wzrost PKB jest coraz bardziej pozorny, jałowy, inflacyjny. Inwestycje zamierają, pieniędzy z KPO wciąż nie ma, i nawet jeśli formalnie Komisja Europejska je odblokuje, wypłaty będą wciąż zagrożone naruszeniem przez Polskę zasad praworządności. Z Glapińskim nie mamy też szans na przyjęcie do końca tej dekady waluty euro. Polityka gospodarcza PiS jest przede wszystkim polityką. To się już mści. Od czasów Gierka PiS jest najdroższą dla nas władzą.



POTwór I SPÓŁKA

Kiedy skończą się wakacje, formalnie zostanie tylko rok do wyborów. Na razie już ruszyły intensywne badania terenowe elektoratu: liderzy głównych partii i lokalni działacze rozpoczęli spotkania z wyborcami. W ciągu paru tygodni takich spotkań odbyło się podobno kilkaset, ale politycznie i medialnie liczą się przede wszystkim podróże Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego. Obaj odwiedzają najczęściej średnie i mniejsze miasta – Sochaczew, Grudziądz, Końskie, Nowa Ruda – bo tam ma się rozegrać decydująca batalia o brakujące każdemu do zwycięstwa kilka procent głosów. Spotkania mają różny charakter. Tuskowe są bardziej otwarte, częściej konfrontacyjne; Kaczyńskiego – reżyserowane i strzeżone, ale w gruncie rzeczy chodzi o to samo. Obaj liderzy testują tematy kampanijne, reakcje publiczności, ćwiczą retoryczne chwytły.

Paradoksalnie, tym razem nieco łatwiejsze zadanie ma Donald Tusk, bo bardzo niewygodny dla władzy temat inflacji (w języku PO nazywanej drożyzną) jest dziś absolutnie polskim lękiem numer jeden. Ale czy będzie głównym tematem kampanii? Wielka konwencja PO w Radomiu, a zwłaszcza wystąpienie Donalda Tuska, sugerują linię ataku: to вина PiS, że inflacja w Polsce jest nieporównanie wyższa niż w innych krajach Europy, więc kiedy odejdzie Glapiński i „skończy się PiS, skończy się drożyzna”. Przy tym lider PO nie daje się wciągać w subtelniejsze rozważania o sposobach walki z inflacją czy usunięcia ze stanowiska prezesa NBP – przekaz jest prosty, dosadny, emocjonalny. To tu, na froncie inflacyjnym, Tusk chce złamać Kaczyńskiego.

Prezes PiS i jego sztabowcy ćwiczą na razie dwie równoległe strategie. Pierwsza to przyklejenie inflacji do Tuska. Trochę to karkołomne, ale nie takie figury wykonywała już propaganda PiS: więc Donald „für Deutschland” Tusk jako sojusznik Angeli Merkel ośmielił Putina do inwazji i tak stał się współsprawcą „putinflacji”. Argument pomocniczy: Platforma z niczym sobie nie radziła, była „rządem polskiej biedy”, zatem jej dojście do władzy tylko pogorszyłoby sytuację polskich rodzin, które PiS chroni dziś antyinflacyjnymi tarczami.

Strategia druga: partyjni piarowcy usiłują front przyszłej kampanii ustawić możliwie daleko od drożyzny. Próbowane są więc wszystkie chwytły polaryzacyjne z poprzednich zwycięskich kampanii. Żenujące dla liberalnego elektoratu naśmiewanie się Kaczyńskiego z osób transpłciowych to oczywisty test

skuteczności „broni LGBT”, dzięki której – w powszechnej opinii – PiS wygrał eurowybory. Osoby transpłciowe są w Polsce nieliczne, ale świetnie nadają się do montowania moralnego oburzenia wobec dowolnego niby wyboru płci („dziś Piotr, jutro Zosia”, jak mówi Kaczyński). Poprzednio podobną rolę odgrywało łączenie homoseksualizmu z pedofilią.

Na front rozgrzewanej „wojny kulturowej” został rzucony także minister Czarnek. Lansowany przez niego podręcznik do przedmiotu historia i terażniejszość autorstwa Wojciecha Roszkowskiego upowszechnia wszystkie prawicowe legendy na temat degeneracji europejskiego lewactwa, łącznie z „promowaniem masturbacji wśród przedszkolaków”. Rzekome przyzwolenie dla dewiacji seksualnych ma wykreślać granicę między „normalnym” elektoratem PiS a nienormalnymi zwolennikami opozycji.

Zapleczem tych dewiacji jest oczywiście Zachód, eufemistycznie nazywany brukselskimi elitami – tu wytyczona jest kolejna linia frontu. Owe elity chcą narzucać suwerennym narodom europejskim swoje szaleńcze ideologie – genderyzmu, LGBT, klimatyzmu, jak pogardliwie prawicowe media opisują unijne programy redukcji emisji gazów cieplarnianych, czy ideologię sanitaryzmu, która miała prowadzić do paniki epidemicznej. W ten sam ideologiczny sposób PiS interpretuje „konflikt z Unią” w sprawie naruszania praworządności w Polsce, co jakoś ma uzasadniać miliardową grzywnę za niewykonywanie wyroków TSUE oraz kolejne opóźnienia w dostępie do pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy. W poprzednich wyborach Kaczyński straszył też starszy elektorat idącą z Zachodu ideologią „prawie przymusowej eutanazji” – i prawdopodobnie znów po to sięgnie.

Dodatkowym wzmocnieniem narracji o wrogim Zachodzie jest tubalna retoryka antyniemiecka. Czego już tu ostatnio nie było? I zestawianie kanclerza Niemiec z Hitlerem, i oskarżanie Niemców o zamiar budowy IV Rzeszy, o uległość i konszachty z Putinem, o plany podboju Europy czy zbrojenia się przeciw Polsce. Z badań Instytutu Spraw Publicznych wynika, że większość Polaków wciąż darzy Niemców szacunkiem i sympatią, zatem mamy tu do czynienia ze świadomym, cynicznym wywoływaniem antyniemieckich fobii. Mogą się wyborczo przydać, podobnie jak na nowo podnoszony w prorządowych mediach „izraelski antypolonizm”, co wróży przedwyborcze testowanie aluzji antysemitycznych. W samej kampanii, czyli raczej w przyszłym roku, trzeba się też spodziewać coraz silniejszych wątków antyukraińskich. Zarzuty o nadużywanie polskiej

gościnności, niewdzięczność ze strony uchodźców i władz Ukrainy już dziś są mocno obecne w prawicowej sieci.

Choć Radosław Sikorski rytualnie napominał w Radomiu, że „wrogiem Polski nie są inni Polacy, ale Putin”, nie ulega wątpliwości, że głównym kierunkiem kampanijnego natarcia PiS cały czas będzie wykreowany twór, zwany ogólnie „opozycją”, uosabiający wszelkie winy, bezceństwa, głupoty, zdrady. Już padają oskarżenia, że Donald Tusk (taki kreskówkowy „POtwór”?) – u którego Kaczyński zauważył poważne zmiany psychiczne – przygotowuje „coś w rodzaju wojny domowej”, a to może oznaczać zawołaną zapowiedź czegoś w rodzaju stanu wyjątkowego w okolicach wyborów.

Testowane dziś przez PiS chwytły kampanijne dobrze pokazują, co prezes sądzi o własnym elektoracie, co jego zdaniem „będzie żarło” w wyborach 2023. Wydaje się, że poza tradycyjnym „dziel i szczyj” nie ma tu nic nowego ani nic na serio, na miarę rzeczywistych zagrożeń dla Polski. PiS nie będzie przecież mówił o stanie (nie)przygotowania kraju do ewentualnej wojny ani o konieczności przestawienia budżetu z wydatków socjalnych na zbrojeniowe, ani o niezbędnej transformacji energetycznej, o nadchodzącej recesji, o skali zadłużenia państwa, o przymusie antyinflacyjnego ograniczania wydatków publicznych i prywatnych, o integracji przybyszów z Ukrainy itd.

Ale i opozycja ma tu problem ze szczerością. Na tym właśnie polega populistyczna pułapka: Tusk może ogólnie solidaryzować się z Polakami w bólu nad drożyzną, pokazywać „złodziejstwo i głupotę PiS”, ale jeśli chce zachować szanse wyborcze i podjąć się naprawy państwa, nie może dziś żądać od obywateli wyrzeczeń, proponować „trudnych reform”, wpędzać ich w dyskomfort. Kaczyński wcześniej niż inni zorientował się, że ludzie – a już na pewno wyborcy, których sobie wybrał – bardziej niż prawdy chcą złudzeń, że słowa łatwo biorą za czyny, a zamiast rozwiązań chętnie szukają winnych. Niestety, pod wpływem populizmu dziecinnieje cała polityka, także opozycyjna. Więc już czuć, że długa kampania będzie ostra, pusta, demagogiczna. Demokracja nigdy nie jest lepsza niż wyborcy.

Niemcy ponad wszystko

Polityka 41 (3384), 04.10.2022 r.

Obejrzałem zapisy z kilku ostatnich spotkań Jarosława Kaczyńskiego z działaczami i sympatykami partii ciekaw, czy da się z tego odczytać polityczną taktykę PiS na najbliższe miesiące. Samych widowisk nie polecam, może poza scenografią, zwłaszcza wtedy, gdy organizatorzy usadzają za plecami prezesa statystów, bohaterów drugiego planu, np. kompletnie nieruchomych osób w galowych mundurach, jak bodaj w Oleśnicy. Skojarzenia z partyjnymi spędami z czasów PRL są dojmujące. Sama forma wystąpień, jeśli ktoś nie widział, jest ustalona i powtarzalna, bo takich spektakli ma być w sumie 100, w każdym z nowych partyjnych okręgów. To zwykle półtoragodzinne monologi, niespieszne, dygresyjne, familiarne, pełne wszakże ostrych tez, gdzie za dowody służą przykłady i swobodnie snute przypowieści. Ten niepodrabialny styl prezesa nazwaliśmy kiedyś insynuacyjnym i trzeba powiedzieć, że prezes jest w tym naprawdę sprawny.

Co do treści, w porównaniu z letnią (gwałtownie przerwana) rundą objazdów trochę się zmieniło. Zapewne pod wpływem badań opinii publicznej Jarosław Kaczyński zrezygnował całkowicie z dominujących w pierwszej fazie kampanii prześmiewczych ataków na osoby transpłciowe. W ogóle mocno obecne we wszystkich ostatnich kampaniach PiS wątki płynącej z Zachodu deprawacji seksualnej, ideologii LGBT, gender, multi-kulti itd. – pojawiają się rzadko i w bardzo okrojonej formie, jako ogólne zagrożenie dla chrześcijańskich wartości. Wrogiem, jednoczącym elektorat, zostały teraz mianowane „Niemcy”. Tu chyba sondaże były dla PiS zachęcające, bo Kaczyński w każdym przemówieniu z nowego cyklu skacze po Niemcach jak jego ulubieni kowboje na rodeo. Bez jakiegokolwiek (pożyczając słowo od Morawieckiego) autoreglamentacji.

Pisaliśmy o tym wielokrotnie, więc tylko najnowsze frazy: Niemcy to „zbrodniczy naród” udający moralne mocarstwo, który chce stworzyć w Europie nie jakąś tam federację, ale jedno państwo rządzone przez nich. Ten plan wywodzący się od Bismarcka został opisany w książce „Mitteleuropa” z 1915 r. i właśnie jest realizowany. Polska ma być zawsze podporządkowana Niemcom, a Polacy traktowani „cacy, cacy, buch po glacy”. Nie ma żadnego sporu Polski z Unią, jest tylko ten z Niemcami, nierozgarniętym kanclerzem Scholzem i drugorzędną polityczką von der Leyen. Dlatego nie dostaniemy od nich pieniędzy z KPO, ale „reparacje wyegzekwujemy”...

Ta opowieść o Niemcach płynnie przechodzi u Kaczyńskiego w opowieść o opozycji, która jest „stronnictwem niemieckim”. Do tej, od miesięcy powtarzanej, tezy dodawane są tylko nowe ilustracje. Była więc historia o polskich parlamentarzystach wyrzucanych z niemieckiego pociągu („GW” bezskutecznie usiłowała znaleźć choćby cień potwierdzenia); o tym, jak Zbigniew Ziobro osobiście nie pozwolił, aby odebrać polskiej matce dziecko i przekazać je niemieckiemu ojcu (za zgodą polskiego sądu!). Wrócił „dziadek z Wehrmachtu”, bo „wiemy u kogo” w domu mówiło się po niemiecku, choć ten pan próbuje teraz „przemalować się na polskiego patriotę”. Nawet śp. Władysław Bartoszewski (wywołany bez nazwiska, ale czytelnie) został przedstawiony jako głosiciel polskiej „mikromanii” i rzekomych win wobec Żydów, choć sam podczas okupacji „może wolał Niemców”.

Totalna, brutalna – cytuję dalej – i mająca ogromną przewagę medialną opozycja cały czas pogardza Polakami, o których pewien pan powiedział „ludność”. Opowiada się też za nakładanymi przez Niemców z Brukseli sankcjami na Polskę. Kłamie o rzekomej dyktaturze w Polsce, bo „przy pomocy propagandy można ludziom wmówić wszystko”, a to przecież działacze PO, zgodnie z „doktryną posła Neumanna”, kontrolowali sądy i byli bezkarni, nawet jak przejechali kogoś na przejściu dla pieszych... To mała próbka treści i formy tego objazdowego teatru jednego aktora.

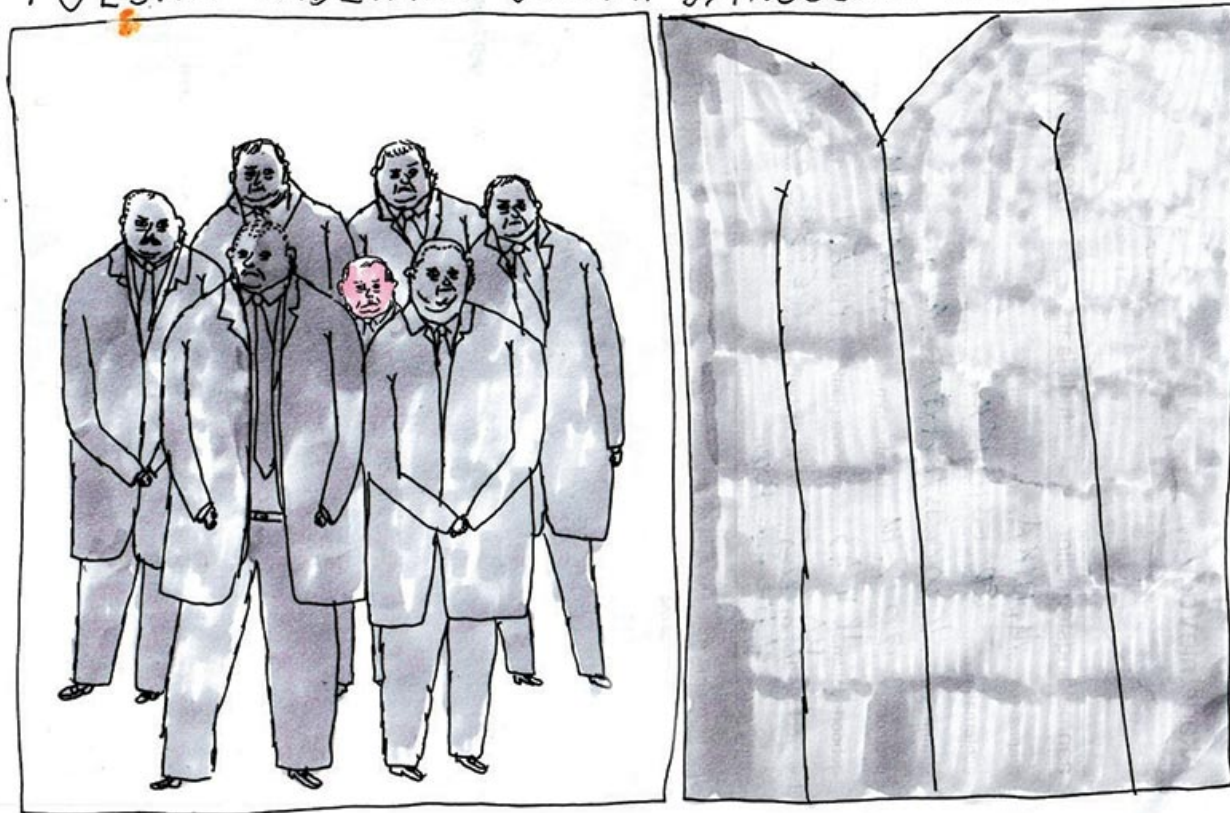
Nowe w ostatnich wystąpieniach prezesa są odniesienia do inflacji i nadchodzących wraz z zimą problemów energetycznych – czego wcześniej Kaczyński jednak unikał. Partyjny przekaz został tu już sformatowany i brzmi mniej więcej tak: mamy inflację (nie z naszej winy i jak wszędzie), ale za to u nas wzrost płac wciąż jest bliski wzrostowi cen (nieprawda, obecnie to jak 10:17); w dodatku rząd szykuje kolejne tarcze osłonowe, a np. 13. i 14. emerytury wejdą do budżetu na stałe.

Potwierdza się, jak pisaliśmy, że PiS odpuszcza realną walkę z inflacją, bo to społecznie i politycznie zbyt ryzykowne – zamierza jedynie łagodzić jej skutki. Przy okazji ustawiając się w roli dobroczyńcy wystraszonego społeczeństwa. Skąd pieniądze na tę hojność? Tu Kaczyński zostawia swoich wyborców z ogólnymi zapewnieniami, że to Platforma mówiła „pieniędzy nie ma i nie będzie” (śmiech), a kiedy rządzi PiS, to są, bo – jak dwuznacznie mu się powiedziało – „opanowaliśmy rabunek państwa”. Słowa „dług, zadłużenie” prezes omija

szerokim łukiem. To dobrze, spełniliśmy obietnice i dalej będzie dobrze – zapewnia.

Ale przecież uzasadnienie już jest gotowe: suwerenność nie ma ceny, zwłaszcza gdyby mieli ją zapłacić wyborcy „niemieckiego stronnictwa”.

POLSKA WIDZIANA OCZAMI JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO



Patrioty i patrioci

Polityka 49 (3392), 29.11.2022 r.

Jarosław Kaczyński w swoim objeździe po kraju wielokrotnie drwił z kanclerza Niemiec Olafa Scholza. Inwektywy, oskarżenia, wręcz jawne obelgi pod adresem Niemców i kanclerza, stały się główną treścią kampanijnego przekazu PiS. Ciekawe, że jak dotąd Niemcy nie protestowali, milczeli, nie dawali się sprowokować. W końcu jednak zareagowali.

Scholz uchodzi za polityka bardziej od Merkel cierpliwego, dobrze wykorzystującego okazje. Nadarzyła się po upadku obcej rakiety w Przewodowie.

Jak wiemy, rząd Niemiec od razu złożył propozycję przesunięcia swojej baterii rakiet Patriot na wschodnią granicę Polski. Nie twierdzą, że Scholz zagrał tu cynicznie lub złośliwie, ale trudno uwierzyć, że nie zdawał sobie sprawy, jaką konsternację ta oferta wywołała po polskiej stronie. Akcja w stylu „zło dobrem zwyciężaj” to był cios w samo centrum antygermańskiej narracji i mobilizacji. Oto Niemcy chcą oddać nam swój najlepszy system obronny, „bezczelnie” demonstrując przyjaźń i sojuszniczą solidarność. Bez względu na to, czy niemieckie Patrioty ostatecznie trafią do Polski czy nie, już wiadomo, że celnie uderzyły w sztab polityczny PiS, wywołując poważne uszkodzenie fasady i panikę personelu.

Przez cały tydzień obserwowaliśmy skutki tego „friendly fire”. Gdyby sprawa nie była poważna – w sumie tragikomiczne. W pierwszym odruchu nawet minister Błaszczak zachował się normalnie i przyzwoicie, przyjmując niemiecki gest „z satysfakcją”. Ale zaraz potem – jak to powiedzieć – „obsobaczony?” przez Jarosława Kaczyńskiego, publicznie sam się przeczołgał. Nagle te Patrioty z Niemiec okazały się gorsze od tych, których jeszcze nie mamy, ale mamy mieć, a Polska musi się przede wszystkim bronić sama. Więc – zgodnie z tym, co „prywatnie” rzucił w wywiadzie dla PAP Jarosław Kaczyński – najlepiej, gdyby te Patrioty przekazać Ukraińcom, jednak tak, żeby pilnowały naszej granicy. Podobnie plątał się w opiniach zwierzchnik Sił Zbrojnych, czyli Andrzej Duda, ostatecznie stabilizując się wokół przekazu, że trzeba Patrioty (jak polecił prezes) dać Ukraińcom, to znaczy, żeby Niemcy dali, a jak się nie da, to dać sobie. Bo, że „się nie da” natowskiego systemu obronnego przekazać „ot tak” Ukrainie (wraz z niezbędną, kilkusetosobową obsługą niemieckich żołnierzy), mówili natychmiast wszyscy eksperci wojskowi i politycy Sojuszu.

Po tragicznym incydencie w Przewodowie komentowaliśmy, że to był przypadkowy stress-test dla naszego systemu obrony przeciwlotniczej, a jeszcze bardziej – dla systemu informacji, zarówno wewnątrz władzy, jak i w kontakcie ze społeczeństwem. Tamten test wypadł źle, czego puentą okazała się kompromitująca dla powagi państwa rozmowa rosyjskich komików z prezydentem Dudą. „Test Patriotów” tylko potwierdził brak komunikacji między formalnymi ośrodkami władzy państwowej oraz nadrzędność nieprzewidywalnego „czynnika zewnętrznego”, czyli szefa partii. A to oznacza,

dziś szczególnie niebezpieczny, chaos decyzyjny i dominację interesu partyjnego nad bezpieczeństwem kraju.

To, że PiS woli narazić kraj na celowe lub przypadkowe ataki, niż wziąć pomoc od Niemców, politycy opozycji zgodnie określali jako zdradę stanu, wyraz chorych obsesji Jarosława Kaczyńskiego. Słusznie – pod warunkiem, że za podstawową rację stanu nie uważa się utrzymania władzy przez PiS, a tak niewątpliwie sądzi Kaczyński. W jego antyniemieckim szaleństwie jest przecież metoda. Nie chodzi tylko o to, że stawiając znak równości między Unią Europejską a „niemieckim imperializmem”, prezes próbuje przykryć, przeinaczyć istotę kosztownego dla Polski konfliktu z Unią o praworządność. Antygermanizm okazuje się jedną z tych głębokich polskich emocji, które można w kampanii wyborczej eksploatować niczym polityczne złoto. Potwierdzają to różne badania opinii publicznej, w tym np. niedawno wykonane dla portalu OKO.press.

Otóż według tego badania już prawie przestaje działać, bardzo skuteczne w wyborach 2019 r., straszenie LGBT, czyli „gejowską propagandą i seksualizacją dzieci”. Stopień społecznej akceptacji dla związków homoseksualnych (ponad 70 proc.) zbliża nas do otwartych społeczeństw Zachodu. Kaczyński testuje teraz jeden wybrany element tamtego pakietu, czyli transfobię: w swoich „heheszkach” skupia się głównie na rzekomych, lansowanych przez Zachód i opozycję, dowolnych zmianach płci. Sondaż OKO pokazuje, że ta narracja trafia do przekonania co najwyżej jednej trzeciej ogółu wyborców, a nawet zwolenników PiS dzieli pół na pół. Nadaje się do utwardzania własnego elektoratu, ale przyrostu nie daje.

Podobnie z drugim propagandowym filarem PiS – wspólną opowieścią Kaczyńskiego i Ziobry, że Unia chce zniszczyć polską suwerenność, wiarę i tradycję. Skuteczność tego argumentu znów zamyka się w ok. 30 proc. elektoratu. Dwie trzecie respondentów jest wręcz za wzmocnieniem roli Komisji Europejskiej, zaś doraźnie oczekuje od rządu wycofania się z krytykowanych przez Unię naruszeń praworządności, a tym samym uwolnienia pieniędzy z KPO. Jedyne, co pozwala PiS wyjść poza mury własnego obozu, to retoryka antyniemiecka. Opinię, że „Niemcy chcą sobie podporządkować Polskę”, podziela 47 proc. Polaków, w tym 32 proc. (to znów ten sam twardy elektorat PiS) – popiera zdecydowanie. Oczywiście, że te postawy są w dużej mierze produktem obecnej

antyniemieckiej propagandy, niemniej dla PiS – który w tych wyborach gra o życie – podczepienie się pod Niemców jest cynicznie racjonalne.

Poważne kłopoty gospodarcze, drożyzna, groźba recesji, ubóstwa i już zapowiadanych zwolnień powodują, że PiS chce przenieść kampanię wyborczą poza obszar gospodarki i realiów codziennego życia, w sferę polaryzujących ideologii i emocji. „Niemcy” (koniecznie w cudzysłowie, bo to awatar do użytku wewnętrznego) zostali w pisowskim teatrzyku politycznym obsadzeni w roli postnazistów. W tym spektaklu zarówno oferta dostarczenia nam Patriotów, jak i unijnych, a więc „niemieckich” funduszy jest przedstawiana jako pułapka zastawiona na naszą suwerenność. Wobec prawdziwej i brutalnej wojny u naszych wschodnich granic namawiam, żeby do patriotycznych frazesów jednak dodać Patrioty. Ostatecznie niech prezes potraktuje je jak przysłane od Niemców dwa nagie miecze.

Zmiana wiatru?

Polityka 45 (3388), 31.10.2022 r.

Platforma Obywatelska dyskretnie świętuje sondaż Kantara, który daje jej przewagę nad PiS; co prawda tylko 31:28 i pewnie na krótko, ale w polityce, jak wiadomo, liczy się i symbol, i trend. Najmocniejszym potwierdzeniem, że w obozie PiS zapachniało porażką, był, wniesiony naprędce i równie szybko wycofany, projekt ustawy gwarantującej nieodwoływalność – i to przez 5 lat – pisowskich nominatów w spółkach Skarbu Państwa. To było jedno z najgłupszych politycznych zagrań sezonu, czysta radość dla opozycji. Donald Tusk boleśnie kpił z PiS, mówiąc o programie „koryto na wieki”, a mającą chronić partyjne kadry i ich zarobki pompatyczną Narodową Radę ds. Bezpieczeństwa Strategicznego określił jako ROK, czyli „radę obrony koryt”. Projekt wywołał zresztą ostre napięcia w samym obozie władzy, bo nie uzgodniono wcześniej między frakcjami parytetu podziału wieczystych stanowisk. Zarówno wniesienie projektu, jak i jego wyniesienie było ciężką wizerunkową porażką. PiS pokazał przed całą Polską, że już przygotowuje się na utratę władzy, że w nerwach próbuje ocalić przynajmniej gigantyczne zarobki swoich towarzyszy i dostęp do kasy spółek Skarbu Państwa. Z kolei, rezygnując z procedowania ustawy, Kaczyński – czego się zawsze

wystrzegął – ujawnił słabość i niepewność. I nawet jeśli powody były wewnątrzpartyjne, wyglądało to na paniczną ucieczkę przed kpinami opozycji i oburzeniem wyborców.

Opozycja faktycznie dostała pretekst, aby przypomnieć, co PiS wyprawia w spółkach Skarbu Państwa. O karuzeli stanowisk (Energa w ciągu 7 lat miała 10 prezesów, PGNiG – 4, Lotos – 6, a ostatnio rządzi tam koleżanka Daniela Obajtka z Pcimia), o tym, że w spółkach wyrosły setki milionowych fortun pisowskich działaczy; że poprzez rozmaite fundacje, akcje i zlecenia finansowany jest rozległy partyjny ekosystem. Wcześniej informacje o nieprzyzwoicie wysokich zarobkach ludzi władzy czy milionowych transferach „do swoich” niespecjalnie psuły notowania PiS. To znieczulenie powoli przestaje działać.

Drożyzna, szalejące ceny energii, wzrost oprocentowania kredytów, zwłaszcza dysproporcja między wysokim tempem wzrostu cen a niskim (lub żadnym) zarobków, odwracają nastroje społeczne przeciwko władzy. Nie przypadkiem Tusk na swoich, coraz tłumniejszych, publicznych spotkaniach mówi przede wszystkim o „kłopotach życia codziennego”, znacznie mniej o erozji demokracji czy praworządności. Wobec obaw, że nadchodzi bieda i kryzys, pazerność władzy staje się jej ciężkim grzechem; rodzi podejrzenie, że „sami biorą, a nie dają”, co łamie niepisany kontrakt PiS z jego wyborcami.

Tu ustawia się front kampanii wyborczej: kto, opozycja czy jednak PiS, przekona wyborców, że lepiej potrafi zarządzać kryzysem i zadba o bezpieczeństwo w niebezpiecznych czasach? PiS gra sprawdzoną metodą: cały wysiłek propagandowy idzie na podkreślanie troskliwości i hojności władzy. Dziesiątki, może i setki milionów złotych są wydawane na kampanie reklamowe, głoszące, że „droga energia to broń Putina”, że „dzięki rządowej tarczy antyinflacyjnej” to i tamto, że „14. emerytura będzie świadczeniem stałym”, że „rząd zamroził ceny energii” itd. Szczególny rozmach ma akcja rozdawania gminom i powiatom tekturowych czeków, promes na przyszłe wypłaty. Piszemy, że te same чеki są często rozdawane wielokrotnie, obdarowują kwotami, które i tak miały być przeznaczone na lokalne inwestycje, lub pieniędzmi akonto przyszłych wypłat z Unii.

Ale co takim akcjom może przeciwstawić opozycja? Jak ma przelicytować władzę? Otóż po raz pierwszy opozycja nawet niewiele musi, bo sama rzeczywistość obnaża „tekturowość” tej polityki. Kolejne wielkie wydatki – 100 mld

zł na tarczę antyinflacyjną i mrożenie cen energii, kilkadziesiąt miliardów na dodatkowe emerytury, 60 mld na popisowy Program Inwestycji Strategicznych (PIS), 100 mld na chaotyczne zakupy zbrojeniowe itd. – muszą być finansowane z pożyczek, bo PiS już dawno wyczerpał finansowe możliwości państwa. Zadłużenie Polski rośnie lawinowo, w przyszłym roku to już będzie półtora biliona złotych, a same koszty obsługi tego długu wzrosną z 26 do 80 mld zł.

Tutaj PiS zderza się ze ścianą. Polska ma tak niską wiarygodność, jeśli chodzi o politykę antyinflacyjną i rozwojową, że tzw. rynki nie chcą nam pożyczać pieniędzy, a jeśli już, to na wysoki procent. Wzrost rentowności (czyli dla nas – kosztów) polskich obligacji jest jednym z najwyższych na świecie. Również dlatego, że ku zdziwieniu świata finansów rząd PiS zrezygnował z miliardów euro z KPO, a wskutek naruszania zasad praworządności, postawił w stan zagrożenia znacznie większe wypłaty z unijnego budżetu. W Wielkiej Brytanii rząd premier Liz Truss, która także planowała zasypywać lukę budżetową kolejnymi pożyczkami, upadł po paru tygodniach, bo najpierw eksperci, a potem politycy jej własnej partii uznali to za awanturnictwo.

W Polsce rządowi na razie nie grozi upadek, ale wobec nadchodzących wyborów opozycja zyskała potężny argument: to ona może odzyskać unijne pieniądze i wpływ na decyzje Wspólnoty, łatwiej może przyciągnąć zagranicznych inwestorów, włączyć Polskę w wielkie przedsięwzięcia rozwojowe, wygasić rozmaite wojenki Kaczyńskiego. PiS długo wydawał się teflonowy, odporny na afery i skandale, za to opozycja krucha i niewidoczna jak szkło. To się zmienia. AntyPiS, czyli sprzeciw wobec nadużyć i nieudolności tej władzy, przestaje być pozą, postawą ideową, staje się dziś pilnym, pozytywnym programem politycznym, właściwie – ratunkowym.

Prezes Kaczyński nadal głosi, że opozycja wobec jego władzy jest w istocie „niepolska”. To by znaczyło, że ponad 60 proc., czyli duża większość Polaków, to nie są Polacy. I trzeba już prezesa i jego partię zostawić z tym poglądem.



Rozdział

IX

2023: TO TEN ROK

Tak jak pisałem na początku tej książki, wszystko, co w niej jest, można traktować jako wstęp do końcowego rozdziału. W finale głos mają zabrać wyborcy i to będzie nienapisana jeszcze puenta tej historii. Dlatego „ten rok” zacznę nie od przypomnienia wydarzeń (kilka tych najważniejszych, od wizyty Joe Bidena, sprawy jednej listy opozycji czy marszu 4 czerwca, znajdzie się w „Przypisach”), ale obaw i nadziei, z jakimi otwierałem pierwszy numer gazety w 2023 r. Fragment już cytowałem w prologu. „To są wybory powszechne także dlatego, że dotyczą wszystkiego (...). Trzecia kadencja PiS oznaczałaby koniec polskiego eksperymentu z demokracją”. Dalej było tak:

„Jarosław Kaczyński zaproponował Polakom przedziwną historyczną alternatywę (a właściwie „Alternatywy 4”): miks sanacji, endecji, sarmatyzmu i komunizmu. W istocie powrót do praktykowanych przez pokolenia – mocno wdrukowanych w nasze polityczne i społeczne DNA – kompleksów, urojeń, mitów, nieufności wobec obcych i wobec państwa, małego życiowego realizmu i konformizmu.

Po 1989 r. dostaliśmy nieoczekiwaną szansę zbudowania nowej Polski według przeniesionych, ale i szczerze podziwianych, wzorów zachodnich. Poszło może za szybko, za płytko, często obcesowo i prostacko, ale jeśli mierzyć – choćby porównaniem do którejkolwiek z dawnych Polsk czy do naszych wschodnioeuropejskich sąsiadów – III RP jest opowieścią o wielkim zbiorowym sukcesie i awansie. Choć to ledwie trzy dekady tej „westernizacji”, a właściwie dwie, bo w sumie już 10 lat rządzi Polską PiS, który zapowiadając korektę błędów i zaniechań transformacji, zanegował ją całkowicie.

Jarosław Kaczyński i jego partia, mając sporo szczęścia, ale i nie mając skrupułów, potrafili zamienić 40 proc. poparcia w wyborach parlamentarnych w 120 proc. władzy, w dodatku skondensowanej w jednej osobie. No i teraz: albo zdołamy ten proces faktycznej prywatyzacji, personalizacji państwa zatrzymać, albo statystyczna większość Polaków da się zepchnąć do roli politycznej mniejszości i – zapewne na długie lata, na pokolenie – utraci wpływ na państwo, i w dużym stopniu na swoją przyszłość. To się wszystko powinno rozstrzygnąć właśnie w tym roku. Powinno. Reszta to wątpliwości i dużo czarnych scenariuszy.

Prawie cały 2023 r. wypełni nam kampania wyborcza. Wiemy, że będzie najpaskudniejsza, najbardziej brutalna od początku wolnej Polski. I najbardziej

nierówna. Władza dysponuje całymi zasobami państwa i będzie ich używać jak swoich. Właśnie teraz, poprzez rozmaite finansowe przepompownie (mamy aż 126 pozabudżetowych funduszy dysponujących kwotą rzędu 400 mld zł; dziesiątki specjalnie tworzonych fundacji; zrzutki spółek Skarbu Państwa), kumulowane są środki na wybory. Po ujawnionych łapówkarskich aferach Kataru nawet dziwaczna transakcja sprzedaży Lotosu Saudyjczykom (nazywana prześmiewczo „Saudi Orlenco”) zaczyna już budzić podejrzenia. Nijak to wszystko ma się do prawa ograniczającego wyborcze wydatki partii do śmiesznej „złotówki na jednego wyborcę”. Dysproporcje potencjału między obozem władzy a rozproszoną opozycją są porażające. Wyliczono, że tylko propagandowa aktywność tzw. mediów publicznych to reklamowy ekwiwalent kilku miliardów złotych. Nie ulega też wątpliwości, że wzorem Viktora Orbána tuż przed wyborami pójdą potężne transfery finansowe – na tarcze, dotacje, dopłaty. Pieniądze? Zostaną pożyczone – po to znosi się tzw. regułę wydatkową. Realny deficyt budżetu wyniesie w 2023 r. ponad 200 mld zł, a pożyczki przekroczą zapewne 300 mld.

Władza przez cały rok będzie grała inflacją w „daje-i-zabiera”. Byle dojechać do dnia wyborów. Co potem? Węgry już weszły w powyborczy ciężki kryzys ekonomiczny, łącznie z regramentacją towarów. Ekonomiści mówią, że w Polsce koszty kampanii '23 będziemy spłacać jeszcze co najmniej przez dekadę. A i tak nie wiadomo, czy na końcu wybory w ogóle się odbędą – po to PiS, na wszelki wypadek, szykuje ustawę o nowych stanach wyjątkowych. A czy kontrolowana przez neosędziów izba Sądu Najwyższego uzna wybory za legalne i dokonane? A co stoi na przeszkodzie, aby PiS ogłosił w TVP własne exit-pole dające im zwycięstwo? Co może zmusić Andrzeja Dudę, aby misję tworzenia nowego rządu powierzył wygranej w wyborach opozycji, a nie PiS? Czy można zakładać, że tysiące nominatów partii dobrowolnie oddadzą następcom swoje stanowiska, pieniądze, kasy pancerne, dokumenty, listy płac i kontraktów?

Już dziś opozycja musi się szykować (i jak słyszymy, dyskretnie to czyni) na kampanię, na wybory i na potem. Oczywiście nie zneutralizuje materialnej i agitacyjnej przewagi PiS; na szczęście pomaga tu sama Zjednoczona Prawica niebywałym wysypem afer. Jeśli chodzi o sam akt wyborczy, musi być zapewniona kontrola społeczna i międzynarodowa, w tym ta mniej formalna, polityczna – ze strony Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych. Także programowe priorytety nowego demokratycznego rządu są już dziś oczywiste: przywrócenie (przywracanie) praworządności, przejrzystości finansów państwa, audyt we wszystkich właściwie urządach centralnych i spółkach Skarbu Państwa, wyciszenie TVP i rozpoczęcie procesu pojednania z wyborcami PiS,

odblokowanie unijnych pieniędzy, start wielkich inwestycji w energetykę (mamy na to z Unii w ciągu dekady ok. 600 mld zł), w cyfryzację, naukę, ochronę zdrowia itd. Polska powinna też przygotować się do udziału w przyszłej odbudowie Ukrainy.

Dla Ukrainy, marzącej o trwałym zakotwiczeniu się w Unii, odzyskanie przez polskich sąsiadów znaczenia, wpływów i szacunku w Brukseli byłoby znakomitą wiadomością. W ogóle dla zachodniego świata wyniki wyborów w Polsce będą ważnym sygnałem i symbolem. Na politycznej wadze – gdzie na jednej szalce mamy wszelkie lokalne odmiany populizmów i putinizmów, a na drugiej liberalne demokracje – Polska jest ciężkim odważnikiem. Czasem chciałoby się już być na końcu 2023 r. i zobaczyć, co się naprawdę wydarzyło.

I już ostatnia porcja „Przypisów” przed wielkim finałem.



PRZYPISY 2023

Taktyka głupot

Polityka 3 (3397), 10.01.2023 r.

Jednym z najważniejszych felietonów w historii polskiej prasy był tekst Stefana Kisielewskiego-Kisiela zamieszczony w grudniu 1984 r. w „Tygodniku Powszechnym”. Felieton nosił zdawkowy tytuł „Moje typy” i zawierał pozbawioną jakiegokolwiek komentarza listę kilkudziesięciu nazwisk. Były to nazwiska głównie tzw. reżimowych publicystów, z którymi Kisiel – jako ledwo tolerowany przez cenzurę „element antysocjalistyczny” – oficjalnie polemizować nie mógł. Wobec „listy Kisiela” cenzura była bezradna, a czytelnicy bez trudu dopowiadali sobie nienapisane zdania. Żart Kisielewskiego przypomniał mi się, kiedy na stronach internetowych „Polityki” przeglądałem, co się w polskiej polityce wydarzyło i co się powiedziało w długim świątecznym antrakcie. W sumie wystarczą same nazwiska. Adam Glapiński. Julia Przyłębska. Mateusz Morawiecki. Zbigniew Ziobro. Arkadiusz Mularczyk. Andrzej Duda. Maciej Świrski. Marek Jędraszewski. Daniel Obajtek.

Co też owi państwo robili i opowiadali? Nie da się tego szczegółowo powtórzyć, ale np. Adam Glapiński mówił o polskim cudzie gospodarczym i o radości ze zdobycia płaskowyzu inflacyjnego; premier pochwalił siebie, że załatwił dostawy amerykańskiej broni dla Ukrainy, poparł także ideę kary śmierci. Pani Przyłębska potwierdziła, że wciąż jest prezeską Trybunału, choć nawet kilku jej politycznych towarzyszy z TK orzekło, że jej kadencja minęła. Andrzej Duda odpowiedział na to, że gospodarzem TK jest TK, a gospodarzem ustawy o SN, która miałaby odblokować fundusze z KPO, jest nie on, ale większość sejmowa. Tej zaś wciąż nie ma, bo negocjacje premiera z ministrem Ziobrą (który KPO określił mianem niemieckiego szwindlu) skończyły się niczym, co minister Szymon Szykowski vel Sęk (w „Rzeczpospolitej” nazwany Szymonem Sękowskiem) podsumował: „Kolejne konsultacje pokazują sens prowadzenia konsultacji”. Maciej Świrski, nowy przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, wszczął postępowanie

przeciwko TVN za „propagowanie nieprawdziwych informacji” o braku dowodów na zamach smoleński, co jest „sprzeczne z polską racją stanu”. A poseł Mularczyk, po tym jak rząd Niemiec w jednym zdaniu uznał temat reparacji wojennych za zamknięty, zagroził Niemcom... skargą do ONZ. Natomiast Daniel Obajtek, który właśnie przejął Lotos i kontrolę nad polskim rynkiem paliw, przyznał, że Orlen może i zawyżał ceny benzyny, lecz po to, żeby je potem wypłaszczyć, czym zresztą nawiązał do idei „cenowego płaskowyzu” Glapińskiego.

Trudno nie odnieść wrażenia, że to jest/była jakaś wszechogarniająca paplanina; jak mówią Amerykanie – bullshit. Prawie wyłącznie mamy tu echa wewnętrznych sporów w obozie władzy, walk o wpływy, mamy personalne podgryzy i propagandowe spektakle. Nie trzeba być zwolennikiem Tuska, żeby dostrzec, jak bardzo ta kampania – skądinąd osobiście groźna dla szefa PO – jest idiotyczna, nikczemna, niepoważna, odklejona od jakichkolwiek realiów. Ale najgorsze, że może być skuteczna.

W uroczej książce „Szkice z filozofii głupoty” (wydanej przed dwoma laty przez trzech wybitnych krakowskich filozofów Bartosza Brożka, Jerzego Stelmacha i ks. prof. Michała Hellera) autorzy piszą: „Istnieją dwie szczególnie skuteczne metody manipulowania ludźmi – pieniądze i głupota”. W tej kampanii obie metody będą stosowane synergicznie. O pieniądzach, które PiS gromadzi i pożyczka, aby rozdać przed wyborami, piszemy niemal co tydzień. Więc zatrzymajmy się przy głupocie. Nie należy wzdragać się przed używaniem tego pojęcia – przekonują autorzy. Ograniczona zdolność do rozpoznawania rzeczywistości, kojarzenia związków przyczynowo-skutkowych, samodzielnej analizy „jest wszechobecna, przenika wszystkie obszary ludzkiej aktywności” i bynajmniej nie ma charakteru klasowego. Objawia się jako „minimalizm poznawczy” lub, prościej, gnuśność, „nieuctwo pozwalające głupcowi unosić się bez trudu nad faktami”.

Przypominają autorzy, że 70 proc. Polaków niczego nie czyta, ma problem ze zrozumieniem nawet prostego języka i tekstu, a to czyni ich podatnymi na manipulację, skrajne upraszczanie przekazu, odwracanie znaczenia słów, na wszelki irracjonalizm. Głupota oznacza łatwość ulegania emocjom, zwłaszcza negatywnym, jak strach, wrogość wobec odmienności, zawiść, szukanie winnych własnej przegranej. Kolejny przejaw to brak poczucia humoru lub jego wynaturzenie „w prymitywny, chamski, ludyczny rehot, jakim głupcy zabawiają głupców”. Głupkowatość manifestuje się jednoczesnym poczuciem niższości oraz

moralnej wyższości, „a im kto głupszy, tym bardziej pewny siebie”, radykalny i fanatyczny. Jest także głupota zbiorowa, bezkrytyczna wobec własnej grupy, odwołująca się często do historycznych resentymentów, do idei „narodu cierpiącego, pokrzywdzonego, mającego wobec tego prawo do odwetu albo przynajmniej rekompensaty”.

Praktykowana od lat zwycięska metoda polityczna Kaczyńskiego polega na tym, aby broń Boże nie przeceniać i nie idealizować wyborców; zawsze lepiej postawić na ich ignorancję, gnuśność, proste emocje i interesowność niż rzekomo racjonalne obywatelskie wybory. Wciskanie głupot – jak tych o niemieckim Rusku-Tusku, zbrodni smoleńskiej czy o ataku Unii na Polskę – jest konsekwencją tego podejścia. Bo jeśli polityka staje się nieracjonalna, oderwana od rzeczywistości, pozbawiona umiaru i poczucia odpowiedzialności, rządzącym łatwiej rozegrać walkę o władzę na swoich warunkach, poza sferą faktów. Ta kampania będzie wielką „grą w głupa”. Jej wynik zależy od tego, czy sami wyborcy potraktują nadchodzące wybory dostatecznie poważnie, bez względu na to, jak niemądra będzie sama kampania i co jeszcze będą pleść „nasze typy”.



Co je Judym?

Polityka 10 (3404), 28.02.2023 r.

Joe Biden podczas pobytu w Warszawie nieświadomie dokonał cudu nad Wisłą. Pod Arkadami Kubickiego, gdzie prezydent USA przemawiał, Andrzej Duda publicznie podał rękę Donaldowi Tuskowi, a Jarosław Kaczyński swój komentarz do słów Bidena skierował w stronę Jana Krzysztofa Bieleckiego, bliskiego współpracownika Tuska. Sam Bielecki próbował minimalizować rangę tego wydarzenia – niesłusznie, bo oto po raz pierwszy od lat prezes PiS odezwał się normalnie, po koleżeńsku, do przedstawiciela opozycji. Jeszcze na początku bidenowskiego tygodnia w wywiadzie dla „Sieci” Jarosław Kaczyński rutynowo oskarżał członków opozycji o zdradę, działanie przeciw niepodległości Polski, o draństwo, za które „pójdą siedzieć”. Nagły, nawet jeśli popełniony przez nieuwagę, brak pogardy wobec opozycji był jawnym dysonansem w kampanijnej retoryce PiS.

Chwilowy rozejm Pod Arkadami potwierdził, że wsparcie dla Ukrainy to dziś polski wyjątek polityczny, jedyny temat, w którym władza i opozycja wypowiadają się niemal tak samo. Chociaż – i tu już się kończy zbieżność – bynajmniej nie mówią jednym głosem, bo władza o nic opozycji nie pyta, niczego z nią nie konsultuje, do głosu nie zaprasza. Nawet odwaga Andrzeja Dudy, ściskającego dłoń Tuska, miała swoje limity: na spotkanie Rady Bezpieczeństwa Narodowego podsumowujące wizytę Bidena Duda już Tuska nie zaprosił. Jeszcze wyraźniej granice tego konsensu wyrysował prezes PiS, rzucając owe „Nic nie powiedział”. Jeśli dobrze odczytuję ten prezesowy przekaz: ochronę i broń z Ameryki, czyli „konkrety”, bierzemy – samego Bidena, z tą jego gadką o wolności i demokracji, nie kupujemy, bo to jest „nic”.

Lekceważący stosunek PiS do Bidena nie zaskakuje i ma zapisaną długą historię. Kpili z niego i obecny ambasador Polski w USA Marek Magierowski, i rzecznik rządu Rafał Bochenek, dystans demonstrował Andrzej Duda, ośmieszały pisowskie media, na czele z TVP, jak zawsze starającą się odczytać emocje prezesa Kaczyńskiego. A sam prezes osobiście musi żywić wobec obecnego prezydenta USA niechęć, głęboką jak despekty, których zaznał. Joe Biden nie spotkał się z Jarosławem Kaczyńskim ani podczas poprzedniej wizyty, gdy Kaczyński był wicepremierem, ani obecnie, choć znalazł czas na symboliczne, przyjacielskie

shake-handy z liderami opozycji, w tym z Donaldem Tuskiem, który jest przecież tylko liderem partii. To są subtelności dyplomatyczne, jednak nietrudne do odczytania: Amerykanie wyraźnie nie chcieli, aby wizyta Bidena została wykorzystana przez władze PiS do propagandy kampanijnej jako choćby pośrednie przykłaśnięcie rządów PiS. Dlatego też na oficera kontaktowego wybrali Andrzeja Dudę, polityka w obozie władzy bez znaczenia i wpływu, którego prawdziwy naczelnik państwa podobno nie zaszczycił rozmową od trzech lat. To wynoszenie Dudy, coraz bardziej przekonanego o własnej powadze, musiało być dla prezesa kolejnym despektem.

Amerykanie są pragmatyczni, więc wiadomo, że w sprawie wojny w Ukrainie współpracować będą z każdym polskim rządem. Ale też nie ulega wątpliwości, że Biden osobiście wolałby widzieć w Warszawie ekipę respektującą zachodnie standardy ustrojowe, niesklóconą z Unią Europejską. Pod Arkadami najwięcej mówił (czyli według Kaczyńskiego „nie mówił”) o wspólnocie wartości wolnego świata jako o najgłębszym uzasadnieniu solidarności z Ukrainą – i to jest to, czego Kaczyński nie chciał usłyszeć. PiS i w ogóle polska prawica uważają się za realistów, politykę lubią sprowadzać do gry interesów, siły, dominacji. Biden, ze swoim przekazem wolności, rozumianej nie tylko jako suwerenność państwowa (co w kontekście Ukrainy było oczywiste), ale jako prawo do wolności każdej jednostki – przypomniał, że spoiwem Zachodu pozostaje wciąż liberalna demokracja, a jej istotą jest niezależna kontrola i skuteczne ograniczanie władzy państwowej. Rządy pozbawione hamulców, mówił Biden, staczają się w autorytaryzm, stając się niebezpieczne dla swoich i obcych. Zapewne Kaczyński nie brał tego do siebie, ale przecież jego wizja władzy stojącej ponad prawem, scentralizowanej, w praktyce jednoosobowej, niemal sakralnej jest bardzo wschodnia, putinowska. Obie te wizje spotkały się Pod Arkadami i rozeszły.

Polska wielki projekt – jak kiedyś PiS nazywał swoje plany reformy państwa – po latach okazuje się zestawem propagandowych zaklęć, małym projektem, w którym antyzachodnia retoryka ma uzasadniać wschodnią formę rządów i faktyczną prywatyzację państwa. Zabawne, ale i smutne, że przemówienie Putina, ogłoszone w rocznicę ataku na Ukrainę zawierało te same oskarżenia pod adresem Zachodu, które powtarza rządząca Polską formacja. We wspomnianym wywiadzie w „Sieci” Kaczyński mówił, tak jak za chwilę Putin, o konieczności „ochrony dzieci” przed promocją homoseksualizmu, deprawacją, wymuszaniem

zmiany płci; mówił o zagrożeniach płynących z Zachodu dla suwerenności państwowej i dla chrześcijańskiej cywilizacji. Klasyka. Nowym pisowskim patentem jest dorzucenie do katalogu antyzachodnich fobii, rzekomo płynących stamtąd (i „firmowanych” przez polską opozycję), zakazów jedzenia mięsa oraz narzucania Polakom konieczności spożywania „robali”. To wyszydzanie i obrzydzanie mają, przynajmniej dla wyborców PiS, moralnie i emocjonalnie usprawiedliwiać wszelkie nadużycia ludzi władzy popełniane wszakże w imię obrony narodowej substancji przed lewactwem/robactwem.

Opisujemy w tym numerze kolejne po „willi plus” metody wyprowadzania przez ministra Czarnka publicznych pieniędzy do „swoich” – to wart kilkadziesiąt milionów złotych program „lekcja plus”. Piszemy także o transferach na rzecz Fundacji Polska Wielki Projekt będziemy też wracać do sprawy NCBiR, czyli niemal 200 mln zł, jakie z budżetu nauki miały być wytransferowane w stronę Partii Republikańskiej panów Żalka i Bielana. To jest tak bezczelna afery, że w tzw. normalnym kraju wiceminister Żalek i jego partnerzy już siedzieliby w areszcie. Ale PiS zbudował system, który gwarantuje im bezkarność: ani prokuratura, ani CBA, ani żadne inne kontrolowane przez PiS państwowe służby nie zrobią im nic, jeśli nie będzie osobistej decyzji Kaczyńskiego. A ideologiczna narracja przykryje każdy brud.

Ostatnio zresztą prezes PiS dorzucił jeszcze jedno ideowe uzasadnienie dla transferów pieniędzy do wiecznie głodnych pisowskich fundacji i stowarzyszeń: nazwał te organizacje „judymowskimi”. Doktor Judym – przypomnijmy – bohater „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego, to społecznik wyrzekający się wszelkich osobistych korzyści, a nawet prywatnego szczęścia, aby pomagać innym. Wybór „Ludzi bezdomnych” jako szyldu dla programu wyposażania w wille działaczy PiS to jest cynizm bardzo w stylu Kaczyńskiego.

Donald Tusk zapowiada, że po zmianie władzy wszystkie dzisiejsze „plusy PiS” zostaną zastąpione programem „cela plus”. Zobaczymy... Ale jeśli wartości, o których mówił w Warszawie Joe Biden, kiedyś wrócą na swoje miejsce, to do każdego złodzieja publicznych pieniędzy i przekręciarza w końcu powinno zapukać prawo i sprawiedliwość. Zwłaszcza do tych tysięcy Judymów z PiS.

Śmiech hien

Było jasne, że Sejm odrzuci obywatelski projekt ustawy o likwidacji TVP Info. Ale zbiegiem okoliczności tzw. debata sejmowa (tzw., bo posłowie rządowej większości opuścili salę) toczyła się dokładnie w czasie, gdy całą Polskę poraziła informacja o samobójczej śmierci 16-letniego Mikołaja, syna posłanki PO Magdaleny Filiks. Jak wiemy, w tej rodzinnej tragedii haniebną rolę odegrały (znów muszę napisać tzw.) media publiczne – Radio Szczecin i TVP Info – ułatwiając identyfikację chłopca, wcześniej ofiary pedofila. Wracamy do tej historii, żeby zwrócić uwagę, że tak jak cała Polska również świat mediów rozpadł się na dwie części: pisowską i niepisowską. To są inne rzeczywistości, w których obowiązują odmienne prawa, zasady organizacji i finansowania, systemy ocen, metody warsztatowe. Mówiąc najogólniej: ta pierwsza, pisowska, jest elementem struktury politycznej, instrumentem władzy, mocno przypomina funkcjonujący w czasach PRL system centralnie sterowanych „środków masowego przekazu”. Ta druga, bardzo wewnątrznie zróżnicowana i niekoniecznie opozycyjna, wciąż ma atrybut formalnej i praktycznej autonomii, niezależności od państwa. Jest tym, co pozostało ze świata „wolnych mediów”, jaki uformował się w Polsce po upadku PRL, zniesieniu cenzury, prywatyzacji prasy i otwarciu rynku także dla inwestorów zagranicznych.

Powstanie tworu (właściwie nowo-tworu), jakim są dziś rządowe publikatory, to realizacja wyobrażeń Jarosława Kaczyńskiego o tym, czym w ogóle są media. Jego wizja, która pełny kształt przybrała po 2015 r., ujawniła się już na początku lat 90., gdy jako redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność” zmienił wpływową gazetę w organ swojej partii Porozumienie Centrum. Zaraz potem, kiedy w ramach parcelacji popeerelowskich gazet przejął (mieszczący się przy ul. Nowogrodzkiej) popularny „Express Wieczorny”, po likwidacji tytułu na jego nieruchomościach zbudował partyjną spółkę Srebrna.

Kaczyński miał chyba od zawsze, typowe dla znacznej części prawicy, konspiracyjne, pesymistyczne postrzeganie rzeczywistości. Konstytucja, trójpodział władzy, niezależny bank centralny, sądy czy „wolne media” – to maskarada, zawracanie głowy, zasłona ukrywająca realne interesy i powiązania. „Media – mówił obrazowo – to kurtyna, na której wyświetla się film dla maluczkich”. Kuriozum ostatnich dni, czyli wezwanie ambasadora USA Marka Brzezinskiego do MSZ, aby administracja USA nacisnęła na amerykańskich

właścicieli telewizji TVN, żeby zabronili dziennikarzom tej stacji obrażania świętości Jana Pawła II, dobrze ilustruje ten typ myślenia. Nie ma żadnych niezależnych dziennikarzy – tak jak nie ma obiektywnych sędziów, samodzielnych profesorów, profesjonalnej służby cywilnej itp. – każdy jest uwikłany, komuś lub czemuś służy, wykonuje polecenia.

Więc i media albo są „narodowe” (jak „publiczne” radio i telewizja, nadzorowane przez Radę Mediów Narodowych) oraz „polskie” – jak te finansowane przez państwo gazety Orlenu, jak koncern ks. Rydzyka, prorządowe tygodniki, może jeszcze biznesowo powiązany z państwem Polsat – albo niepolskie: niemieckie, amerykańskie, żydowskie i pochodne. „One – mówi Kaczyński – są kulą u nogi debaty publicznej”. Bez nich, dodaje, PiS miałby 70 proc. poparcia. Prezes wciąż zresztą tworzy obraz rzekomej „ogromnej przewagi opozycji w mediach”, co z kolei jest rytualnym uzasadnieniem dla wszystkich operacji typu lex TVN, lex pilot, dofinansowania TVP miliardami czy transferu pieniędzy ze spółek Skarbu Państwa do propisowskich wydawców i nadawców. To koniecznością „przywrócenia pluralizmu i równowagi na rynku medialnym” Jacek Kurski uzasadniał pozbycie się z TVP w zasadzie wszystkich pracujących tam wcześniej dziennikarzy, zastąpienie ich piarowcami lub jawnymi funkcjonariuszami władzy.

Do opisu tego, czym po operacji „unarodowienia” stało się TVP i TVP Info, najlepiej pasują słowa Rafała Trzaskowskiego, który w Sejmie prezentował projekt ustawy likwidującej TVP Info: mówił o służalczości, szczuciu, hejcie, promocji najgorszych instynktów, moralnej gangrenie. Tak to wygląda, jeśli się patrzy od strony tradycyjnych dziennikarskich mediów, po tamtej stronie na pewno jest – oprócz cynizmu, karierowiczostwa, „parcia na kasę” – cały pakiet racjonalizacji; walka z lokalnym i europejskim lewactwem, obrona tradycji, rodziny, wiary i Kościoła. Teraz jeszcze, marketingowo rozkręcanej pod niebiosa, obrony godności papieża Polaka. To, jak sądzę, pozwala czyścić sumienia, uświęcać łajdactwo stosowanych środków.

Zwracam jednak uwagę, że w dzisiejszym pejzażu medialnym nie ma symetryzmu: to nie jest tak, że istnieją media „rządowe” i „opozycyjne” – „rządowe” w obecnej, pisowskiej formule przestały być mediami według standardów, jakie definiują prawo prasowe, ustawa o radiofonii i telewizji, etyczne kodeksy zawodowe, a nawet obowiązujące „Zasady etyki dziennikarskiej

w Telewizji Polskiej SA”. Żeby tylko przywołać ten ostatni dokument: otóż „dziennikarz TVP szanuje prawdę, dokłada wszelkich starań, by zachować niezależność i bezstronność, prezentuje zróżnicowane poglądy i opinie, oddziela informacje od komentarzy, zachowuje równy dystans wobec polityków różnych orientacji”. W sprawach przestępstw nie może ujawniać danych osobowych umożliwiających identyfikację osób. „Dziennikarz TVP nie może wspierać wyborczych kampanii parlamentarnych, prowadzić agitacji na rzecz partii politycznych, uprawiać propagandy politycznej” (rozdz. XIII par. 4 i 5). Paradne! Więc nawet według własnych korporacyjnych zapisów pracownicy TVP nie są dziennikarzami – i tak też wreszcie zaczęła ich traktować opozycja, odmawiając prasowych akredytacji.

Nie znaczy to, że w świecie niezależnych mediów nie ma problemów z przestrzeganiem zawodowych norm i kodeksów. Zawsze było tak, że ogólnie akceptowane zasady uginały się pod presją rynku, interesów wydawcy, także pod presją czasu, emocji autorów, opinii środowiska. Sam byłem przed dekadą szefem zespołu Izby Wydawców Prasy, który opracował obszerny Kodeks Dobrych Praktyk Wydawców; wtedy – jak pamiętam – głównie obawialiśmy się kryptoreklamy, mieszania przekazu dziennikarskiego z komercyjnym. Niezbyt skuteczna to była walka, a i tak okazało się, że najmocniejsze ciosy spadły na media z innej strony: wbrew ówczesnym nadziejom ekspansja internetu ułatwiła nie tylko obieg informacji, ale i dezinformacji. A wraz z populizmem i wzrostem polaryzacji politycznej nie tylko zradykalizowały się i upraszczały przekazy, ale też krok po kroku niezależne od władzy media traciły wpływ na rządzących. Dziś władza ma swoje gazety i telewizje, swoich „dziennikarzy”, swoją demokrację, swój naród. Jeśli po wyborach dostaniemy szansę, aby zatrzymać proces rozpadu polskiej wspólnoty, staczania się państwa w satrapię, „media publiczne” w obecnej patologicznej formie muszą przestać istnieć. Co dalej? Są plany odbudowy tej instytucji, wyposażenia jej w szczególne gwarancje niezależności od polityków, powrotu do jakościowego dziennikarstwa. Realne? Może. Ale to wybory zdecydują, czy dalej będziemy słuchać śmiechu hien.

Trochę optymizmu

Polityka 14 (3408), 28.03.2023 r.

Nastroje wśród wyborców opozycyjnych są marne – może nawet nadmiernie marne. Wyraźnie popsuł je tzw. sondaż obywatelski ogłoszony w „Gazecie Wyborczej”. Miał być ostatecznym argumentem na rzecz stworzenia wspólnej listy partii opozycyjnych, a wszystkich skłócił. Oburzyli się zwłaszcza liderzy PSL i Polski 2050, nazywając sondaż szantażem i manipulacją, ale na błędy metodologiczne i interpretacyjne zwróciło uwagę także wielu ekspertów. W publicznej i internetowej dyskusji wokół badania padło dużo przykrych słów, wzajemnych oskarżeń, wykipiały emocje. Trudno się dziwić tej opozycyjnej frustracji i nerwom, bo chwilowo nie ma skąd brać dobrych wiadomości. Kolejne afery i skandale z udziałem ludzi władzy nie pogrążyły notowań PiS. Co więcej, Kaczyńskiemu jak z nieba spadła sprawa „obrony Jana Pawła II” przed reportażem TVN. Utykająca od tygodni kampania PiS nabrała kierunku i historycznego wigoru. Skokowo urosła Konfederacja, potencjalny koalicjant PiS. Za to po stronie opozycyjnej „stagnacja minus”: nikomu nie przybyło, Hołowni spadło. No i na dodatek zero współpracy między partiami demokratycznej opozycji. Słowem: tam triumfalizm, tu smutek przednówka.

Nie pierwszy raz – mówiąc prosto – opozycja zaliczyła doła, ale ten był zdecydowanie za głęboki. Przyszły następne sondaże i np. ten dla OKO.press i TOK FM pokazał, że mimo wprzęgnięcia do kampanii Ojca Świętego notowania PiS ani drgnęły: od kilku miesięcy wynoszą 33–34 proc. Czyli na razie cudu nie ma. Równie stabilne są wyniki KO i Lewicy. A PSL i Hołownia? – tu się waha, ale np. świeże badania IBRiS dawały takiej dwuczłonowej koalicji 15 proc. i mocne trzecie miejsce. Kiedy „Rzeczpospolita” przetestowała wariant świadomie pominięty w raporcie „GW”, czyli trzech list – KO, Lewica oraz Polska 2050 wraz z PSL – wyszło zwycięstwo opozycji. Nawet jedna lista, kiedy pierwsze emocje liderów opadły, znów wróciła jako opcja. A na razie każdy prowadzi swoją kampanię. I tu znowu przebłyski optymizmu: wbrew rutynowym już utyskiwaniom antypisowskiego elektoratu partie opozycyjne naprawdę są aktywne. Kłopot w tym, że transmisje z ich spotkań wyborczych rzadko można obejrzeć w telewizji (i to tylko w TVN24). Ale kto chce, może sobie w mediach społecznościowych urządzić wielogodzinny serial.

Znakomicie wypada w otwartych publicznych rozmowach Donald Tusk; retorycznie jest w życiowej formie. Jego spotkanie w Sosnowcu z młodzieżą, dla której komentował książkę Timothy’ego Snyder’a „O tyranii”, to była gotowa,

świetnie poprowadzona lekcja historii, polityki, etyki. Skądinąd uderzający kontrast z organizowanymi przez władzę spektaklami, gdzie publiczność jest obsadzona w roli dekoracji, organizowanej klaki. Dobrze spotkanie miał Kosiniak-Kamysz: podczas dużego wiecu ludowców bardzo przekonująco tłumaczył, na czym polegają błędy i zaniechania polityki rolnej PiS, czego nowym i drastycznym przykładem jest niekontrolowany napływ na polski rynek ukraińskiego zboża. Swoje mityngi organizują liderzy Lewicy, coraz wyraźniej nastawieni na samodzielny start w wyborach. Jedyne Szymon Hołownia jest w słabszej formie, speszony i zagubiony. Poniekąd zrozumiałe; jeśli ostatnie sondaże pokazały jakąś istotną zmianę na niekorzyść opozycji, to jest nią spadek Polski 2050, w sondażu OKO/TOK do ledwie 6 proc. i niemal identyczny 4–5-punktowy przyrost notowań Konfederacji. Czy to znaczy, że nagle milion potencjalnych wyborców przepłynął od Szymona Hołowni do Sławomira Mentzena?

Wszyscy komentatorzy próbują dziś tłumaczyć fenomen Konfederacji, do niedawna balansującej na progu wyborczym. Najczęstsze wyjaśnienie to zmiana kierownictwa partii, zastąpienie „obciachowych i dziaderskich” Brauna i Korwina przez młodych i popularnych w internecie Bosaka i Mentzena. Po wtóre, miał się dokonać odpływ tzw. antysystemowych wyborców od Polski 2050, a to wskutek jej sojuszu z konserwatywnym PSL i całego gadania o jednej jedynej liście antyPiSu. Kolejny powód to rozczarowanie grupy liberalnie, „antypodatkowo” nastawionych drobnych przedsiębiorców do PO, która jakoby przesunęła się w lewo. (Przykłady: gwarancje zachowania pisowskich transferów, kredyty mieszkaniowe zero procent czy nowa obietnica 1500 zł „babciowego”).

Każda z tych hipotez niesie część prawdy, jednak „Konfa” to szczególne, niełatwe do interpretacji zjawisko ze sfery psychologii społecznej. Jest niemal wyłącznie partią młodych mężczyzn: w grupie 18–39 lat pozostaje numerem 1, z poparciem aż 37 proc. Wśród kobiet w tym wieku poparcie dla Konfederacji wynosi ledwie 8 proc.; pierwsza jest KO – 30 proc. Do tej pory ideologia Konfederacji też była „męska”, polsko-kibolska, sprowadzona do ogłoszonej w 2019 r. tzw. piątki Mentzena, czyli „Polski bez Żydów, gejów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej”. Ten klasyczny zestaw ostatnio wzbogacił się o dwa nowe stadionowe hasła: antyukraińskie „To nie nasza wojna!”, a także „Wara od Jana Pawła!”, nawiązujące do tradycyjnej dla narodowców gotowości „obrony kościołów”. Obie emocje niewątpliwie podkreśliły popularność Konfederacji.

Dla PiS jest to zmiana o tyle korzystna, że daje realną nadzieję na utrzymanie władzy w koalicji z Konfederacją. Zapewnienia Krzysztofa Bosaka, że na pewno sojuszu „z socjalistami z PiS” nie będzie, są bez znaczenia – nie takich koalicjantów Kaczyński już w przeszłości urabiał i przerabiał. Ale dla kampanii PiS Konfederacja może też być kłopotem. Opozycja, co zrozumiałe, już połączyła Zjednoczoną Prawicę z Konfederacją – Tusk nazwał ją radykalną przybudówką, wytworem PiS. Jawnie faszyzująca „piątka Mentzena” może być więc dla Kaczyńskiego równie kłopotliwa jak w swoim czasie „piątka dla zwierząt”. Konfederacja – antyunijna, antykobieca, klerykalna, rasistowska, antyukraińska – eksponuje prawicową ideologię w wersji hard, co może przestraszyć wyborców niezdecydowanych i zmobilizować upadający na duchu elektorat partii opozycyjnych.

Po spadku nastrojów wywołanym sondażem obywatelskim opozycja musi jednak dać swoim wyborcom jakiś pozytywny przekaz: choćby spotkanie liderów, zapowiedź utworzenia wspólnego sekretariatu, rozpoczęcie pracy nad rządowym programem. Wejście do gry o władzę Konfederacji podbija stawkę, wyostrza racje i argumenty opozycji. Demokratyczny, proeuropejski „sojusz czterech” wciąż może wygrać – trochę optymizmu.

Wiatr i żagle

Polityka 24 (3417), 05.06.2023 r. Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki

Wielka kilkusettyśieczna demonstracja, w której wzięli udział także politycy całej opozycji, była dowodem na to, że nic tak nie jednoczy demokratycznych środowisk, jak czyny i pomysły obecnego obozu władzy. Uchwalenie ustawy o komisji ds. rosyjskich wpływów, tak drastycznie sprzecznej z konstytucją i regułami praworządności, okazało się – zgodnie z przewidywaniami – dopalaczem tego protestu. 4 czerwca w Warszawie odbyła się prawdopodobnie największa od 30 lat demonstracja polityczna. Można powiedzieć: chciał Jarosław Kaczyński polaryzacji, to ją dostał; dąży do ostatecznego pojedynku z Tuskiem, będzie go miał; pragnął mobilizacji, to zmobilizował swoich przeciwników. Przemówienie Donalda Tuska, z jego „ślubowaniem” (zwycięzimy-rozliczymy-naprawimy-pojednamy), stało się politycznym i emocjonalnym zwieńczeniem

manifestacji. Po okresie dziwnej senności, zawahania, frustracji, temperatura kampanii gwałtownie wzrosła, podobnie jak świadomość, o co w niej naprawdę chodzi. PiS razem z prezydentem Dudą zaaplikowali Polakom próbkę całych swoich ośmioletnich rządów w postaci zabójczego koncentratu.

Zaproponowana przez Andrzeja Dudę nowelizacja zawierająca drobne korekty w niczym nie zmienia ani antykonstytucyjnego charakteru „ruskiej komisji”, ani jej zasadniczego celu: wciąż kilku posiadających gwarancję bezkarności ludzi może przypiąć dowolnej osobie łątkę ruskiego agenta, który jest pod rosyjskim wpływem i „nie daje rękojmi”. Nadal zatem można dopaść Tuska i z tego tytułu nie powierzyć mu misji tworzenia rządu.

Duda najwyraźniej chciał powtórzyć manewr z wetami z 2017 r., które w niczym nie zapobiegły dewastacji sądownictwa, ale za to w sporej mierze rozładowały społeczne napięcie i zdemobilizowały przeciwników PiS, bo „prezydent okazał się bezpiecznikiem”. Teraz też pospieszna i pozorowana nowelizacja ma rozmiękczać opór opozycji, złagodzić jej oburzenie oraz protesty sojuszników Polski. Na początek miała też zapewne zadziałać antyfrekwencyjnie wobec „marszu wolności” – to się jednak kompletnie prezydentowi nie udało, przeciwnie – Andrzej Duda stał się inspiracją niezliczonych prześmiewczych transparentów i plakatów.

Manifestacja 4 czerwca pokazała, że opozycja znajduje się w lepszej kondycji, niż było to wczesną wiosną. „Smuta marcowa”, jaka zapanowała po upadku idei jednej listy oraz po niezgodnym głosowaniu w Sejmie w sprawie KPO – kończy się. Sondażę partii antyPiSu już nie spadają, a nawet widać niewielkie zwwyżki. Obozowi władzy słupki nie rosną mimo wielkich „inwestycji” w postaci m.in. 800 plus, bezpłatnych autostrad i stałej czternastki dla emerytów (choć na pełne sondażowe skutki tych propozycji trzeba jeszcze chwilę zaczekać). Mało kto już pamięta o sprawie „ataków na polskiego papieża”, choć ta kwestia jeszcze niedawno miała wszystko pozamiatać i przesądzić o zwycięstwie PiS. Stare chwytły przestają automatycznie działać, naciskane klawisze nie dźwięczą jak wcześniej, i to jest najnowsze odkrycie tej kampanii.

Widać w PiS jakąś nerwowość, wewnętrzne napięcie, które objawia się w coraz ostrzejszej nawet jak na tę władzę, retoryce oraz w tworzeniu radykalnie już niekonstytucyjnych instytucji, jak wspomniana komisja. Nie wiadomo jeszcze, ile w tym wyrachowania, a ile desperacji. Jeśli brać pod uwagę badania popularności

partii, to od dawna żadne z nich nie daje PiS bezwzględnej większości, ale demokratyczna opozycja także jej nie osiąga, poza incydentalnymi badaniami. Ta niezmiennosc sondaży urasta do jakiegoś polskiego fenomenu: z miesiąca na miesiąc średnie przesunięcia to 0–1,5 proc. Ale być może właśnie następuje koniec tego stuporu. Bo w polityce, jak stwierdził kiedyś Donald Tusk, decydująca jest fala, nieuchwytna społeczna atmosfera, która przełamuje się w jedną lub drugą stronę. Do końca 2022 r. była po stronie opozycji, w lutym i marcu odwróciła się na korzyść obozu rządzącego, teraz znów sprzyja opozycji.

Donald Tusk mówił, wywołując entuzjastyczną reakcję wypełniającego Trakt Królewski tłum, że „tej fali już nic nie zatrzyma!”. Trzeba jednak pamiętać, że PiS w ostatnich kilku kampaniach nagle przyspieszał w samych końcówkach, w takim tempie, że nie wyłapywały tego sondaże robione nawet kilka dni przed wyborami. Podobne zjawiska było widać podczas ostatnich elekcji na Węgrzech i w Turcji, gdzie mimo dużych nadziei opozycji i optymistycznych sondaży wygrywała autokratyczna władza. Dlatego opozycja, aby wygrać, musi sobie wypracować wcześniej solidny margines przewagi; liczenie na remis ze wskazaniem jest niebezpieczne.

Dzisiaj wciąż najbardziej prawdopodobna jest wersja, że w wyborach ani Zjednoczona Prawica, ani „trzy listy” nie zdobywają bezwzględnej większości i decydująca będzie rozgrywka z Konfederacją, która podobno już się szykuje na kolejne, przedterminowe wybory. Na opozycji rośnie jednak przekonanie, że pozytywny trend będzie się wzmacniał, zaprocentują spotkania w terenie, dotrą do opinii publicznej kolejne dowody nieudolności, kolejne przykłady łamania praworządności, także pazerności i bezwstydu ludzi władzy. Jest pewne, że PiS będzie walczył do końca, stosował wszystkie chwytły i nie oglądał się na nic. AntyPiS musi być zatem gotowy na batalię i mobilizację do ostatniego dnia przed wyborczą ciszą.

Same marsze nie wygrywają wyborów, nie muszą być nawet przełomowym momentem. Ale pomagają w zwycięstwie, kiedy są znakiem zmiany nastrojów, elementem społecznego procesu. Opozycja, zwłaszcza Platforma, przez lata cierpiała na brak entuzjazmu, na specyficzną letniość, którą zresztą sama lansowała. Była traktowana jako mniejsze zło, przypominała czasami dawną Unię Wolności, na którą wielu głosowało „bez przyjemności”. Marsz 4 czerwca pokazał jej zwolenników gorących, zdecydowanych, nawet radykalnych i to jest także

pewna nowość. Nawet jeśli w sondażach nie ma jeszcze rewolucji, to możliwe, że dojrzewa ona gdzieś podskórnie, wśród tych słynnych „niezdecydowanych”, także dotąd niegłosujących. To dla opozycji wielka szansa. Wygra, jeśli podtrzyma zapał, determinację, nawet gniew, widoczne w ostatnią niedzielę, tę antypisowską emocję, którą przez lata ganiono, jako psującą polską wspólnotę. Teraz głosy o „wojnie plemion” trochę ucichły, wreszcie – bardziej niż kiedykolwiek – uznano, że jedno plemię zdecydowanie przesadza.

Ale zarazem opozycja powinna prowadzić normalną kampanię, prezentować program, wizję kraju po wyborach, nie dać się wtłoczyć w tematy narzucane przez PiS, jak te o „ruskich onucach”. Obóz władzy jest silny, kiedy prowadzi dominującą polityczną opowieść, ale wpada w panikę, jeśli przestaje ją kontrolować. Wtedy widać, jak sypią się „genialne” wcześniej przekazy, jak ujawnia się propagandowa tandeta, jak choćby niechlubny spot z motywem Holocaustu. Opozycja nieprzestraszona, sprytna, łapiąca PiS na spalonym, ma duże szanse, by nie dopuścić do trzeciej kadencji rządów PiS. Nowy wiatr jest, teraz trzeba do niego dobrze ustawić żagle.



PRZYPISY KOŃCOWE

Kiedy na nowo czytałem zgromadzone tu teksty, miałem wrażenie, że historia potoczyła się pod wieloma względami gorzej, niż przypuszczałem w 2015 r. Z jednym ważnym wyjątkiem: mimo obaw żaden protest nie przekształcił się w masowe rozruchy, nie doszło do otwartej, fizycznej konfrontacji władzy z opozycją. Państwowa przemoc wobec ludzi dokonywała się powoli i po cichu, w obrębie przejętych instytucji; publicznie przybrała formę głównie słownej i medialnej agresji, skierowanej wobec osób i środowisk uznanych, czy raczej wykreowanych, na wrogów publicznych. Pierwszoplanową ofiarą stał się Donald Tusk, ale przecież dobrze pamiętamy brutalne propagandowe napaści na sędziów, społeczności LGBT, imigrantów, nauczycieli, lekarzy, dziennikarzy, samorządowców – i kto tam jeszcze w jakimś momencie podpadł rządzącym. Język polityki też w ustach władzy ewoluował: od biurokratycznej nowomowy i liturgicznego patosu do coraz dzikszych i absurdalnych oskarżeń, jawnego już w kampanii języka nienawiści, odczłowieczania przeciwników. Jednak fakt, że uniknęliśmy (mówiąc eufemistycznie) „najgorszego”, pozwalał przez minione lata podtrzymywać polityczną retorykę „symetryzmu”, sprowadzającą atak, jaki nowa władza przypuściła na same zasady liberalnej demokracji, do tzw. wojny plemion, politycznej gry, „ostrej rywalizacji” różnych opcji ideowych i wizji państwa.

Trochę mnie dziwi, że wciąż, po 8 latach, trzeba odpowiadać na te same pytania: Czy opozycja aby nie histeryzuje w ocenie PiS, przecież ludzie żyją normalnie, wielu nawet lepiej niż za rządów PO? Ile razy można ogłaszać koniec demokracji? Czy przy każdym wyborach niechętni PiS dziennikarze będą pisać, że nadchodzi bój o wszystko, że następnych wyborów może nie być? Te pytania odnoszą także do siebie: przesadzałem w obawach, w czarnowidztwie? Na pewno nie wprowadziłbym dzisiaj do tekstów sprzed lat łagodzących korekt, raczej przeciwnie. Jeśli „Polska PiS nie jest jeszcze dyktaturą” – choć dość to kulawy komplement, to głównie wskutek protestów społecznych („ulicy”), presji sojuszników („zagranicy”), oporu wielu zawodowych środowisk broniących swego profesjonalnego etosu i niezależności, w tym oczywiście, bardzo uciążliwych dla władzy, wolnych mediów. Autorytarne ambicje i zapędy Jarosława Kaczyńskiego

są aż nazbyt jasne, ale – to ważna obserwacja po tych 8 latach – nawet dysponując całym aparatem państwa, PiS nie zdołał zupełnie odwrócić biegu historii, odebrać Polakom, często intuicyjnego, przywiązania do demokracji, wolności, wartości europejskich, spokoju społecznego. Jednak widać, jak z każdymi wyborami pogłębia się dysproporcja sił między władzą a opozycją. Zrozumiały jest niepokój, że jeśli PiS utrzyma rządy, Polska wejdzie w węgierski lub turecki scenariusz „ustrojowej opresji” – fasadowej, pozorowanej demokracji, zredukowanej do aktu wyborczego, który już opozycji nie może dać zwycięstwa.

Dlaczego uważam, że historia potoczyła się gorzej, niż sądziłem, kiedy PiS obejmował władzę? Otóż miałem, raczej miewałem, nadzieję, że bez względu na rewolucyjną retorykę PiS choćby dla własnego bezpieczeństwa będzie jednak korzystał częściej z opinii ekspertów, do niektórych decyzji wciągał opozycję, że prezydent spróbuje tonować arogancję własnego obozu, a urzędnicy państwa utrudnią samowolę partyjnej nomenklatury. Sądziłem, że władza zachowa jakąś elementarną racjonalność polityczną, także w relacjach zewnętrznych. Tak się nie stało. PiS forsował swoje decyzje, często – obsesje, ostentacyjnie ignorując nie tylko odmienne opinie, ale co gorsza fakty. Po 8 latach rządów, które opisywałem w tej książce, właściwie w każdym obszarze państwa mamy do czynienia z systemową zapaścią, i jeśli tylko opadnie zasłona propagandy, zobaczymy, co się naprawdę stało. Więc tylko najkrótsze zestawienie. Wymiar sprawiedliwości – zdezorganizowany, spowolniony, sparaliżowany dualizmem prawnym; ogólny stan praworządności w Polsce kontestowany przez Unię Europejską i sądy międzynarodowe. Mimo 500–800 plus oraz rzekomej prorodzinnej polityki mamy najgłębsze w historii załamanie demograficzne; po zaostrzeniu prawa aborcyjnego spadła chęć posiadania dzieci; Polska starzeje się i wymiera. Podczas pandemii covid mieliśmy największą w Europie liczbę tzw. nadmiarowych zgonów; nikt w obozie władzy nigdy się z tego nie wytłumaczył ani nie wziął na siebie odpowiedzialności.

W gospodarce: kraj jest zadłużony na rekordowe ponad 1,5 bln zł, inflacja wciąż należy do najwyższych w Europie, za to inwestycje są w stosunku do PKB najniższe w historii III RP. Z wielkich, z pompą ogłaszanych przez rząd, planów inwestycyjnych i rozwojowych – miliona aut elektrycznych, setek tysięcy mieszkań, budowy CPK itp. – nie powstało i nie zostało właściwie nic. Polska ma dziś jedną z najmniej innowacyjnych gospodarek w Europie, załamała się

przedsiębiorczość: spośród wszystkich krajów rozwiniętych to u nas powstaje najmniej nowych firm. Wbrew szumnym deklaracjom stajemy się coraz bardziej zależni od koniunktury w gospodarce niemieckiej. System energetyczny, podporządkowany interesom przemysłu węglowego, jest niewydolny i zacofany, także pod względem transformacji ekologicznej. Edukacja zmagą się z brakiem kadr, pieniędzy, anachronicznymi programami. Nauka i uczelnie wyższe są dramatycznie niedofinansowane, coraz mniej osób, zwłaszcza młodych mężczyzn, w ogóle podejmuje studia. I tak po kolei: służba zdrowia, obronność (gdzie gigantyczne i chaotyczne wydatki idą w parze z rozpadem krajowego przemysłu obronnego), kultura, ochrona środowiska, polityka zagraniczna – wszędzie objawy regresu, chaosu, kryzysu. To na czym w takim razie polega siła PiS, lojalność jego politycznego zaplecza, odporność na afery, zdolność wyborczej mobilizacji? Dużo jest o tym w „Przypisach”, więc tylko dwa dopowiedzenia.

Pierwsze: PiS zafundował sporej części społeczeństwa zbiorową psychoterapię; zdjął towarzyszący Polakom przez ćwierć wieku transformacji stres aspiracyjny – przymus indywidualnej kariery, doganiania Zachodu, materialnej rywalizacji, „udziału w postępie” technologicznym, obyczajowym, kulturowym. W zamian, jak każda władza populistyczna, zaoferował zmanipulowany „powrót do zbiorowej wielkości”, do świata narodowych mitów, moralnych roszczeń, historycznej amnezji. Jednocześnie, zaprzeczając wadze, a nawet istnieniu najcięższych wyzwań cywilizacyjnych – klimatycznych, migracyjnych, energetycznych, demograficznych itd. – dał każdemu, kto chciałby z tego skorzystać, komfort ucieczki od odpowiedzialności, w jakiejś mierze od dorosłości. Ta władza okazała się fundamentalnie infantylna, wykorzystując, ale i napędzając społeczną ignorancję. Niepoważna w słowach, zachowaniach i decyzjach. W „Przypisach” często pojawiał się ten motyw dwoistego, tragiczno-groteskowego charakteru minionego ośmiolecia; gdzie erozji państwa i społecznego systemu wartości towarzyszyła swoista „kabaretyzacja” życia publicznego.

I druga uwaga: siła i polityczna sprawność tej ekipy zasadzała się na wszechobejmującej propagandzie, uprawianej intensywnie i profesjonalnie. Realną politykę w ogromnej mierze zastąpiły przekazy dnia, operacje wizerunkowe i marketingowe, kampanie hejterskie, hasła i grepsy podsuwane przez sztaby piarowców i copywriterów. Media publiczne, całkowicie podporządkowane partii, nastawiono na bezustanną promocję i wychwalanie

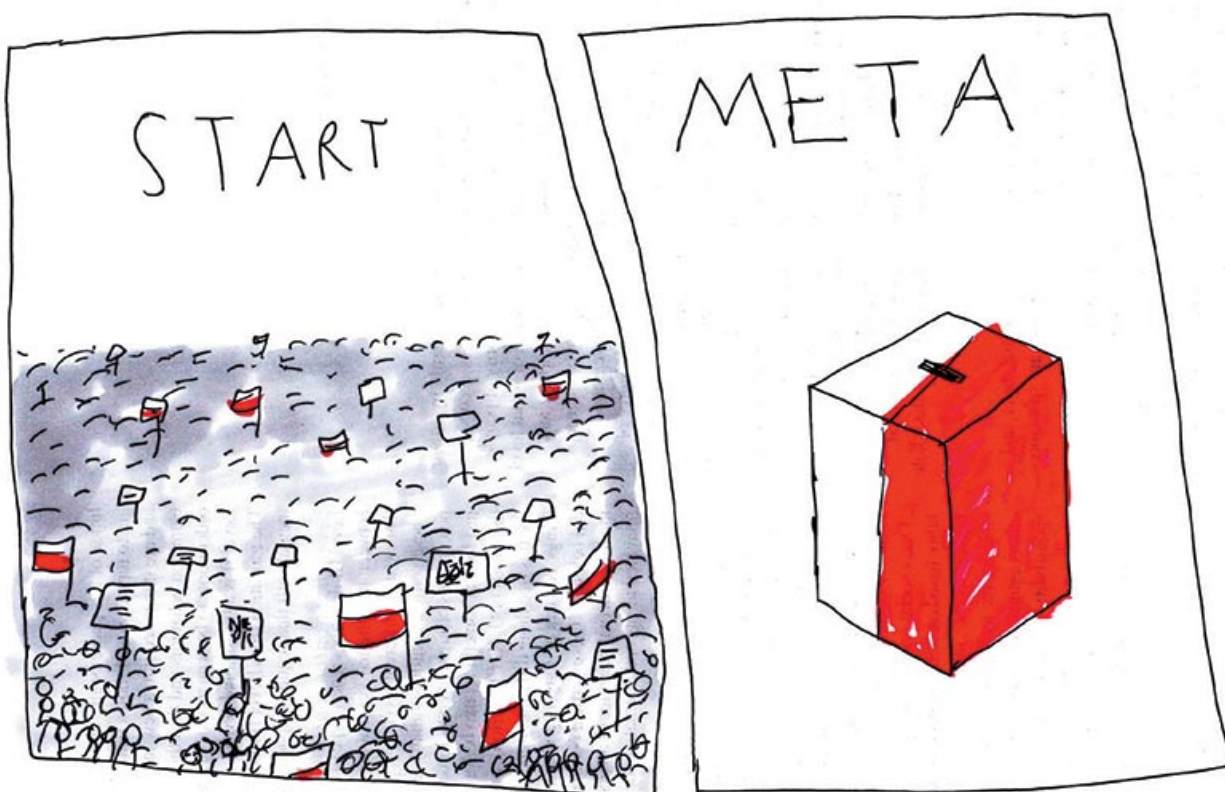
władzy oraz atakowanie, poniżanie i pomawianie opozycji. W te kampanie wprzęgnięte zostały media społecznościowe, farmy trolli i botów, także służby specjalne, prokuratura, dowolnie wybierane instytucje państwa. W „kraju PiS” wszystko, co widzimy, każde działanie władzy, jest przede wszystkim spektaklem; rzeczowość nie istnieje już jako komunikacyjna wartość.

Ale ostatni „Przypis”, który zamyka tę książkę, jest nie o tym: to relacja z wielkiego warszawskiego marszu opozycji 4 czerwca 2023 r. Zdecydowałem nie doprowadzać tej opowieści pod same wybory, choć był czas, żeby dodać jeszcze kilka późniejszych tekstów, już mocno osadzonych w kampanii wyborczej. Na przykład o urządzonej przez Mariusza Błaszczaka mocarstwowej defiladzie wojskowej 15 sierpnia, która „miała imponować północnokoreańskim rozmachem i południowokoreańskim sprzętem” – i zatrzeć przykre wrażenia po wtargnięciu nad Polskę białoruskich śmigłowców. Mógł być któryś z artykułów o tzw. referendum ogłoszonym na dzień wyborów oraz o jego kuriozalnych pytaniach. Ale wykorzystanie instytucji referendum do nieograniczonego finansowania zwykłej kampanii wyborczej, a kart z pytaniami jako propagandowej ulotki rozdawanej tuż przed głosowaniem, było już tylko kolejnym, choć wyjątkowo cynicznym, naruszeniem zasady równości wyborów. Zostawiam też na boku komentarze dotyczące kampanijnych wydarzeń i ekscesów, analizy języka politycznej konfrontacji czy sondażowych wahań nastrojów. To już tylko kampania: emocjonalna, nerwowa, pełna rozmaitych zwrotów akcji, ale myślę, że w sumie mało użyteczna dla tych, którzy przez ostatnie 8 lat choćby trochę interesowali się życiem publicznym i „powinni wiedzieć”.

Niezdecydowani, wciąż niepewni, czy w ogóle pójść na wybory i na kogo głosować, to jednak margines, wyborczo ważny, ale podlegający trudnym do zdefiniowania impulsom i raczej niedostępny dla politycznej argumentacji. Myślę też, że jest praktycznie niemożliwe, aby opowiadana tu historia przebiła się na drugą stronę, pomiędzy zadeklarowanych zwolenników PiS. Może kiedyś? Po wyłączeniu TVP Info? Dlatego na końcu książki chciałem umieścić ten obraz: nieprzebrany tłum idący Traktem Królewskim, tysiące polskich i unijnych flag, transparenty z hasłami w obronie konstytucyjnego ustroju państwa i w proteście przeciwko nadużyciom władzy, wielka nadzieja wygranej. Nie wiem, na kogo konkretnie będą głosować czerwcowi demonstranci ani ile milionów osób weźmie udział w tym najważniejszym marszu – 15 października, ale to im dedykuję tę

książkę. Cała demokratyczna opozycja, jak chcemy się nazywać, przeszła przez minionych 8 lat naprawdę długi marsz: od klęski i frustracji 2015 r., poprzez kolejne wyborcze porażki, narastające poczucie bezradności, złości i zmęczenia rządami „monopartii”, aż do – jeszcze nieznanego, nienapisanego – epilogu. Może w tych moich zapiskach odnajdą Państwo także swoje obserwacje, refleksje, emocje; razem przypomnimy sobie sens i powód bycia przez tyle lat w opozycji. Z nadzieją i wiarą, że ten niedobry rozdział naszej historii możemy wkrótce zamknąć – jak okładkę tej książki.

Jerzy Baczyński



PrzyPiSy, czyli krótka historia 8 długich lat to książka, którą Jerzy Baczyński, redaktor naczelny POLITYKI, pisał przez ponad czterysta tygodni – równoległe do trwających nieprzerwanie od 2015 r. rządów Jarosława Kaczyńskiego i jego formacji. Teksty składające się na PrzyPiSy, których skromny tylko wybór trafił do książki, były publikowane pierwotnie na łamach POLITYKI w formie cotygodniowych komentarzy.

Cotygodnik Baczyńskiego to niezwykle publicystyczny serial, opis tego szczególnego eksperymentu, jakiemu przez niemal dekadę została poddana Polska pod rządami PiS-u i tzw. Zjednoczonej Prawicy. Dla samego autora te na bieżąco kreślone zapiski stały się „osobistym dziennikiem podróży przez nową rzeczywistość – Polskę-PiS w budowie”. Autor z wnikliwością doświadczonego redaktora i wieloletniego obserwatora życia publicznego kreśli obraz Polski i polskiego społeczeństwa pod rządami PiS, wpływu tej partii, jej polityki i propagandy, na wszystkie obszary i dziedziny życia. Przypomnijmy sobie zdarzenia i tematy, którymi żyliśmy w ciągu tych 8 lat, wypowiedzi i zachowania, które nas zaskakiwały, oburzały, wprawiały w zażenowanie. Z nadzieją, że już więcej tego samego nie będziemy przeżywać.